



ROMANSE



*Maggie Osborne*

# Złoto

Tytuł oryginału

*SILVER LINING*

## Prolog

- Boże, umieram.

Low Down spojrzała na nabrzmiałą twarz mężczyzny i zmarszczyła nos, gdy poczuła smród krost, z których sączyła się ropa. Trudno jej było wykrzesać z siebie jeszcze trochę energii, w końcu jednak zacisnęła zęby, wyciągnęła spod głowy chorego poduszkę, zmieniła poszewkę i z powrotem ułożyła głowę mężczyzny na suchym, czystym płótnie. Potem nachyliła się nad jego uchem.

- Zaczynają się robić strupy, a to znaczy, że najgorsze za tobą. Przeżyjesz.
- Nic z tego.
- Posłuchaj, Frank. Wiem, że w chacie masz schowaną pod podłogą sakiewkę złota.

Jeśli umrzesz, zabiorę ją sobie. Tylko o tym pomyśl.

Poruszył powiekami i otworzył oczy.

- Skąd wiesz o mojej kryjówce? Złoto mam na swój pogrzeb i na nagrobek!
- Przykra sprawa, bo jeśli umrzesz, to zabieram złoto. I zajmę twoją działkę.

Zostawiła go, na próżno wysiłającego się, by usiąść, i powlokła się do następnej pryczy. Boże wszechmogący. Kiedy ostatnio zdarzyło jej się przespać parę godzin albo włożyć kęs jedzenia do ust? Nie umiałaby powiedzieć. A do budynku szkoły wciąż znoszono mężczyzn, chorych, mających, potrzebujących pomocy. Zanim pochyliła się nad następną pryczą, zamruwała, żeby rozprężyć mgłę zasnuwającą jej oczy, i rozejrzała się. Miała nadzieję, że wreszcie zobaczy kogoś, kto przyszedł ją wesprzeć.

W chwili nieuwagi poślizgnęła się w kałuży wymiocin i zatoczyła do przodu, tak że omal nie upadła na prycze Maksa McCorda. Zakląła szpetnie, chwyciła za wiadro i energicznie chlusnęła wodą na wymiociny. Na nic więcej nie miała czasu, to musiało wystarczyć. Potem wyciągnęła list z kieszeni spodni i zerknęła na Maksa. Podobnie jak wszyscy pacjenci, był w bardzo złym stanie. Twarz i powieki miał opuchnięte i zaczynał cuchnąć zgniłym mięsem. Znaczyło to jednak, że z krosty wkrótce zacznie się sączyć ropa, co było dobrą oznaką. Jeśli udawało jej się dociągnąć pacjenta do tego stadium, zwykle w końcu zdrowiał.

Zamachała kopertą przed nosem Maksa.

- Widzisz? - List był zaadresowany przez niego do panny Philadelphii Houser. Wiedziała, że to jego pismo, bo osobiście wyciągnęła mu kopertę z kieszeni, zanim surdut poszedł do spalenia. Gdy upewniła się, że Max skupił na niej wzrok, podała list na strzępy. - Jeśli umrzesz, panna Philadelphia Houser nigdy się nie dowie o wielkim pięknym domu, który dla niej zbudowałeś. Nigdy się nie dowie, że myślałeś o niej, kiedy dopadła cię choroba.

Tak go tym rozsierdziła, że przez chwilę wydawał się prawie zdrowy.

- Do pioruna! Nie masz prawa czytać prywatnych listów! Nie masz prawa drzeć ich na kawałki! Ty... ty...!

Zostawiła go w tym paroksyzmie wściekłości, gdy próbował walić pięściami w pryczę, i przeszła do następnego chorego. Pięć minut, tyle potrzebowała. Wystarczyłoby jej pięć minut snu i porządny łyk whisky, żeby znowu mocno stanąć na nogi.

Następny mężczyzna miał zamknięte oczy. Nawet nie była pewna, czy oddycha, póki nie potrząsnęła nim i nie przekonała się, że klatka piersiowa jednak się porusza. Nachyliła się nad jego uchem, nie zwracając uwagi na owrzodzenie i smród, i szepnęła:

- Słyszysz mnie, ty nierobie, ty ladaco? Mówi Marta, twoja pierwsza żona. Czekam na ciebie, ty rozlazły, leniwy ochłapie wieprzowiny. Dalej, wyciągnij kopyta, to będziemy razem przez całą wieczność.

Chrapliwie nabrał powietrza; widać było, jak jego ciało przeszywa dreszcz. To mogła być dla niego decydująca chwila, a Low Down uznała, że może jednak mężczyzna przeżyje.

- O, Low Down? Jeszcze tutaj?

Czyżby przywieziono jedzenie? Zdawało jej się, że dopiero co wszystkich nakarmiła. Powlokła się do drzwi szkoły, ciężko oparła o framugę i raptownie cofnęła, porażona blaskiem słońca. A może oczy zapiekły ją od gryzącego dymu, który unosił się znad palonej sterty ubrań i pościeli.

Kaznodzieja Jellison stał w sporym oddaleniu, u końca dwóch kolein, które udawały drogę. Nos i usta miał zasłonięte niebieską chustką. Wskazał taczki pełne żywności.

- Nie wiem, jak to będzie smakowało. Pan Janson, który do tej pory gotował, umarł dziś w nocy. To jest dzieło Olafa Gurnera.

Skinęła głową, za bardzo wycieńczona, by zainteresować się tym, w jaki sposób umarł pan Janson. Nie na ospę, bo inaczej przywieziono by go do szkoły już tydzień temu.

- Są nowe ciała? - spytał kaznodzieja.

Wolno pokręciła głową. Dzięki Bogu. Szczerze wątpiła, czy byłaby w stanie wywlec choćby jeszcze jedno ciało przed szkołę.

- To dobrze. Mamy trzeci dzień z rzędu bez ofiar. Może epidemia wygasa. - Kaznodzieja Jellison przyjrzał jej się uważnie. - Wyglądasz jak śmierć na chorągwi, Low Down.

Uśmiechnęła się wątle.

- To znaczy, że jest lepiej, niż było.

- Spróbuj trochę odpocząć. Przyjdę znowu rano. Czy czegoś potrzebujesz?

- Więcej karbolu i gliceryny. - Starła się traktować tym każdego mężczyznę przynajmniej trzy razy dziennie, choć nie miała pojęcia, czy jest z tego jakikolwiek pożytek. - I bielizny pościelowej.

- Zużyliśmy całe płótno dostępne w Piney Creek i musieliśmy posłać po zapasy do Denver. Będzie jutro albo pojutrze.

Mrużąc oczy, żeby przeniknąć wzrokiem chmurę żółtawego dymu unoszącego się znad sterty ubrań, Low Down patrzyła, jak kaznodzieja zawraca w stronę obozowiska, obecnie już prawie opustoszałego. Wiedziała, że gdy epidemia się skończy, mężczyźni spalą budynek szkoły i prawdopodobnie nie będzie potrzeby go odbudowywać. Rodziny z dziećmi wyjechały na samym początku i nikt nie spodziewał się ich powrotu. Ospa zabiła miasteczkowe ambicje Piney Creek, zabiła też dziesiątki ludzi, spoczywających teraz na zaimprovizowanym cmentarzu na pobliskim stoku góry.

Low Down była tak zmęczona, że przez dłuższą chwilę bezsilnie opierała się o framugę, próbując wykorzystać rachityczne słońce i rozgrzać w jego promieniach dłonie i twarz. W ciągu nocy na wysokich szczytach gór pojawiły się białawe czapy, a kolibry odleciały już niżej. Oba te zjawiska zwiastowały wczesną zimę.

Może przeniosę się bardziej na południe, pomyślała i plaśnięciem dłoni zabiła komara. Poszukam szczęścia w jakimś suchym i ciepłym miejscu.

Za jej plecami ktoś z jękiem poprosił o wodę. Usłyszała, jak wymiociny rozpryskują się na podłodze.

Mężczyzna umiał z dwudziestu metrów trafić kulą wiewiórkę na drzewie. Ale nie potrafił wyrzygać się do wiadra ani nasikać do nocnika, do których miał zaledwie pół metra. Low Down traktowała to zjawisko jak wielką zagadkę życia.

Zmierzywszy tęsknym spojrzeniem swój namiot, rozbity nad strumieniem blisko miejsca, w którym miała działkę, odepchnęła się od framugi, przetrzała dłonią oczy i popchała taczki z kotłami do progu szkoły. Potem zaczęła wpychać cały ten majdan do budynku. Jeszcze zanim uderzył ją smród ropy, wyczuła zapach zupy rybnej, z góry skazanej na niechęć pacjentów, i dziczyzny w potrawce, która niewątpliwie miała w większości skończyć w kubłach na wymiociny.

- Stony Marks, wynoś się z powrotem do łóżka, bo ci połamię te patykowate nogi!

Nagi mężczyzna ze zropiałymi krostami i wymiocinami spływającymi po klatce piersiowej wyglądał doprawdy mało atrakcyjnie. Kiedy to się skończy, wyjadę z Piney Creek gdzieś, gdzie nie będę widywać nagich i zarzyganych mężczyzn, pomyślała.

Podobnie jak wiele innych jej planów życiowych, także poszukiwanie złota było dotąd wielkim fiaskiem. Z drugiej strony podobno głupi mają szczęście, Low Down mogła więc liczyć na to, że w najbliższym czasie jej się poszczęści. Czyżby jednak miało ją spotkać coś dobrego?

- Czas się ruszyć - mruknęła pod nosem i pchnęła taczki. Tu na pewno na nic dobrego nie mogła liczyć.

Hip, hip hura! Hip, hip hura!

Low Down spłonęła intensywnym rumieńcem i gniewnie spojrzała na mężczyzn, którzy pozdrawiali ją i wymachiwali cynowymi kufkami pełnymi piwa, które Olaf uwarzył na tę okazję. Nigdy dotąd nie była honorowym gościem na przyjęciu i nigdy nie wiwatowano na jej cześć, zupełnie nie miała więc pojęcia, jak się zachować i gdzie patrzeć, nie wiedziała też, czy unieść wraz z innymi swój kufel.

W zakłopotaniu odwróciła głowę i wbiła wzrok w smugę dymu nad zboczem góry, która ciągnęła się od zgliszczy budynku szkoły. Spalenie szkoły było pierwszym punktem porządku dziennego. Potem wszyscy zebrali się u Olafa, żeby zjeść uroczysty obiad, złożony ze smażonych pstrągów oraz steków z mięsa łosia, i z ożywieniem porozmawiać o odbudowie.

Był wspaniały dzień na rozważania o zaczęciu wszystkiego od nowa. Niebieskie goryczki i gęste kępy fioletowych astrów wyglądały na zboczu góry jak klejnoty rozrzucone wśród skał. W dolinie tańczyły stokrotki, docierające aż na brzeg strumienia, a zarośla okrywały się złotem. Wysoko nad głowami mężczyzn, pod samym niebem, krążył orzeł. W jego locie było tyle elegancji, dzikości i swobody, że Low Down odczuła mimowolny zachwyt. Pomyślała, że w tej chwili też chciałaby tak latać. Mogłaby wtedy unikać wysłuchiwanie mowy, do której wygłoszenia przygotowywał się Billy Brown, samowolny burmistrz Piney Creek.

Billy wyszedł na krzywy ganek domu Olafa, wyprostował plecy, wypchnął brzuch i wznosił entuzjastyczny okrzyk na cześć Low Down. Gdyby przewidziała to wcześniej, gdyby miała choć cień podejrzenia, że czeka ją najbardziej chwalebny dzień życia, przynajmniej wykąpałaby się rano w strumieniu, umyła głowę i włożyła świeże ubranie. A tak, będąc honorowym gościem tego zgromadzenia, miała na sobie za dużą męską koszulę i drelichowe spodnie - jedno i drugie niezbyt czyste - a do tego ubłocone kalosze. Wsuwając z zażenowaniem kosmyk włosów pod stary kapelusz, zauważyła, że wszyscy oprócz niej są wystrojeni jak w największe święto.

Billy Brown miał pod drelichowymi ogrodniczkami prawie nową koszulę z czerwonej flaneli, poza tym starannie uczesał włosy i przystrzygł brodę. Co więcej, niemal wszyscy jej niedawni pacjenci byli prawie tak czyści jak w początkach epidemii, gdy jeszcze kobiety nie opuściły obozowiska. Bardzo ją wzruszyło, że mężczyźni oprali się i odświętnie ubrali na jej cześć.

- Najpierw chcę w naszym imieniu podziękować Olafowi Gurnerowi za dzisiejszy poczęstunek i za to, że zdecydował się przejąć żywienie wszystkich chorych w dniu, gdy utonął Jacob Jansen - rozpoczął przemowę Billy Brown.

Zawtórował mu chór dobroduszných przekleństw pod adresem zupy rybnej Olafa, a potem rozległa się serdeczna owacja.

- Jest nas tu dzisiaj sześćdziesięciu czterech - ciągnął Billy, przybrawszy poważniejszą minę. - Sześć tygodni temu Piney Creek miało prawie czterystu mieszkańców. Ludzie znajdowali złoto, wszystko kwitło. I wtedy padła na nas zaraza.

Low Down odwróciła wzrok i tak jak inni spojrzała ku obozowisku. Opustoszałe sklepy podsunęły jej myśl o wymarłym mieście. Zza drzwi saloonu nie było słycać muzyki. Nawet kantor probierza był zamknięty. Lekkie powiewy wiatru przesuwały kawałek papieru po wydeptanej, pożółkłej trawie tam, gdzie kiedyś płonęły ogniska. Dzikie róże już zaczęły zarastać miejsca po rzędach namiotów. Low Down odwróciła się ponownie do Billy'ego Browna, mając smutne przeświadczenie, że Piney Creek już nigdy nie odzyska dawnej świetności.

Billy zmarszczył czoło, wbijając wzrok w dno swego cynowego kufla.

- I wy, którzy jesteście tutaj, i mężczyźni, którzy spoczywają teraz na cmentarzu, dzielnie stawili czoło ospie i zostali w Piney Creek z tego samego powodu, z którego i ja zostałem: żeby pilnować naszych działek. - Uniósł głowę i spojrział na Low Down. - Ale jedna osoba została z nami, chociaż wcale nie musiała.

- Ja też miałam działkę do pilnowania - powiedziała cicho Low Down. Była zdania, że gość honorowy powinien wykazać trochę skromności.

- Nie znalazłaś na niej dosyć złota, żeby wykarmić za to wiewiórkę - powiedział Jake Martin i pochylił się, by strzyknąć śliną przemieszana z sokiem tytoniowym prosto na mrowisko. - Mogłaś bez namysłu zostawić tę działkę.

- Bóg wysłuchał naszych prósb i zesłał nam anioła miłosierdzia, który nie opuścił nas w najstraszniejszej dla nas godzinie.

Wiatr wiejący od szczytów gór wydał jej się nagle dziwnie chłodny, tak bardzo paliły ją policzki. Wolałyby, żeby Billy Brown w tym miejscu skończył przemowę, aczkolwiek w głębi duszy miała nadzieję, że usłyszy jeszcze coś miłego. Komplementy były dla niej taką samą rzadkością jak bryłka złota na sicie. Pamiętała dokładnie wszystkie, którymi kiedykolwiek ją obdarzono.

- Ta osoba zajęła się nami w tym trudnym czasie, ryzykując własne zdrowie i życie...

- No, cóż... - Gość honorowy musiał powiedzieć całą prawdę, nawet gdyby miało to osłabić wymowę pochwał Billy'ego. - Chorowałam na ospę w dzieciństwie, a dwa razy podobno nie można.

Coot Patterson przewrócił oczami, a potem spiorunował ją wzrokiem.

- Tego nikt nie wie na pewno. Może tak, a może nie. W każdym razie ty zostałaś tutaj i zaopiekowałaś się nami, chociaż wcale nie musiałaś i nikt od ciebie tego nie



oczekiwał. A teraz zamknij się i przestań przeszkadzać Billy'emu, który tak ładnie przemawia.

- Ludzie, przestaniecie mi przerywać? - spytał ze złością Billy Brown. - O czym to ja...? Aha, wszyscy wiedzą, że mówię o Low Down. Gdyby was nie karmiła, nie myła, nie pielęgnowała, większość z was gryzłaby już kwiatki od spodu. W każdym razie innych ochotników do pielęgnowania chorych nie było, to pewne.

Wiwatyomal jej nie ogłuszyły. Zupełnie nie wiedziała, co zrobić z rękami i w którą stronę zwrócić oczy. Wykrzywiła wargi w bardzo szczególnym grymasie. Rola gościa honorowego okazywała się bardzo wyczerpująca.

- Nie ma sposobu, żebyśmy mogli godnie odpłacić ci za to, że z nami zostałeś i że utrzymałeś większość z nas przy życiu. Ale wszyscy mężczyźni tutaj zgadzają się ze mną: nie spoczniemy, póki nie wyrazimy ci naszej wdzięczności. Chcemy coś dla ciebie zrobić, Low Down. Coś wielkiego i miłego. Coś tak ważnego i trwałego jak twoje poświęcenie dla nas. Dlatego powiedz nam, czego chcesz, a będzie twoje. Jesteśmy gotowi spełnić każde życzenie, musisz je tylko wyrazić.

Przytaknęło mu wiele głów, a mężczyźni zgromadzeni przed chatą Olafa Gurnera uśmiechali się z uznaniem i czekali. Low Down z płonącymi policzkami rozejrzała się po zgromadzeniu, w końcu wykonała bagatelizujący gest dłonią z kuflem.

- Do diabła, chłopcy, zrobiłam to, co zrobiliby każdy na moim miejscu, i już. - Skubnęła wystrzępione rondo kapelusza, bardzo speszona tym, że wszyscy zwracają uwagę właśnie na nią. - Nie musicie dziękować mi bardziej. Nigdy nie miałam przyjęcia wydanego na swoją cześć i wiedźcie, że będę to pamiętać do końca życia.

- Nie, nie, przyjęcie to o wiele za mało. - Stony Marks wysunął się przed zebranych. - Harowałaś jak wół. Karmiłaś nas, myłaś, siłą wlewałaś nam do gardeł to paskudne lekarstwo. Czystą siłą woli pomogłaś części z nas przeżyć. Niektórzy dawno byliby zimni i sztywni, gdybyś nie zmuszała nas do życia, nie groziła nam, może także nie namawiała słodkim głosem takich, o których nie wiem. - Odczekał, aż ucichną pokrzykiwania i chichoty. - W każdym razie faktem jest, że nie przeżylibyśmy, gdyby nie ty. Na pewno jest coś, o czym zawsze marzyłaś, czego zawsze chciałaś. Może coś, czego nigdy nie spodziewałaś się dostać. Chcemy ci to dać. Jesteśmy twoimi dłużnikami.

Teraz wystąpił z kolei Frank Oliviti. Na jego pomarszczonej twarzy malował się wyraz głębokiej wdzięczności.

- Przede wszystkim chcę ci podziękować, Low Down, że nie zabrałaś mojego złota, tak jak mi groziłaś. - Low Down uśmiechnęła się od ucha do ucha, czekając, aż ucichnie śmiech. - Jeśli chcesz mieć dom zamiast tego nędznego namiociku, w którym mieszkasz, zbudujemy ci piękną chatę i zrobimy meble. Czegokolwiek zechcesz, będzie twoje.

- Jeśli zawsze chciałaś mieć pianino, pojedziemy do Denver, kupimy je i przyciągniemy tutaj - zgodził się Billy Brown. - Powiedz nam tylko, jakie masz największe marzenie, a my je spełnimy.

Następnym, który przekonywał ją, by przyjęła ich wyrazy wdzięczności, był Max McCord.

- Może zawsze chciałaś pomieszkać w najdroższym hotelu w Denver i zjeść w pokoju ostrygi na kolację, a do tego napić się szampana? Powiedz słowo, Low Down, a my dopilnujemy, żeby było tak, jak chcesz.

Wyglądał jak nie ten człowiek, którego karmiła, myła i straszyla. Dziś był tak przystojny, że na sam jego widok Low Down czuła dziwne ciepło w środku. Ospa zostawiła kilka śladów na jego twarzy, nie pozaczyła jej jednak tak szpetnie jak kilku innych mężczyzn, a Max nie był na tyle próżny, by zapuścić brodę dla ukrycia tych śladów. Przeciwnie, był świeżo ogolony. Ciemne, lśniące włosy sięgały kołnierzyka. Ubrał się w nowe farmerki i grubą wełnianą koszulę, prawie tak niebieską jak jego oczy.

Dość długo przyglądała się Maksowi McCordowi i właśnie w chwili, gdy uświadomiła sobie, że w jej wnętrzu dzieje się coś niezwykłego, wpadła na pomysł. Rzeczywiście miała jedno, jedyne marzenie. Szczerze mówiąc, wątpiła, czy poszukiwacze złota liczyli się z czymś takim, ale przecież wszyscy na wyścigi namawiali ją, żeby wyraziła swoje najgorętsze pragnienie. Chcieli, żeby miała coś wyjątkowego, czego sama nigdy by się nie spodziewała. Ale...

Podszedł do niej kaznodzieja Jellison i stanął z palcami zaczepionymi za szelki spodni.

- To są dumni ludzie, którzy mają wielki dług wdzięczności. Oni na pewno nie spoczna, dopóki go nie splecą. Lepiej pozwól im to zrobić - poradził. - Wszyscy czegoś chcą, Low Down. A teraz masz okazję zdobyć to, czego ty chcesz.

Mrużąc oczy, skupiła wzrok na srebrzystej powierzchni rzeki wijącej się w dolinie. Rankiem widziała nad wodą rodzinę lisów. Lisięta były już wyrosnięte, prawie gotowe do objęcia terytoriów i wykopania swoich nor.

- Mam jedno pragnienie - powiedziała w końcu. Przesunęła dłonią po twarzy, próbując uporządkować myśli. - Ale nie sądzę...

- Pozwól zdecydować tym oto mężczyznom. Czegokolwiek chcesz, zasłużyłaś sobie na to, nawet jeśli zdaje ci się, że żadasz zbyt wiele. Ci ludzie staną na głowie, żeby tylko ci to dać.

Poczuła nagły przypływ nadziei, od którego aż zakręciło jej się w głowie. To była jej jedyna szansa, druga taka mogła się już nie zdarzyć. Zresztą nie darmo ludzie powtarzają, że trzeba mówić, czego się chce.

Billy Brown uważnie jej się przyglądał, więc natychmiast zauważył, że dojrzała do podjęcia decyzji. Brodatą twarz ożywił mu szeroki uśmiech.



- Zamknijcie się, ludzie. Ona już wie. Czego chcesz, Low Down?
- Nie bardzo wiem, czy można- zwróciła się cicho do kaznodziei Jellisona.

Ten uśmiechnął się do niej i dla pocieszenia ścisnął ją za ramię.

O Boże. Trudno. Taka okazja naprawdę dwa razy się nie zdarza. Low Down wyprostowała ramiona, zaczerpnęła powietrza głęboko do płuc i poczuła, że robi jej się coraz goręcej. Mężczyźni zaczęli się wzajemnie uciszać. Wszyscy spojrzeli na nią, uśmiechając się dla dodania jej otuchy.

- Chciałabym mieć dziecko.
- Słucham?- Kaznodzieja Jellison cofnął się odruchowo i wytrzeszczył na nią oczy.
- Dziecko. Chciałabym mieć dziecko. Zapadło głębokie milczenie.

Do Low Down dobiegł szelest liści osiki, rozległ się też brzęk i łoskot, bo Olaf upuścił stertę talerzy. Poza tym jednak zapanowała idealna cisza. Low Down zdawało się, że słyszy, jak mrówki drażą swoje tunele, a jej rosną włosy na głowie.

Billy Brown zdjął kapelusz i przeczesał rzadkie włosy grubymi, krótkimi palcami.

- Hm... - Zmierzył wzrokiem mężczyzn, którzy z nieprzeniknionymi minami wpatrywali się w Low Down. - To jest dla nas niespodzianka, ale nie taka, żebyśmy nie mogli sobie poradzić. Prawda, chłopcy? - Zadumał się. - Na pewno są jakieś sieroty w obozie. Moglibyśmy...

- Nie. Nie chcę cudzego dziecka. Chcę mieć swoje dziecko. - Przynajmniej nikt jej nie wyśmiał.

- Do pioruna, Low Down! - Frank Oliviti zmarszczył czoło. - Czy chcesz powiedzieć, że jeden z nas ma cię...? - Na karku pojawiły mu się czerwone plamki. Kopnął kępe orlików. - Do kroćset! Czy jesteś pewna, że nie wolałabyś, na przykład, worka złota?

Low Down od miesiący nie patrzyła w lustro, ale ponieważ wszyscy mężczyźni zgodnie się cofnęli, uznała, że musi wyglądać okropnie. Cóż, piękna nie była, co do tego nie miała wątpliwości. Nie przypuszczała jednak, że wizja spędzenia z nią nocy będzie dla nich tak niemiła. To było po prostu upokarzające.

Co im się właściwie zdaje, że nagle stali się tak wybredni? Low Down widziała większość z nich, jak ich Pan Bóg stworzył, i nie przypominała sobie, by groziło jej omdlenie z zachwyty na widok pięknego ciała.

- Pytaliście, jakie mam życzenie, więc wam powiedziałam - odezwała się, unosząc podbródek i mrużąc powieki. - Jeśli nie traktowaliście swojej propozycji poważnie, to trudno. Przecież wcale niczego od was nie oczekiwałam. - Kątem oka spojrzała w słońce. - Dokończmy piwo i wracajmy na nasze działki. Mamy przed sobą jeszcze kilka godzin dnia.

- Poczekaj. - Billy Brown z wysokości ganku Olafa potoczył wzrokiem po mężczyznach i uniósł ręce. - Słuchajcie, chłopcy. Tego się nie spodziewaliśmy, święta prawda. - Odpowiedział mu chór cichych przekleństw. - Ale nasza propozycja była jak najbardziej poważna. - Oczy groźnie mu zabłyśły. - Głosowaliśmy w tej sprawie.

Umówiliśmy się, że damy Low Down wszystko, czego sobie zażyczy. Podjęliśmy zobowiązanie i nic się w tym, do pioruna, nie zmieniło.

Szmer przetoczył się przez tłumek, a potem znowu zapadła cisza. Wreszcie ktoś spytał zrezygnowanym głosem:

- I co dalej? Jak mamy zdecydować, kto to zrobi?

- Gdyby był ochotnik, to diabelnie uprościłoby sprawę. - Billy spojrział na mężczyzn z nadzieją, żaden z nich jednak nie patrzył na Low Down. - Czy mamy ochotnika?

Gdy nikt nie wystąpił, Low Down poczuła, że policzki zalewają jej się palącym rumieńcem. Zapiekły ją nawet oczy.

- Niech was wszyscy diabli! - krzyknęła, maskując upokorzenie złością. - Ja też nie chcę z żadnym z was spać, więc zapomnijcie o tym wszystkim! - Nigdy w życiu nie czuła się tak głęboko urażona.

Powinna była pamiętać, że obietnice przypominają skórę na cieście - są po to, żeby je łamać. Ci mężczyźni wcale nie traktowali swojej propozycji poważnie.

Odwróciła się ku szczytowi pobliskiej góry i chciała pobiec do swojego namiotu, ale kaznodzieja Jellison mocno chwycił ją za ramię.

- Proszę mnie puścić!

Skończył się jej dzień chwały. Teraz chciała tylko spakować swój skapy dobytek, wynieść się jak najdalej z Piney Creek i udawać, że ten straszny pokaz jej głupoty i ich grubiaństwa w ogóle nigdy się nie zdarzył.

Kaznodzieja Jellison trzymał ją na odległość wyciągniętego ramienia, żeby nie mogła go kopnąć ani trafić pięścią.

- Wstyd, panowie - powiedział. - Anioł miłosierdzia, który naraził się na śmiertelne niebezpieczeństwo, żeby ratować wasze nic niewarte skóry... - zawiesił głos i spojrział w oczy każdego nieszczęśnika z osobna - chce mieć dziecko.

Billy Brown podchwycił ten apel.

- I jeden z nas da jej dziecko, jak mi Bóg miły - obiecał ponuro, cedząc słowa przez zęby. - Spłacimy nasz dług, chłopcy. Może nie?

Teraz wszyscy spojrzeli na Low Down. Zerkali w zamyśleniu, kątem oka, aż wreszcie znowu utkwili wzrok w Billym. Przeciągłe westchnienie spłynęło w dolinę jak żalotny jęk wiatru.

Stony Marks wystąpił naprzód.

- Myślę, że Low Down ma dobre serce i mogłaby być całkiem znośna, gdyby ją trochę odmyć - powiedział z determinacją. - Bardzo chciałbym uszanować nasz dług honorowy i spłacić tę część, która przypada na mnie, ale nie mogę posunąć Low Down. Jestem żonaty. - Spojrział na kaznodzieję Jellisona, oczekując poparcia. - Nie byłoby w porządku domagać się od żonatego mężczyzny, żeby grzeszył i krzywdził w ten sposób swą Bogu ducha winną żonę.

- Do kroćset! On ma rację, Billy. - Kaznodzieja Jellison ścisnął ramię Low Down jeszcze mocniej. Nie miała szans się wyrwać, chociaż próbowała.

- Jasne, że ma rację - przyznał smutno Billy Brown. - Ale to nie kłopot. Żonaci mężczyźni niech przejdą za ten wielki świerk. - Policzył mężczyzn pozostałych przed gankiem domu Olafa. - Dobrze. Zostaje nam dwudziestu trzech kawalerów.

- Dwudziestu czterech - odezwał się Jack Hart. - McCord, chodź do nas. Nie jesteś żonaty.

Max McCord spojrzał błagalnie na Billy'ego i kaznodzieję Jellisona.

- Ale tak jakbym był. Za dwa tygodnie biorę ślub, a jutro stąd wyjeżdżam.

- Tak czy owak tymczasem nie jesteś żonaty. Poza tym nie żyłbyś już, gdyby Low Down nie wyciągnęła cię z tej zarazy, ty dupku. Stawaj tutaj z nami!

Przez ułamek sekundy Low Down myślała, że Max McCord odmówi. Czytała jego list do panny Philadelphii Houser, dlatego rozumiałaby jego odmowę. Ale Max tylko zmarszczył czoło i dołączył do mężczyzn stojących przed gankiem. Kawalerowie spojrzeli spode łba na żonaty, którzy w spokoju raczyli się piwem i uśmiechali od ucha do ucha. Potem przenieśli wzrok na Billy'ego Browna i czekali, co będzie dalej.

- Ostatni raz proszę, żeby zgłosił się ochotnik - próbował ich zachęcić Billy.

Jedynym dźwiękiem, jaki usłyszała Low Down, było zgrzytanie jej zębów, akurat zastanawiała się bowiem, czy nie wyswobodzić się z uścisku kaznodziei Jellisona, gryząc go w ramię. Niech diabli wezmą tych wszystkich chłopów!

Ale naprawdę bardzo chciała mieć dziecko. A oni obiecali.

- Tu nie chodzi o ciebie - powiedział Albie Davison, rozkładając ramiona i spoglądając na nią przepaszająco. - To znaczy o ciebie, ale chcę powiedzieć, że ja, na przykład, nie potrafię myśleć o tobie jak o kobiecie. Jesteś jednym z nas. Kumplem.

- Wszyscy jesteście sukinsyny! - krzyknęła, wciąż usiłując się wyrwać kaznodziei.

- Przecież sama tego chcesz - syknął do niej Jellison. - Przestań się szarpać i bierz to, co ci dadzą. Bóg wybiera czasem drogi niepojęte dla ludzi.

Z tym nie mogła się nie zgodzić. Bóg zesłał epidemię na Piney Creek i dlatego nadarzyła jej się okazja urzeczywistnienia czegoś, do czego od dawna tęskniła. Naturalnie pod warunkiem, że jeden z tych sukinsynów zechce się z nią przespać, a ona będzie w stanie go znieść. To ostatnie było w tej chwili bardzo wątpliwe. Nienawidziła ich wszystkich tak, że bardziej nie można. Uznała jednak, że nawalczyła się już dość, by uciszyć głos swojej urażonej dumy, dlatego nie odeszła nadszana, gdy Jellison wreszcie ją puścił.

- Czekajcie! - zawołał nagle kaznodzieja i zrobił bardzo czujną minę. - Co ja tu przed chwilą usłyszałem?

Billy Brown westchnął.

- Albee wrzucił dwadzieścia cztery kulki do kapelusza. Na jednej z nich wydrapiał krzyżyk. Ten, kto wylosuje znaczoną kulkę, posunie Low Down.

Kaznodzieja Jellison wystąpił z grupy. Jego nalana twarz pałała oburzeniem. Wspiął się na ganek i łokciem odsunął Billy'ego Browna.

- Co wy tu knujecie, żałośni grzesznicy? Nie dziękujecie Bogu za uratowanie życia, grzesząc z jego aniołem miłosierdzia! Nie ma mowy! Ja do tego ręki nie przyłożę i Wszechmogący też nie. Ten, kto wylosuje znaczoną kulkę, żeni się z tą kobietą!

Ostrzegam was. Gdybyście chcieli oszukać Boga i próbować jakichś sztuczek, to tak, jakbyście się prosili o następne nieszczęście. Bóg nie po to oszczędził wasze nędzne tyłki, żebyście kpili sobie z jego przykazań!

- Wielkie nieba - powiedział Billy Brown, niedowierzająco wytrzeszczając oczy. - Ożenić się z nią? Boże Wszechmogący, my się tu z każdą chwilą pogrążamy.

- Hej, wy, cisza! - Low Down próbowała przekrzyczeć burzę protestów. Sama też była zdumiona. - Nie powiedziałam nic o małżeństwie ani o mężu! Chcę tylko mieć dziecko! - Kaznodzieja Jellison obrócił jej życzenie w coś, o czym nigdy nie myślała i czego nie chciała. Teraz musiała krzykiem zwrócić na siebie uwagę. - Nie chcę męża! Tylko dziecko!

Kaznodzieja wydobyl biblię z kieszeni surduta i zamachał nią nad głową, żeby wszyscy mogli to zobaczyć.

- Czy moglibyście obrazić Boga, obciążając jego anioła miłosierdzia ciężkim grzechem? - Palcem wskazującym wycelował prosto w Low Down.

- Szczerze mówiąc, nie mam nic przeciwko małemu grzechowi. Wystarczy mi taki, żebym mogła mieć dziecko. Nie sędzę, żeby Bogu szczególnie to wadziło. I odwołuję swoje życzenie, gdyby miało to znaczyć, że muszę wyjść za mąż. Chcę mieć dziecko, i tyle! - Urwała, gdy stwierdziła, że nikt jej nie słucha. Uwaga wszystkich mężczyzn była skupiona na kaznodziei.

- Czy dziecko tej dobrej kobiety zasługuje na to, by urodzić się jako bękart? Czy jest wśród nas taki sukinsyn, który uważa, że można tej kobiecie wyrazić wdzięczność, sprowadzając na nią hańbę i grzech? Czy tak wyobrażacie sobie podziękowanie temu, kto uratował wasze nędzne życia? - Jellison pogardliwie wykrzywił usta.

- Słuchajcie, zastanowiłam się - powiedziała głośno Low Down. - Pianino byłoby naprawdę miłym prezentem. - Nie miała pojęcia, jak gra się na pianinie, i nie wiedziała, gdzie mogłaby trzymać instrument, ale taki problem można było jakoś rozwiązać.

Nikt jednak nie zwracał już na nią najmniejszej uwagi. Kaznodzieja Jellison nabierał coraz większego rozmachu. Wprawił słuchaczy w nabożny lęk i grzmiał na nich pełną piersią, tak że przygniatający ich ciężar winy był coraz większy. Zanim echo ostatniego słowa odbiło się od górskiego stoku w oddali, żonaci mężczyźni kipieli słusznym oburzeniem. Wyzywali kawalerów od samolubnych, obłudnych niewdzięczników, którzy

sprowadzą na wszystkich gniew boży, jeśli nie postąpią uczciwie wobec nieszczęsnej, poświęcającej się kobiety, która narażała dla nich życie.

Billy Brown nie był głupcem, wykorzystał więc tę chwilę do puszczenia w obieg kapelusza wypełnionego kulkami. Kawalerowie patrzyli na żonatyh bardzo koso, ale każdy posłusznie spełniał swój obowiązek i wyciągał z kapelusza kolorową szklaną kulkę. Potem z uśmiechem zadowolenia kierował się ku beczce z piwem.

Każdy, tylko nie Max McCord.

Ten stanął jak skamieniały i wpatrywał się w zieloną kulkę trzymaną na dłoni. Dookoła niego mężczyźni klepali się po plecach, opowiadali sobie dowcipy i wyciągali szyje, żeby się przekonać, na kogo padł los.

Gdy Low Down poczuła, że nie zniesie dłużej milczenia Maksa McCorda, odwróciła się do niego plecami i spojrzała na zbocze góry. Nie sądziła, że ktoś będzie skakał z radości, zobaczywszy u siebie znaczoną kulkę. Ona też nie czuła się szczęśliwa. Ale w głębi duszy liczyła na to, że mężczyzna, którego wybierze los, nie będzie tak wstrząśnięty jak Max McCord.

Ogarnęły ją mieszane uczucia. Trochę współczuła Maksowi, że nie będzie mógł ożenić się z kobietą, którą darzył miłością. Przecież to z nią, Low Down, musiał się teraz ożenić. A ona całkowicie straciła wpływ na bieg wydarzeń. Kaznodzieja Jellison poruszył słuchaczy swą przemową, więc wszyscy stali się nagle zwolennikami małżeństwa. Nikogo nie obchodziło, że Max McCord tego nie chce.

Marszcząc czoło, wsadziła rękę do kieszeni i zacisnęła palce na kopii listu Maksa McCorda, którą sporządziła z pamięci. Nie wiedziała, dlaczego to zrobiła. Nie, nieprawda. Wiedziała. Lubiła czytać ten list i udawać przed sobą, że to do niej ktoś tak napisał. McCord umiał ładnie składać słowa.

- Wszyscy niech teraz staną razem. Pana młodego i pannę młodą ustawcie z przodu.

- Czy musimy to zrobić natychmiast? - Low Down wolałaby najpierw przynajmniej umyć twarz i uczesać włosy. Ale mężczyźni myśleli w tej chwili tylko o spłaceniu długu. Spieszyło im się, obawiali się bowiem, że Bóg ich obserwuje i szykuje się do zesłania na nich rychłej kary, w razie gdyby zawiedli. Naturalnie obawiali się również tego, że jeśli pozwolą sobie na zwłokę, to Max McCord ulegnie pokusie i odmówi spełnienia obowiązku.

On nadal wpatrywał się w mały zielony przedmiot, jakby była to szklana kula wróżki, która odkrywa przed nim zatrważającą przyszłość.

Coot Patterson i Stony Marks ujęli McCorda za ramiona i wyciągnęli przed oblicza reszty mężczyzn. Frank Oliviti i Jake Martin wyprowadzili z tłumu Low Down. Czuła, że powinna coś Maksowi powiedzieć, ale miała w głowie pustkę. Zresztą on i tak wydawał się oszołomiony, więc prawdopodobnie nie zrozumiałby ani jednego słowa.



Low Down także czuła się trochę zdezorientowana, a poza tym nagle ogarnęło ją zdenerwowanie. Zwilżyła wargi językiem i wytarła dłonie w spodnie. Do diabła, powinna była umyć się rano, włożyć czystą bieliznę i porządniejszą koszulę. Nie cieszyło jej bynajmniej, że sprawy zaszły aż tak daleko. Wiedziała, że tego pomysłu z mężem będzie gorzko żałowała.

- Poczekajcie chwilę. - Billy Brown stanął przed oblubieńcami i ściągnął z małego palca złotą obrączkę. Wcisnął ją w dłoń Maksowi. - Ta obrączka należała do mojej matki. Jest dla panny młodej - dodał, gdy McCord zmarszczył czoło, tak jakby nie rozumiał, po co to złoto. - Zdejmijcie kapelusze i przestańcie gadać. - Billy groźnie spojrzał na mężczyzn i mówił dalej: - McCord bierze na siebie najwięcej, jest jakby wyrazicielem wdzięczności wszystkich i, by tak powiedzieć, ma posunąć sprawę naprzód, ale reszta też powinna coś zrobić. Na przykład urządzić zbiórkę, żeby pomóc młodej parze w prowadzeniu domu. Pamiętajcie dobrze, że wszyscy jesteśmy dłużnikami Low Down. I w pewnym sensie również Maksa McCorda, który zachował się jak prawdziwy mężczyzna. Pamiętajcie: każdy z was mógłby stać na jego miejscu i mówić dzisiaj „tak”, więc wyciągnijcie sakiewki i nie skąpcie darów.

Kaznodzieja Jellison poczekał, aż umilkną stłumione chichoty, potem uśmiechnął się do Low Down tak, jakby ślub był jej pomysłem, a nie jego, i jakby ona i Max McCord rzeczywiście byli szczęśliwą parą, która zwraca się do niego o błogosławieństwo w najradośniejszym dniu życia. Low Down bardzo poważnie się zastanawiała, czy nie rąbnąć kaznodziei pięścią w żołądek, zanim jednak się zdecydowała, ten rozpoczął ceremonię.

- Najmilsi, zebraliśmy się tutaj, by w obecności świadków... Niewiele czasu trzeba, by połączyć mężczyznę z kobietą na

całe życie. Niecałe pięć minut później kaznodzieja Jellison oznajmił z uśmiechem:

- Ogłaszam was przeto mężem i żoną. Mężu, możesz pocałować oblubienicę.

Low Down i Max McCord niechętnie obrócili się ku sobie i zmierzyli wzrokiem. Potem pan młody obrócił się na pięcie, przecisnął przez tłum mężczyzn i poszedł dalej, w dół stoku.

Low Down wcisnęła pięści do kieszeni spodni i patrzyła jego śladem. Naprawdę nie obchodziło jej, czy Max McCord odejdzie pieszo, czy może wskoczy na konia i odjedzie. Ślub był poważnym błędem, bo przecież żadne z nich go nie chciało.

Wymacawszy w kieszeni list, poczekała, aż McCord dotrze na swoją działkę i skryje się w namiocie.

Powinna była zgodzić się na worek złota albo na to głupie pianino.

Wyciągnęła przed siebie rękę i spod przymkniętych powiek spojrzała na obrączkę, która lśniła w promieniach słońca na jej opalonym palcu. Postanowiła ją zatrzymać, cokolwiek miało stać się dalej. Ludzie ją przekonali, że coś jej się należy za wynoszenie kubłów z ich rzy go winami.



Ale dziecko naprawdę chciała mieć. Mogłaby je kochać i cieszyć się jego miłością. Miałaby swoją najprawdziwszą rodzinę. Jak głupio zrobiła, że pozwoliła się ponieść złudnej nadziei.

- Olaf, czy już nie czas na whisky? Pannie młodej należy się solidny łyk. A poza tym chcę zobaczyć, jak będzie wyglądać ta hojna zbiórka.

Było za późno na żal. Low Down pomyślała więc, że zamiast się zamartwiać, może napić się whisky, posłuchać kilku historii z życia poszukiwaczy złota i nacieszyć się resztką swego weselnego dnia.

scandalous

Max nabazgrał swoje imię, wsunął kartki do koperty i położył ją przy desce, której używał zamiast biurka. Podłogę jego namiotu pstrzyły brudnopisy najtrudniejszego listu, jaki przyszło mu kiedykolwiek napisać. Był to zarazem dowód na to, jak długa była dla niego ostatnia noc. Siedząc na pryczy, przetarł oczy i potoczył wzrokiem po licznych pogniecionych papierach.

Ktoś musiał, rzecz jasna, wyciągnąć znaczoną kulkę, ale Max wcale się nie spodziewał, że los padnie na niego. Miał dokładnie zaplanowane życie. Poszukiwanie złota wynikało z jego awanturniczej żyłki, lecz w zasadzie był to ostatni wyskok przed definitywnym ustatkowaniem się, ot, letnia przygoda przeżyta w czasie, gdy nikomu nie mogło to zaszkodzić.

Złapał się za głowę, zaklął i kopnął zmięte papiery.

Jeszcze niedawno miał w zasięgu ręki wszystko, czego chciał.

Co za ironia losu! Gdyby uroczystość przed chatą Olafa wypadła dzień później, nie byłoby go już w Piney Creek. Jechałby przez góry ku bezpiecznej przyszłości. Odłożył wyjazd o jeden, jakże cenny, dzień tylko z poczucia obowiązku, żeby uczcić kobietę, która uratowała mu życie. Tymczasem ta pozornie nieszkodliwa decyzja pociągnęła za sobą to, że zdradził Philadelphię i zniszczył ich nadzieje na wspólne szczęście.

- McCord, jesteś tam? - Kaznodzieja Jellison kopnął w klapę namiotu.

Max przeciągnął dłonią po szczęce, wyczuł świeży zarost i natychmiast przypomniał sobie, że nie wyspał się smacznie na brzuchu, chociaż poprzedniego dnia wypił niemało kiepskiej whisky. Jellison był ostatnią osobą, którą chciał widzieć.

- McCord?

- Czego chcesz, do pioruna?

- Mogę do ciebie wejść albo ty wyjdź do mnie. Jak wolisz? W małym namiocie było duszno i nieprzyjemnie, w powietrzu unosiły się gryzące opary nafty z lampy wiszącej przy pryczy. Max zaklął, odsunął klapę na bok i wygramolił się na zewnątrz. Zamrugał, porażony blaskiem słońca.

Namiot miał rozbity na pagórku powyżej swojej działki, jakieś dziesięć metrów od brzegu strumienia. Ostatniej nocy sprzedał swoje miejsce Cootowi Pattersonowi za dzban piwa domowej roboty, najgorszej lury, jaką kiedykolwiek pił. Teraz czuł się tak, jakby w żołądku miał dziury, a w głowie odbijały mu się rykoszetem armatnie kule.

- Gdybyś nie był kaznodzieją, rozszarpałbym cię na strzępy - burknął, przechodząc obok Jellisona.

Stanąwszy na trawiastym brzegu strumienia, pochylił się, nabrał wody w złożone dłonie i ochlapał sobie twarz i szyję. Lodowate krople spływały mu za kołnierz koszuli. Potem przepłukał usta, w których wciąż miał kwaśny smak whisky, i splunął.

- Czy czułbyś się lepiej, gdybyś miał zrobić dziecko Low Down, a potem ją zostawić? Nie wydajesz mi się takim człowiekiem.

Max wyprostował się, wysuszył dłonie o koszulę i wbił wzrok w mężczyzn, którzy stali dalej w strumieniu i nabierali żwir na sito albo płukali nabraną porcję.

- Zgoda - powiedział Jellison do jego pleców. - Wszyscy trochę się pospieszyli. Należało to najpierw przemyśleć. Ale nie zapominaj, że żyjesz tylko dzięki Low Down. Tylko ona chciała się tobą zająć, kiedy wypluwałeś z siebie wnętrzności i bredziłeś jak najęty.

- To samo można powiedzieć o trzech czwartych mężczyzn, którzy zostali w Piney Creek. Tyle że akurat ja musiałem się z nią ożenić. - Jawna niesprawiedliwość tej sytuacji bardzo Maksa irytowała. - Nigdy nie było mowy o tym, że jeden z nas zapłaci za wszystkich. Nie tak postanowiliśmy.

- Rzeczywiście, nie. Ale stało się i nie ma od tego odwrotu. Stali razem nad wartkimi wodami strumienia i nasłuchiwali głosów mężczyzn, pracujących na brzegach.

- Za dwa tygodnie miałem wziąć ślub - powiedział Max. - Jeszcze dwa tygodnie i miałbym ciepłą posadkę w banku w Fort Houser.

- Uhm. - Jellison spojrzał na czubki swoich butów. - Myślę, że nadal możesz zostać bankierem.

- Wątpię, czy pan Houser powita mnie z radością w swoim banku, kiedy się dowie, że wystawiłem jego córkę do wiatru.

Sytuacja była nie z tej ziemi. Max zawsze kierował się w życiu honorem i poczuciem obowiązku. Przy ustalonej i tak bliskiej dacie ślubu ożeniłby się z Philadelphią nawet wtedy, gdyby się okazało, że jej nie cierpi, bo przecież mężczyzna nie cofa danego słowa i nie upokarza kobiet. Wystarczyło jednak, że wylosował z kapelusza zwykłą szklaną kulkę, i splamił przez to swoje dobre imię, upokorzył Philadelphię, sprowadził wstyd na dwie rodziny i wywołał skandal, o którym w Fort Houser długo będzie głośno.

- Teraz myślę, że może rzeczywiście powinieneś być zostać wśród żonatych - przyznał kaznodzieja.

Przez całą noc przyjaciele i znajomi zaglądali do jego namiotu i dzielili się z nim dokładnie tym samym przemyśleniem. Ale nikt nie powiedział tego we właściwym czasie, kiedy mogło to mieć znaczenie.

- Życie nie zawsze układa się tak, jak naszym zdaniem powinno, synu - rzekł kaznodzieja. - Bóg postępuje czasem w zagadkowy sposób.

Tylko Biblia wystająca z kieszeni uratowała go przed obiciem na kwaśne jabłko. Bóg nie miał nic wspólnego z wydarzeniami poprzedniego dnia; to Jellison wszystkich podburzył.

- Pamiętaj, McCord, że w oczach Boga ty i Low Down jesteście małżeństwem. Ślub był prawdziwy. Szkoda mi tej drugiej młodej damy, ale teraz masz obowiązki wobec ślubnej żony.

Max pochylił się nad kaznodzieją. Oczy mu błyszczały. Miał wielką ochotę wypróbować siłę swych pięści na twarzy tego klechy.

- Nie pouczaj mnie, jakie mam obowiązki. - Zaczął się oddalać, ale stanowczy głos Jellisona go zatrzymał.

- Jest coś, co powinieneś wiedzieć. Low Down nie przyciąga wzroku i jest zniszczona jak koń pociągowy. Ale to dobra kobieta. Uczciwa i ciężko pracująca. Wiele kobiet nie mających rodziny ani żadnych korzystnych widoków zajęłoby się nierzędem, ale nie ona. Ona żyje z pracy rąk, a nie z rozkładania nóg.

Maksowi przypomniawszy się Low Down, stojąca obok niego i składająca śluby małżeńskie. Miała na głowie kapelusz z wystrzępionym rondem, spod którego wystawały brudne włosy, i była ubrana w zatechłe, bezkształtne męskie rzeczy. Jej twarz pilnie wymagała mycia, podobnie jak reszta ciała.

A potem ujrzał Philadelfię, swoją piękną, na zawsze utraconą Philadelfię. Nie mógł nie poczuć goryczy.

- Twoja żona nigdy nie miała szczęścia, nigdy nie zdarzyło jej się nic dobrego. Moim zdaniem zasługuje na dużo więcej, niż dostaje od życia. - Jellison czekał, aż Max zapyta go o przeszłość Low Down, ale się nie doczekał. - W każdym razie mam nadzieję, że ty będziesz dla niej znakiem zmiany na lepsze.

- Nie licz na to, że będziemy żyli długo i szczęśliwie. To nie bajka. Ani dla Low Down, ani dla mnie, ani dla nikogo innego.

Jellison wiedział, że nic, co powie, nie zmieni sytuacji na lepsze.

Max nie myślał tej nocy o Low Down, ale nie należało wykluczać, że i ona miała jakieś plany. Planu, w którym nie było miejsca na ślub z obcym mężczyzną. Małżeńskie kajdany skuły ich oboje.

- Chcę ci powiedzieć jeszcze tylko jedno - odezwał się kaznodzieja. - To, co się stało, nie jest winą Low Down, więc nie miej do niej pretensji. To nie ona cię wybrała. To Bóg włożył tę kulkę w twoją dłoń. Jeśli jesteś takim głupcem, żeby obwinie Boga i przeciwstawić się jego planom, to życzę ci szczęścia, synu, bo wkrótce będziesz go potrzebować. Pamiętaj, nie karz Low Down za to, w czym nie zawiniła.

Jellison nie uściskał mu dłoni, po prostu poszedł swoją drogą. Maksowi też nie spieszyło się do przyjaznych gestów. Po odejściu kaznodziei rozpalili ognisko, powiesił nad nim dzbanek na kawę i wysypał na patelnię pokruszone suchary.

Rozmowa o winie i pretensjach dotknęła sedna sprawy. Max potrzebował kogoś, kogo mógłby obciążyć winą, kogo mógłby ciężko pobić i ukarać za tę klęskę zesłaną na niego, Philadelfię i ich świetlaną przyszłość.

Tylko kogo? Billy Brown, owszem, powinien był przerwać to zebranie i zwołać następne, żeby mogli przedyskutować tak niezwykłą formę wyrażenia wdzięczności. Ale Max nie wyobrażał sobie, by którykolwiek z mężczyzn uznał, że wolałby, pozbawiony pomocy Low Down, leżeć na cmentarzu niż ją teraz posunąć. W końcu więc i tak stanęłoby na tym, że ktoś musiałby jej zrobić dziecko.

Jellison go rozwścieczył, bo od niego wyszedł pomysł małżeństwa. Ale przecież kaznodzieja musiał obstawać przy małżeństwie. Można byłoby powiedzieć, że zaniedbuje swoje obowiązki, gdyby nie zaczął ich gromić i roztaczać przed nimi wizji grzechu i potępienia.

Low Down? To ona wprawiła w ruch tę maszynę, która potem okazała się nie do zatrzymania. Ale przecież wszyscy obecni, z Makssem włącznie, długo się od niej domagali, żeby powiedziała, czego najbardziej chce. Nikt nie stawiał jej ograniczeń. Nikt nie dodał: „Naturalnie w granicach rozsądku”.

Max raptownie wstał, zacisnął zęby i z gniewną miną spojrzał na przypalone suchary. Czuł, że nie zniesie tej desperacji, która w nim wzbiera, że pęknie, jeśli czegoś nie zrobi. Ze złości kopnął patelnię, skoczył jej śladem, zamierzył się na nią nogą jeszcze raz i jeszcze, aż wreszcie naczynie z sykiem zanurzyło się w strumieniu.

Wtedy wcisnął ręce do kieszeni i przekonał się, że wciąż ma tam zieloną kulkę. Uniósł ją pod słońce, zaklął i przesunął palcem po wydrapanym na powierzchni szkła krzyżyku, który z Philadelphii uczynił oszukaną narzeczoną, a z niego zwykłego sukinsyna.

W gruncie rzeczy mógł winić tylko tę małą szklaną kulkę. Absurdalność tej myśli tak go zaskoczyła, że nawet nie cisnął kulki do strumienia. Zakręcił nią w palcach i postanowił ją zatrzymać.

Ilekcioć będzie na tyle zadufany w sobie, by sądzić, że jest panem własnego losu, ilekcioć z czystej próżności przyjdzie mu do głowy, że należy mu się trochę szczęścia w życiu, tylekcioć spojrzy na tę zieloną kulkę, która przypomni mu, że jest w błędzie.

Gdy wreszcie wziął się w garść, poszedł poszukać swojej nowo poślubionej żony. Mężczyźni, których mijał, pozdrawiali go wystawionym ku górze kciukiem lub skinieniem głowy, żaden jednak nie ważył się spojrzeć mu prosto w oczy. Max to rozumiał. Na ich miejscu też czułby się nieswojo, że jeden cierpi za wszystkich. Miał przynajmniej tę satysfakcję, że ludzie widzą, jaką krzywdę mu wyrządzono.

Gdyby nie to, że poznał ubranie, które Low Down nosiła poprzedniego dnia, mógłby niechcący przejść obok jej działki, wziąłby ją bowiem za mężczyznę. Ale ponieważ wykazał się spostrzegawczością, zatrzymał się na wzniesieniu nad strumieniem, skrzyżował ramiona na piersi i w milczeniu zmierzył wzrokiem obcą kobietę, która nagle została jego żoną.

Początkowo w ogóle nie pokazała po sobie, że zdaje sobie sprawę z jego obecności. Wydawała się dość obojętna na to, co dzieje się dookoła, i raczej niefrasobliwa. Stała pochylona nad strumieniem i potrząsała sitem tuż pod powierzchnią wody, żeby wypłukać drobiny piasku. Gdy uniosła sito, by odrzucić żwir i kamienie, zauważył, że jej dłonie poczerwieniały od lodowato zimnej wody, i nawet z oddali dostrzegł, jak bardzo są zniszczone.

Małe ręce Philadelphii były miękkie w dotyku i bielutkie, a paznokcie starannie wypielęgnowane, lśniące i różowe.

Paskudny kapelusz Low Down chronił jej kark przed słońcem i chmurą komarów, ale spod nakrycia głowy wydostał się na plecy wełnianej kamizelki długi szary kosmyk włosów. Dość zaskoczony Max uświadomił sobie, że jest to kolor błota i pyłu. Bóg raczej! wiedzieć, jakiej barwy byłyby włosy Low Down po umyciu.

W ostatni wieczór przed wyjazdem w góry stał na schodkach przed domem Philadelphii i przyglądał się aureoli złocistych loków narzeczonej. Jej skóra i włosy pachniały różami.

Zamrugał, przyglądając się, jak Low Down wyciąga przed siebie palec i grzebie nim w osadzie, który pozostał na sicie.

Wreszcie mruknęła z niezadowoleniem, wyrzuciła całą zawartość sita na bok, wyprostowała się, przeciągnęła i sięgnęła po łopatę, żeby napełnić sito nowym ładunkiem nadziei.

Była wysoka, na co poprzedniego dnia nie zwrócił uwagi. Najwyżej dziesięć centymetrów niższa od niego, co oznaczało, że ma około metra siedemdziesięciu. Całkowite przeciwieństwo drobnej, kruchej Philadelphii.

- Jak długo jeszcze będziesz tu stał i wytrzeszczał gały? Myślałam, że dzisiaj wyjeżdżasz - powiedziała Low Down. Nie spojrzała na niego ani wcześniej, ani teraz.

Wcale nie była tak obojętna na to, co się dzieje, jak mu się wcześniej zdawało. Zauważył też kolta u jej boku, zrozumiał więc, że i posądzenie o niefrasobliwość było niesłuszne. Opuścił ramiona, podszedł do brzegu strumienia i spojrzał w osad na sicie Low Down. Posługiwała się tym przyrządem bardzo zręcznie, mimo to zauważył niewiele błyszczących punkcików przy krawędziach. Może trochę pyłu, ale ani jednej bryłki złota.

- Wyjedziemy jutro rano. - Chciał, żeby najpierw jego list dotarł do Fort Houser. - Wyruszymy o świcie.

Low Down ponownie się pochyliła i zanurzyła sito w wodzie.

- My? Nie żartuj, McCord. Chyba nie traktujesz tego małżeństwa poważnie?! - spytała pogardliwie. - Wszyscy wiedzą, że ten ślub był wart funta kłaków. - Skupiła się na potrząsaniu sitem, jakby sprawa była zamknięta i nie pozostało już nic do powiedzenia.

- Ślub był prawdziwy i dobrze o tym wiesz - odparł beznamiętnie Max. - Może ci się to nie podobać, ale jesteśmy małżeństwem.



Nie od razu uniosła głowę, lecz przynajmniej wyjęła ręce z lodowatej wody. Przy okazji pokazała mu, że nie nosi obrączki, którą dał jej poprzedniego dnia Billy Brown.

- Wracaj do panny Houser - powiedziała cicho. - Jedź i już. Żadne z nas nie chce tego małżeństwa, więc jedź i koniec.

Max oparł się o granitowy głaz i spojrzał na topole i wierzby porastające przeciwległy brzeg strumienia. Bardzo żałował, że nie może postąpić zgodnie z jej życzeniem.

- I co dalej? Mam ożenić się z panną Houser i zostać bigamistą? - 1 spędzić resztę życia w strachu, że wszystko się wyda? Co wtedy powiedziałyby Philadelphia i obie rodziny? I jak zniosłyby to dzieci, gdyby tymczasem się urodziły?

Low Down zabujała się na piętach, a przy okazji zmoczyła sobie tylną część ciała. Potem spojrzała na Maksa spode łba orzechowymi oczami, w których zieleń i brąz mieszały się w bardzo niezwykłych proporcjach.

- Jesteśmy małżeństwem - powtórzył. Może jeśli przypomni jej tę prawdę kilka razy, to Low Down mu uwierzy. - Musimy zdecydować, co dalej.

- Po pierwsze, nigdzie z tobą nie jadę. - Wstała i otrzepała wodę, spływającą po jej spodniach. Potem podniosła łopatę i oparła się na trzonku. - Nie zrozum mnie źle, McCord. Nic do ciebie nie mam. Po prostu nie chcę zawracać sobie głowy mężem, wszystko jedno czy to ty, czy ktokolwiek inny. Poza tym masz kobietę, która na ciebie czeka. Ona wcale nie musi wiedzieć o tym, co się stało wczoraj. - Lekceważąco machnęła czerwoną z zimna ręką. - A jeśli czujesz taką potrzebę, to możesz jechać do Wyoming i wystąpić o rozwód.

Praca nad strumieniem postępowała teraz wolniej, wszyscy mężczyźni znaleźli powód, by skierować wzrok w stronę działki Low Down. Ci, którzy stali w kierunku wiatru, nawet nie usiłowali ukryć, że podsłuchują. Rozmowy i grzechot łopat ucichły.

Max zaczerpnął tchu.

- Nie jest łatwo uzyskać rozwód. Tylko niektórym się to udaje. - Zamilkł na chwilę, a potem dokończył: - Jest też kwestia zobowiązań. - Gdy zmarszczyła czoło, zrozumiał, że musi wyłożyć kawę na ławę. - Mężczyźni chcą ci wyrazić swoją wdzięczność. Mają swoje oczekiwania.

- Ach, o to ci chodzi. - Jej śmiech zabrzmiał tak sztucznie, że aż się skrzywiła. - Dziecko to był naprawdę zły pomysł. - Ze smutnym uśmiechem przyjrzała się swojemu męskiemu odzieniu. - Czy potrafisz sobie wyobrazić mnie jako matkę? Powiem ci więcej: przemyślałam to i też nie potrafię.

Max potarł nasadę nosa. To niewiarygodne. Nie dość, że zmuszono go do poślubienia tej kobiety, to jeszcze teraz musiał jej tłumaczyć, że należy uszanować złożone śluby.

- Low Down... - Zawiesił głos, zaintrygowało go bowiem nagle, czy ona ma prawdziwe imię i nazwisko. - Do grobowej deski będę żałował tego, co się stało wczoraj. Ale zgodziłem się ze wszystkimi, że musimy ci okazać wdzięczność. I zgodziłem się stanąć

w grupie mężczyzn, którzy losowali. - Teraz rozumiał już, że był to decydujący wybór w jego życiu. I najgłupszy. - Dla mężczyzn, których uratowałaś, jest bardzo ważne, żebyś urodziła to dziecko. A ponieważ uważają mnie za człowieka honoru, chcą, żebym zrobił, co do mnie należy. - Nie mógł uwierzyć, że to mówi. Jego głos stał się bardziej stanowczy. - Jeśli zmieniłaś zdanie co do dziecka albo jeśli uległaś kaprynowi, to niech cię piorun strzeli! - Wlepił w nią wzrok. - Swoją głupotą zniszczyłaś życie kilku osobom.

Otworzyła usta, zamknęła je równie szybko, jak przedtem otworzyła, i przyjrzała mu się w skupieniu.

- Chcesz powiedzieć, że dasz mi to dziecko?

- To jest mój obowiązek. - Wsadził ręce do kieszeni, zamknął palce na zielonej kulce i zacisnął je z taką siłą, że szkło wgniotło się w dłoń. - McCord nie wykręca się od swoich obowiązków.

- Kuuurza stopa! - Potarłszy policzek, Low Down przyjrzała mu się w zadumie. Coś zaświtało jej w głowie, bo zerknęła z nadzieją ku wejściu do namiotu, więc Max spiesznie uniósł dłoń.

- Nie w tej chwili - powiedział na wypadek, gdyby właśnie o tym pomyślała Low Down. W tej chwili nie wyobrażał sobie, by mógł pożądać tego niechlujka. Ale nawet gdyby była piękną i wyperfumowaną, czarnooką kusicielką, nie mógłby iść z nią do łóżka w biały dzień, kiedy dookoła ponad sześćdziesięciu chłopów gapiło się i podsłuchiwało. Spojrzał groźnie na ludzi stojących wzdłuż biegu strumienia, wyobraził sobie ich rozczarowanie i z niepokojem zaczął snuć domysły, ile z tej rozmowy udało im się podsłuchać.

- Więc kiedy?

- Kiedy przyjdzie na to czas - odparł ostrożnie, sam bowiem nie miał pojęcia. W każdym razie nie zamierzał tego robić teraz.

Low Down wolno skinęła głową, zastanawiając się nad jego słowami.

- Widzę, że tak czy owak oboje wpadliśmy jak śliwki w kompot, więc niech będzie, przynajmniej zgodnie z umową mogę mieć z tego dziecko. Wcześniej... - machnęła ręką - to było takie gadanie bez sensu. Naprawdę chcę mieć dziecko. Ale nie chcę męża. Czy moglibyśmy się tak umówić? Gdy tylko zajdę w ciążę, oboje jesteśmy wolni. Ty idziesz swoją drogą, a ja swoją i jesteśmy kwita.

Dziecko było decydującą kwestią dla nich obojga, natomiast małżeństwa nie chciało żadne z nich. Max już zaczął łudzić się nadzieją, że Philadelphia zrozumie sytuację i poczeka na rozwód.

Nie, nie poczeka.

Low Down uniosła łopatę i wbiła ją w ziemię. Szyja jej poróżwiała.

- Jak sądzisz, ile czasu potrzeba, żebym zaszła? Philadelphia wybrałaby jakiś eufemizm, nie powiedziałaby tego bez ogródek. Ale ona była damą. Natomiast elegancję Low Down najlepiej symbolizowały jej ubłocone, bezkształtne kalosze.

Zakłopotany pytaniem Max potarł podbródek i natychmiast odnalazł ślady po ospie. Ten gest wchodził mu w nawyk.

- Nie wiem - odparł.

- Chciałam spytać, ile razy trzeba? - Kątem oka zauważył, że rumieniec sięgnął jej policzków i jest bardzo intensywny. - No wiesz, ile razy musimy to zrobić? - Low Down odrzuciła łopatę, oparła pięści na biodrach i odwróciła się plecami do niego. - Chcę wiedzieć, czy możemy to załatwić przed twoim wyjazdem, żebym nie musiała nigdzie z tobą jechać.

O, Boże! Max czuł, że ta rozmowa go załamuje. Zakrył oczy dłonią, a potem przesunął palcami po twarzy. Nie przyszło mu wcześniej do głowy, że Low Down może być dziewczyną. Ona jednak widocznie zgadła, co mu przyszło na myśl, bo obróciła się z powrotem i zmrużyła oczy.

- Miałam już mężczyznę i nie jestem tak głupia, jak myślisz. Ale to było dawno, poza tym nie pytałam go, ile razy trzeba to robić, żeby było dziecko. A nigdy nie zaprzyjaźniłam się z żadną kobietą na tyle, żeby się tego dowiedzieć.

Max nie sądził, by jej twarz mogła się stać jeszcze czerwieńsza, ale Low Down zaczęła nagle wyglądać tak, jakby miała poparzenie słoneczne. Ponieważ jednak sam czuł palenie w gardle, przypuszczał, że i on musi wyglądać podobnie. Odbił się od głazu, zaczął kciuki o kieszenie spodni i skupił wzrok na wodzie, przepływającej mu tuż pod stopami. Głośno odchrząknął.

- Czy wiesz, jak poznać, że jesteś w ciąży?

- Naturalnie - odburknęła. - Tyle wiem.

- Zachodzenie w ciążę nie ma nic wspólnego z tym, ile razy dwoje ludzi, uhm, to robi. - Znowu odchrząknął. - Czasem wystarczy raz. Czasem mijają długie miesiące. - Wolał nie zastanawiać się nad tą drugą możliwością.

Miał nadzieję, że po kąpieli i myciu głowy, w czystej, ładnej koszuli nocnej Low Down będzie bardziej pociągająca. Ukradkiem zerknął na nią, jak przechadza się po brzegu strumienia, i spróbował sobie wyobrazić, co kryją te wszystkie workowate szmaty. Potem zaklął pod nosem. Trudno mu było uwierzyć, że myśli o pójściu do łóżka z Low Down.

- Prawdę mówiąc - odezwał się niechętnie - najczęściej do zajścia w ciążę potrzeba trochę czasu.

- Niech to diabli! - rzuciła Low Down żałośnie. - Czyli nie idzie inaczej. Muszę z tobą wyjechać. Niech to! - Kopnęła kupkę żwiru. - Miałam swoje plany.

Było w tych słowach tyle goryczy, że Max wolał milczeć.

- Dokąd jedziemy? Mam nadzieję, że na południe.

- Na zachód.

- To mi nic nie mówi.

- Fort Houser znajduje się cztery godziny jazdy wozem od Denver. - Miasto w rzeczywistości nigdy nie było fortem. Joseph Houser, dziadek Philadelphii, nadał mu taką nazwę w nadziei, że wojsko zwróci na nie uwagę, zbudował palisadę i pilnował swoich interesów oraz majątku. Wojsko ominęło Fort Houser, lecz na szczęście omijali go również Indianie. A w następnych latach marzenie Josepha Housera przybrało kształt tętniącego życiem miasta.

- Zimy na równinach są bardzo ostre - kwaśno stwierdziła Low Down.

Skoro zostało powiedziane wszystko, co najważniejsze, Max mógł się zająć resztą. Poleciał Low Down przygotować się do wyjazdu z Piney Creek nazajutrz o szóstej rano. Obiecała, że resztę dnia poświęci na sprzedaż działki, Max bardzo jednak wątpił, czy znajdzie kupca. Spytał ją, czy potrzebuje pomocy w pakowaniu, a ona spojrzała na niego tak, jakby oszalał.

- No, więc dobrze - rzekł po chwili. Wyciągnął zegarek z kieszeni i sprawdził, która godzina, zupełnie jakby dokądś się spieszył. - Myślę, że...

Low Down wzięła sito i zanurzyła je w wodzie. Zabiła komara na karku, a potem kucnęła.

- Rano złapałam pstrąga, mam do niego trochę dzikiej cebuli. Chcesz przyjść na kolację?

Była odwrócona do niego plecami, a kapelusz zasłaniał jej kark i policzki.

- Miałem inne plany - odparł pospiesznie, jakby kłamstwo parzyło mu wargi.

Wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz.

Max wspiał się z powrotem na stok i wtedy Low Down spojrzała przez ramię i zawołała:

- Ej, McCord! Pamiętasz, jak wczoraj obiecałam ci posłuszeństwo? Skłamałam. Nie będę posłuszna żadnemu mężczyźnie. - Odwróciła się z powrotem do strumienia i zanurzyła sito w jego wartkim nurcie. - Reszta ślubów też była kłamstwem.

Stojąc w wysokiej trawie na stoku opadającym ku wodzie, Max przyglądał jej się przez chwilę, rozmyślając o tym, jaka dziwna z niej istota.

Przed wieloma laty, gdy był jeszcze na tyle młody, by wierzyć, że takie sprawy są w jego władzy, opisał bratu swoją przyszłą żonę. Miała być drobna i urodziwa, jasnowłosa, z niebieskimi oczami. Z natury łagodna i pachnąca różami. Naturalnie miała być biegła we wszystkich kobiecych umiejętnościach, a wieczorami powinna zabawiać go grą na instrumentach i śpiewem. Wierzył, że będą mieli zdrowe i ładne dzieci.

Ściskając w palcach zieloną kulkę, pomyślał, że choć wtedy tego nie wiedział, opisywał Philadelphię.

Tymczasem ożenił się z kobietą, która nie mogła być dalsza od jego ideału.

Dolinę zasnuwały nisko wiszące chmury, a mgła otulała sosny i zarośla, toteż świat wydawał się szary i wilgotny, co doskonale pasowało do nastroju Low Down, która wyszła przed namiot.

Wydarzenia toczyły się zgodnie z jej oczekiwaniami. Oznaczało to, że straciła kontrolę nad swoim życiem. Za mniej więcej godzinę miała wyruszyć na zachód, chociaż nie miała ku temu żadnego innego powodu oprócz tego, że jej świeżo poślubiony, niechciany małżonek życzył sobie tam jechać. Czy zadał sobie trud spytania jej, czy nie wolałaby jechać, na przykład, na południe? A skądże. Czy wyjaśnił jej, dlaczego muszą jechać na zachód zamiast dokądś, gdzie jest w zimie cieplej? Co tam, sama domyślała się, że Philadelphia mieszka w mieście zbudowanym przez dziadka, a Max chce ją zobaczyć, chociaż wcale tego wyraźnie nie powiedział. Po prostu kazał jej się spakować i przygotować do wyjazdu o świcie.

Było to dla niej potwierdzenie domysłu, że w pewnych sprawach będzie musiała okazać mu posłuszeństwo, nawet gdyby jej się to nie podobało. Skoro chciała mieć dziecko, to musiała jechać za jego interesem, nawet jeśli planowała co innego.

Zamachnęła się nogą, chcąc kopnąć jakiś przedmiot, w porę zorientowała się jednak, że to nie kamień. Przykucnęła i znalazła prawie nowy metalowy, niebieski kubek w kropki. Obok stał dzbanek do kawy, który nawet jeszcze nie miał zaczernionego dna. Leżały tam również dwie chusty i prawdziwy skarb: sakiewka z sześcioma sporymi bryłkami złota. Mrugając, Low Down pomyślała, że złoto musi być od Franka.

W drodze od namiotu do ogniska znalazła jeszcze parę strzemion, końską derkę, nowy kapelusz zjedną tylko dziurą, grzebień z kościaną rączką i większością zębów na miejscu, prawie nową szczotkę do zębów, pełne w trzech czwartych pudełko proszku do zębów, srebrną łyżkę, kieszonkowy zegarek w skórzanej kopercie, parę starannie zacerowanych wełnianych skarpet, mocno zużyty śpiewnik i skórzane rękawice w znacznie lepszym stanie niż te, które miała.

To jeszcze nie było wszystko. Ktoś rozpałił za nią ogień i nastawił kawę, a do tego na ogniu grzała się patelnia z dziczyzną i ziemniakami.

Ściskając w objęciach wszystkie swoje skarby, Low Down usiadła na pniu przy ognisku i szepnęła w mgłę słowa podziękowania. Śmiertelnie by ją zawstydziło, gdyby ktoś zauważył łzy w jej oczach, a mógłby zobaczyć, bo wyczuwała, że mężczyźni kryją się tuż obok we mgle.

- Dziękuję! - zawołała, gdy już mogła zaufać swemu głosowi. - Nie musieliście tego robić. Dostałam już i tak za dużo. - Max prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy z tego,

że gdy odszedł, Billy Brown wręczył jej pękata sakiewkę. A ona nie zamierzała mu o tym powiedzieć. - Używając tych wspaniałych darów, będę zawsze o was myśleć.

Nikt nie odpowiedział, ale mgła wydawała jej się teraz mniej szara, a niebo jaśniejsze niż przed chwilą. Gdy wyczuła, że mężczyźni odchodzą, nalala sobie kawy do nowego niebieskiego kubka i dokładnie obejrzała wszystkie dary po kolei, ciesząc się każdym z osobna. Nie była płacziwą kobietą, więc bardzo ją irytowało, że oczy zachodzą jej mgielką, ale nawet nie pamiętała, kiedy ostatnio dostała od kogoś prezent, a tutaj miała ich ponad tuzin.

Nowy kapelusz wcisnęła na głowę, a stary wrzuciła do ogniska. Wciągnęła również nowe skarpety. Zegarek ostrożnie wsunęła do kieszeni, wybrała też mniej spłowiała chustę i obwiązała nią sobie szyję. Tak podniesiona na duchu wrzuciła do kawy kostkę cukru i zamieszała płyn srebrną łyżką, po czym starannie wytarła ją w połę koszuli i schowała do sakiewki z bryłkami złota od Franka. Sakiewkę zawiesiła sobie na rzemyku na szyi, obok drugiej ze składkowymi pieniędzmi i trzeciej, gdzie trzymała złoty pył, który udało jej się wydobyć w Piney Creek.

Umywszy w strumieniu patelnię i talerz, wyjęła szczoteczkę i z prawdziwą rozkoszą umyła zęby proszkiem, bo już od kilku tygodni go nie miała. Miał miętowy posmak, który bardzo jej odpowiadał.

Zanim pojawił się Max, a słońce zaczęło rozpędzać poranną mgłę, Low Down skończyła mocować nowe strzemiona i przerzuciła nową derkę przez grzbiet Rebeki.

- Myślałem, że będziesz już gotowa - powiedział zniecierpliwiony.
- Przepraszam. - Zerknęła na niego z ukosa, starając się ustalić, czy Max przygląda się jej rzeczom, które przecież, według prawa, należały teraz do niego. Przyszło jej jednak do głowy, że pewnie w ogóle nie zwrócił uwagi na tak skromny dobytek.

Kapelusz miał znoszony, ale bez dziur i wystrzępionego randa. Drelichowe spodnie nie straszyły łatanami i nie było na nich prześwitów w miejscach, gdzie się wytarły. Buty również wyglądały jak nowe. A do tego koń. Low Down nigdy nie siedziała na grzbiecie tak pięknego zwierzęcia jak mustang Maksa.

- Jak ma na imię? - spytała z podziwem, przyglądając się lśniącej sierści klaczy.
- Marva Lee. Jesteś gotowa?
- Przecież widzisz, że muszę jeszcze przytroczyć juki. - I koc. Namiot postanowiła zostawić w Piney Creek. Może komuś się przyda. Jeśli wszystko ułoży się tak, jak powinno, będzie spała w jednym namiocie z Maksem.

Gdy skończyła ładować rzeczy, dokładnie sprawdziła, czy niczego nie zapomniała, potem zsunęła kapelusz na tył głowy i zerknęła w dół stoku, ku swojej działce. Zostawiała tam wiele nadziei.

Popatrzyła chwilę na wczesny śnieg, który przyprószył szczyty, i posłuchała szmeru strumienia. Wreszcie zatrzymała wzrok na mężczyznach, udających, że pracują na brzegu,



choć w rzeczywistości obserwowali ją i Maksa. Niektórych lubiła, innych nie. Ale wszyscy byli wobec niej zawsze uczciwi.

Złożyła dłoń w trąbkę, przytknęła ją do ust i krzyknęła:

- Do widzenia, złotożercy! Pamiętajcie tylko, że wszystkich was widziałam w stroju Adama i żaden nie ma się czym chwalić! - Ryk śmiechu przetoczył się wzdłuż brzegu strumienia, a Low Down szeroko się uśmiechnęła. - Powodzenia i bogactwa, chłopcy!

Odpowiedział jej chór głosów, życzących wszystkiego najlepszego. Jeszcze raz Low Down poczuła, że wilgotnieją jej oczy i coś ściska ją za gardło. Ech, do diabła! Kończył się pewien etap w jej życiu, zaczynał się okres niepewności. Nie bardzo wiedziała, czy jej się to podoba.

- Jesteś pewna, że na tym mule nadażysz za koniem? - spytał zza jej pleców Max.

- Rebeka jest stara, ale podobna do mnie. Silna, pojętna i uparta, jak ktoś ją rozzłości. - Low Down dosiadła mulicy. - Nie pożegnasz się z chłopcami?

- Pożegnałem się z nimi wczoraj wieczorem.

„Upiłem ich” byłoby lepszym określeniem, pomyślała Low Down, przyglądając się uważnie jego przekrwionym oczom i bladości na twarzy, widocznej mimo opalenizny. Mężczyźni mają to w zwyczaju. Razem siedzą i piją bez słowa, a potem wstają i rozchodzą się w przekonaniu, że powiedzieli wszystko, co należało. Kobiety inaczej, potrzebują słów. Ale Max pewnie to wie, pomyślała i przycisnęła dłoń do kieszeni, gdzie trzymała kopię jego listu.

Nagle zupełnie bez powodu ogarnął ją gniew.

- Co się tak wleciesz? Przecież to ty wiesz, dokąd jedziemy, więc powinieneś prowadzić. Ja nie znam drogi. Nikt mnie zresztą nie pytał, gdzie chcę jechać. Wiem tylko, że ruszamy na zachód, a nie na południe. Nie mam zielonego pojęcia, gdzie jest ten Fort Houser, i wcale nie chcę tam być, ale muszę, bo mam teraz męża, czy mi się to podoba, czy nie. - Oparła się o łęk siodła i twardo odwzajemniła potępiające spojrzenie Maksa. - No, więc?

- Jedno pytanie - odezwał się po chwili. - Czy wzięłaś obrączkę?

- Mam ją, mam. - Nie zamierzała zdradzać przed nim, gdzie trzyma kosztowności. Jej bielizna, koszula, kamizelka i kurtka były wystarczająco grube, żeby sakiewki nie rzuciły się Maksowi w oczy. Na pewno nawet nie podejrzewał ich istnienia.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś włożyła ją na palec i nosiła. Wyraził to życzenie dość uprzejmie, Low Down umiała jednak poznać stanowczy rozkaz. Rozmyślała potem o tej kwestii przez cały dzień, gdy starała się nadażyć za Makssem po nierównej drodze.

Ponieważ wcześniej zapowiedziała mu, że nie zamierza być posłuszna, kusiło ją, żeby cisnąć obrączkę do wąwozu i utrzymywać zgodnie z prawdą, że nie może nosić czegoś, czego nie ma. Nie miała jednak zwyczaju kierować się odruchami. Zawsze wolała odwołać się do mądrości przysłów i porzekadeł. Do jej sytuacji należało prawdopodobnie

zastosować maksymę: „Nie masz własnej woli w niewoli”. Natomiast z małżeństwem kojarzyła jej się prawda: „Co nagle, to po diable”. Rzeczywiście, czuła się zniewolona i była skłonna podejrzewać udział diabła w tym, co się stało.

Gdy zmierzchało i zatrzymali się, by rozbić obóz na noc, Low Down dumnie uniosła głowę i spytała Maksa, dlaczego zażądał od niej, żeby nosiła obrączkę, skoro żadne z nich nie traktuje tego małżeństwa poważnie.

- Traktuję je całkiem poważnie - odparł, gdy przywiązał Rebeke i Marwę Lee do liny między drzewami i wrócił do ogniska, które tymczasem rozpałała Low Down.

- Może tylko ja tego nie rozumiem. - Zawsze najpierw parzyła kawę, a dopiero potem rozkładała posłanie i przygotowywała jedzenie. Tym razem jednak nie liczyła na wiele, miała bowiem nowy dzbanek, a każdy wie, że kawa jest lepsza, kiedy naczynie się przegryzie. W każdym razie naląła sobie kawy do niebieskiego kubka, nie troszcząc się o Maksa. Nie miało sensu wyrabiać w nim złych przyzwyczajęń i krzątać się wokół niego tak, jakby była prawdziwą żoną.

Max przytoczył bal do ognia i usiadł naprzeciwko niej.

- Noszenia obrączki będzie oczekiwać od ciebie moja rodzina. Low Down gwałtownie poruszyła ręką i niechcący wylała gorącą kawę na swoje drelichowe spodnie.

- Masz rodzinę? - Wytrzeszczyła oczy. - I jedziemy do twojej rodziny?

- Moja rodzina ma ranczo pod Fort Houser. - Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w swój kubek, potem przełknął połowę kawy. - W zeszłym roku, po śmierci ojca, matka podzieliła cały majątek na cztery części. Mój brat Wally ma swoją ćwiartkę, ale mieszka w największym domu razem z mamą. Południową częścią zarządza siostra i jej mąż. Moja jest część północna.

Nie przyszło jej wcześniej do głowy, że Max może mieć rodzinę, a tym bardziej że będzie zmuszona ją poznać. Szczerze mówiąc, w ogóle się nie zastanawiała nad starą prawdą, że wraz z mężem kobieta bierze sobie również rodzinę.

Wielki Boże! Ni stąd, ni zowąd znalazła namiastkę rodziny. To była dla niej zupełna nowość.

- Myślałem o tym - odezwał się Max, spoglądając na nią ponuro nad ogniem, który zaczerśniał dno nowego dzbanka. - My wiemy, jaka jest między nami umowa. Ale wątpię, czy inni byliby to w stanie zrozumieć.

- Twoja rodzina ma nie wiedzieć, że się rozwiedziemy, kiedy tylko zajdę, tak?

Zaczerwienił się, a może po prostu płomień oświetlił w taki sposób jego twarz.

- Napisałem do matki list i wyjaśniłem jej sytuację, ale nie wspomniałem o rozwodzie, bo jeszcze wtedy nie byliśmy na to zdecydowani. - Zacisnął zęby. - Moja rodzina będzie nas traktować tak, jakbyśmy naprawdę byli małżeństwem.

Podniosła gałąź i poruszyła płonącymi żagwiami.

- To znaczy?

- Wprowadzimy się do mojego domu - powiedział, odwróciwszy głowę. - I zaczniemy go urządzać.

Do domu, który zbudował dla Philadelphii.

- Rodzina będzie zapraszać nas na niedzielne obiady, czasem także przy innych okazjach. Będą też chcieli, żebyśmy obrócili tę sytuację na dobre i starali się żyć jak przykładni małżonkowie.

- Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz, hm?

Max ujął kubek oburącz i wbił wzrok w ciemność gdzieś za ogniskiem.

- Rozumiem, że może ci się nie podobać udawanie czegoś przed moją rodziną. Ale byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś jednak trochę się postarała.

- Będziemy mieszkać w prawdziwym domu - powiedziała Low Down zadumany tonem. Mimo woli opuściła dłoń i zacisnęła palce na liście trzymanym w kieszeni. Przypomniała sobie wszystko, co Max w nim napisał. Chciał zrobić Philadelphii niespodziankę, ale nie mógł się powstrzymać przed opisaniem domu. Dla Low Down był to obraz najprawdziwszego pałacu.

Tyle lat rozbijała namiot i obozowała pod gołym niebem. Wizja domu urzekała ją, mimo że został zbudowany dla innej kobiety. Pomyślała o elegancko obitych krzesłach i miękkim piernacie. Może są tam nawet dywany albo chodniki, które chronią gołe stopy w zimny ranek.

- Mój dom stoi mniej więcej pięć kilometrów na północ od głównych zabudowań rancza. Gdybyś potrzebowała różnych gospodarskich rad, mama i Gilly są w pobliżu i chętnie ci pomogą.

Zdrętwiała.

- Do pioruna! Myślę, że umiem gotować i szorować podłogę bez wskazówek. - Natychmiast przypomniało jej się powiedzenie: „Dumą biedaków diabeł kotły czyści”. Przełknęła ślinę. - Naturalnie od czasu do czasu chętnie skorzystam z pomocy.

Wiele lat nie wykonywała żadnych prac domowych, mogła więc to i owo zapomnieć. Ale jak odniosą się do niej matka i siostra Maksa, jeśli będzie prosiła o pomoc w obowiązkach, które, ich zdaniem, każda kobieta powinna znać na wylot? Jakie to robi wrażenie?

Spuściła głowę i potarła czoło. W jaki sposób jej myśli przewędrowały od nienalanej kawy do opinii siostry i matki Maksa? Nie wiedziała. Sprawy się komplikowały.

- Zrobię kolację - oznajmiła znienacka. Przed chwilą miała zamiar otworzyć sobie puszkę z fasolą, uważając, że Max sam powinien się o siebie zatroszczyć. To miał być rewanż za odrzucenie zaproszenia na pstrąga poprzedniego wieczoru. Ale wiadomość o rodzinie Maksa wiele zmieniła. - Tylko nie licz na cuda. Będzie fasola, bekon i podplomyki.

- Musimy jeszcze o czymś porozmawiać. - Tym razem nie było wątpliwości, że się zaczerwienił. Zmierzył ją wzrokiem, zaczynając od denka nowego kapelusza, a kończąc na starych zniszczonych butach do konnej jazdy. - Myślę, że zatrzymamy się na jeden dzień w Denver. - Przekrzywił głowę i wlepił spojrzenie w gwiazdy, które pojawiały się na niebie. - Powinniśmy ci kupić nowe suknie i kapelusze. I dać ci okazję, żebyś mogła się wykapać i odczyścić.

To był cios dla dumy Low Down; policzki ją zapiekły. Max się jej wstydził. Ciekawe, czego się spodziewał. Przecież nie porwał jej z salonu pachnącego perfumami. W obozowisku poszukiwaczy złota nie jest łatwo utrzymać czystość, zresztą nikt o to nie dba.

Tylko co na to jego matka i siostra? - pomyślała nagle. W rozważaniach nad swoją nową rodziną doszła do dwóch wniosków. Po pierwsze, Max bardzo się liczył z ich opinią. A po drugie, jej nowe matka i siostra prawdopodobnie były kulturalnymi paniami, które ładnie się ubierają, mają wyszukane maniery i wysokie wymagania, dla niej absolutnie nie do spełnienia.

Ogarnęła ją rozpacz. W jej przekonaniu jeszcze gorsza od braku rodziny była rodzina, która się wstydzi krewnego. Wyobraziła sobie przyszłość i wcale nie było to przyjemne.

Co tam. Czas płynie. Eleganccy krewni Maksa nie będą musieli długo znosić jej obecności.

W milczeniu sięgnęła po patelnię, bekon i składniki podplomyków. Pracując nad kolacją, nie odezwała się ani słowem. Kątem oka przyglądała się jednak Maksowi i zastanawiała, czy członkowie jego rodziny są do niego podobni.

Jeśli tak, to McCordowie musieli przyciągać wzrok. Gdyby należała do kobiet, które mdleją na widok postawnego mężczyzny, to Max niewątpliwie przyprawiłby ją o omdlenie. W każdym razie nigdy nie siedziała przy ognisku z kimś przystojniejszym. Skórę miał spaloną słońcem na złotobrazowy odcień, przez kontrast więc jego niebieskie oczy wydawały się wyjątkowo intensywne. Nos był wąski, usta szerokie, zwykle naznaczone grymasem uporu, który wyostrzał ich kształt.

Ponieważ zawsze myślała o zmarszczkach jak o znakach interpunkcyjnych życia, uważnie przyjrzała się jego twarzy. Myślniki przy kącikach oczu sugerowały poważnego człowieka, ale duże przecinki po obu stronach ust świadczyły o tym, że Max umie się również śmiać.

Następnie skupiła wzrok na dłoniach. Były kwadratowe, sekaty, takie jak u człowieka, który ciężko pracuje fizycznie. Ten widok sprawił jej satysfakcję. Jej ręce wyglądały podobnie.

W końcu podsumowała w myśli ogólne wrażenie i porównała je z pierwszym wspomnieniem Maksa, jakie zachowała w pamięci. Nie zdziwiła się, widząc go w obozie poszukiwaczy złota. Był dostatecznie twardy, by umieć zadbać o swoje i nie bać się ciężkiej pracy. Ale jednocześnie miał coś z marzyciela, człowieka, który potrafi sobie wyobrazić

złoto tam, gdzie go nie ma, który widzi obrazy na niebie zasnutym chmurami. Człowieka, który umie opisać dom w liście do kobiety i sprawić, by czytało się ten opis jak poemat.

- Od lat nie miałam na sobie sukni - powiedziała, spoglądając na swoje dłonie, w których formowała kulki z ciasta. - Nie idzie pomyśleć, jak będę wyglądała. Ale spróbuję dogodzić twojej mamie. Czy jeszcze mam się jakoś zmienić, czy już z tym skończyliśmy?

Wstał, oparł dłonie na krzyżu i się przeciągnął.

- Mogłabyś nie przeklinać przy byle okazji i nie mówić, że idzie coś zrobić.

Chyba mogła. Ale mogła też puścić prawdziwą wiązanke, dosiąść Rebeki i odjechać na południe. Nie prosiła się o męża i nie chciała go mieć. I zdążyła już nabrać silnej niechęci do małżeństwa.

Za to bardzo chciała mieć dziecko.

A rodzina była najwspanialszym darem, jaki mogła sobie wyobrazić. Nawet gdyby McCordowie mieli się okazać wyniośli i skłonni do uprzedzeń - a przypuszczała, że właśnie tak będzie - to mimo wszystko cieszyła się brzmieniem słów „moja rodzina” w swoich ustach.

- Wiedziałam, że tak się to skończy. - Wbiła widelec w kawałek bekonu i przewróciła go na patelni, nie przejmując się tłuszczem skapującym do ogniska. - Mam zmienić swój wygląd, sposób mówienia i nie wiem co tam jeszcze. Zgoda, zrobię to, bo chcę, żebyś spełnił moje życzenie. Ale w tobie też nie wszystko mi się podoba.

- Och, myślę, że nie podoba ci się mnóstwo - odrzekł, wchodząc w mrok, żeby przynieść poślania. Jej koce rozłożył po jednej stronie ogniska, swoje po drugiej. - Jestem gotów się dostosować w tym, w czym mogę. Oboje pamiętajmy jednak, że nie musimy znosić się zbyt długo.

- Możesz zacząć od tego, że nie będziesz się zachowywał tak, jakby ta sytuacja powstała z mojej winy. - Wysypała na bekon zawartość dużej puszkę fasoli. - Nie ja kazałam ci wylosować zieloną kulkę. I wcale na to nie liczyłam. - Może nie powiedziała całej prawdy. Może jednak przemknęło jej przez myśl, że jeśli ma spać z którymś z tych mężczyzn, żeby począć dziecko, to wolałaby takiego, na którego przyjemnie spojrzeć.

- Nie mówię, że tylko ty zawiniłaś, ale żadnemu z nas nawet się nie śniło, że możesz zechcieć dziecka.

Spojrzała gniewnie w mrok, ale trudno było jej odróżnić sylwetkę Maksa od drzew, które miał za plecami.

- Trzeba było zapomnieć o dumie i nie brać udziału w losowaniu. - Reszta potraktowałaby go jak oszusta i wzgardziła nim jak najgorszym śmieciem, ale za to wyszedłby na swoje. Naturalnie żaden człowiek honoru nie dokonałby takiego wyboru.

Maks stanął na skraju świetlistego kręgu wokół ogniska. Widziała, że go uraziła. Zacisnęła dłoń na jakimś przedmiocie trzymanym w kieszeni.

- Bez honoru i swojego słowa mężczyzna nie ma nic. Ciężko westchnęła.

- No, tak. Chyba nie mogłeś się wykręcić. Ale to nie moja wina.

- Nie - przyznał, czym ją zaskoczył. Ale z tonu jego głosu należało wnosić, że jej winą było to, iż chciała dziecka.

- Posłuchaj. Przykro mi, że sprawy ułożyły się nie po twojej myśli i nie możesz ożenić się z panną Houser. - Pochyliwszy się nad ogniem, nałożyła na miskę fasolę i bekon i pchnęła naczynie w stronę Maksa. A potem powiedziała coś, czego nie planowała, nawet nie wiedziała, że się nad tym zastanawia. - Czy bardzo ją kochasz?

- Wolałbym nie rozmawiać o pannie Houser. - Usiadł na balu i położył sobie miskę na kolanach.

- Nigdy nikogo nie kochałam, więc nie znam się na tym. - Poza tym nie była to jej sprawa. Ku swej irytacji stwierdziła jednak, że coś ją zmusza do trzymania się tego tematu. - Czy do panny Houser też napisałeś list?

Sądziła, że Max skwituje to pytanie milczeniem, ale po dłuższej chwili odpowiedział:

- To byłoby tchórzostwo. Muszę porozmawiać z nią osobiście. - Zdawało się, że stracił apetyt, bo bardziej przesuwiał fasolę po misce, niż jadł.

Low Down też bawiła się sztucem.

- Przypuszczam, że panna Houser jest bardzo zła.

Max zaskoczył ją ponownie, opowiedział jej bowiem o posadzie w banku, której teraz z pewnością nie dostanie. Sądził zresztą, że może nawet dobrze się stało. Nie widział u siebie zadatków na bankiera.

- Będzie skandal. Dostanie się i tobie, i mojej rodzinie - powiedział, krzyżując z Low Down spojrzenia. - Zawiodłem zaufanie córki jednego z czołowych obywateli Fort Houser niecałe dwa tygodnie przed ślubem. Wszyscy będą mnie uważać za skończonego sukinsyna, a ciebie potraktują jak uwodzicielkę bez skrupułów. Przynajmniej początkowo.

Zdumiona, uniosła brwi.

- Mnie? Jak uwodzicielkę? - W życiu nie słyszała czegoś równie ekscytującego. I absurdalnego. Gdy wreszcie przestała się śmiać, wyszczerzyła zęby do Maksa i wzruszyła ramionami.

- Diabli z tym! Nie dbam, co ludzie o mnie myślą.

- Ja dbam. Mężczyzna przez całe życie pracuje na swoją reputację, żeby mógł być z niej dumny. A potem nagle wszystko traci ot, tak. - Strzelił palcami. - Trudno się z tym pogodzić.

Low Down przechyliła głowę na bok i przyjrzała mu się dokładnie w świetle płomieni. Ta jej część, która zawsze przychodziła z pomocą ludziom w potrzebie, chciała go jakoś pocieszyć i wszystko naprawić. Niestety, nie miała pojęcia, jak to zrobić.

- Ta praca w banku... czy zawsze chciałeś ją dostać?- Próbowała wyobrazić sobie Maksa wystrojonego w surdut i cylinder, ale nie umiała. Za to jego wysoka, smukła postać na koniu natychmiast przywodziła jej na myśl ranczera. Max przewracający siano,



naprawiający płoty, doglądający bydła... tak, to widziała. Nie odpowiedział, więc nie naciskała.

- Fasola jest nie najgorsza - stwierdził po chwili milczenia. - Ale bekon mógłby się posmażyć trochę dłużej.

Bez słowa dokończyli jedzenia, potem Max pozmywał naczynia w strumieniu. Low Down obserwowała go i była przekonana, że myślami jest wiele kilometrów stąd. Podumała chwilę, a potem, gdy był odwrócony do niej plecami, sięgnęła pod koszulę i kamizelkę i wydobyla z sakiewki srebrną łyżkę.

Gdy wrócił do ogniska, spojrzała na niego i powiedziała niepewnie:

- Chcesz zobaczyć coś ładnego? Może poczujesz się lepiej.

- Co? - Max marszcząc czoło, skierował na nią wzrok, jakby nagle przypomniał sobie o jej istnieniu.

- Popatrz. - Obróciła w palcach łyżkę, zachwycona refleksami ognia w misce. Wyglądało to tak, jakby nabierała łyżką płomień. - Czy to nie ładne?

- Zwykła łyżka - odparł bez zainteresowania. Przeszedł obok ogniska, usiadł na swoim posłaniu i zaczął ściągać buty.

Low Down, czerwona na twarzy, szybko schowała łyżkę do kieszeni, a potem zajęła się przygotowaniem kawy na rano. Jak mogła być tak głupia? Jako dziecko Max pewnie codziennie jadł srebrnymi sztućcami. Jakaś tam stara łyżka nie była dla niego niczym ciekawym ani tym bardziej powodem do zachwyty.

- Max?! - zawołała dość głośno, gdy sama również ułożyła się na spoczynek. - Spisz już? - Głupio się czuła, wymawiając jego imię. To było zanadto poufale. Ale zwracanie się do niego po nazwisku też nie wydawało jej się zrzeczne.

- Co jest?

- Nie chcę tego - powiedziała, wpatrując się w gwiazdy. Za bardzo się od siebie różnili, pod każdym względem. - Myślę, że powinniśmy się rozstać właśnie teraz i niech każde jedzie swoją drogą. Nie chcę poznać twojej rodziny, oni mnie nie polubią. Nie chcę mieszkać w domu innej kobiety. Nie chcę być twoją żoną, a ty nie chcesz być moim mężem.

- Nie rozumiesz? Już jest na to za późno.

- A gdybym wsiadła na muła i odjechała? Mógłbyś powiedzieć rodzinie, że od ciebie uciekłam.

- I tak pozostalibyśmy małżeństwem. Panna Houser i jej ojciec pogardzaliby mną wcale nie mniej. W dodatku byłbym kłamcą i oszustem w oczach ludzi, którzy powierzyli mi spłatę długu za ocalenie ich życia. Oni spodziewają się, że z tej katastrofy wyniknie coś dobrego. - Nastąpiło przeciągające się milczenie. - Jeśli naprawdę chcesz odjechać, nie mogę cię zatrzymać. Ale kiedy nie myślę o swoich osobistych sprawach, uważam, że zasługujesz na to dziecko, którego pragniesz.

Trzeci raz ją zaskoczył. Ponieważ jednak wiedziała, jak drażliwy jest na punkcie honoru i swoich zobowiązań, rozumiała, że danie jej dziecka może być dla niego bardzo ważne. Zobowiązał się do tego przed innymi mężczyznami i teraz musiał dotrzymać słowa, choćby się waliło i paliło.

- Miałaś rację, że cię obwiniam - powiedział, kierując te słowa ku niebu, tak samo jak wcześniej ona. - I zgadzam się, że muszę z tym skończyć. Skoro jesteśmy małżeństwem, to powinniśmy odnosić się do siebie przynajmniej ciepło.

- Nie jestem zbyt ciepłą osobą - stwierdziła Low Down po zastanowieniu. Za nadmierną ufność dostaje się po karku. Przekonała się o tym już dawno. Wolała od razu dawać każdemu do zrozumienia, że odplaca pięknym za nadobne.

- Zauważyłem. Ja ostatnio też nie potrafię wykrzesać z siebie wiele ciepła. Myślę jednak, że łatwiej i szybciej uporamy się z tym, co mamy zrobić, jeśli będziemy wobec siebie uprzejmi.

- Wiem o uprzejmości tyle, co kot napłakał.

Sylwetka Maksa rysowała się po drugiej stronie żaru. Leżał z ramionami pod głową i nosem skierowanym ku gwiazdom.

Low Down już się więcej nie odezwała. Ale nie zasnęła od razu. Wyciągnięta na boku, patrzyła, jak bledną i szarzeją rozżarzone węgle, i była na siebie bardzo zła, że się rozkleiła. Czuła z tego powodu niesmak.

Ile razy powtarzała, że to nie jest prawdziwe małżeństwo, że nie chce mieć męża, ile razy proponowała, że odjedzie swoją drogą albo namawiała do tego Maksa? Ale wystarczyło jedno jego słowo, żeby chwyciła się nadziei i znów chciała spróbować, czy to głupie, tragiczne małżeństwo jednak jakoś się nie ułoży. Max pewnie doszedł już do wniosku, że jej zdania można być pewnym przez dwie minuty albo i krócej. Ona zresztą zaczynała myśleć podobnie.

Przekręciła się na brzuch, naciągnęła koc na ramiona i zacisnęła powieki. Ale nadal miała w głowie kłębowisko myśli.

Tak bardzo chciała, żeby choć raz w jej życiu mężczyzna przemówił do niej łagodnym, czułym tonem, takim, jakim Maks mówił o pannie Philadelphii Houser. Ale co tam. Nie można naprawdę żałować czegoś, czego nigdy się nie miało.

Próbowała skupić niespokojne myśli na dziecku. To jedno powstrzymywało ją przed ruszeniem własną drogą, na co zdecydowałby się każdy rozsądnie myślący człowiek. Dziecko. Rodzina. Ktoś, kogo mogłaby kochać. Była gotowa znieść prawie wszystko, byle mieć to dziecko. Nawet męża.

W miarę jak zjeżdżali niżej, Max był coraz bardziej przybity. Przez cały czas powtarzał sobie w myślach, co powie Philadelphii i jej ojcu, próbował jednego tłumaczenia za drugim, ale bez względu na to, jak łączył słowa, wynik był niezmiennie upokarzający.

Porzucił Philadelfię i sprowadził na nią hańbę. Nie wątpił, że to właśnie usłyszy z jego tłumaczeń była narzeczona. Natomiast Howard Houser usłyszy, że jego córka została wystawiona na pośmiewisko o krok od ołtarza, a co więcej, że Max splunął na posadę w banku. Może nie zastrzeli go na miejscu, ale najprawdopodobniej będzie chciał wziąć odwet.

Aż do tego dnia Max nie dopuszczał do siebie myśli, że zhańbił Philadelfię. Teraz wżerała mu się ona w mózg jak kwas, a to, co jeszcze niedawno wydawało mu się słuszne, stało się niewybaczalne.

Wcale nie chciał wykorzystać Philadelphii, sam potem był wstrząśnięty tym, jak poniosły ich uczucia w ostatni wieczór poprzedzający jego wyjazd do Piney Creek. Ani on, ani Philadelphia nie należeli do ludzi, którzy lekko traktują honor albo konwenanse, a mimo to stało się.

Gdyby zachował więcej powściągliwości, gdyby nie znaleźli się sam na sam w altance, gdyby dłonie i wargi Philadelphii potwierdziły jej szeptane protesty... Gdyby nie chciał pocieszyć jej przed wyjazdem, gdyby Philadelphia nie chciała przekonać go, by został... Później leżała w jego ramionach, cicho płakała i zamartwiała się, czy dalej będzie ją szanował. A on w milczeniu przeklinał się za to, że postąpił jak łajdak i przyspieszył ich noc poślubną.

Miał rację. Teraz, gdy Philadelphia w końcu wyjdzie za męża, rozpocznie małżeńskie życie od oszustwa. I to z jego winy.

- Kolacja gotowa! - zawołała Low Down.

Skuliwszy ramiona, potoczył wzrokiem po wielkich równinach i jeszcze przez dobrą minutę wpatrywał się w odległe światła Denver, które migotały jak świetliki.

Nurtowało go pytanie, czy kiedykolwiek zdoła odzyskać szacunek dla samego siebie? Mocno w to wątpił.

Wreszcie odwrócił się twarzą do ogniska, wciąż przygarbiony, z pięściami w kieszeni. Przyglądał się, jak Low Down miesza jedzenie w kociołku nad ogniem, i przez chwilę zdawało mu się, że jej nienawidzi. Następnym razem, gdy ta kobieta zechce jechać w swoją stronę, powie jej, że droga wolna i niech ją diabli wezmą.

Zacisnął powieki i przesunął dłonią po szczęce naznaczonej śladami ospy.

Nawet gdyby pozwolił jej odjechać, nic by się nie zmieniło. I tak pozostałby jej mężem. I tak musiałby przeżyć niewymownie przykrą rozmowę z Philadelphia i jej ojcem. Gdyby

odesłał Low Down, zyskałby tylko tyle, że zapisałby na swoim koncie jeszcze jeden niehonorowy postępek. Sześćdziesięciu trzech ludzi zaufało mu, że dotrzyma słowa. Gdyby ich zawiódł, nie zaznałby spokoju do końca życia. Niech to szlag trafi!

W milczeniu podszedł do ogniska i wziął od Low Down miskę. Tego wieczoru przyrządziła potrawkę wołową z dziką cebulą i grzybami. Ale równie dobrze mogłaby mu podać piezzonego bażanta i wątróbkę, a on i tak nie poczułby smaku.

- Czy coś jest nie tak z kolacją? - spytała, gdy skończyła jeść i zauważyła, że jego miska jest jeszcze pełna.

- Potrawka jest dobra.
- Nie za słona?
- Po prostu myślę o tym i owym, to wszystko.

W świetle ognia rysy twarzy Low Down wydawały się łagodniejsze, a skóra gładsza. Zdaje się, że umyła twarz i przeczesała włosy, które spadały jej na czoło. Ale Max nie był tego pewien i wcale go to nie obchodziło. Mógł myśleć tylko o Philadelphii. Postanowił napisać do niej z Denver, żeby oczekiwała go następnego wieczoru. Zażąda też, żeby był przy tym obecny pan Houser.

- Wygląda na to, że jutro przed południem będziemy w Denver - powiedziała Low Down, nalewając sobie kawy.

Skinał głową i zmusił się do przełknięcia kęsa potrawy. Po minucie, a może dwóch Low Down jeszcze raz spróbowała nawiązać rozmowę.

- Znam sklep z używaną odzieżą, gdzie będziemy mogli kupić suknię i kapelusz.

Minęło sporo czasu, nim dotarło do niego znaczenie tych słów, ale gdy się to stało, groźnie się skrzywił.

- Nie chcę, żebyś kupiła używane rzeczy. Natychmiast się zjeżyła.

- Nikt mi nie będzie dyktował, jak mam wydawać swoje pieniądze.

- Ubranie żony jest moim obowiązkiem, nie twoim. - Ile razy widział, jak ojciec ulegał matce ze wzruszeniem ramion i spojrzeniem mówiącym: „Twoja działka, ty decyduj”. Na własne oczy widział, co pieniądze należące do kobiety mogą zrobić z dumą mężczyzny.

Low Down wyprostowała się i opuściła lekko powieki.

- Sama zapłacę za swoje ubranie, dziękuję bardzo.

- Nie ma mowy - burknął i głośno odstawił miskę na ziemię. - Umówiliśmy się, że póki istnieje to małżeństwo, będziemy je traktować jak prawdziwe. To znaczy, że nie będziesz mnie upokarzać, zachowując się tak, jakbym nie był w stanie utrzymać żony! Póki jesteśmy razem, płacę za wszystko, czego potrzebujesz.

Przysiadła na balu i spojrzała na niego niezłomnie.

- Masz dumy za sześciu chłopów. A gdybym ci powiedziała, że ja też mam swoją dumę? Nie chcę cię upokarzać, ale nie chcę też mieć zobowiązań.

- Tu nie ma mowy o układach, Low Down. Ja cię utrzymuję. -

Z niesmakiem przypomniał sobie Jellisona, który prawił mu, żeby był dobry dla żony. Święte słowa. Nie mógł pozwolić, żeby sumienie dręczyło go jeszcze z powodu Low Down.

- Mieliszmy być dla siebie uprzejmi. I co? Czy jesteś zły na cały świat, czy wracamy do tego, że to ja jestem winna wszystkiemu pod słońcem?

Trudność polegała częściowo na tym, że Low Down go nie rozumiała. Sama przyznała się, że nigdy nikogo nie kochała. Nigdy nie straciła nikogo, z kim zamierzała spędzić życie. Nigdy nie miała dobrego imienia, które byłoby narażone na szwank. Nie obchodziło jej, co myśla o niej sąsiedzi. Poza tym ktoś, kto nazywa się Low Down, nie jest w stanie pojąć, co oznacza dla mężczyzny złamanie zasad, którymi zawsze się kierował.

Wsadził rękę do kieszeni i zacisnął palce na zielonej szklanej kulce.

- Mówiłaś, zdaje się, że nigdy nie byłaś w Denver - zmienił temat.

Nie mógł bez końca jej obwiniać. Bądź co bądź, to małżeństwo było jednocześnie winą wszystkich i niczyją. Jeśli za każdym razem na jej widok będzie sobie przypominał swoje złamane życie, to nigdy nie zdobędzie się na to, żeby się z nią kochać, i nigdy się od niej nie uwolni. Trudno zresztą o bardziej niewłaściwe wyrażenie niż „kochać się”. On spełni swój obowiązek, a ona na to pozwoli.

- Nie mówiłam, że nie byłam w Denver, tylko że nie wiem, gdzie jest Fort Houser. - Wstała i przeciągnęła się, a potem pozbiierała naczynia i wytrząsnęła resztki jedzenia na ziemię. - Dawno temu mieszkałam w Denver cały rok. Stąd znam ten sklep z używanymi rzeczami. - Odwróciła głowę ku światłom migającym na równinie. - Pracowałam w pralni u Chińczyka. Większość ludzi myśli, że nie idzie tego robić... - urwała i zaczerpnęła tchu - ...nie wypada tego robić, bo do prania i prasowania są tylko Chińczycy. Nieprawda, nie zawsze. Inni myślą, że Chińczyk jeszcze nie zdąży się z tobą przywitać, a już cię oszukuje, ale to też nieprawda. Ten, dla którego pracowałam, był uczciwy. Nie narzekam.

- Pracowałaś w pralni? - Tak bardzo różniła się od innych kobiet, że trudno mu było ją zrozumieć.

- To była uczciwa praca - odparła Low Down, urażona jego miną. - W swoim czasie próbowałam wszystkiego po trochu. Nawet pracowałam na ranczu w Nowym Meksyku. Pomagałam gotować i sprzątać dom, więc o hodowli bydła wiele się nie dowiedziałam. Za to wiem, że życie ranczera nie jest łatwe.

Nalał sobie jeszcze jeden kubek kawy, a tymczasem jego towarzyszka zebrała resztkę naczyń i sztućców.

- Nigdy nie znałem takiej kobiety jak ty - powiedział w końcu. Kobiety nie żyją tak, jak opowiadała mu Low Down.

Roześmiała się gardłowo i, o dziwo, w pewnym sensie całkiem miło. A gdy się uśmiechnęła, zauważył w jej oczach błyski rozbawienia.

- Już to słyszałam.

- Wczoraj powiedziałaś, że nie chcesz mieszkać w domu innej kobiety.  
- Myślałam o tym dzisiaj - odrzekła, nie patrząc na Maksa. Ponieważ tego wieczoru nie rozbili obozu przy strumieniu, wytarła naczynia piachem i zwilżoną szmatką. - Ten dom zawsze będzie należał do panny Houser.

- Ona nie byłaby szczęśliwa, mieszkając na ranczu. W końcu musiałbym zbudować dom w mieście. - Nie rozumiał, dlaczego o tym mówi. Może chciał się zrehabilitować za to, że ostatnio znowu miał do niej pretensje. A powód był mniej chwalebny, po prostu chciał porozmawiać o Philadelphii. - Uświadomiłem to sobie, gdy przeczytałaś ten list, który napisałem, chorując na ospę. Dom był z mojej strony omyłką.

Low Down przerwała skrobanie kociołka i zamrugowała.

- Zbudowałeś dla niej dom, wiedząc, że nie będzie go lubiła?  
- Nie mogliśmy się zgodzić w sprawie domu - powiedział, wpatrując się w dogasające płomyki pod dzbankiem z kawą. - Philadelphia chciała mieszkać w mieście, blisko ojca i przyjaciółek. - Uważała, że miejsce bankiera i jego rodziny jest w mieście. - A ja wolę mieszkać na ranczu, uprawiać ziemię i zajmować się bydłem. - Teraz przynajmniej nie będzie miał kłopotu, jak połączyć gospodarowanie na ranczu z pracą w banku.

- Wiesz, z mężami jest jeszcze inny kłopot. - Low Down mówiła takim tonem, jakby zgodził się, że mężowie istotnie stwarzają kłopoty. - Ona chce czego innego, ty czego innego, więc ty, nie oglądając się na nią, robisz po swojemu. Tacy są mężowie i między innymi dlatego nie chcę mieć męża.

- Jeśli dwie osoby nie mogą się zgodzić, ktoś musi podjąć decyzję.  
- „Ktoś” to znaczy ty, czyli po prostu decydujesz po swojemu.  
- Posłuchaj, wspomniałem o domu, żebyś zrozumiała, że panna Houser nie chciałaby mieszkać kilka kilometrów za miastem. Nie musisz myśleć, że ten dom należy do innej kobiety. - Nie była to jednak cała prawda, bo przecież wszystko zaprojektował z myślą o Philadelphii. Bardzo żałował, że w ogóle zaczął o tym mówić. - Panna Houser nigdy tam nie była ani nawet nie widziała tego domu. - Musiał jak najszybciej zmienić temat. Spojrzał na Low Down nad ogniskiem i zaproponował: - Opowiedz mi coś o sobie.

- Nie ma co opowiadać - odparła, wzruszając ramionami.  
- Ile masz lat?  
- Dwadzieścia osiem. A ty?  
- Trzydzieści jeden. Skąd jesteś?  
- To trudniejsze pytanie. - Ustawivszy stertę naczyń na ziemi, sięgnęła po kubek z kawą. - Kiedy miałam cztery lata, wysłano mnie na Zachód jednym z tych pociągów z sierotami. Jechaliśmy z Nowego Jorku, więc prawdopodobnie stamtąd pochodzę. Kto wie?  
- Marszcząc czoło, spojrzała na obrączkę na jej palcu. - Adoptowała mnie rodzina z Missouri, dlatego zwykle mówię, że jestem właśnie stamtąd. Ale uciekłam od nich, kiedy miałam trzynaście lat, i od tej pory wędruję sama to tu, to tam. Koniec opowieści.



Max próbował odgadnąć, jakie pytania o nowo poślubioną żonę zada mu matka, co powinien wiedzieć.

- Czy to znaczy, że nie masz rodziny?

- Olsonów nigdy nie uważałam za rodzinę, oni mnie też nie. Mieli czworo własnych dzieci i troje adoptowanych. Byliśmy siłą roboczą i niczym więcej. - Uniósłszy dłoń, przyjrzała się czubkom swoich palców. - Bardzo długo miałam na palcach skaleczenia i drobne blizny od klucia igłą. Robiliśmy rzeczy ze skóry dla sklepu Olsona. Kamizelki, kapelusze, buty i co tylko jeszcze chcesz. Ale najgorsze było garbowanie. Nie chcę mieć z tym nigdy więcej nic wspólnego. - Nagle ogarnął ją niepokój. - Mam nadzieję, że nie hodujesz bydła na skórę, co?

- Nie. - Jego siostra i Philadelphia były dobrze wychowanymi pannami. Doprawdy nie mógł ich sobie wyobrazić, jak czyszczą krowią skórę. - Chodziłaś do szkoły?

- Nieregularnie. Ale umiem czytać i pisać - powiedziała Low Down niezbyt pewnie. - I umiem niejedno, czego nie uczą w szkole. Wiem, jak wyżyć z ziemi. Mam mocniejszą głowę niż niejeden mężczyzna. Wiem, jak oszczędnie żyć. Nie boję się ciężkiej pracy.

Wstała i znikła w mroku, jakby ta rozmowa wprawiła ją w złość. Chwilę potem Max usłyszał, jak Low Down mruczy coś do Rebeki i Marvy Lee. Zaczął zastanawiać się nad tym, co od niej usłyszał, i nad pouczeniami Jellisona.

Nie miał pojęcia, co jego matka i siostra powiedzą o nowej synowej i szwagierce. Szczerze mówiąc, sam nie miał pojęcia, co sądzić o tej kobiecie.

Na pewno wiele umiała zrobić i była samodzielna. Dwa razy rozbijali obóz i za każdym razem Low Down miała w tym duży udział. Bez dyskusji podzielili między siebie prace, jakby podróżowali już ze sobą dawniej i doskonale znali swoje zwyczaje.

Po pewnym czasie głos Low Down dobiegł go z mroku. Musiała stać gdzieś koło swojego muła.

- Co z posuwaniem?

Subtelna i skromna nie była na pewno. Max wbił wzrok w płomienie nad rozżarzonymi węglami.

- Może jutro - powiedział, odchrząknawszy.

- Im szybciej się do tego weźmiemy, tym szybciej załatwimy, co trzeba - burknęła.

Max wolał o tym nie myśleć.

Jeszcze długo po tym, jak Low Down położyła się i owinęła kocem, siedział przy ognisku, wpatrywał się w żar i rozmyślał o nadchodzących dniach.

Denver zmieniło się, a przede wszystkim rozrosło od czasu, gdy Low Down ostatnio tamtędy przejeżdżała. Było więcej hoteli, więcej saloonów, więcej sklepów, więcej drzew w alejach z eleganckimi domami, krótko mówiąc, więcej wszystkiego. Pamiętała przecież

dobrze, jak pasterze przepędzali owce główną ulicą miasta, a strzelaniny nie budziły niczyjzego zainteresowania.

Teraz wyglądało na to, że na co drugim rogu ulicy jest bar, a jedwabnych kapeluszy jest więcej niż czapek i stetsonów. Dziwki stały na drewnianych chodnikach, nawołując pasażerów wynajętych bryczek i frymuśnych powozów. Wszędzie pracowali robotnicy budowlani. Low Down nie poznałaby tego miasta.

- Nigdy nie zatrzymywałem się w Belle Mark, ale słyszałem, że tam jest czysto i wygodnie - powiedział Max dostatecznie głośno, by nie zagłuszył go przejeżdżający powóz. Wskazał w stronę Czternastej ulicy, odwracając się od śródmiejskiego gwaru.

Skoro nie zatrzymywał się w Belle Mark, to gdzie mieszkał, gdy przyjeżdżał z rodziną do Denver? Low Down nie wiedziała, ale uznała, że gdziekolwiek to było, Max nie chce się tam pokazać w jej towarzystwie.

Powinna była już się uodpornić i mimo takich domysłów nie tracić wiary w siebie. Dobrze wiedziała, że eleganckie kwatery są nie dla niej i Max na pewno również zdawał sobie z tego sprawę. Zwykły, niedrogi pensjonat jej wystarczał i do takiego miejsca bez wątpienia się kierowali. Dla niej prawdziwe łóżko i czysta pościel i tak oznaczały pałac.

Gdy zobaczyła Belle Mark, otworzyła usta ze zdumienia. Nie był to pensjonat i na pewno nietani. Elegancki trzypiętrowy hotel zbudowano z cegły. Frontowe wejście lśniło mosiadcami, a markiza w zielono- białe paski osłaniała przejście do ulicy. Co to, to nie. Low Down nigdy w życiu nie stała pod markizą.

Zaraz potem zobaczyła mężczyznę w zielonej liberii z mosiężnymi guzikami i złotymi epoletami, który stał u końca markizy i w taki sposób uśmiechał się do ludzi przejeżdżających powozami, że zachęcał ich do zatrzymania się i skorzystania z gościny. Maksa i Low Down omiótł przelotnym spojrzeniem, ocenił ich wierzchowce i zniszczone podróżne stroje i przestał się nimi interesować.

- Max? - Podjechała do niego, zerkając nieufnie na człowieka w zielonym uniformie. Liberia, czapka i nieprzystępność tego mężczyzny bardzo ją onieśmieliły. - Czy to jest właściciel hotelu?

- To tylko portier. - A ponieważ nadal gapiała się na liberię, dodał: - Do niego należy witanie gości i otwieranie przed nimi drzwi.

Boże. Ten człowiek był wystrojony jak generał obcej armii, a nie robił nic więcej, tylko stał w cieniu markizy i otwierał drzwi? Przecież wyglądał tak, jakby decydował o życiu i śmierci innych.

Zwróciła uwagę, jak ostentacyjnie ich zignorował.

- Wiesz co? Tu są za wysokie progi. Na Walnut Street był kiedyś pensjonat, który przyjmował gości na jedną noc. Chodźmy tam.

- Przeżyłem cały miesiąc w namiocie, więc mam ochotę na prawdziwy hotel.

No i oczywiście zdecydował za nią. Już знаła tę minę z zaciśniętymi ustami, która oznaczała, że decyzja jest ostateczna i nie ma sensu się spierać.

Zirytowana, zmieniła pozycję w siodle i zaczęła szukać sposobu na zniesienie tej sytuacji, skoro musiała się w niej znaleźć.

- Dobrze - powiedziała w końcu. - Wejdz do środka i wynajmij pokój, potem wyjdź tutaj i powiedz mi, jaki ma numer, a ja przyjdę później. - Może istniało wejście od tyłu, bez tego pyszałka w zielonym uniformie, który ocenia wszystkich przechodzących.

Przez chwilę łudziła się, że Max przyjmie jej propozycję, i nawet poczuła ulgę. Wejście pod markizą było krępujące w najwyższym stopniu. Max na pewno nie czułby się dobrze, gdyby zobaczono go w takim miejscu z cudakiem podobnym do niej. Ona zresztą też się wstydziła, wiedziała bowiem, jak okropnie wygląda. Do diabła, sześćdziesięciu trzech mężczyzn nie chciało z nią iść do łóżka, a to o czymś świadczy. Zwłaszcza że sześćdziesiąty czwarty w ogóle nie korzysta z okazji, jaka mu się nadarza, pomyślała, zerkając kątem oka na Maksa.

- Jesteśmy najprawdziwszym małżeństwem - powiedział wolno, zatrzymując wzrok na mężczyźnie ubranym na zielono. - Nie pozwolę, żeby moja żona wślizgiwała się ukradkiem do hotelu jak jakaś ladacznica, która bierze dolara za noc. - Wyprostował się, wzrok mu zhardział. Był święcie przekonany, że oboje muszą przejść obok portiera i wejść do środka tak, jakby mieli do tego takie samo prawo jak inni.

Może Max miał w sobie tyle pewności siebie, ale Low Down stanowczo nie.

Zeskoczyła z Rebeki i rzuciła mu wodze.

- Idę kupić sobie suknie - oznajmiła, szykując się do ucieczki. - Znajdę cię później.  
- Zdażyła zrobić kilka kroków w stronę Carolina Street, gdy usłyszała za sobą gniewny głos Maksa:

- Każ przysłać rachunki i paczki do Belle Mark.

Skinęła głową i znikła w tłumie. Parę lat temu nikt nie zwróciłby na nią uwagi. Teraz, gdy Kolorado osiągnęło status stanu, a Denver jego stolicy, gdy miasto rosło i ludzie zjeżdżali tu z wszystkich stron, Low Down stwierdziła, że ściąga na siebie bardzo nieprzychylnie spojrzenia dam mijających ją powozami i pieszo. Mniejsza o to. Od kiedy przejmowała się tym, co kto o niej myśli?

Ale przez dwadzieścia minut chodziła tam i z powrotem wzdłuż fasady Banku Handlowego, nim zdecydowała się dumnie podnieść głowę, wyprostować plecy i pchnąć drzwi. Prawie natychmiast dżentelmen z chłodnym spojrzeniem ruszył w jej kierunku z wymowną miną świadczącą o tym, że bank nie jest miejscem dla osób jej pokroju. Low Down przygryzła wargę i starała się zachować godną pozę.

- Mam trochę pieniędzy, które chcę zainwestować. A może nie idzie ich wziąć, bo są gorsze niż pieniądze kogo innego?

Koniec końców ten człowiek był bankierem. Słowo „pieniądze” zmieniło jego wyobrażenie o pożądanym wyglądzie przyzwoitej kobiety. Low Down mogłaby roztaczać gorsze zapachy niż woń muła i potu, a on i tak uśmiechałby się do niej, gdy odwiązywała z szyi sakiewki i pokazywała mu składkowe pieniądze, bryłki złota od Franka i własny pękaty woreczek złotego pyłu. Bankier zaprowadził ją do kantorku przy sali kasowej, a zanim skończyli interesy, zdążył nawet raz czy dwa nazwać ją „szanowną panią”.

Zabezpieczywszy swoje dobra, Low Down mogła oddać się tak nużącemu i odstręczającemu zajęciu jak zakup sukni. Ku jej zaskoczeniu na Piętnastej ulicy zobaczyła witryny sklepów, w których prezentowano gotowe suknie. Przeszła przed wystawami, oglądając i to, co przeznaczono dla najelegantszych dam, i to, co miały kupić zwyczajne kobiety. Przekrzywiając głowę, zdołała nawet odczytać kilka przywieszek z ceną i za każdym razem głośno nabierała tchu. Za te pieniądze można byłoby kupić najbardziej wymyślny zestaw koronek, kokard, wstążek i tasiemek.

Uznała, że Max nie miał pojęcia, ile kosztują damskie stroje, kiedy nalegał na to, że sam za nie zapłaci. W każdym razie ona na pewno tego nie wiedziała i wcale nie zamierzała tracić pieniędzy tylko dlatego, że należą do Maksa, a nie do niej. Kto przestrzega oszczędności, ma dla siebie i dla gości.

Sklep z używaną odzieżą był, dzięki Bogu, w tym samym miejscu co kiedyś, przy bocznej uliczce upstrzonej końskimi odchodami, gdzie świnie wciąż pętały się między budynkami. Od browaru ciągnął się ostry zapach słodu, a w saloonie na rogu nadal można było kupić piwo za pięć centów. Ojcowie miasta prawdopodobnie nie zgodziliby się z jej zdaniem, ale Low Down poczuła się pokrzepiona tym, że tutaj niewiele się zmieniło.

Tu nie musiała zbierać odwagi, żeby wejść do środka, i nie przeszkadzało jej, że kobieta za ladą zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów, a potem z niedowierzaniem przewróciła oczami.

Low Down uśmiechnęła się szeroko.

- Potrzebuję dosłownie wszystkiego. Bielizny, pończoch, butów, dwóch sukni, płaszcza, kapelusza, rękawiczek, torebki.

- Kochana, najpierw potrzebujesz solidnego szorowania szczotką ryżową, mycia głowy i ogniska, żeby spalić to wszystko, co masz na sobie. - Kobieta zwinęła dłonie w trąbkę i krzyknęła w stronę tylnych drzwi sklepu: - Mazie? Chodź no tutaj. Mamy przed sobą nie byle jakie zadanie.

Low Down westchnęła, ale było to westchnienie ulgi. Przyszła we właściwe miejsce.

Słońce chyliło się już ku szczytom gór na zachód od miasta, gdy Low Down wróciła do Belle Mark. Gdy jednak zbliżyła się do mężczyzny w zielonym uniformie, poczuła, że nogi nie chcą jej nieść.

Była tak bardzo skupiona na planowaniu, w jaki sposób niepostrzeżenie prześlizgnąć się obok tego człowieka, że nie od razu zauważyła elegancko ubranego mężczyznę, siedzącego na ławeczce pod markizą i palącego cygaro. Gdy zorientowała się, że to Max, osłupiała.

Na świeżo ostrzyżonych włosach miał płaski kapelusz, do tego ciemny surdut i śnieżnobiałą koszulę, kasztanową kamizelkę i gładki ciemny krawat. Buty lśniły mu tak, że bez wątpienia mógłby się w nich przejrzeć, gdyby się schylił.

- No, no - powiedziała cicho, podszedłszy do niego. - Może jednak masz zadatki na bankiera. - Uderzyła ją woń pachnidła i wtedy przyszło jej do głowy, że może i ona powinna była kupić flakonik perfum. Uśmiechnęła się. Nigdy nie miała perfum i nawet nie pomyślała, że mogłaby je sobie sprawić.

Max wstał i zdjął przed nią kapelusz, jak wszelkie reguły nakazują. To też był pierwszy raz. Normalnie mężczyźni nie zdejmowali przed nią kapelusza. Nie odwróciła się, ale miała nadzieję, że pyszałek w zielonym uniformie na to patrzy.

Max podał jej ramię.

- Zaprowadzę cię do naszego apartamentu.

- Apartamentu? O la la - powiedziała niefrasobliwie, starając się zamaskować niepewność. I przyjęła ramię Maksa tak, jakby był to najprzedniejszy dowcip. Widziała, że ten gest jest równie zabawny dla niego jak dla niej. - Czy wszyscy ranczerzy są tacy bogaci jak ty?

- To jest jednodniowa ekstrawagancja.

Wszyscy ludzie w pobliżu zdawali się patrzeć za nimi, jak wchodzą do hotelu, a w każdym razie tak się wydawało Low Down. W holu poczuła jednak, że robi się bardzo mała, przytłoczona wrażeniem powszechnej dezaprobaty dla jej osoby. Nagle bardzo ją ucieszyło, że może wesprzeć się na silnym ramieniu Maksa, droga przez hol ciągnęła się bowiem w nieskończoność, a potem czekała ich wspinaczka na imponujące schody.

Przez lata hołdowała teorii, że jeśli będzie chodzić ze spuszczoną głową i oczami wbitymi w ziemię, to nikt nie zwróci na nią uwagi. Dlatego z holu nie zobaczyła wiele oprócz marmurowej posadzki i fioletowo- złotego chodnika, którym były przykryte schody. Kątem oka uchwyciła jednak blask mosiądzu i luster, widok paproci w donicach i elegancko ubranych ludzi, siedzących na kosztownych meblach. Z pobliskiej sali sączyła się muzyka fortepianowa, melodia tak słodka, że aż ścisnęła Low Down za serce.

Gdy skręcili za załom muru i hol znikł im z pola widzenia, Low Down odetchnęła z ulgą, jakby wyszła cało z pojedynku. Teraz mogła się rozejrzeć.

- Och, popatrz! Na każdych drzwiach jest mosiężny numer! I kryształowe klosze na lampach! - Chodnik miał ciemny kwiatowy wzór, a na każdym podeście stały wazon z świeżymi liliami. - Nigdy nie byłam w takim miejscu - powiedziała z przejęciem. - 1 już

nigdy nie będę. Nie idzie mieszkać w takim przepychu. - Zapomniała nawet, że miała nie mówić „nie idzie”.

- Twoje paczki są w pokoju - poinformował ją Max, nachylając się, żeby włożyć klucz do zamka. Pchnął drzwi, a potem sprawdził na zegarku, która godzina. - Jest piąta. Na ósmą zamówiłem kolację w hotelowej restauracji. Wrócę około wpół do ósmej. Czy wystarczy ci tyle czasu, żeby... - dotknął krawata i z niejakim trudem znalazł odpowiednie słowo - ...żeby się odświeżyć?

W pierwszym odruchu chciała go spytać, dokąd idzie, ale to nie była jej sprawa. Prawdę mówiąc, rozczarowało ją jednak, że Maks nie będzie obecny przy rozpakowywaniu jej zakupów. Nie ufała swoim sądom i chętnie usłyszałaby jego opinię o sukniach. Ech, co tam. Mężczyźni znają się na modzie jeszcze mniej niż ona.

- Będę gotowa - obiecała Maksowi, który już zamykał za sobą drzwi. W miejscu, w którym stał przed chwilą, unosił się zapach liści laurowych i cygara, Low Down zaciągnęła się tym zapachem, pełna niepokoju, czy Max spełni obietnicę i rzeczywiście tego wieczoru ją posunie.

Spłonęła rumieńcem, więc na wszelki wypadek przestała o tym myśleć. Zresztą tak naprawdę Max wcale nie obiecał, że to się stanie tego wieczoru. Powiedział tylko, że może tak będzie.

Pierwszą rzeczą, którą zauważyła po wejściu do apartamentu, była sterta paczek z zakupami. Pudła i torby całkowicie zakrywały kanapę w niebieskie paski, a niektóre leżały na podłodze. Nic dziwnego, że Max wydawał się spięty. Musiał być na nią zły, że wydała tyle pieniędzy. Sama bardzo się zatroskała, gdy zobaczyła rachunek. Pocieszała ją tylko myśl, ile kosztowałyby wszystkie te ubrania, gdyby kupiła je w sklepach przy Piętnastej ulicy.

Dopiero potem rozejrzała się po apartamencie i szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Ogarnęło ją dziwne uczucie. Miała ochotę skakać w tym pokoju, usiąść na każdym krześle, przyrzuć się z bliska wszystkim bibelotom na stolikach, starannie przykrytych serwetami. Ale nie śmiała dotknąć ani jednego przedmiotu i nie zrobiłaby tego, nawet gdyby jej za to zapłacono. Bała się, że coś stłucze albo zabrudzi. To był pokój do oglądania, a nie do codziennego użytku.

Obejrzała go zresztą dokładnie, ale stojąc na środku dywanu, w bezpiecznej odległości od drobiazgów, których miała ochotę dotknąć. Gdy już zachwyciła się wszystkim, co można, w salonie, poszła zwiedzać apartament dalej i odkryła kabinę z sedesem. Naturalnie gdy pociągnęła za rączkę, zawirowała w nim i zaszumiała woda. Spróbowała tego kilka razy, śmiejąc się i kręcąc głową z niedowierzaniem.

Przy kabinie z sedesem było duże pomieszczenie z wanną i umywalką. Po sprawdzeniu kranów przekonała się, że woda, która powinna być gorąca, jest tylko letnia, ale nie zmniejszyło to jej podziwu dla cudu, jakim była bieżąca woda, płynąca jej po



palcach, ilekroć odkręciła kurek. Nikt nie musiał wnosić tu wody wiadrami ani podgrzewać jej na piecu. Owszem, słyszała już o takich luksusach, ale nie spodziewała się, że kiedykolwiek sama ich doświadczy.

Zostawiła odkręconą wodę, żeby napęlić wannę, i poszła obejrzyć sypialnię. Ktoś, prawdopodobnie Max, schował do szafy ich siodła. Ubranie, które wcześniej miał na sobie, wisiało na drążku, wyprane i wyprasowane, gotowe na następny dzień. Z jej rzeczy nie wisiało nic, ale nietrudno się było dziwić. Max chciał, żeby poznała jego rodzinę ubrana po nowemu.

Zaniepokoiło ją, że zostawiła lejącą się z kranu wodę, więc wróciła do łazienki i z zainteresowaniem obejrzała przybory Maksa do golenia. Przez cały czas trzymała jednak ręce za plecami, żeby broń Boże czegoś nie uszkodzić.

Wreszcie przygotowała się na najgorsze, głęboko zaczerpnęła tchu i spojrzała w lustro nad umywalką. Straszna chwila nadeszła.

- O Boże!

Przeżyła taki wstrząs, że aż zamgliło jej oczy. Przez dłuższą chwilę na wargi cisnęły jej się same grube słowa. Musiała przyznać, że wygląda potwornie. Miała stosunkowo czystą część twarzy obejmującą czoło, sięgającą uszu i kończącą się na podbródku. Resztę pokrywała jednak kilkumiesięczna warstwa brudu.

Skórę miała spaloną słońcem i zniszczoną przez wiatr. Rzęsy posklejały jej się w kępki.

A włosy... Wielki Boże! Były szare od pyłu i zaschniętego błota, dlatego wyglądała jak staruszka. A ubranie! Chodziła w tych rzeczach długo i rzeczywiście było to po nich widać. Prawdopodobnie również czuć.

- A niech to diabli!

Potrzebowała teraz kufla piwa, żeby uspokoić nerwy. I cudu.

Całe szczęście, że nie przejrzała się w lustrze w sklepie z używaną odzieżą. Instynkt ostrzegł ją, żeby oszczędziła sobie wstrząsu i poczekała, aż zostanie sama. Była bardzo zadowolona, że posłuchała wewnętrznego głosu. Teraz bowiem miała szansę natychmiast zrobić z sobą porządek.

Nic dziwnego, że żaden mężczyzna w Piney Creek nie chciał z nią spać.

- Przestań - powiedziała cicho i odwróciła oczy od lustra. Musiała zapomnieć o tej okropnej chwili w swoim życiu, kiedy Billy chodził z kapeluszem wśród mężczyzn, a oni sięgali do środka z wyrazem przerażenia na twarzy. To wspomnienie bardzo ją przygnębiało.

Tego wieczoru nie zamierzała być przygnębiona. Chciała nacieszyć się kąpielą w wannie i wyszorować włosy do czysta. Chciała w pełni przeżyć rozkosz mieszkania w tym pięknym apartamencie. Ho, ho, w prawdziwym apartamencie. Królowa Anglii nie mogłaby marzyć o lepszym.

Po kąpieli musiała sprawdzić, jak do siebie pasują jej nowe stroje. Postanowiła, że postara się traktować to jak przyjemność, a nie przykry obowiązek. Potem czekała ją kolacja, której nie musiała sama przyrządzić, może nawet przy muzyce, najlepiej żywej. Najbardziej lubiła takie kawałki, przy których przytupuje się do taktu.

W końcu, dla ukoronowania tych niezwykłych przeżyć, może Max ją tej nocy posunie. I może zrobi jej dziecko. Czy nie byłoby wspaniale począć dziecko podczas jednej, jedynej nocy spędzanej w hotelowym apartamencie? To byłoby jak zdarzenie z bajki, do zapamiętania na całe życie.

Z cichym śmiechem zanurzyła się w wodzie i położyła na dnie wielkiej wanny, a potem zaczęła wydmuchiwac z ust bąbelki, które szybko wypływały na powierzchnię.

scandalous

Max wszedł do apartamentu pochłonięty myślami o liście, który wysłał do Philadelphii i jej ojca, przestąpił próg salonu i znieruchomiał.

Low Down czekała na niego przy oknie. Stała, wyłamując sobie palce, i miała bardzo zaniepokojoną minę. Wiedział, że to ona, ponieważ spodziewał się zastać ją w apartamencie, ale gdyby przeszła obok niego w holu, z pewnością by jej nie poznał.

Pierwszy raz zobaczył ją bez kapelusza i natychmiast zauważył, że ma włosy w ciepłym kasztanowym odcieniu. Przyglądała je i zebrała w węzeł na karku. Jego siostra, Gilly, nazwałaby to fryzurą roboczą, Max podejrzewał jednak, że na głowie wysokiej kobiety fura strzępiastych loczków wyglądałaby śmiesznie, w milczeniu zaaprobował więc rozsądną decyzję Low Down. Zresztą prostota tego uczesania nadawała jej zaskakująco godny wygląd.

Naturalnie nawet wielogodzinne szorowanie nie wróciłoby spalonym słońcem rękami i twarzy Low Down kremowej bladości, którą wielce sobie ceniły modne kobiety, ale tego wieczoru jej skóra miała ten sam złocisty połysk i zdrowy wygląd, jaki zawsze kojarzył mu się z matką. To też go zaskoczyło. Wcześniej nie uwierzyłby, że Low Down może mieć cokolwiek wspólnego z jego matką.

- Przyglądasz się mojej twarzy - bąknęła, unosząc dłonie do policzków. - Natarłam ją sobie naftą z lampy, ale nafta za bardzo lśniła, więc ją starałam, ale nie zeszła całkiem, niech ją diabli, a ja nie mam pudru...

Wreszcie sklasyfikował dziwny zapach, który unosił się w powietrzu: mydło, mydło i jeszcze raz mydło z lekką domieszką nafty do lampy. Tak zawsze pachniało na ranczu w dniu prania. Zwrócił też uwagę na widoczny teraz naturalny łuk brwi Low Down i krótkie rzęsy. Nos nie miał cech szczególnych, był przeciętny, Max nie potrafiłby też powiedzieć, czy Low Down ma pomalowane usta, wargi bowiem miała mocno zaciśnięte. Skoro nie miała pudru, to innych kosmetyków prawdopodobnie też nie, ale przynajmniej wyglądała jak kobieta.

Wreszcie zmierzył wzrokiem najpaskudniejszą suknię, jaką widział od dłuższego czasu. Ani jego siostra, ani Philadelphia za nic nie pokazałyby się w czymś podobnym w mieście. Żona sklepikarza mogłaby iść w niej na niedzielne spotkanie po nabożeństwie. Suknia była zapięta pod szyję, miała proste, długie rękawy i żadnych zdobień, na których warto by zatrzymać oko: ani koronek, ani fałdek, niczego, co wydawałoby się efektowne. Co gorsza, jej krój nie pasował do figury Low Down. Obcisły stanik za bardzo się opinał na jej ciele, za to zwracał uwagę luz w talii. Max podejrzewał również, że dół sukni wymaga więcej fiszbin, żeby właściwie się ułożyć.

Przez chwilę zatrzymał jednak zdumiony wzrok na obcisłym staniku sukni, który zdradzał krągłość piersi Low Down. Dotąd nie miał zielonego pojęcia, jak zgrabna figura kryje się pod zwisającymi z niej szmatami. Gdyby poświęcił tej kwestii choć jedną myśl, prawdopodobnie wysnułby wniosek, że Low Down ma kształt walca, bez żadnych wklęsłości i wypukłości.

- Powiesz coś wreszcie, na miłość boską? Jestem kłębkiem nerwów. Czy tak, jak wyglądam, mogę zejść na kolację do hotelowej restauracji?

Ruchem palca wskazującego nakazał jej, żeby się obróciła.

Przewróciła oczami, ale posłusznie wykonała powolny obrót. Tak jak podejrzewał, spódnica sukni była przetarta i wyświecona z tyłu, a wstawka nad turniurą miała nieco inny odcień, co wskazywało na to, że już ją wymieniano.

- Do licha, Low Down! Kupiłaś używane rzeczy, chociaż powiedziałem ci, żebyś tego nie robiła!

- W tej rozmowie nie było ważne, co kupię, tylko kto za to zapłaci. - Gdy wyglądała materiał w talii, światło odbiło się od obrączki na jej palcu. - To jest bardzo przyzwoita suknia, prawie nienoszona. Było tylko jedno drobne rozdarcie pod pachą, ale już je zaszyłam. Powiedz mi lepiej prawdę. Czy mogę pokazać się w tej sukni i ludzie nie będą się z nas śmiać?

Oto kobieta, która nieustannie powtarza, że nie obchodzi jej, co ludzie o niej myślą, pomyślał Max, tłumiąc westchnienie. Ale przynajmniej nie kłamała, gdy mu obiecała, że nie będzie posłuszna.

- Wszystko będzie dobrze - uspokoił ją, postanowiwszy nie robić problemu z kupna używanych rzeczy. I tak było za późno, żeby kupić co innego.

- Dzięki Bogu! - Odniosł wrażenie, że oczekiwała tej odpowiedzi z zapartym tchem. - Mam jeszcze drugą suknię, w razie gdyby ta ci się nie podobała, ale musiałabym długo się przebierać. Nie wyobrażasz sobie, jakie męki przeszłam, żeby wbić się w coś tak frymuśnego. - Bezradnie rozłożyła ręce. - Myślałam, że nigdy sobie nie poradzę z tą turniurą. Nie mam pojęcia, dlaczego moda nakazuje kobietom wyglądać tak, jakby miały tyłek wielkości wozu, ale powiem ci, że czuję się w tym przedziwnie. A gorset! - Odchyliła głowę i wbiła błagalny wzrok w sufit. - Z pewnością żadna kobieta nie potrafi tak wykręcić rąk, żeby sama mogła zasznurować to cudo. Musisz go przekręcić na sobie, zasznurować i z powrotem odkręcić, a przy okazji bez przerwy przyszczypujesz sobie skórę, nie mówiąc o tym, że nie możesz oddychać. A to jeszcze nie koniec. Lepiej najpierw włożyć pończochy, bo w gorsecie nie można się schylić, a już na pewno nie w tym. Trzeba zdjąć gorset, włożyć pończochy i zaczynać z gorsetem od początku.

Żadna kobieta, nawet Gilly, nie wspominała w jego obecności o pończochach albo gorsecie. Prędzej też wyobraziłyby sobie, że znane mu kobiety fikają koziołki przed bankiem Howarda Housera, niż że porównują swój tyłek do wozu.

Odchrząknął i wyjął z kieszeni rękawiczki.

- Jeśli weźmiesz szal, rękawiczki i torebkę, to możemy zejść na kolację. Kupiłaś szal, rękawiczki i torebkę, prawda?

- Mam dwa szale. Ten jest wieczorowy. - Wzięła z krzesła tkaninę we wzór z Paisley, zdobioną frędzlami, i zarzuciła ją sobie na ramiona jak pelerynę. Wdział nigdy nie był jej mocną stroną. - A to jest moja wieczorowa torebka - powiedziała, pokazując mu ściągana rzemykiem sakiewkę, która po wzięciu ze stolika metalicznie zadźwięczała. Max nie miał pojęcia, co w damskiej torebce może wydawać taki odgłos. - Jeśli będę ją trzymać w ten sposób, nikt nie zauważy, że brakuje na niej części koralików. - Low Down wydawała się dumna z tego pomysłu.

- Może powinniśmy usiąść i wypić drinka przed zejściem na dół. - Pilnie potrzebował kropli czegoś mocnego.

W jej oczach pojawił się wyraz trwogi.

- Coś ty! Nie możemy siadać na tych krzesłach. - Policzki jej poczerwieniały. - One są tylko do oglądania. - Gdy Max zrobił zdziwioną minę, szybko wymięła go i zbliżyła się do drzwi. Owionął go zapach mydła i nafty. - A gdybym przypadkiem zabrudziła je albo naddarła? Albo gdybym coś na nie rozlała? Ktoś mógłby to zobaczyć i wyrzucić nas z hotelu. - Obróciła się do niego i spojrzała tak, jakby chciała go przestrzec. - Raz w życiu mam okazję być w takim miejscu i nie chcę się narazić na wyrzucenie. Dlatego nie siadaj na tych krzesłach!

Znikła za drzwiami, chwiejąc się nieco, prawdopodobnie z powodu czegoś, co miało uchodzić za nowe pantofle na wysokim obcasie.

Max przez chwilę dumął z głową wspartą na ramieniu, a potem ruszył za nią. Dogonił ją na podeście schodów.

- Może lepiej wezmę cię pod ramię, tak jak poprzednio - mruknęła. - Jeśli spadnę ze schodów - dodała cicho - i skończę rozplaszczona przed tymi wszystkimi zarozumiałcami z dołu, to będę udawać nieżywą. Ty wtedy każesz zanieść mnie do najbliższego pensjonatu i spokojnie pójdziesz na kolację.

Gdyby ktoś powiedział mu rano, że znajdzie tego dnia powód do śmiechu, to nie uwierzyłby.

Low Down spojrzała na niego groźnie, ale zaraz na jej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech.

- Pierwszy raz słyszę, jak się śmiejesz.

I pierwszy raz jej dotknął, bo obrócił się i położył ręce na ramionach Low Down. Mimo miękkiego szala wyczuł, że stężała.

- Posłuchaj mnie. - Spojrzał jej w oczy. - Nie spadniesz ze schodów, rozumiesz? I nikt nie zwróci na nas najmniejszej uwagi. Nikt nie wyrzuci nas z hotelu. Przestań się

martwić. - Przypomniał sobie, jak mu powiedziała, że nigdy więcej nie znajdzie się w takim miejscu. Prawdopodobnie miała rację. - Ciesz się tym wieczorem.

- Ja tu nie pasuję - odparła i odwróciła wzrok. - Gdyby zobaczyła mnie teraz pani Olson, ta kobieta, która mnie adoptowała, to usłyszałaby od niej dokładnie to samo.

- Tylko ten jeden raz, tylko dzisiaj spróbuj udawać, że tak nie jest. - Podał jej ramię, a ona uściśniła je zaskakująco mocno. - Jesteś gotowa?

Skinęła głową, podciągnęła spódnicę i powoli zaczęli schodzić. Przez całą drogę do restauracji miała wzrok utkwiony w podłogę. Dopiero za progiem raptownie poderwała głowę, omiotła salę spojrzeniem i głośno nabrała tchu.

- Jak tu pięknie! Ojej, popatrz! - szepnęła, pochylając się ku niemu. - Ten człowiek w zielonym ubraniu, który stał przed hotelem!

- Nie - odparł Max, starając się nie okazać rozbawienia. - To jest kierownik sali. Pokaże nam, gdzie mamy usiąść.

Gdy kierownik sali odsunął dla niej krzesło, spojrzała na Maksę zdumionymi oczami, a kiedy rozłożył jej serwetkę na kolanach, przysłoniła dłonią usta, a w oczach zaigrały jej wesołe iskierki.

- Czy życzy pan sobie drinka przed posiłkiem, sir?

Max nie był tego pewien, obawiał się jednak, że Low Down się dusi.

- Czy dobrze się czujesz? - spytał z niepokojem, pochylając się ku świecom ustawionym pośrodku stołu.

- Napiję się whisky - odrzekła z wysiłkiem.

Kierownik sali poruszył brwią, jakby to życzenie wyjaśniało, dlaczego Low Down ma taką okropną sukienkę i purpurową twarz.

- Pani napije się sherry, a ja whisky - rzekł Max stanowczo.

- O Boże - jęknęła, gdy zostali sami. - Nie wiedziałam, co się dzieje, kiedy rozkładał mi serwetkę na kolanach! Słyszałaś kiedyś o czymś takim? Ojej, tobie też rozłożył serwetkę! - Powachlowała się dłonią. - Przysięgam, nie wiedziałam, czy się śmiać, czy mu wygarnąć, że się spoufala. Och, Max, czy widziałeś kiedyś coś podobnego do tej sali? Na każdym stoliku są świeże kwiaty. - Opuściła rękę i palcami zbadała obrus. - Prawdziwy adamaszek - oznajmiła. - Kiedy pracowałam u Chińczyka, praliśmy dużo takich. Jeśli uważasz, że moje nowe stroje są kosztowne, to powinieneś sprawdzić, ile kosztuje adamaszkowy obrus. Wytrzeszczyłbyś oczy ze zdziwienia.

- Wcale mi się nie zdaje, żeby twoje nowe stroje były kosztowne. - Dobrze wiedział, że Philadelphia wydaje więcej na jeden kapeluszek niż Low Down na to wszystko.

Nagle zauważyła srebrną zastawę lśniąca przed nią na adamaszku i dłonie opadły jej na torebkę, którą trzymała na kolanach.

- Widzę, że niepotrzebnie przyszłam tutaj z łyżką.



To zdradziło mu bardzo wiele z jej przeszłości; Tylko w jadalniach najtańszych pensjonatów wymagano od gości, by przynosili własne sztucce.

- Pamiętasz? Pokazywałam ci moją łyżkę. Srebrna, tak samo jak te tutaj. - Dumnie uniosła głowę, jakby rzucała mu wyzwanie.

- Przypominam sobie, że twoja łyżka jest bardzo ładna- odrzekł, bo zupełnie nie wiedział, jak zareagować.

Udało mu się jednak, bo Low Down jakby zmiękła.

- Owszem. To jeden z najcenniejszych przedmiotów, jakie posiadam. - Dłonią w rękawiczce dotknęła rzędu sztucców. - Do czego potrzebujemy tylu zapasowych widelców i łyżek?

Max zaczął wyjaśniać, szybko jednak z tego zrezygnował i powiedział, żeby po prostu patrzyła na niego i wybierała takie same sztucce.

Gdy przyniesiono drinki, z rozbawieniem odnotował pogardliwą minę, jaką Low Down zrobiła na widok sherry. Pomogło mu się to rozluźnić, a wyraz podniecenia w orzechowych oczach Low Down bardzo go ucieszył. Przedtem myślał z dużym lękiem o spędzeniu z nią nocy w hotelu. Nagle jednak, ku swemu zdziwieniu, przekonał się, że jest coś bardzo interesującego i może nawet wzruszającego w asystowaniu człowiekowi, który stawia pierwsze kroki. Pierwsze wejście Low Down do eleganckiego holu hotelowego i do apartamentu. Jej pierwsza próba włożenia sukni, w każdym razie pierwsza w ostatnich latach. Pierwszy zachwyty Low Down na widok kierownika sali. Jej pierwszy łyk sherry, oszołomienie, a potem radość ze srebrnych sztucców i zastawy.

Chcąc dostarczyć jej jeszcze więcej nowych wrażeń, Max zamówił smażone karczochy i sałatkę z homara. Na deser wybrał grzanki z brzoskwinia, przyrządzane na specjalnym podgrzewaczu przy ich stoliku. Zdumiona mina Low Down i jej szeroko otwarte, błyszczące oczy sprawiały mu dużą przyjemność.

Po zjedzeniu deseru Low Down elegancko zasłoniła usta czubkami palców, żeby z zadowoleniem beknać, a potem pochyliła się do swego towarzysza i wyznała:

- Smakowało mi wszystko z wyjątkiem kawy. Nie idzie pić takiej lury. Widocznie mają nowy dzbanek, który jeszcze się nie przegryzł. - W jej oczach odbił się niepokój. - Chcę dobrze to wszystko zapamiętać, ze szczegółami. Jak się nazywało to mięso w cieście?

- Beef Wellington.

- I homar! Mogłabym zjeść tego całą beczkę. Założę się, że ta sałatka kosztowała cię majątek. - Kiedy podał jej cenę, gwałtownie odchyliła się do tyłu i wytrzeszczyła na niego oczy. - Max, powiedz poważnie. Czy jesteś bogaty?

Tym pytaniem znowu go rozbawiła.

- Można powiedzieć, że moja rodzina żyje bez kłopotów. Mamy dużo ziemi i mało gotówki. Dla mnie pobyt w tym hotelu też jest drogi. Płacę za niego częścią złota z Piney Creek.

Low Down zmarszczyła czoło.

- Czy nie potrzebujesz tych pieniędzy na kupno bydła albo na coś takiego?

- O tej porze roku ranczerzy sprzedają bydło. Kupujemy na wiosnę.

- Skoro jesteś bogaty, to szkoda, że nie kupiłam sobie pióra albo sztucznego kwiatu do wpięcia we włosy - powiedziała, ukradkiem przyglądając się gościom przy innych stolikach. - Kobieta w sklepie powiedziała, że będę potrzebowała również kolczyków, ale nie chciałam, żeby było za drogo.

- I bez nich ładnie wyglądasz.

Low Down wiedziała, że nigdy nie będzie pięknością i nie będzie przyciągać uwagi wyglądem albo manierami. Ale gdyby cztery dni temu wyglądała tak jak teraz, na pewno nie brakowałoby ochotników, którzy chcieliby zostać ojcem jej dziecka.

- Wcale tak nie myślisz - odparła, błagając Maksa wzrokiem, by dodał jej pewności siebie.

- Tak myślę - odparł sztywno, zaniepokojony tokiem tej rozmowy. Uznał, że łatwiej się z nią dogadać, kiedy jest zadziorna i twardo stoi na swoim. Niepewność i zagubienie nie pasowały mu do kobiety, która przeklina, kopie, wrzeszczy, która siłą obudziła w nim wolę przeżycia ospy. Nie miał najmniejszej ochoty głębiej poznać jej charakteru.

Położywszy serwetkę przy talerzu, zerknął ku drzwiom.

- Chcesz iść na spacer? Na tej wysokości jest cieplej niż w Piney Creek, a mamy pogodny wieczór. Moglibyśmy wybrać się na Broadway, popatrzeć na elektryczne oświetlenie. - Nie wykazała entuzjazmu, więc zmienił propozycję. - A może chciałabyś wypić jeszcze filiżankę kawy? Możemy posiedzieć tutaj i posłuchać muzyki. Albo wziąć kawę do holu.

Oparła się łokciami o stół i przechyliła głowę, by wskazać nią kwartet smyczkowy w głębi sali.

- Ta muzyka nie jest zbyt skoczna.

- Skoczna muzyka podobno nie sprzyja trawieniu.

- A co do spaceru... - Zawahała się. a potem dokończyła bardzo szybko: - Prawdę mówiąc, jeśli ci to nie przeszkadza, chciałabym, żebyśmy wreszcie załatwili sprawę z dzieckiem. - Policzki zapłonęły jej rumieńcem. - Im dłużej to odkładamy, tym gorzej jest mi z myślą o tym wszystkim. Po mojemu dziś wieczorem mamy dobrą okazję. Nie wiem, kiedy znowu tak będę wyglądać.

Naturalnie miał świadomość, że ta chwila nieuchronnie się zbliża. Nie mógł odsuwać jej w nieskończoność. Zresztą w pewnym sensie sam obiecał, że tego wieczoru pierwszy raz spróbują spełnić jej pragnienie. I nagle poczuł się tak, jakby byli przy tym obecni wszyscy mężczyźni z Piney Creek. Dreszcz przebiegł po jego plecach, wydało mu się bowiem, że gdyby się odwrócił, zobaczyłby za sobą chłopców, którzy czekają na jego właściwą odpowiedź.

- No, moglibyśmy - powiedział niechętnie, poprawiając sobie kołnierzyk.
- To dobrze! - Low Down uśmiechnęła się z ulgą i przez chwilę wyglądała prawie ładnie. - Chodźmy więc do pokoju.

Tym razem, gdy przechodzili przez hol i wspinali się na schody, Max był zadowolony, że jego towarzyszka ma spuszczoną głowę i wzrok wbity w podłogę. Nie chciał, by zauważyła jego ociąganie, chociaż zapewne wcale się nie łudziła, że będzie mu spieszno do zrobienia jej dziecka.

Pierwsze, co zrobił w apartamencie, to podszedł do barku na kółkach i nalał sobie dużą whisky. Zapach mydła i nafty był znakiem, że Low Down jest tuż za nim.

- Ja też chcę.

Dał jej pierwszą szklaneczkę trunku, a sobie nalał następną. Low Down stuknęła się z nim szklaneczkami.

- Mam nadzieję, że od pierwszego razu nam się uda. - Wypiwszy połowę whisky, cofnęła się i sposepniała. - Jak chcesz to zrobić?

Tego wieczoru wiele razy musiał odchrząkiwać, szczególnie w ciągu ostatniej godziny.

- Może pójdziesz do sypialni i się przygotujesz - zaproponował niepewnie, obracając w dłoni szklaneczkę. - Ja przyjdę za kilka minut.

- Chcesz powiedzieć, że powinnam uwolnić się od tej frymuśnej sukni, żebyśmy nie tracili czasu? Zgoda. - Zderzyli się ramionami, bo oboje odwrócili się do barku. Low Down odskoczyła, jakby Max ją oparzył. On odsunął się na bok, żeby mogła nalać sobie jeszcze jedną whisky. - Czy mogę ci zaufać, że nie usiądziesz na żadnym z tych krzeseł, w czasie gdy pójde do drugiego pokoju?

Nie była to chwila na spory o siadanie na krześle. Max skinął więc głową i nalał sobie do pełna trunku.

- Nie smakowała mi ta sherry - powiedziała Low Down, idąc ze szklaneczką whisky w stronę sypialni. Przy drzwiach wyprostowała się i odwróciła do Maksa. - Chcę ci coś powiedzieć, zanim zaczniemy.

Nie mogło być inaczej, pomyślał i westchnął. Dla tej kobiety milczenie nie jest cnotą.

- Po pierwsze chcę ci podziękować za to, że poważnie traktujesz swój obowiązek i chcesz wywiązać się z tego, co obiecałeś chłopcom i mnie.

- Czy musimy o tym rozmawiać? - Nawet z drugiego końca pokoju w przyćmionym świetle zauważył, że drżą jej ręce.

- Powiedziałam ci już, że robiłam to dawno, dawno temu. Nie podobało mi się i nie byłam w tym dobra, więc nie oczekuj zbyt wiele. Po prostu zrób, co masz zrobić, i nie mitręż czasu.

Odruchowo usiadł na otomanie i założył nogę na nogę.

- Do diabła, Low Down. Nie pierwszy raz jestem z kobietą. Nie potrzebuję pouczeń.

- Wiedziała, że w tym nie mogę ci zaufać! Wiedziała, że usiądziesz! - Zmrużyła oczy i pierwszy raz skojarzyła mu się z kobietą, która pielęgnowała go w szkole w Piney Creek. - A co do drugiej sprawy, to mówię tylko tyle, żebyśmy to zrobili i mieli jak najszybciej z głowy. - Obróciła się na pięcie i z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi sypialni, zdażyła jednak jeszcze przesłać Maksowi gniewne spojrzenie i mruknąć coś o tym, że jeśli wyrzucą ich z hotelu, to przez niego.

Nigdy w życiu nie miał mniejszej ochoty na kobietę.

Podszedł do okna i rozsunał draperie, żeby spojrzeć na rząd młodych drzew, rosnących wzdłuż Czternastej ulicy. Zobaczył światła powozów, które przesunęły się pod oknem i znikły.

Gdyby jego życie toczyło się zgodnie z planem, za kilka dni zostałby mężem Philadelphii. Tymczasem miał za chwilę znaleźć się w łóżku z inną kobietą. Uniósł do ust szklaneczkę whisky, a drugą ręką ujął zieloną kulkę w kieszeni. Nic z tego, co robił, nie wydawało mu się ani słuszne, ani honorowe.

- Max? Jestem gotowa.

Odwróciwszy się od okna, zobaczył jeszcze rąbek koszuli nocnej, a potem usłyszał skrzyp sprężyn łóżka.

Z ponurą miną dopił whisky i wytarł dłonie o spodnie. Brakowało jeszcze tylko tego, żeby w krytycznej chwili okazał się niezdolny do czynu. Liczył jednak na to, że jego ciało nie będzie nic wiedzieć o niechęci ducha. Ani o tym, że myśl o najbliższych minutach wprawia go w nie mniejsze zakłopotanie niż Low Down.

Na szczęście chłopcy z Piney Creek popchnęli go naprzód, więc przestąpił próg sypialni. Low Down spuściła żaluzje w oknach, zaciągnęła draperie i zgasiła światło. Nie widział prawie niczego.

Może tak było najlepiej. Przez drzwi wpadało trochę światła z salonu, głębiej panował jednak gęsty mrok. Max zdjął surdut, kamizelkę, rozpiął koszulę i wyciągnął spinki z mankietów, po czym rozejrzał się po pokoju.

- Toaletka jest za tobą.

A więc patrzyła na niego. Zmarszczywszy czoło, odłożył spinki na toaletkę i zerknął w stronę łóżka. W mroku zauważył jednak tylko bledszą plamę, która równie dobrze mogła być pościelą, jak koszulą nocną Low Down. Widziała go już nago, kiedy był chory, więc nie mógł zrozumieć, co onieśmielającego jest w tym, że się przy niej rozbiera, ale coś jednak musiało być. Zanim podszedł do łóżka, zdjął jeszcze krawat i spodnie, postanowił jednak zostawić koszulę.

- Niech to szlag trafi! - Zaczął skakać na jednej nodze, głośno przeklinając i trzymając się za palce drugiej nogi.

- Co się stało?

- Zawadziłem dużym palcem o nogę łóżka - syknął. Natychmiast przypomniał mu się kaznodzieja Jellison, który przepowiadał karę boską, jeśli chłopcy nie odwdzięczą się Low Down, jak należy. Piekący palec był dla Maksa ostrzeżeniem.

Dokuśtykał jakoś do krawędzi łóżka i ciężko usiadł, by rozmasować sobie stopę. Żałował, że nie jest setki kilometrów stąd. Wreszcie odchylił pościel, poprawił poduszkę i usiadł oparty o wezglowie. Skulona Low Down leżała plecami do niego.

- Nie zdejmę koszuli nocnej, więc jeśli na to czekasz, to daj spokój - oznajmiła stłumionym głosem.

Nakryła się tak, że teraz widział już tylko czubek jej głowy.

- Czy zamierzasz choć trochę pomóc w tym, co mamy zrobić? - spytał rozdrażniony. Byłoby o wiele bardziej na miejscu, gdyby rozpuściła sobie włosy, nie upierała się, że nie zdejmie koszuli, i gdyby przynajmniej odwróciła się do niego twarzą.

Czekał na odpowiedź bardzo długo i nawet zaczął już łudzić się nadzieją, że Low Down zasnęła. Ale nie.

- Po co ci pomoc? Nie możesz tego po prostu zrobić?

- Wbrew poglądom niektórych kobiet mężczyzna potrzebuje trochę zachęty, żeby wszystko szło, jak należy. - Tył kobiecej głowy na pewno nie był najbardziej pociągającym widokiem.

- Jakiego rodzaju pomoc masz na myśli? - dobiegło go następne stłumione pytanie.

- Mnie się widzi, że to mitrężenie czasu.

- Diabelnie mi przykro, ale do posuwania trzeba się trochę przygotować. A jeśli widzisz w tym mitrężenie czasu, trudno, nic na to nie poradzę! - Złością na pewno nie mógł polepszyć sytuacji. Zaczerpnął więc tchu, zazgrzytał zębami, wsunął się pod kołdrę, zawahał się, a potem objął Low Down. Wydała sykliwy dźwięk, a Maks poczuł intensywny zapach whisky i nafty.

Dobrze, że przynajmniej ciepło jej pośladków wyraźnie go ożywiło.

- Pomogłoby, gdybyś spróbowała się odprężyć - powiedział, trzymając nos przy jej karku. Na szczęście włosy nie pachniały naftą; roztaczały woń mydła i czystości.

- Jak mam się odprężyć? - spytała i dalej leżała sztywno jak kij. - Nie wiem, co dalej zamierzasz.

On też nie wiedział, póki nie usłyszał swojej odpowiedzi.

- Zamierzam włożyć rękę pod koszulę nocną i dotknąć twojego ciała. Potraktuj to jak przygotowanie, nie jak mitrężenie czasu.

Położył dłoń na jej udzie okrytym koszulą, chwilę trzymał ją nieruchomo, żeby Low Down przyzwyczaiła się do jego dotyku, a potem zaczął palcami zbierać materiał koszuli, mając nadzieję, że to wprawi ich oboje w odpowiedni nastrój. Ciągnął i ciągnął, wreszcie między jego dłonią a klatką piersiową znalazł się solidny zwój tkaniny. Do diabła!

- Co to za rozmiar? - Koszula nie miała końca; nie mógł znaleźć rąbka, chociaż bardzo się starał.

- Największa była najtańsza.

Odrzucił na bok pościel i zamrugał, starając się określić ogrom czekającego go zadania. Zorientował się, że koszula nocna Low Down jest prawie gigantycznym namiotem ze sznurówką ciasno zawiązaną pod szyją.

- Tu musi być ze dwadzieścia metrów materiału - jęknął. Nigdy w życiu nie widział tak olbrzymiej koszuli i nie przypuszczał, że coś takiego może istnieć.

Low Down przetoczyła się na plecy i westchnęła.

- Widzę, że rzeczywiście muszę ci pomóc, bo inaczej nigdy nie będzie temu końca.

- Dzięki Bogu. Mała pomoc na pewno się przyda - przyznał. - Czy mogłabyś zacząć od zdjęcia tej przeklętej szmaty?

- Nie - odparła stanowczo. - Wracajmy pod kołdrę.

Jej upór w sprawie koszuli oznaczał dla Maksa konieczność pracy po omacku. Cóż, skoro nie miał innego wyjścia, to trudno. Gdy z powrotem położył się obok niej, poczuł, że Low Down podciąga koszulę, i podziękował niebiosom, że zesłały mu drobną pomoc. Wreszcie przekręciła się na bok i tak jakby poruszyła biodrami, co Max zinterpretował jako zaproszenie do ponownej próby.

Tym razem przytulił się do nagich pośladków, a jego reakcja na ciepło i zetknięcie dwóch ciał była natychmiastowa, mimo że przy taliu Low Down kłębiły się metry materiału. Zamknął oczy i ostrożnie przesunął dłoń po nagim biodrze, zaskoczony gładkością skóry. Stopniowo przesunął dłoń coraz wyżej, aż wreszcie wsunął ją pod tę przeklętą koszulę i dotarł w swej wędrówce prawie do piersi.

- Mam wrażenie, że mitręzysz czas - szepnęła Low Down bez tchu. Nie odsunęła jednak jego ręki, chociaż dał jej taką możliwość.

Skoro nie napotkał sprzeciwu, mógł dalej poznawać jej ciało. Zdziwiło go, jak mógł kiedykolwiek pomyśleć, że Low Down jest walcem. Biodra miała szerokie, ale talię wąską, a piersi jędrne i duże. Ujął w dłoń miękki, ciepły wzgórek i wtedy Low Down drgnęła. Wolałby obejrzeć choćby skrawek jej ciała, ale skoro nie mógł, to zaczął lekko trącać palcami sutkę, póki nie urosła i nie stwardniała. Wtedy wrócił niżej i wsunął dłoń między nogi. Po chwili Low Down wydała zduszony dźwięk i odsunęła jego rękę.

- Dość mitrężenia czasu - oświadczyła, przekręcając się na plecy.

Nawet gdy uniósł się nad nią, nie mógł pozbyć się uczucia, że kocha się z koszulą nocną, a nie z kobietą. Zdecydowanie wolałby mieć ją nagą. Tak czy owak odsunął na bok połę swojej koszuli, potem kłęb materiału, spoczywający na udach Low Down, i wreszcie znalazł się w jej wnętrzu. Natychmiast jednak znieruchomiał, bo raptownie zeszywniała.

- Co się stało? - spytał schrypniętym głosem. - Czy sprawiam ci ból?



- Nie, tylko nie wiem, co zrobić z kolanami - odszepnęła. Oczy Maksa przyzwyczyły się już do ciemności, zauważył więc, że Low Down mu się przygląda.

- I nie wiem, gdzie położyć ręce i czy zamknąć oczy - dodała.

- Mówiłaś, zdaje się, że już to kiedyś robiłaś.

- Ale mówiłam też, że nie byłam w tym dobra.

- Unieś kolana. - Na czoło wystąpiły mu kropelki potu, a w duchu gratulował sobie opanowania. Że też potrafił jeszcze w tej sytuacji tłumaczyć jej, co należy robić. - Ręce połóż mi na ramionach. A z oczami radź sobie, jak chcesz.

- Masz rację. Tak jest o wiele wygodniej - przyznała zdyszonym szeptem, gdy uniosła kolana. - Możesz robić swoje.

- Jesteś tego pewna? Czy nie ma nic więcej, o czym chciałabyś porozmawiać w tej chwili?

- Jeśli nie będzie cię to krępować, to chcę popatrzeć. Krępowało go to. W istocie nie mógł osiągnąć właściwego rytmu, póki Low Down nie odwróciła głowy na bok. Dopiero wtedy gwałtownie przyspieszył ruchy, korzystając z tego, że nie jest obserwowany. W końcu jednak przestał się czymkolwiek przejmować, porwany niepohamowaną siłą, stojącą za tym rytuałem.

Potem leżał obok Low Down w ciemności, wyrównywał oddech i czuł się dziwnie niezaspokojony.

- Max? Dziękuję - powiedziała cicho, z głową odwróconą w bok. - To był wspaniały dzień, najcudowniejszy dzień w moim życiu. Nigdy nie zapomnę z niego ani jednego szczegółu.

Max odrzucił pościel na bok, wstał, znalazł surdut i wyjął z kieszeni cygarnicę. W błysku zapałki spostrzegł, że ciemne włosy Low Down nie są już spięte szpilkami, lecz rozsypały się we wszystkie strony na poduszce. Z irytacją machnął ręką, żeby zgasić zapałkę.

- Czy masz coś przeciwko temu, że zapalę? - spytał, wracając do łóżka. Ponieważ i tak już zapalił cygaro, pytanie było bez znaczenia.

- Lubię zapach cygar - odszepnęła sennie.

Oparłszy poduszkę o wezglowie, Max w milczeniu palił cygaro, myślał o tym, co stało się przed chwilą, i próbował zrozumieć, dlaczego jest zły. Nie było to trudne. Zdradził kobietę, która jeszcze nie wiedziała, że nie zostanie jego żoną, kobietę, której zamierzał dochować wierności do końca życia. Miał straszne wyrzuty sumienia.

Z ponurą miną doszedł do wniosku, że i z Low Down nie spisał się jak należy. Spełnił swój obowiązek i kropka. Nie pocałował jej, nie okazał ani krzty czułości. Pieszczot było akurat tyle, żeby mogła go przyjąć. I w ogóle nie zadbał o jej przyjemność ani o zaspokojenie. Nie tak mężczyzna wyraża wdzięczność za uratowanie życia. Tak się wyładowuje, kiedy płaci za tę przyjemność.

Spuścił głowę, potarł nasadę nosa i jeszcze przez ponad dwadzieścia minut nurzał się w żalu.

Low Down.

Nagle poderwał głowę i spojrzał na śpiącą obok siebie postać.

Był mężem tej kobiety od czterech dni, właśnie się z nią kochał, a nawet nie wiedział, jak się naprawdę nazywa.

Wstrząśnięty tą konstatacją, chwycił ją za ramię i mocno potrząsnął.

- Zbudź się.

Natychmiast usiadła wyprostowana i sięgnęła ręką do talii, gdzie normalnie trzymała kolta za pasem.

- O co chodzi? Co się stało? - Chciała zerwać się z łóżka. - Czy wyrzucają nas z hotelu?

Max chwycił ją za ramię.

- Nic się nie stało. Przepraszam, że cię zbudziłem, ale muszę się czegoś dowiedzieć. Nie mogę z tym czekać do rana. Powiedz mi, jak się naprawdę nazywasz.

- Zbudziłeś mnie, żeby o to spytać? - Po chwili roześmiała się i uspokojona położyła z powrotem. - Louise Downe.

- Jak to się stało, że z Louise Downe zrobiła się Low Down? - W chwili gdy zadał to pytanie, zorientował się, że wcale nie chce znać odpowiedzi.

- Pamiętasz, jak opowiadałam ci o pani Olson? - Ziewnęła, zakrywając dłonią usta.

- Kiedy byłam mała, ciągle na mnie krzyczała. Powtarzała mi, że do niczego się nie nadaję i jestem beznadziejna, więc w końcu wbiłam sobie do głowy, że jestem Low Down. I tak...

- Nie chcę tego dłużej słuchać - oświadczył Max i rozłożył ramiona. - Chodź do mnie.

- Co?

Nie mógł wiele zrobić, żeby wynagrodzić jej swoje niedawne zachowanie, które w najlepszym razie można było nazwać niedbałym, postanowił jednak zakończyć ich zespolenie bardziej honorowo, niż przewracając się na drugi bok, jakby zapłacił jej za usługę.

Gdy ułożył sobie głowę Low Down na ramieniu, wyczuł, że ją skonsternował. W końcu jednak rozluźniła się; jej piękne piersi zaczęły poruszać się miarowo, zrozumiał więc, że zasnęła.

Dokończył palić cygaro, a w głowie znów miał kotłowaną ponurych myśli. Philadelphia. Jego lato w górach. Ranczo. Czas spędzony w szkole zamienionej na szpital, kiedy myślał, że umrze. I kobieta w jego ramionach, obca, chociaż żona.

Nie było dla niego ucieczki od tego galimatiasu. Nie było sposobu ułożenia spraw z Philadelphia i jej ojcem. Nie umiał uchronić swojej rodziny przed skandalem. Tego

wieczoru razem z Low Down przypieczętowali nieszczęście, dając początek małżeństwu, którego żadne z nich nie chciało.

Ale za to spełnił obowiązek. Kaznodzieja Jellison i chłopcy z Piney Creek na pewno pękają ze śmiechu.

scandalous

Low Down zaczepiła spódnicą o drzazgę na chropowatym siedzeniu wozu, gdy obróciła się, by ostatni raz zerknąć na hotel Belle Mark. Przyjechała tam zaledwie wczoraj, ale wyjeżdżała jako ktoś zupełnie odmieniony. Odmienił się jej wygląd, samopoczucie, a może nawet była w odmiennym stanie. Na tę myśl żywiej zabiło jej serce. Ponieważ jednak powszechnie wiadomo, że nadzieja jest matką głupich, więc lepiej było przesadnie się nie ludzić. Wszystko i tak miało się okazać.

Gdy Max skierował konie na północ, a markiza w zielono-białe paski znikła im z oczu, Low Down skupiła uwagę na rzeczach zapakowanych na wóz.

- To są przede wszystkim zapasy i różne przedmioty potrzebne na ranczu - wyjaśnił Max. - I kilka podarków dla rodziny.

- Jakie masz podarki? - zainteresowała się i z niepokojem wygładziła spódnicę, a potem sprawdziła, czy nie zgubiła szpilki, przypinającej kapelusz do włosów. Człowiek ma tylko jedną szansę zrobienia na kimś dobrego pierwszego wrażenia, a Low Down bardzo chciała zostać zaakceptowana przez rodzinę Maksa. Tylko właściwie dlaczego mieliby ją zaakceptować?

Max obrócił się, żeby zobaczyć, czy za wozem nadążają Rebeka i Marva Lee, przywiązane z tyłu.

- Dla męża Gilly, Dave'a, kupiłem nowe struny do gitary i wstążkę do kapelusza. Mój brat Wally dostanie srebrną klamrę do pasa i książkę z planami domów na wypadek, gdyby któregoś dnia postanowił zbudować coś dla siebie. Bele materiału są dla Gilly i mojej matki.

- Jaki materiał wybrałeś?
- Aksamit.

Low Down gwizdnęła.

- Kurde! To musiało kosztować majątek! - Gdy Max odwrócił się do niej z marsową miną, uniosła ręce. - Przepraszam. Ale i tak przeklinam mniej niż dawniej. - Niełatwo pracować nad sobą. Przyzwyczajenie jest drugą naturą. - Co jeszcze kupiłeś?

- Nowe księgi rachunkowe dla mamy. - Max patrzył w koleiny przed zaprzęgiem.

Z tego, co się dowiedziała, Low Down mogła trochę poznać swoją nową rodzinę.

- A co kupiłeś dla Gilly i jej córki? - Gilly i Sunshine interesowały ją najbardziej, ponieważ Max trochę jej o nich opowiedział.

- Dla Sunshine mam lalkę, a dla Gilly koronkowe chusteczki do nosa i nuty.

- Nuty? - Rozmyślała przez dłuższy czas, wreszcie postanowiła się zwierzyć. - Ja też zbieram różne śpiewniki.

Uniósł brwi, wyraźnie zaskoczony.

- Czyli pianino wcale nie było takim dziwnym pomysłem, jak się nam zdawało?
- Nie umiem grać na pianinie, po prostu zbieram śpiewniki.
- Po co?

- Bo lubię różne historie. - Low Down cieszyła się, kiedy mogła czymś go zaskoczyć, tym razem jednak poczuła się niepewnie. - Weźmy na przykład tę piosenkę o zegarze dziadka. Przestał tykać, kiedy staruszek umarł. - Spojrzała Maksowi w oczy, niebieskie jak najczystsze niebo. A ponieważ zaszła tak daleko, brnęła dalej. - Czy dla ciebie nie jest to smutne i wzruszające?

- Chyba nigdy nie zastanawiałem się nad słowami piosenek.

- Albo „A kysz! zmykaj, nie dręcz mnie”. To jest dla odmiany śmieszne. Te historie z piosenek są krótkie, ale dają dużo do myślenia. Wiele razy zastanawiałam się nad tym, jak ten staruszek mógł umrzeć i dlaczego zegar stanął. Albo na przykład „Srebrne nici na złotej osnowie”. Myśli się potem o upływie czasu i o tym, czy zdążyło się zrobić wszystko, co się chciało. To z powodu tej piosenki zaczęłam się zastanawiać, czy kiedykolwiek będę miała dziecko.

Urwała. Żadne z nich nie wspomniało dotąd o ostatniej nocy, a Low Down uważała, że nie powinni tego robić. Są rzeczy, o których się mówi, i takie, o których się milczy, a to, co zaszło między nimi w sypialni, należało do tych drugich. Max spełnił swój obowiązek, i to było ważne. Teraz musieli poczekać i przekonać się, czy nie będzie musiał zrobić tego jeszcze raz.

Kątem oka zerknęła na jego profil, a potem pociągnęła za palce rękawiczki, żeby ułożyły się wygodniej. To dziwne, ale nagle poczuła się nieswojo, bo zaczęła rozmyślać o ostatniej nocy. Łatwo było o tym nie mówić, ale co innego nie myśleć. Zdawało się, że prawie wszystko dookoła przypomina jej jakiś szczegół tej nocy. Dłonie Maksa zaciśnięte w pewien sposób na wodzach. Ucisk gorsetu odbierający jej dech. Zapach mydła do golenia, który co pewien czas do niej dolatywał.

Pokręciła głową.

- Właśnie dlatego zbieram śpiewniki. Lubię czytać historie, a potem o nich rozmyślać.

- Jeśli lubisz różne historie, to dlaczego nie czytasz książek?

- Ho, ho, dobre sobie! - Plasnęła się w udo i roześmiała. - Po pierwsze, książki są za drogie. A po drugie, co byś sobie pomyślał, gdybyś zobaczył kogoś takiego jak mnie z książką? Na pewno, że zadzieram nosa. Nie, nie, śpiewniki mi wystarczą. Lubię je. - A od chłopców z Piney Creek dostała nowy, którego jeszcze nie przeczytała. Czekala ją więc prawdziwa uczta. Może zresztą, jeśli uda jej się zaprzyjaźnić z Gilly, ta zechce się z nią wymienić na jakieś książki.

Max przetarł oczy i znów oburącz ujął wodze.

- Mamy dzisiaj ładny dzień - zauważyła Low Down jakieś dwa kilometry dalej.

- Na to wygląda.

Na zachodzie rysowały się postrzępione granie Gór Skalistych. Niektóre szczyty miały już śnieżne czapy, ale tu, na równinie, dopiero pojawiały się pierwsze odcienie jesieni. Trawa spłowiła, Low Down dostrzegła też kilka pożółkłych liści na topolach, których kępy mijali. Przejeżdżali też obok ludzi sprzątających siano, niedługo zaś należało się spodziewać, że ranczerzy pogonią bydło na zimowe pastwiska.

- Z każdym obrotem kół jestem coraz bardziej zdenerwowana - przyznała Low Down po dłuższym milczeniu. Bardzo się niepokoiła, czy rodzina Maksa pogodzi się z jej obecnością przez ten krótki czas, który mieli spędzić razem. Naturalnie było to bez znaczenia i w gruncie rzeczy jej nie obchodziło.

- Przestań się martwić - poradził.

Nie było to takie proste. A jeśli najbliżsi Maksa znienawidzą ją od pierwszej chwili? Bądź co bądź, to ona zniweczyła jego małżeńskie plany.

- Do diabła! - Wyciągnęła rękę i chwyciła Maksa za ramię. - Przepraszam. Zapomniałam o dzisiejszym wieczorze. Masz się spotkać z Philadelfią i jej ojcem. - Patrzyła na niego, a pod palcami czuła napięte mięśnie. Musiał obawiać się tej chwili tak samo jak ona spotkania z jego rodziną. Nie, nawet bardziej. - Max, chciałabym...

- Low... Louise, nie chcę o tym rozmawiać.

Louise? Nagle przypomniała sobie, jak ją zbudził, żeby zapytać o imię. A potem ją objął. Zawstydzila się. Musiała odwrócić głowę i udawać, że zajmuje ją wygładzanie spódnicy, poprawianie kapelusza i rękawiczek.

- Czy twoja rodzina lubi Philadelfię? - Była wściekła na siebie, że zadaje takie głupie pytania. - Pewnie tak - odpowiedziała sobie sama, gdy Max milczał.

- Czy musimy rozmawiać? Mam w tej chwili same kłopoty na głowie. Muszę pomyśleć.

- O tym, co powiesz panie Houser i jej ojcu. Rozumiem. Milczenie jest złotem. - Wykonała taki gest, jakby zamknęła usta na kłódkę i wyrzuciła klucz.

Przez następną godzinę żadne z nich się nie odezwało. Low Down przyglądała się polom, drzewom, strumieniom i odległym górcom. Manipulowała nerwowo przy spódnicy, kapeluszu, rękawiczkach i torebce. Jeszcze raz zasznurowała sobie trzewiki. Wozem rzucało, więc kołysała się na siedzeniu, od czasu do czasu zawadzając o ramię lub udo Maksa. Podróż wydawała się ciągnąć w nieskończoność.

- Jak daleko jeszcze? - Spostrzegła przed nimi domy i miała nadzieję, że to już Fort Houser, miasteczko nazwane tak na cześć jego założyciela, dziadka Philadelphii. Max zapewne nie przypuszczał, że opowiadanie o wybitnej rodzinie Houserów zostanie jej w głowie, a jednak wiele z niego zapamiętała.

- To już Fort Houser - potwierdził jej domysły. - Ominiemy miasto i pojedziemy prosto na ranczo.



Taki plan wydał jej się rozsądny. Max na pewno nie chciał, żeby Philadelphia dowiedziała się z plotek, że narzeczony wrócił w towarzystwie innej kobiety. Musiał jej to osobiście powiedzieć.

- Będziemy w domu za niecałą godzinę.

W domu. U prawdziwej rodziny. Boże, od lat nie była taka zdenerwowana.

- Wszystko mi jedno, czy mnie polubią, czy nie. - Położyła sobie rękę na brzuchu i zaczęła wypatrywać zabudowań rancza wśród topól i wierzb. - To zresztą nie potrwa długo. Prawdopodobnie już jestem w ciąży.

- Byłoby dobrze - wycodził przez zęby Max.

On również wyprostował się. Pewnie wolałby nie wracać do rodziny w jej towarzystwie. Ale im więcej Low Down myślała o tym, że Max się jej wstydzi, w tym większą wpadała złość. Przecież nie prosiła się o takie komplikacje. To nie jej wina, że nie potrafi spełnić wygórowanych oczekiwań rodziny McCordów.

Obróciła się w bok i skupiła wzrok na kosztownym nowym kapeluszu Maksa, potem przyjrzała się lśniącej skórzanej kurtce. Założyłaby się o każdą sumę, że nikt z McCordów nigdy nie położył się spać głodny ani nie napy chał starych butów gazetami, żeby były cieplejsze.

- Przykro mi, że nie jestem pięknością z ciepłych krajów, wystrojoną w aksamity, i nie będę mogła dogodzić twojej wybrednej rodzinie. Ale mam też swoje dobre strony! Poza tym pamiętaj, że to nie ja nalegałam na małżeństwo i nie ja cię wybrałam! - Znow usiadła wyprostowana, skrzyżowała ręce na piersi i wbiła wzrok w drogę.

- O czym ty mówisz, do pioruna?

Jego spojrzenie niemal dosłownie parzyło ją w policzek.

- Nie idzie mnie winić za to, że nie mam dziadka założyciela miasta. I że nie umiem grać na fortepianie.

- Louise...

- Jestem, kim jestem, i prędzej piorun mnie strzeli, niż będę za to przepraszać! Nic mnie nie obchodzi, co twoja rodzina o mnie pomyśli. - Jak zawsze na ratunek przyszło jej przysłowie. - Każdy musi pilnować swojego nosa. Ja też do tej pory tak robiłam. - Wpędzała się w coraz większą złość. - Nie potrzebuję ciebie ani twojej wybrednej rodziny.

- Ty może rodziny nie potrzebujesz - odparł Max z rezygnacją w głosie - ale rodzina tam stoi, wszyscy czekają na ciebie na ganku. Widocznie ktoś zauważył, że nadjeżdżamy.

- Co? - Poderwała głowę i stwierdziła, że zbliżają się do dużego piętrowego domu z licznymi zabudowaniami gospodarskimi z tyłu. Olbrzymi wiaź ocieniał werandę, która biegła wzdłuż frontu domu jak koronka na sukni.

Wzrok Low Down przesunął się w górę, na drewniane ozdoby okapu. Popatrzyła też na świeżo malowane zielone okiennice, a potem głęboko zaczerpnęła tchu i zmusiła się do

spojrzenia na ludzi stojących na werandzie. Gdy wóz skręcił na podwórze, oni również na nią spojrzeli.

Zgodnie z jej przewidywaniami McCordowie wyglądali jak malowanie i robili nie mniejsze wrażenie niż ich dom. Gilly, drobna, urodziwa i elegancka, miała obok siebie przystojnego ciemnowłosego mężczyznę, który musiał być jej mężem, Dave'em Weaverem. Między nimi stała miniatura Gilly, trzymająca matkę za rękę. Natomiast na lewo od nich Low Down zobaczyła nieco niższą i mniej surową wersję Maksa. To musiał być Wally, jego brat. W pewnym oddaleniu od reszty stała kobieta wyprostowana jak świeca i mimo swych lat przystojna. Z nieprzeniknioną miną przyglądała się, jak „skandal” zajeżdża przed jej drzwi.

Nikt się nie poruszył ani nie odezwał, gdy Low Down zeskoczyła z wozu, bo zapomniała, że Max powinien pomóc jej zsiąść. Szybko uświadomiła sobie, że zachowała się w sposób niegodny damy, i znieruchomiała. Niepewnie zerknęła na całą rodzinę McCordów, która mierzyła ich spojrzeniami. Wally i Dave zerkali ze współczuciem na Maksa. Gilly spoglądała prosto na nią, może z zaciekawieniem, a może z niechęcią?

Max stanął przy niej, gdy matka ruszyła schodami w dół. Pani McCord przez cały czas przeszywała syna spojrzeniem szaro-niebieskim jak lód. Przyjrzała się śladom ospy na jego twarzy, ale pierwsze słowa skierowała do Low Down.

- Jestem Livvy McCord, matka Maksa. A pani musi być... Livvy McCord wydała się Low Down przytłaczająca. Nie ulegało wątpliwości, kto decyduje o wszystkim w tym gospodarstwie, prawdopodobnie od zawsze. To była istna herod-baba. Na wykrochmalonej białej bluzce nie miała ani jednego zagniecenia, podobnie jak na zwyczajnie skrojonej, czarnej spódnicy. I chociaż wietrzyk poruszył różami wspinającymi się po kracie na werandę, ani jeden kosmyk szpakowatych włosów pani McCord nie śmiał uciec ze schludnego koka na czubku głowy.

- Mówią na mnie Low Down. - Chociaż przedtem odchrząknęła, jej głos zabrzmiał niewiele głośniejszy od szeptu.

- Nie tutaj - odparła ostro Livvy McCord, marszcząc czoło. - Przecież ma pani imię i nazwisko. Jakie?

- Louise Downe.

Niewiele kobiet dorównywało wzrostem Low Down, toteż matka Maksa sięgała jej tylko do oczu. Mimo to Low Down przysięgłaby, że pani McCord jest od niej wyższa o głowę.

Kobieta ujęła nową synową za rękę, wciąż nie patrząc na Maksa.

- Przede wszystkim chcę z głębi serca podziękować pani za uratowanie życia mojemu synowi. W liście napisał mi, że jako jedyna osoba zgodziła się pani pielęgnować chorych na ospę. Podobno gdyby nie pani, wszyscy by umarli. Czy to prawda?

Low Down znowu odchrząknęła.

- Chyba tak. - Zerknęła na Maksa, który obserwował ludzi zgromadzonych na werandzie. Policzek nerwowo mu drgał.

- Niestety, doszło do bardzo niefortunnej sytuacji - ciągnęła powoli Livvy McCord - i wiele osób będzie cierpieć z tego powodu. Ale uczciwie zasłużyła sobie pani na wdzięczność tych poszukiwaczy złota, jakkolwiek chybione okazało się pani życzenie. A ty - zwróciła się do syna - postąpiłaś słusznie, bez względu na konsekwencje. Żaden mężczyzna ceniący honor nie odmówiłby udziału w losowaniu, skoro wszyscy zgodziliście się, że odwdzięczycie się tej kobiecie za uratowanie życia, dając jej to, czego sobie zażyczy. Nie miałaś wyboru.

Matka i syn popatrzyli po sobie, a potem Max serdecznie ją uściskał. To powitanie wyrwało z odrętwienia ludzi stojących na werandzie i reszta rodziny również zeszła na podwórze.

Low Down poznała Gilly i Dave'a Weaverów, którzy oglądali ją z nieukrywanym zaciekawieniem, lecz bez widocznych uprzedzeń. Ich córka, Sunshine, uśmiechnęła się wstydliwie i zerknęła na nią spod długich ciemnych rzęs. Low Down poznała też Wally'ego, który elegancko skłonił przed nią głowę, a potem po bratersku klepnął Maksa w plecy.

- A jednak - powiedział ze smutnym uśmiechem.

Max odwzajemnił ten uśmiech, po czym objął serdecznie Gilly i Sunshine, a z Dane'em wymienił uścisk dłoni.

Gdy wreszcie powitania dobiegły końca, Livvy McCord wysłała resztę rodziny do domu, a sama została z nowożeńcami.

- Musimy porozmawiać. - Zatrzymała spojrzenie na Low Down. - Przepraszam, że to będzie dość bezceremonialne, ale czas odgrywa tu dużą rolę. Jeśli można znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji, trzeba to zrobić przed rozmową Maksa z panem Houserem dziś wieczorem.

- Tu nie idzie owijać w bawełnę, na pewno się nie obrażę. Diabła z tym, niech pani wali prosto z mostu. - Po wstępnych uprzejmościach stanowczo należało sobie to i owo wyjaśnić.

Livvy McCord przyjrzała się synowej z uwagą, a Low Down uświadomiła sobie, że przed chwilą powiedziała „nie idzie” i „diabła z tym”. Prawdopodobnie nie zrobiła najlepszego wrażenia i to podejrzenie bardzo ją zmartwiło.

- Max opisał mi okoliczności waszego ślubu, więc domyślałam się, że ceremonia odbyła się szybko i bez namysłu. Mam rację?

- Tak, proszę pani. - Low Down postanowiła odwzajemnić się szczerością za szczerość. - Chciałam mieć dziecko, nie męża. Ale wszystko potoczyło się swoją drogą. Ledwo się zorientowałam, i już byliśmy po ślubie. To był pomysł kaznodziei, nie mój. Pewnie nie należy mieć nieślubnych dzieci, ale tego właśnie chciałam.

- Uważam, że rodzenie dziecka poza małżeństwem jest niemoralne i niewłaściwe. - Rysy Livvy McCord jakby trochę złagodniały. - Teraz jednak, skoro rozumiem pani sytuację, mam nadzieję, że zaradzimy bieżącym kłopotom.

- Mamo, temu nie da się zaradzić. - Max zaczepił kciuki obu dłoni o kieszenie spodni i z marsową miną spojrzął na oborę i róg baraku dla kowbojów.

Livvy zerknęła na Maksa, potem znowu na Low Down.

- Pani na pewno wie, że za dziesięć dni Max miał wziąć ślub. - Gdy Low Down skinęła głową, pani McCord nabrała tchu i podjęła wątek: - Zapewne zgodzi się pani ze mną, że nie byłoby uczciwie, gdyby panna Houser całkiem niewinnie została upokorzona i wplątana w skandal.

- Wiele razy powtarzałam Maksowi, żebyśmy udawali, że tego ślubu w ogóle nie było - odrzekła z powagą Low Down. Domyślała się już, dokąd w tej rozmowie zmierza Livvy McCord.

- Wyśmienicie! - Rumieńce wystąpiły na twarz Livvy, a oczy jej pojaśniały. - Wobec tego nie ma pani nic przeciwko temu, żeby rozwiązać małżeństwo między panią a moim synem?

- Nic a nic. - Low Down nie bardzo rozumiała, dlaczego zawahała się z odpowiedzią. Sądziła też, że Max włączy się do rozmowy i powie, że i tak postanowili się rozwieść po tym, jak zajdzie w ciążę. Ale Max tego nie zrobił, więc i ona nie wspomniała o ich umowie.

- Wspaniale. - Livvy zwróciła się teraz do Maksa. - O wiele mniejszym skandalem będzie odłożenie ślubu z panną Houser niż pozostawienie jej samej na dwa kroki przed ołtarzem. Możecie niezwłocznie wyruszyć do Wyoming i wystąpić o rozwód. Przy odrobinie szczęście uda się zachować tę wyprawę w tajemnicy i nikt nigdy nie będzie wiedział o twoim małżeństwie z Louise ani nie pozna prawdziwego powodu przełożenia ślubu z panną Houser.

- Mnie tam nie szkodzi - powiedziała Low Down. Poczula ukłucie żalu, ale przecież nigdy nie zamierzała sprawiać Maksowi kłopotów. Zresztą może już zaszła w ciążę.

Z jej punktu widzenia problem był bliski rozwiązania, dokładnie tak, jak proponowała na samym początku. Ale pani McCord jeszcze nie skończyła.

- Jest wiele bezdomnych dzieci - powiedziała. - Pomogę pani wziąć dziecko w adopcję, a Max dopilnuje, żeby nie brakowało pieniędzy na jego wychowanie.

- To nie jest konieczne - sprzeciwiła się Low Down. Teraz prawdopodobnie przyszła chwila, gdy musiała wyjaśnić, że chce mieć swoje dziecko, a nie cudze.

- To jest absolutnie konieczne - uparła się Livvy. - Obiecano pani dziecko, więc będzie je pani miała. - Przeniosła wzrok na Maksa i nabrała tchu. - Trzeba jeszcze ustalić wiele szczegółów, ale myślę, że znaleźliśmy rozwiązanie, które przynajmniej trochę wyciszy skandal, jeśli tylko pan Houser i jego córka wykażą dobrą wolę, a nie widzę powodu, dla

którego mieliby nie wykazać. Chyba że... - Zawahała się, zaraz jednak znów przybrała pozę osoby zdecydowanej. - Ogromnie mi przykro, że w niewybaczalny sposób mieszam się do waszych intymnych spraw, ale muszę. Jest jedna kwestia, która... Czy istnieje jakakolwiek, najmniejsza nawet możliwość, że Louise jest przy nadziei? Czy... chciałam was spytać, czy...?

Ku swemu zaskoczeniu Low Down poczuła, że zalewa się piekącym rumieńcem. Zauważyła, że również Max spurpurowiał na twarzy. Nawet policzki Livvy McCord pociemniały.

- Tak - odrzekł zduszonym głosem Max.

- Dlatego właśnie jestem gotowa rozwiązać to małżeństwo i wyjechać - dodała Low Down, żeby pokrzepić panią McCord. - Max spełnił swoją powinność, więc chcę mu się odwzajemnić. Mam nadzieję, że chłopcy z Piney Creek byliby zadowoleni, że wywiązał się ze swojej części umowy.

To jednak wcale nie pokrzepiło Livvy McCord, która zrobiła przerażoną minę i opuściła ramiona.

- Tego się obawiałam - powiedziała cicho. - Jeśli istnieje możliwość, że jest pani przy nadziei, nie możemy rozwiązać tego małżeństwa. - Drżącą ręką zasłoniła oczy. - Żaden z moich synów nie opuści kobiety, która może nosić pod sercem jego dziecko. W tej sytuacji rozwód nie wchodzi w grę. - Opuściła rękę i mrugając, spojrzała na Maksa. - Trudno. Widzę, że nie ma sposobu uniknięcia tego, co nadchodzi. - Podciągnęła spódnicę i obróciła się. - Wobec tego możemy wejść do środka i spróbować czekoladowego ciasta, które upiekła Gilly.

- Chwileczkę, pani McCord. - Low Down zrobiła krok w jej stronę. - Mogę być przy nadziei, ale mogę też nie być. Tak czy owak jestem gotowa natychmiast stąd wyjechać, a Max rozwiedzie się ze mną albo będzie udawał, że nigdy nie był żonaty. Naprawdę nigdy nikomu nie chciałam sprawić kłopotu. Zależało mi tylko na dziecku.

Livvy obróciła się, stojąc już na schodkach.

- Wasze małżeństwo zostało skonsumowane, więc jest ważne. Pani jest teraz członkiem tej rodziny, Louise McCord. Nie będziemy więcej rozmawiać ani o rozwodzie, ani o wyjeździe. - Zmrużyła powieki. - Wiadomo, że jak sobie pościelesz, tak się wypiszesz.

Max słusznie przewidział reakcję matki, pomyślała Low Down. Teraz powinna pogodzić się z małżeństwem i przestać myśleć o wyjeździe. Z całej siły zacisnęła dłonie na swojej używanej torebce i zwróciła się do Maksa:

- Przepraszam cię - odezwała się cicho.

- Jak sama powiedziałaś, nie ty włożyłaś w moją dłoń zieloną kulkę. - Max zdjął kapelusz, przeczesał dłonią swoje ciemne kędziory, a potem podał żonie ramię i zaprowadził ją do salonu.

Pokój był tak elegancki, że Low Down szeroko otworzyła oczy ze zdumienia, choć widać było, że używa się go nieczęsto, zapewne tylko przy wyjątkowych okazjach.

Twarze członków rodziny w chwili, gdy Max wprowadzał ją do salonu, były pełne napięcia, Low Down zrozumiała więc, że Livvy McCord oznajmiła przed chwilą nieodwracalność katastrofy. Nie było sposobu, żeby pozbyć się jej, Low Down, z tego domu, nie było sposobu, by uratować pannę Houser, i nie było sposobu, by uniknąć skandalu.

Stojąc przed wygaszonym kominkiem, Livvy poczekała, aż synowa usiądzie na fiołkoworóżowej kanapie z końskiego włosia.

- Witamy panią w rodzinie McCordów - powiedziała w końcu uroczystym tonem. Była uprzejma, lecz chłodna. Wydawała się załamana.

Inni również wybakali słowa powitania. Ale Low Down zdawała sobie sprawę z tego, że Gilly dyskretnie przyjrzała się jej niedopasowanej sukni i zniszczonym trzewikom. Gdy wzrok siostry Maksa padł na jej kapelusz, Low Down odniosła wrażenie, że wargi szwagierki wykrzywił grymas obrzydzenia.

Wally i Dave nieznacznie się skłonili, podejrzewała jednak, że porównują ją szczególnie do Philadelphii Houser. Mogła sobie wyobrazić, jak wypada w tym współzawodnictwie. Jedyłą osobą w rodzinie, która nie wyrobiła sobie jeszcze zdania, wydawała się Sunshine.

- O której masz się spotkać z Houserami? - spytała Livvy syna.
- O piątej.

Low Down zerknęła na zegar na kominku.

- Musisz wyjechać za mniej więcej godzinę. - Livvy potoczyła wzrokiem po zebranych. - Pani McCord uratowała Maksowi życie. Jest teraz jedną z nas i będziemy za nią murem stali. Ta sytuacja jest bardzo niefortunna dla wszystkich, ale nikt tutaj nie zawinił. - Obdarzyła synową przelotnym spojrzeniem.

Low Down fascynował sposób, w jaki Livvy McCord podejmowała decyzje. Wydawało się, że rządzi na ranczu od dawna, a nie dopiero co zdjęła żałobę po mężu. Może zresztą ta poza wynikała stąd, że Livvy McCord była matką i próbowała rozwiązać problemy swoich dzieci. Pierwszy raz Low Down widziała zachowanie troskliwej matki.

- Zjemy ciasto, a potem pomożecie Maksowi rozładować wóz, chłopcy - zaproponowała Livvy i ruszyła w stronę talerzyków i serwetek, przygotowanych na kredensie.

- Kupiłeś mulicę? - spytał Wally brata, gdy miał już na kolanach talerzyk z ciastem. - Czy może to jest własność pani McCord?

Przez chwilę Low Down sądziła, że Wally ma na myśli swoją matkę. Przeżyła drobny wstrząs, gdy stwierdziła, że chodzi o nią.



Rozmowa zeszyła na lato Maksa w Górach Skalistych, potem Max zaczął wypytywać o ranczo. Gdyby nie stężała twarz i wyczuwalne napięcie w pokoju, Low Down byłaby gotowa uznać, że wszyscy zapomnieli o spotkaniu, które go czeka.

Jej myśli podziałały jak sygnał, bo panowie nagle wstali, podziękowali Gilly za ciasto i wyszli za Maksem, by rozładować wóz i zająć się zwierzętami. Low Down żałowała, że nie może im towarzyszyć.

- Przeniesiemy się z kawą do kuchni - powiedziała Livvy, biorąc talerzyki po cieście.

Low Down zerwała się na równe nogi, ale teściowa i szwagierka już wszystko zebrały, więc został jej tylko własny talerzyk. Zaniosła go do przestronnej, dobrze wyposażonej kuchni. Nie chcąc nikomu przeszkadzać, usiadła przy podłużnym stole i starała się nie myśleć o tym, jak głupio wygląda w kapeluszu, podczas gdy Livvy i Gilly mają gołe głowy. I o tym, że ma niedopasowaną suknię. I o gorsecie, który pił ją i pozbawiał tchu.

- Jak ma na imię twój muł? - spytała poważnie Sunshine.
- Rebeka. - Przynajmniej ktoś chciał z nią porozmawiać. - Ile masz lat?
- Pięć. Umiem czytać i napisać swoje imię.

Po zmyciu talerzy Gilly usiadła naprzeciwko Low Down.

- Przepraszam. Mam nadzieję, że nie zrozumie mnie pani niewłaściwie, ale ciągle myślę o Philadelphii, to znaczy o pannie Houser. To będzie dla niej straszny cios. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak czułabym się, gdybym w ostatniej chwili dowiedziała się, że nie będzie mojego ślubu.

Livvy postawiła przed nimi kawę w filiżankach, dała Sunshine szklanekę mleka i usiadła.

- Żal mi Philadelphii, ale bardziej martwię się tym, co robi Howard Houser.
- Och, mam. Tylko nie mów znowu o interesach.
- Bank Housera dał Maksowi kredyt pod zastaw jego ziemi.

Low Down zmarszczyła czoło.

- Nie myśli pani...  
- Mam nadzieję, że niepotrzebnie się martwię. - Livvy zmierzyła wzrokiem suknię i kapelusz Low Down. - Ja i Gilly przygotowaliśmy dla was dom Maksa. Posłaliśmy łóżka, zanieśliśmy tam pościel i jedzenie. Ale myślę, że możecie przenocować tutaj. Wątpię, czy jest pani w nastroju, żeby od razu wszystko organizować. Na pewno jest pani zmęczona.

- Bardzo przepraszam za kłopot - powiedziała Low Down, ani na chwilę nie przestając mieszać kawy. - I przepraszam, że nie idzie porównywać mnie z taką kobietą, jakiej na pewno życzyła sobie pani dla syna. - Była za bardzo zdenerwowana tym, że została sama z Livvy i Gilly, żeby pamiętać o „nie idzie”. - I przykro mi z powodu panny Houser. Cholernie przepraszam za prawie wszystko, co tylko przychodzi pani w tej chwili do głowy. Nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

- Widzę, że pani lubi mówić wprost - odezwała się Livvy, gdy milczenie się przeciągało. - Przyznaję więc, że nie takiego małżeństwa Maksa się spodziewałam. Zresztą która matka myślałaby inaczej? Mężczyzna powinien sam wybrać partnerkę i matkę swoich dzieci, a nie zdawać się na los.

- Pani odczucia muszą być podobne - dodała łagodnym tonem Gilly. - To musi być dość dziwne: mieć męża, o którego wyborze zdecydował los, a nie upodobania. Co za straszna sytuacja dla wszystkich. - W jej turkusowych oczach odbiło się szczere współczucie.

Low Down stłumiła westchnienie. Nigdy nie wiedziała, jak reagować na delikatne i wrażliwe kobiety.

Sunshine klasnęła w dłonie nad szklanką mleka i spojrzała na nową ciocię.

- Czy zrobiłaś coś złego?

- Dlaczego o to pytasz? - zainteresowała się Livvy, marszcząc czoło.

- Bo ciocia Low Down ciągle przeprosza.

- Nie, ciocia nie zrobiła nic złego. I nie nazywa się Low Down. Będziemy ją nazywać Louise i tak o niej myśleć. To się odnosi również do pani - dodała, kierując wzrok na Low Down.

- Trudno mi będzie przyzwyczać się do tego, że jestem Louise. - Znała Livvy McCord zaledwie kilka godzin, a ta kobieta już żądała od niej, żeby się zmieniła. Low Down nie bardzo wiedziała, co o tym sądzić.

- Panowie nieprędko do nas wrócą, więc mogłybyśmy trochę porozmawiać, żeby się lepiej poznać. - Livvy wzięła z kuchni stary dzbanek z poczerniałym dnem i dolała wszystkim kawy. - Naturalnie jesteśmy ciekawe, skąd pani pochodzi, gdzie spędziła pani dzieciństwo, jaką ma pani rodzinę.

Przez jedną wstydlivą chwilę Low Down zastanawiała się, czy nie przemalować swojej przeszłości na różowo. Ale to była jej nowa rodzina i należało im się coś lepszego niż kłamstwa. Mocno ujęła filiżankę, nabrała powietrza do płuc i powiedziała swojej nowej matce i szwagierce o sobie wszystko, bez upiększeń, zaczynając od pociągu z sierotami.

Przy końcu tego opowiadania obie kobiety patrzyły na nią szeroko otwartymi oczami.

Gdy zegar stojący w holu wybił półgodzinę, Livvy i Gilly zamrugały.

- Max musi natychmiast wyjechać do Houserów- cicho powiedziała Gilly.

Ale on już wyjechał, tylko nikomu o tym nie powiedział. Low Down spuściła głowę i wbiła wzrok w złotą obrączkę na palcu. Sądziła, że Max zajrzy do niej przed wyjazdem.

Po chwili uświadomiła sobie, że zachowuje się głupio. Nigdy nie potrzebowała niczyjej opieki i teraz też nie. Znowu skupiła uwagę na Livvy McCord i jej córce, które wpatrywały się w nią tak, jakby nagle wyrosły jej rogi.

Wyprostowała się dumnie, zdołała nawet wcale się uśmiechnąć.

- Wiem, że nie idzie wam się cieszyć z mojego przyjazdu. Ale ja mimo to cieszę się, że mogę być częścią rodziny. Wiele razy zastanawiałam się, jak to jest, kiedy siedzi się w kuchni z mamą, siostrą i siostrzenicą i po prostu się rozmawia. A jest dobrze.

- Czy mogłabyś jeszcze raz opowiedzieć mi o tym Chińczyku i o pralni? - spytała oczarowana Sunshine.

Low Down roześmiała się i opowiedziała część swojej historii jeszcze raz.

scandalous

Jest źle, a będzie jeszcze gorzej, pomyślał Max, przywiązując konia do słupka przed rezydencją Houserów. Nie miał wpływu na to, co miało się stać.

Rano zbudził się z poczuciem winy i żalu. Popelnił kolejny błąd, Kochając się z Louise. Honorowo byłoby poczekać, aż wytłumaczy Philadelphii, że nie może się z nią ożenić.

Gdyby poczekał, to może nawet przyjąłby zaskakującą propozycję matki, żeby natychmiast rozwieść się z Louise. Postawiłby cały swój majątek na to, że matka nigdy i w żadnych okolicznościach nie zaproponuje rozwodu, a jednak się mylił.

Ale gdyby rozwiódł się z Louise, nie dawszy jej dziecka, którego pragnęła, nie mógłby już nigdy myśleć o sobie jak o człowieku honoru. Ilekroć później składałby przyrzeczenie, natychmiast słyszałby głosy chłopców z Piney Creek, krzyczących, że nie można mu ufać i że jego słowo nie jest warte funta kłaków.

Cokolwiek by zrobił, podjąłby złą decyzję i tylko pogorszył sytuację.

Stojąc przy koniu i odwołując chwilę, gdy będzie musiał ruszyć do drzwi, dumał o swojej nieskończonej długiej podróży do Fort Houser. Gdyby wszystko ułożyło się tak, jak zaplanował, przyjechałby na ranczo sam i odebrał radosne powitanie. A tak sprowadził na rodzinę wstyd i w dodatku przywiózł nieodpowiednią żonę.

Był pewien, że McCordowie odniosą się do Louise serdecznie, i tak się stało. Wyczuwał jednak rozczarowanie siostry, widział współczucie w zakłopotanych uśmiechach Wally'ego i Dave'a. Sam słyszał, że matka zaproponowała coś, co stało w sprzeczności z wszystkimi jej przekonaniem.

Wcisnął dłoń do kieszeni i z całej siły zacisnął palce na zielonej kulce. Marszcząc czoło, spojrzał ku domowi Housera i zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie zauważył ruchu zasłon przy drzwiach.

Ostatni raz miał wejść po tych schodkach i pukać do tych drzwi. Ostatni raz Howard Houser nazwie go synem i ciepło uściśnie dłoń. Ostatni raz jego piękna Philadelphia spojrzy na niego turkusowymi oczami, w których błyskają czułe, figlarne iskierki. Ostatni raz uśmiechnie się tylko do niego, a on będzie mógł obejrzeć jej śliczny dołeczek w policzku.

Kulka była małym, nic nieznaczącym przedmiotem, a przecież zniszczyła mu życie. Jak to możliwe? Wydawałoby się, że takiego zniszczenia musi dokonać coś większego i bardziej potężnego.

Gdy uniósł dłoń, by zapukać, drzwi same się otworzyły i powitał go z promiennym uśmiechem Ridley, służący Housera.

- Witam w domu, panie McCord. Jest pan oczekiwany w prywatnym saloniku. - Uśmiechając się szeroko, wziął od gościa kapelusz.

I wtedy Max usłyszał głos Philadelphii.

- Nie wytrzymam już ani minuty dłużej!

Wpadła do sieni w wirze różowych jedwabów i złocistych loków i rzuciła mu się w objęcia, nie dbając o to, że może zgorszyć Ridleya. Tydzień wcześniej Max wybuchnąłby śmiechem i byłby zachwycony jej skandalicznym brakiem cierpliwości. Teraz jednak poczuł tylko, że zaraz pęknie mu serce.

- Och, Max! Dzięki Bogu, że wróciłeś! - Objęła go w pół i spojrzała na niego oczami, w których perliły się łzy. - Kiedy się dowiedziałam, że jesteś ciężko chory, bałam się, że umrzesz. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby tak się stało! Dzięki Bogu, dzięki Bogu! - Uniosła dłoń i delikatnie dotknęła śladów na jego twarzy. Zanim się odwróciła, Max zauważył u niej ciemne rumieńce. - Musisz zobaczyć prezenty ślubne. Cała podłoga w salonie jest zasłana różnymi pięknymi rzeczami. Och, nie, przecież na pewno chcesz najpierw zobaczyć ojca. Chodźmy. Napijemy się sherry i zjemy kolację, a prezenty obejrzymy potem. - Przystanęła i przesłała mu tęskne spojrzenie, którego Max nie potrafił zinterpretować. - Tak wiele mam ci do opowiedzenia. - Z tymi słowami podbiegła do podwójnych drzwi, które prowadziły do prywatnego saloniku państwa Houserów, gdzie czekał na nich ojciec.

W miejscu, gdzie Philadelphia go dotknęła, pozostał słodki różany zapach. Ale takiej Philadelphii Max jeszcze nigdy nie widział. Skakała z tematu na temat, biegała od jednych drzwi do drugich. Naturalnie miała powody do zdenerwowania. Była połowa września. Nie widzieli się od końca maja. A ona na pewno sądziła, że za kilka dni wezmą ślub i nawet nie będą mieli okazji ponownie się do siebie przyzwyczaić. A może chodziło o coś więcej? Przypomniał sobie, że ostatnie listy Philadelphii wydawały mu się dziwnie nienaturalne.

Wolałby być wszędzie, byle nie tutaj, najbardziej na świecie chciał móc jeszcze raz sięgnąć do tamtego przekłętą kapelusza i wylosować gładką kulkę. Ale ponieważ nie mógł, wszedł za Philadelphia do salonu i wymienił uścisk dłoni z Howardem Houserem.

- Witaj w domu, synu. - Howard okraślił pozdrowienie czymś, co Maksowi zawsze wydawało się jowialnym gestem bankiera: ujęciem jego ręki w obie dłonie, któremu towarzyszyło szczere spojrzenie prosto w oczy. - Jesteś opalony i wydajesz się w dobrej formie po tym ostatnim kawalerskim lecie. Siadaj, siadaj. Ridley, przynieś kieliszki i karafkę sherry. Tak, kochanie - zwrócił się do Philadelphii. - Skoro ślub już tak blisko, masz moje pozwolenie, żeby usiąść na sofce razem z panem McCordem. - Puścił oko do Maksa i dodał: - Sądząc po ilości łez i westchnień, przypuszczam, że ktoś za tobą bardzo tęsknił tego lata.

Max wolał nie patrzeć na Philadelphię. Wodził wzrokiem po pokoju, którego miał już nigdy więcej nie zobaczyć, po pokoju, który bardzo lubił. Po śmierci pani Houser znalazły się tutaj wszystkie najbardziej zniszczone i najwygodniejsze meble. Tu, w odróżnieniu od innych pomieszczeń, nikt nie starał się utrzymać jednolitego stylu ani kolorystyki.

Niedopasowane meble oraz niezliczone obrazki i fotografie na ścianach tworzyły zaskakująco zaciszny i przytulny mieszmasz.

- Nie będę nic pił - oznajmił Max i raptownie wstał, gdy Philadelphia usiadła obok niego, a jej spódnica otarła się o jego spodnie. Nie mógł powiedzieć tego, co musiał, czując jej słodki zapach i promieniujące od niej ciepło. Stanął przy wygaszonym kominku, a Philadelphia zrobiła zdziwioną minę.

Nawet z grymasem na twarzy wygląda wyjątkowo pięknie, pomyślał Max. W jej złocistych lokach odbijało się światło i jak nimb otaczało twarz o mlecznej cerze. Różowe kółeczka na policzkach świadczyły o jej zadowoleniu i radości ze spotkania, podobnie jak lśniące oczy, w kącikach których zbierały się łzy. Tak samo lśniły przed jego wyjazdem, podczas ostatniego wspólnego wieczoru. Wiedział, że nigdy nie zapomni, jak wyglądała Philadelphia w księżycowym świetle, sączącym się przez kratkę altany. Nigdy nie zapomni, jak odpiął długi rząd guziczków na plecach jej sukni i dotknął gładkiego ciała.

O Boże! Oparłszy łokieć o gzyms kominka, zakrył dłonią oczy. To była najstraszniejsza chwila jego życia.

- Max? - cicho powiedziała zaniepokojona Philadelphia. - Jest mnóstwo szczegółów uroczystości ślubnej, co do których chcę znać twoje zdanie, zanim podejmę decyzję. - Głos jej się załamał. - Wydajesz się... Nie wiem...

Wyobraził sobie, jak ten wieczór powinien wyglądać. Philadelphia zasypuje go gradem pytań o lato w górach i różne wesołe historie. Po kolacji Howard zaprasza go do biblioteki na cygaro i rozmowę o pracy w banku. Rozmowa o przyszłości przeciąga się do długo wyczekiwanej chwili, gdy przyszły teść dyskretnie się usuwa i pozwala im z Philadelphia na godzinne sam na sam. Wtedy on, Max, obejmuje narzeczoną i przez chwilę rozmawia z nią o ślubie, a potem może jej pokazać, jak bardzo za nią tęsknił.

- I co, synu, znalazłeś w górach to, czego szukałeś? - Howard podał córce kieliszek sherry i usiadł na swoim ulubionym krześle.

- Musimy porozmawiać o tym okresie, kiedy leżałem chory na ospę. - Za mniej więcej trzy minuty uśmiech zniknie z warg Howarda. A oczy Philadelphii stracą blask. - Już bym nie żył, gdyby nie opieka pewnej kobiety, niejakej Louise Downe.

- Twoja matka przepisała nam list jakiegoś kaznodziei, który donosił, jak bardzo jesteś chory. - Pełne usta Philadelphii ułożyły się w nadąsany grymas. - Sam sobie byłeś winien. Mówiłam ci, żebyś tam nie jechał. Błagałam cię, żebyś został ze mną.

Żaden z jej argumentów ani trików nie skłonił go do zmiany zdania. Postanowił poszukać złota, idąc śladem ojca sprzed wielu lat.

- Nigdy nie będziesz wiedziała - zaczął, przypominając sobie smak jej ust i gładkość skóry, lśniacej w księżycowej poświacie - jak bardzo żałowałem, że nie zostałem. - Dostrzegł błysk satysfakcji w jej oczach, natomiast Howard usiadł sztywniej; najwidoczniej obudziło się w nim jakieś przeczucie.



Gdy Max doszedł w opowieści do tego, że mężczyźni, którzy przeżyli, z wdzięczności zgodzili się dać Low Down wszystko, czego sobie zażyczy, Howard Houser ostatecznie przestał na niego spoglądać ciepłym wzrokiem. Zmarszczył czoło i odstawił kieliszek sherry. Nie mógł wiedzieć, co nastąpi, ale musiał kierować się przecuciem czegoś wyjątkowo przykrego.

Max dokończył opowieści, patrząc prosto w oczy Philadelphii. Widział, jak jej twarz blednie, a rysy odmienia wyraz przerażenia.

- Przykro mi - rzekł schrypniętym głosem, skończywszy opisywać swój ślub na stoku góry.

Philadelphia poderwała ręce, jakby zasłaniała się przed uderzeniem.

- Nie! - krzyknęła płacziwie. - To nie może być prawda!

- Ty sukinsynu! - zagrział Howard, zrywając się z krzesła. - Mogłeś nie brać w tym udziału. Co za łobuz ciągnie losy, żeby ożenić się z kobietą, kiedy za parę dni ma ślub z moją córką? Jak, u diabła, mogłeś coś takiego zrobić?!

- Och, nie. Nie - szeptała wstrząśnięta Philadelphia, nie odrywając od Maksa oczu.

- Nie zrobiłeś tego. Nie mogłeś. Nie. Nie zrobiłbyś mi tego.

- Powinienem cię zabić, McCord! Nikt nie będzie upokarzał mnie ani mojej córki!

- Nie miałem wyboru.

Po twarzy Philadelphii płynęły strumienie łez. Ręce trzęsły jej się tak gwałtownie, że nawet nie zauważyła, kiedy wylała sherry na suknię.

- Boże wielki. Co ja zrobię?

- Zniszczę cię, ty gnoju! Ridley! Przynieś moją strzelbę. Jak mi Bóg miły, wyśle cię do świętego Piotra!

- Och, Max, nawet nie wiesz, co zrobięś. - Philadelphia powoli wstała; kieliszek wysunął jej się z palców. Skrzyżowała ramiona na piersiach, zgarbiła się i wydała z siebie przejmujący, żalony jęk. Obaj mężczyźni zamilkli, porażeni jej rozpaczą.

- Co ja teraz zrobię? Boże, co ja zrobię? - Spojrzała na Maksa załzawionymi, przerażonymi oczami. Głos miała przejęty trwogą. - Będę miała dziecko.

Zamrugała i bezwładnie osunęła się na ziemię.

Ridley wysłał pomocnika kucharki po Livvy McCord, a tymczasem gospodyni położyła Philadelphię do łóżka. Max znalazł siekiere na podwórzu za domem i jak opętany zaczął rąbać drewno. Zaciskając zęby, podrywał siekiere w górę i z impetem uderzał nią w kłoc, aż drętwiały mu ramiona.

Philadelphia urodzi jego dziecko, a on nie mógł postąpić tak, jak powinien. Nie mógł się z nią ożenić. Nie mógł ocalić jej przed niesławą, upokorzeniem, hańbą i nieodwracalnym zszarganiem reputacji.

Klnąc pod nosem, przycisnął butem kloc i poruszył kilka razy wbity weń siekierą, aż w końcu drewno pękło na dwie części. Max najchętniej zwymyślałby Boga, los albo inną złośliwą siłę, która wsunęła mu w palce znaczoną kulkę. Chciał zatrzeć pamięć o ostatnich dniach, cofnąć zegar i ułożyć wszystko od nowa tak, jak powinno było się ułożyć.

W ciemności rozległ się beznamiętny głos Ridleya.

- Pan Houser chce z panem porozmawiać przed przyjazdem pani McCord.

Zanim Max wrócił do saloniku, przecesał dłonią włosy i odczekał chwilę, żeby trochę się uspokoić. Odpowiedź była oczywista. Musiał niezwłocznie rozwieść się z Louise. Ale dziecko mogło się urodzić jeszcze przed orzeczeniem rozvodu. Kipiąc z wściekłości, z powrotem włożył kurtkę. Bez względu na to, co miało stać się dalej, naraził Philadelphię na wstyd, który będzie z nią już zawsze. Nie zasłużyła sobie na to. Nie zasłużyła sobie na tę całą mękę. Jej jedyne przestępstwo polegało na tym, że go pokochała.

- Czy wiedziałeś, że moja córka spodziewa się dziecka, kiedy brałeś ślub z tamtą kobietą? - spytał Howard, gdy Max wszedł do saloniku.

- Skądże.

- Ale wiedziałeś, że istnieje taka możliwość, ty sukinsynu - warknął Howard.

Max położył rękę na gzymsie kominka i wlepił wzrok w wygaszone palenisko.

- Gdyby Philadelphia mi o tym napisała, natychmiast wyjechałbym z Piney Creek. Moglibyśmy przesunąć datę ślubu i nie byłoby tej katastrofy. - Na tym polegała tragedia. Nic z tego, co się stało, nie musiało się stać.

- Dziecko to raczej nie jest nowina, o której przyzwoita panna wspomina w liście. I nawet nie próbuj sugerować, że moja córka nie była bez winy w tym, co się stało! Zhańbiłeś ją, zdradziłeś i rzuciłeś. Zniszczyłeś jej dobre imię i sprowadziłeś wstyd na rodzinę!

Max opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

- Przyjmuję na siebie całą odpowiedzialność. - Po tym, jak Ridley przyniósł strzelbę, Max nawet przez chwilę sądził, że Houser pociągnie za spust, lecz mimo to nie próbował się bronić.

- Masz cholerną rację, że to robisz. - Howard zerknął na strzelbę opartą o kominek.

- Ona mogła mieć każdego mężczyznę w tej okolicy. Ale nie. Chciała ciebie. Każdy młody człowiek, którego znała, dałby jej niebo i ziemię, gdyby tylko poprosiła. Ale nie ty. Ostrzegałem ją, że popełnia błąd. Mówiłem: pomyśl o tym domu, który on dla ciebie buduje. Czy naprawdę chcesz mieszkać poza miastem? Na ranczu? Czy on w ogóle nie liczy się z twoimi życzeniami? Ale myślałem, że przynajmniej jesteś przyzwoitym człowiekiem. Przysiągłbym, że Max McCord nie uwiedzie niewinnej panny wbrew wszelkim zasadom moralnym. - Wydał taki odgłos, jakby splunął. - Zapłacisz za to.

Max wiedział, że będzie płacił do końca życia. Nigdy nie zapomni, jak szczęśliwa była Philadelphia, gdy wszedł do jej domu, i jaka rozpacz ją ogarnęła, kiedy zrozumiała, że ślubu nie będzie i że jest zrujnowana.

W sieni Ridley wziął od Livvy okrycie, ale gdy weszła do saloniku, miała jeszcze na sobie kapelusz i rękawiczki. Spódnice ocierały jej się o trzewiki. Obrzuciła Maksa pytającym spojrzeniem, a potem zwróciła współczujące oczy ku Howardowi Houserowi.

- Strasznie mi przykro, panie Houser.

- Pani jeszcze nie wie wszystkiego. Pani plugawy synalek zhańbił moją niewinną córkę. - Houser miał czerwoną twarz, ręce mu się trzęsły.

- Philadelphia spodziewa się dziecka - wykrztusił Max.

- O Boże! - Pod Livvy ugięły się nogi. Opadła na sofę. Widać było, że jest wstrząśnięta.

- Powinno się go wysmagać biczem, wytarzać w smole i pierzu i wywieźć z miasta na taczkach.

- Och, Max!

- Jutro z rana wyjeżdżam do Wyoming. - Max przecesał dłonią włosy. - Philadelphia może jechać na Wschód. Tam się spotkamy i pobierzemy, jak tylko zostanie orzeczony rozwód.

- Max, spokojnie, pomyśl trochę. A co będzie, jeśli się okaże, że Louise też jest przy nadziei? - spytała cicho Livvy. - Czy rozwiedziesz się z jedną ciężarną kobietą, żeby poślubić drugą?

Howard Houser wykrzywił usta w grymasie obrzydzenia.

- Spałeś z inną kobietą, w czasie gdy moja córka przymierzała ślubną suknię? Ty sukinsynu!

Od pewnego czasu Howard Houser nie pił już sherry, lecz whisky i wlał jej w siebie dość, by chwiać się na nogach.

- Nigdy więcej nie dotkniesz mojej córki, słyszysz?! Prędzej diabli cię wezmą. Wolałbym mieć za zięcia zamiatacza ulic niż ciebie!

Livvy zmrużyła niebieskie jak lód oczy.

- Niech pan odstawi whisky, panie Houser. Niczego nie uzgodnimy, jeśli będzie pan pijany.

- A co tu jest do uzgadniania, pani McCord? Moja córka jest zhańbiona, nasze rodziny w niesławie, skandal i plotki będą trwać latami i dostarczać rozrywki całemu Fort Houser. Wyślę Philadelphię do innego miasta, żeby urodziła pani synalkowi bękarta gdzieś, gdzie nie będzie musiała cierpieć takiego wstydu i upokorzenia. Ale co dalej? Jeśli wróci do domu z dzieckiem, to doskonale pani wie, co ludzie pomyślą i będą mówić! A to znaczy, że Philadelphia straci nie tylko dobre imię, ale także dom.

- Nic takiego się nie stanie. - Livvy wyprostowała się i przybrała dumną pozę. Spojrzała hardo na syna. - McCord zawinił, McCord będzie naprawiał.

- Zrobię wszystko, żeby tak się stało - zapewnił Max, przesuając dłonią po bliznach na policzku. - Ale nie zdążę. Dziecko urodzi się, zanim zostanie orzeczone rozwód.

- Nie mówię o tobie. Mówię o Wallasie.

Max poderwał głowę.

- O Wallym?

Ale matka już tłumaczyła swój pomysł Howardowi Houserowi.

- Oto co będziemy mówić. Philadelphia zorientowała się poniewczasie, że kocha Wally'ego i to jego chce poślubić. Napisała o tym do Maksa i listownie zerwała zaręczyny. Kiedy Max dowiedział się, że Philadelphia kocha jego brata, wziął udział w losowaniu i ożenił się z Louise. A ponieważ wrócił do Fort Houser już jako żonaty mężczyzna, Philadelphia i Wally uznali, że mogą razem uciec do Denver.

Obaj mężczyźni wytrzeszczyli na nią oczy.

- Dziecko naturalnie urodzi się za wcześnie - ciągnęła Livvy z ponurą miną. - Na to nic nie poradzimy i plotki będą. Ale jeśli odpowiednio przygotujemy naszą historyjkę, to przynajmniej przekonamy ludzi, że ojcem dziecka jest Wally. To na pewno trochę pomoże.

Howard zapalił cygaro i nie odrywając oczu od Livvy, odrzucił zapałkę na bok.

- Philadelphia nie musiałyby jechać na Wschód.

- I nie urodziłyby nieślubnego dziecka. Dziecko mężatki będzie miało ojca.

- Wtedy skandal byłby o połowę mniejszy. Nikt nie pomyśli, że moja córka została porzucona. Jeśli będziemy mówić, co trzeba, wyjdzie na to, że pokazała figę temu łobuzowi.

Max oparł się o obmurowanie kominka i zaniknął oczy. Nie chciał wciągać Wally'ego w swoje kłopoty. Nie chciał wyobrażać sobie Philadelphii jako żony brata lub kogokolwiek innego.

- Musi być jakieś inne rozwiązanie.

- Ty się lepiej zamknij - burknął Howard Houser. - Nie masz nic do powiedzenia. - Znowu zwrócił się do Livvy: - Czy może pani zagwarantować, że Wally zgodzi się ją poślubić i wychowywać bękarta swojego brata?

Livvy przyłożyła drżącą rękę do czoła, ale wciąż trwała dumnie wyprostowana.

- Tak - powiedziała stanowczo. - McCordowie znają swoje powinności. Gdyby było odwrotnie, oczekiwałabym od Maksa, że zastąpi Wally'ego.

I Max zrobiłby to, bo tacy już byli McCordowie. Teraz jednak sięgnął do kieszeni i otoczył palcami szklaną kulkę. Niby mały przedmiot, a fala nieszczęść sięgała coraz dalej. Objęła już nie tylko jego i Philadelphię, lecz również innych ludzi.

- Pytanie tylko, czy Philadelphia zechce Wally'ego - odezwała się Livvy.

- Tego może pani być pewna - stwierdził oschle Houser. - Jaki ma wybór? - Spojrzał na Maksa. - Wynoś się stąd. Twoja noga więcej tu nie postanie. - Znowu zwrócił się do Livvy, która stała i wygładzała spódnice. - Oczekuję pani i Wallace'a w banku jutro rano punkt siódma. Uzgodnimy, co, gdzie i kiedy należy zrobić.

Max bez słowa pomógł matce zejść ze schodków i zaprowadził ją do wozu, którym przyjechała do miasta. Wolałby dostać tęgie lanie niż znosić to, przez co musiał przejść tego wieczoru. Pierwszy raz w życiu czuł się tak, jakby odarto go z męskości. I nawet nie mógł się bronić.

- W nocy będzie mróz - mruknęła Livvy i ciasniej otuliła się narzutką, nim wspięła się na drewnianą ławę.

Max zapalił latarnie, wiszące przy wozie.

- Rozsadza mnie - powiedział. - Mam ochotę iść Pod Czerwony Bucik i uchlać się jak jeszcze nigdy. Rozwalić coś. Obić kogoś. Ale to niczego by nie zmieniło.

- Wiem. - Livvy ujęła wodze i spojrzała na syna. - Źle postąpiłeś, Max. Do tańca trzeba dwojga, ale wina jest przede wszystkim twoja. Nie dlatego, że ożeniłeś się z Louise. To musiałeś zrobić. Ale przedtem wykorzystaleś niewinną pannę i zostawiłeś ją zhańbioną. Teraz Wally znajdzie się w tej samej sytuacji co ty wcześniej. Będzie musiał ożenić się z kobietą, której wcale sobie nie wybrał.

Max zaklął i grzmotnął dłonią w deski wozu.

- Jak mogę to wszystko naprawić? Jak mogę wynagrodzić to Philadelphii? I Wally'emu? - I jak będzie mógł znieść widok tych dwojga razem?

- Nie wiem. Myślę, że nie możesz. Ale cieszę się, że twój ojciec nie dożył tego dnia - powiedziała cicho Livvy McCord, szarpnęła wodzami, cmoknęła i wóz potoczył się w mrok.

Pograżony w głębokiej rozpacz Max dosiadł konia i pojechał za wozem.

Zmęczona płaczem Philadelphia wtuliła twarz w poduszkę i próbowała się pogodzić z tym, co wydawało jej się nie do pomyślenia. Co miała zrobić? To pytanie wracało do niej raz po raz, jakby kręciło się na kole.

Na pewno nie mogła zostać w Fort Houser. Umarłaby z powodu hańby i upokorzenia. Prawdopodobnie tak samo jak inne zhańbione panny ogłosi, że wyjeżdża na Wschód z wizytą do ciotki, kuzynki lub innej dalekiej krewnej. Dziewczęta w kłopotach zawsze wyjeżdżały na Wschód. Większość z nich wracała sześć lub siedem miesięcy później z dzieckiem, rzekomo urodzonym przez kuzynkę, która zmarła przy porodzie. Tak się zwykle mówiło. Potem panna wychowywała to dziecko i z uporem utrzymywała fikcyjną wersję jego narodzin.

Ale wszyscy znali prawdę. Szeptali, plotkowali i czuli się o niebo lepsi. A panna, która wyjechała na Wschód, nigdy nie odzyskiwała swojej pozycji bez względu na to, jak cnotliwa

i przykładowa stawała się potem. Na jej reputację i przyszłość padał cień nie do starcia. Przyzwoite kobiety jej nie odwiedzały, porządni mężczyźni nie chodzili do niej w konkury.

- O Boże, Boże, Boże! - Philadelphia zbiła poduszkę pięściami. Nie była przygotowana do stawienia czoła sytuacji, której nie można było sprytem bądź podstępem obrócić na jej korzyść. Sama nie wiedziała, czy jest tym bardziej zawiedziona, czy przerażona.

Nie chciała być w ciąży. Nie chciała jechać na Wschód. Max miał rozwiązać jej problem przez małżeństwo. Wściekła i zrozpaczona znów wtuliła twarz w poduszkę. Co robić? Co robić?

Do diabła z Maksem McCordem. Do diabła z nim!

Przewróciła się na plecy, wbiła wzrok w ciemny sufit, a palcami dotknęła brzucha, by wymacać nieznaczne zaokrąglenie pod koszulą. Wciąż było tam gdzie wcześniej. Dziesiątki razy w ciągu dnia dotykała tego miejsca z nadzieją, że zaokrąglenie znikło. I za każdym razem, gdy trafiała na nie palcami, przeżywała wstrząs i chwilę niedowierzania.

Że też jej mogło się coś takiego zdarzyć. Jej! Eleganckie panny takie jak ona, Philadelphia Houser, nie rodzą nieślubnych dzieci. Skandal byłby niewyobrażalny. Po prostu gigantyczny. Ci, którzy jej zazdrościli, którzy darzyli ją niechęcią, mieliby wielką satysfakcję i powód do radości, gdyby mogli poplotkować o tym, jak się poniżyła. Mówiliby na przykład: „Jej dziadek przewraca się w grobie”. Albo: „Jak nisko upadła”. Albo: „Dostało się wreszcie tej Philadelphii Houser za zadzieranie nosa”. Tego by nie zniosła.

Zegar w sieni zdążył wybić północ, zanim ojciec głośno zapukał do drzwi jej sypialni i od razu wszedł do środka.

- Uznałem, że nie śpisz.

Usiadła na łóżku i zanosła się płaczem.

- Musisz to załatwić, tato! Zmuś Maksa, żeby się ze mną ożenił! - Łzy były piekące, mimo to szlochała i nie mogła przestać. - On nie może tego zrobić. Nie może mnie teraz porzucić, po prostu nie może!

Ojciec nie wstał z krzesła przy jej łóżku, nie próbował jej objąć i pocieszyć, więc zerknęła na niego przez palce. Nawet w wątłym świetle kinkietu w sieni, sączącym się przez otwarte drzwi, zobaczyła mocno zaciśnięte usta i gniewne oczy. Jak ojciec śmiał być na nią zły? Owszem, urażono jego dumę, ale to jej życie legło w gruzach. Zatrzęsła nią złość. To nie było w porządku, że musiała najpierw przymilać się do ojca, żeby wzbudzić jego współczucie, zamiast od razu porozmawiać o tym, jak ojciec rozwiąże ten problem i ją ocali.

- Przykro mi, że cię zawiodłam - szepnęła przez łzy, przekonana, że tym go zmiękczy. - Proszę, tato, wybac mi. Bardzo cię przepraszam. Tak mi wstyd.

- I słusznie - burknął.



- Co? - Wstrząśnięta opuściła ręce i wytrzeszczyła na niego oczy. Powinien westchnąć i pokręcić głową, a potem przytulić ją i nazwać swoją grzeczną dziewczynką.

- Masz. - Rzucił chustkę do nosa na kołdrę. - Wytrzyj oczy i wydmuchaj nos. Uspokój się, bo mamy sprawę do omówienia.

- Pachniesz jak butelka whisky! - Ojciec pił. To wyjaśniało, dlaczego nie reagował tak, jak powinien i jak zwykle mu się to zdarzało.

- McCord cię wykorzystał i zapłaci za to. Ale wiem, że on jest przyzwoitym człowiekiem. Gdybyś stanowczo powiedziała mu „nie”, to nie byłabyś teraz w kłopotcie.

Twarz Philadelphii zapłonęła.

- Winisz za to mnie? - Nie wierzyła własnym uszom. - Mnie?

- Kobieta dyktuje warunki. Jesteś temu tak samo winna jak McCord.

Wpadła w furię. Dużo czasu minie, nim zgodzi się wybaczyć ojcu, że widział w tym jej winę.

- Ja też nie jestem bez winy. - Zamilkł i potarł nasadę nosa. - Rozpieściłem cię po śmierci matki. Może powinienem był ożenić się drugi raz? Może gdyby była kobieta w domu, ktoś, z kim mogłabyś porozmawiać o kobiecych sprawach... - Położył rękę na kolanie i spojrzał na córkę. - Nie mogę tego załatwić tak, jak byś chciała. Nie mogę sprawić, żebyś nagle przestała być przy nadziei. Nie mogę uwolnić Maksa od innych zobowiązań, żeby ożenił się z tobą w najbliższych dniach. Nic takiego się nie stanie.

Jeszcze jeden wstrząs zachwiał wszechświatem Philadelphii. Ojciec zawsze potrafił rozwiązać absolutnie wszystkie problemy. W głębi duszy wierzyła, że i tym razem jakoś mu się uda. Nagle ogarnęło ją przerażenie.

- I co ja teraz zrobię? Wszyscy wiedzą, że nie mamy krewnych na Wschodzie - powiedziała bliska hysterii. - Ale nie mogę też zostać tutaj. - Musiała opuścić rodzinny dom. Trudno jej było to sobie wyobrazić. - Zresztą wiesz, co wszyscy pomyślą, prawda? Że Max nie chciał się ze mną ożenić, bo byłam przy nadziei! Powiedzą... O, Boże, nie znoję tego. Tato, musisz coś zrobić. Musisz mi pomóc!

- Posłuchaj mnie. - Wreszcie ujął jej rękę w dłonie. - Pojutrze weźmiesz ślub z Wallym McCordem. Razem uciekniecie do Denver.

Zamrugła, sądząc, że się przesłyszała. Ale ojciec dalej snuł fantastyczną historię o tym, jak zawsze kochała Wally'ego, a nie Maksa, i na szczęście zdołała się w tym zorientować, zanim poślubiła niewłaściwego człowieka.

- Wally'ego? - powtórzyła tępo. Mózg przestał jej pracować. Ojciec nie mógł poważnie proponować, żeby poślubiła brata Maksa.

- I tak rozejdą się plotki, na to nic nie poradzimy. Ludzie będą gadać o dwóch braciach, smalących cholewki do tej samej panny. Spotykaliście się z Wallym za plecami Maksa. Uciekliście. Nie wiem jeszcze, jak wytłumaczyć małżeństwo Maksa, ale na pewno coś wymyślimy.

- Nie mogę poślubić Wally'ego - szepnęła, wlepiając wzrok w ojca. - Prawie go nie znam.

- Możesz i poślubisz.

- Wally'ego McCorda? - Pokręciła głową, całkowicie zdezorientowana. Gdy próbowała sobie przypomnieć jego twarz, zobaczyła Maksa, tylko młodszego i szeroko uśmiechniętego, mniej surowego i mniej niedostępnego, swobodniejszego. Skąd jej to przyszło do głowy?

- Masz trzy możliwości - stwierdził beznamiętnie ojciec. - Możesz nic nie robić, zostać tutaj i stawić czoło niesławie i upokorzeniu. Możesz pojechać na Wschód, urodzić dziecko, oddać je do adopcji i pozostać tematem plotek i domysłów. Po trzecie, możesz poślubić Wally'ego McCorda, rozpuścić po okolicy kilka kłamstw, żeby trochę uciszyć skandal, i dziękować Bogu za to, że Wally jest gotów dać bękartowi swoje nazwisko. Cokolwiek zrobisz, ludzkiego gadania nie unikniesz. Z mojego punktu widzenia najlepiej byłoby, gdybyś poślubiła Wally'ego. Wołałbym, żeby to nie był McCord, ale nie mamy wyboru.

- Ale ja nie chcę Wally'ego - oświadczyła płaczącym głosem. - Chcę poślubić Maksa.

- W życiu nie słyszałem, żebyś powiedziała coś głupszego. - Dłonie ojca boleśnie ścisnęły jej rękę. - Zapamiętaj sobie. Duma była dla McCorda ważniejsza niż ty - powiedział z goryczą. - Nie musiał brać udziału w tym losowaniu. Gdybyś była dla niego choć trochę ważna, na pewno by odmówił. A gdybyś była naprawdę ważna, to nie odebrałby ci niewinności i nie wyjechał na lato w góry.

Tym razem, gdy córka wybuchnęła płaczem, objął ją i pozwolił jej się wypłakać w koszulę.

Philadelphia nie rozumiała, jak może jednocześnie nienawidzić i pragnąć Maksa, ale tak właśnie było. Jedno wiedziała. Między nimi jeszcze nie wszystko było skończone.

Otwarta przestrzeń, niebo i odległy horyzont przemawiały do wyobraźni Maksa znacznie silniej niż górskie doliny i zbocza. Na wielkich równinach człowiek może odetchnąć. I widzi, co nadchodzi.

Zmienił pozycję w siodle i przesunął wzrokiem po rzędzie wysokich topól i dzikich śliw, rosnących wzdłuż koryta okresowego strumienia, który płynął tylko wiosną. Max dobrze wiedział, że dawno już nie będzie go na świecie, a ziemia przetrwa i cykl pór roku będzie się niezmiennie powtarzał. Zwykle po takiej myśli nabierał dystansu do swoich problemów. Ale nie tym razem.

Za plecami usłyszał stukot końskich kopyt. Wyprostował się, czekając, aż brat podjedzie bliżej.

Wally powściągnął konia i obaj w milczeniu zaczęli przyglądać się bykowi, ledwie widocznemu przez bujne listowie dzikich wiśni.

- To co, pojutrze zaczynamy spęd? - spytał w końcu Max. Ironią losu było to, że termin jesiennego spędu miał duże znaczenie, gdy ustalali z Philadelphia datę ślubu.

- Jasne - potwierdził Wally. - Zagonimy całe stado na pastwisko mamy, a potem każdy oddzieli swoje sztuki. Jeśli będą jakieś niepiętnowane, to podzielimy je równo.

Prawdopodobnie ostatni raz mieli wspólne stado. Dave zaczął już grodzić część rancza należąca do niego i Gilly, a kowboje Maksa robili to samo.

- W tym roku musicie poradzić sobie beze mnie - powiedział Wally, patrząc przymrużonymi oczami na ostre szczyty górskie, których sylwetki majaczyły na widnokręgu.

Max zazgrzytał zębami i mimo woli mocno ścisnął boki klaczy, więc Marva Lee zaczęła się boczyć. Dopilnował, żeby stanęła znowu obok deresza Wally'ego.

- Ostatnią noc przesiedziałem w stodole. Rozmyślałem o... no, o wszystkim. Ale nie mam pojęcia, co ci powiedzieć. - Żaden z braci nie patrzył na drugiego. - Dziękuję ci i przepraszam, że sam po sobie nie posprzątałem. - Chciał spytać brata, co zaszło tego ranka między nim, Livvy i Howardem Houserem, ale duma mu na to nie pozwoliła.

- Ty zrobiłbyś dla mnie to samo.

- Zrobiłbym. Ale to nie znaczy, że miałem prawo postawić cię w takiej sytuacji. - Znow zerknął na byka za drzewami. - Gdybym tylko nie wyciągnął z kapelusza tej znaczonej kulki. Albo gdybym nie zachorował. A przede wszystkim, gdybym nie wyjechał do Piney Creek. - Przecież dlatego Philadelphia mu się oddała. Chciała go skłonić do pozostania na lato w Fort Houser i odwieść od wyjazdu w góry. Dlaczego jej nie uległ?

- Znalazłeś to, czego tam szukałeś? - Wally wskazał podbródkiem pasmo gór na zachodzie.

- To już przestało mi się wydawać ważne.

W górach próbował zrozumieć, skąd brała się tęsknota w głosie Jasona McCorda, gdy wspominał trzy lata, które spędził na poszukiwaniu złota. Był to decydujący okres w życiu ojca, namiętność, której Max nie mógł pojąć.

Gdyby ojciec był z nim teraz, wbiłby wzrok w góry, a na wargach zaigrałby mu półuśmiech, wywołany wspomnieniami. Nie widziałby byka ani dzikich gęsi przelatujących w kluczu nad ich głowami.

Kiedy w końcu Jason McCord wrócił z gór do rodziny, stracił pasję życia. Max chciał się dowiedzieć dlaczego. Chciał zrozumieć, co odbijało się w oczach ojca, gdy patrzył ku horyzontowi. Teraz może nawet to rozumiał. Zdziwiło go, że chyba nie chodziło o złoto, jak zawsze przypuszczał. Ważne było samo poszukiwanie i marzenia o odmienionym życiu. Jason McCord zostawił swoje marzenia w złotonośnych strumieniach niedaleko Central City.

- Czy to, co tam znalazłeś, było tego warte? - spytał go cicho brat.

Max nie odpowiedział.

- Będziemy mieszkali z mamą w jej domu - oznajmił nagle Wally, plaskając wodzami o udo.

Ta decyzja zaskoczyła Maksa. Sądził raczej, że Wally przeprowadzi się do miasta.

- W ten sposób mama, Gilly i Louise będą mogły jej pomóc przy porodzie, no i będą na miejscu, w razie gdyby wcześniej coś było nie tak.

Wielki Boże. Od kiedy poprzedniego dnia po południu Max wyszedł z salonu w domu matki, nie poświęcił Louise ani jednej myśli.

- Naturalnie to, że będziemy mieszkać tutaj, ma też minusy dla mnie i panny Houser, to znaczy Philadelphii- ciągnął ostrożnie Wally. - Ale mama i pan Houser doszli do wniosku, że to najlepsze rozwiązanie. Tu będzie mniej plotek o rosnącym brzuchu Philadelphii. No i nie ma innego sposobu, żeby trochę uciszyć skandal. Ludzie muszą widzieć, że nie mamy do siebie żalu.

Max zerknął kątem oka na kolejny klucz gęsi zmierzających na południe, potem jeszcze raz zmienił pozycję w siodle.

- A mamy do siebie żal, Wally?

W oczach młodszego brata zabłysła iskra, zgasła jednak, nim rozpała się na dobre.

- Przez całe życie zbieram resztki po tobie - odrzekł beznamiętnie. - Nigdy nie miałem książki szkolnej, w której na marginesie nie byłoby twoich bazgrołów. Wiele lat musiałem czekać na koszulę albo buty, których wcześniej nie nosiłeś. Zawsze dziedziczyłem po tobie obowiązki, z których wyrosłeś. A teraz dostała mi się twoja niedoszła żona. Tu też byłeś pierwszy. Jak mam się, twoim zdaniem, czuć?

Max zakrył oczy dłonią.

- Szczerze wolałbym, żeby tego wszystkiego nie było.

- Ja też o tym myślałem i chcę ci powiedzieć o kilku sprawach.

Jeśli mam dotrzymać umowy, to uczciwie. Będę starał się, jak umiem, być dobrym mężem dla Philadelphii i ojcem dla jej dziecka. Ale nie uda mi się to, jeśli będziesz nam przeszkadzał, Max. Pamiętaj, między tobą i Philadelphia nigdy nic nie było. Odchodzisz i nie oglądasz się za siebie. Daj mi szansę ułożenia sobie tego małżeństwa. Po drugie, obiecaj mi, że nie staniesz między mną a dzieckiem, które będę wychowywał. Rezygnujesz z wszelkich roszczeń i uznajesz, że jest moje. Ono nigdy nie będzie wiedziało, że to nie ja jestem jego albo jej ojcem.

Każde słowo brata było dla Maksa jak nóż w serce. Ale żądania były słuszne i uzasadnione. Wreszcie pokonał ściskanie w gardle i powiedział:

- Masz na to wszystko moje słowo. I dozogonną wdzięczność.

Wally odjechał do domu, a on jeszcze został na pastwisku. Siedział zgarbiony w siodle i dumiał o optymizmie brata. Wally zdołał jakoś przetrwać urazę i wykrzesać z siebie dobre intencje, chociaż żenił się z przypadkową kobietą i miał wychowywać nie swoje dziecko.

Max modlił się, żeby starczyło mu sił na dotrzymanie przyrzeczenia.

Wiedział, że żądania Wally'ego nie są pozbawione sensu. Żeby sytuacja stała się znośna, on i Philadelphia muszą udawać, że między nimi nigdy nic nie było. Muszą zapomnieć, czyje naprawdę jest to dziecko. Inaczej postąpiliby niełojalnie wobec Wally'ego. Powstałyby nowe kłopoty, wybuchłyby nowe urazy.

Oparł dłoń na udzie i wyczuł w kieszeni twardą kulkę. Najbardziej cierpiał dlatego, że zrzekł się wszelkich praw do dziecka, które Philadelphia nosiła za jego sprawą.

Low Down, a raczej Louise, jak teraz próbowała o sobie myśleć, spędziła rano w oborze i w zagrodach za domem. Pizy gotowania do spędu bycia były w toku, toteż panowała tam atmosfera podniecenia i oczekiwania. Kowboje głośno żartowali, nagle jednak rozmowy się urwały, zauważyli bowiem, że Louise im się przygląda. Jeden za drugim uniosły się kapelusze, na twarzach wykwitły potulne uśmiechy, rozległy się liczne przeprosiny dla szanownej pani.

Ale język kowbojów wcale jej nie raził. Ten świat dobrze rozumiała. Był to męski świat pieprzonych dowcipów, dumy i przybierania póz. Świat jasno określonych celów, gdzie sukces lub porażka nie podlegają dyskusji. Gdzie człowieka sądzi się po jego czynach i charakterze, nie po tym, w co się ubiera i jak pięknie mówi.

Gdy Livvy zawołała ją z ganku przy kuchni, Louise bardzo niechętnie opuściła zagrodę. Zdecydowanie wolałaby pomóc chłopcom przy przygotowaniach do spędu niż wsiąść na wóz, by razem z teściową, Gilly i Sunshine pojechać do swojego nowego domu.

Livvy ujęła wodze i wskazała podbródkiem tylną część wozu, gdzie Gilly i Sunshine siedziały na kupie siana.

- Sądząc po wielkości juk, nie masz zbyt wielu ubrań.  
- Tylko tę suknię i jeszcze jedną.  
- Tak myślałam. Załadowałam na wóz trochę rzeczy, które, przydadzą ci się, zanim będziesz miała więcej strojów. Spódnice są za krótkie, ale trudno, nic się na to nie poradzi.  
- Livvy smagneła wodzami po końskich grzbietach i zaprzęg wyjechał z podwórza. - Umiesz szyć?

- Umiem cerować skarpety i sfastrygować, jak się coś roz- pruje. - Wiedziała, że nie o to pyta matka Maksa. Postanowiła jednak nie unosić się dumą. Zerknęła na krótką trawę, porastającą koleiny na drodze. - Nie idzie się tym chwalić, ale prawdę mówiąc, całej sukni jeszcze nigdy nie uszyłam. Do ostatniego tygodnia nawet rzadko nosiłam suknie.

- Nigdy nie spotkałam dorosłej pani, która nie umie szyć sukienek - powiedziała Sunshine.

- No, to już spotkałaś - odrzekła Low Down. Gilly przerwała milczenie, które zapadło.

- Będzie pani potrzebować przynajmniej trzech spódnic na co dzień i trzech bluzek. Poza tym spódnicy wyjściowej na jazdy do miasta i żakietu. Potrzebne są też dwa eleganckie komplety i suknie na przyjęcia. - Zerknęła na kapelusz Louise. - 1 naturalnie dodatki.

- Musimy jechać do miasta kupić materiały - dodała Livvy. - Może zrobimy to podczas spędu, kiedy mężczyzn nie będzie w domu. To dobra pora, żeby zacząć kompletowanie garderoby. Bieliznę będzie lepiej i szybciej kupić gotową.

Louise kusiło, żeby spytać, czy Max upoważnił je do wydania reszty pieniędzy z Piney Creek na stroje dla jego tymczasowej żony, nie odezwała się jednak, lecz skupiła na wymianie zdań między matką i córką. Nie zrozumiała, o co chodziło Gilly, gdy powiedziała:

- Ciocia Dilly była wysoka i dobrze jej było z warkoczem. Myślę, że dwa zwoje.

Ale Livvy skinęła głową, jakby tę uwagę poprzedziła długa rozmowa.

Gdy zaczęły mówić o Wallym i Philadelphii, Louise nastawiła uszu. Ale i na ten temat wymieniały półsłówka, których sensu nie umiała w pełni dociec. Widziała jednak zażyłość między obiema kobietami, a poza tym bardzo ją poruszyło, że ani Livvy, ani Gilly nie kwestionowały potrzeby sprawienia jej nowych sukni. Livvy najwyraźniej nie miała też nic przeciwko temu, że Philadelphia zamieszka teraz u niej, a nie w domu Maksa. Louise zastanowiło, czy wszystkie rodziny znoszą tak dobrze przeciwności losu jak McCordowie.

- Pan Houser uważa, że ukrycie Philadelphii na naszym ranczu zatuszuje skandal.

- Livvy przewróciła oczami i błagalnie spojrzała w bezchmurne niebo. - Będziemy opowiadać, że była zaręczona z jednym bratem, ale kochała drugiego i wyszła za niego za mąż na parę dni przed planowanym ślubem z tym pierwszym. 1 po tym, jak Wally z



Philadelphia potajemnie wzięli ślub w Denver, niespodziewanie wrócili na ranczo i teraz Philadelphia mieszka z obydwojoma braćmi.

- Nie z obydwojoma, mam.

- Rzecz się do tego sprowadza. Wprawdzie Max ma swój dom, ale i tak będzie spędzał dużo czasu u mnie. Od lat prowadzi księgi rachunkowe całego gospodarstwa i nie ma powodu tego zmieniać. Poza tym są jeszcze niedzielne obiady.

- Wielkie nieba. - Gilly zaczęła rozcierać czoło dłonią. - Niedzielne obiady.

- Nie pozwolę, żeby niefortunne zrządzenie losu rozbiło moją rodzinę - oświadczyła stanowczo Livvy. - Dalej będziemy razem jedli niedzielne obiady.

Louise, załamana tą wiadomością, nieznacznie skinęła głową, gdy szwagierka spojrzała na nią znacząco. W tej chwili osiągnęła ze swą nową siostrą porozumienie bez słów. Nikt oprócz starszej pani McCord nie mógł być zadowolony z rodzinnych obiadów.

Livvy obróciła głowę i spojrzała na Louise.

- Nie odzywasz się prawie od śniadania. Masz jakieś zdanie o tym wszystkim?

- Nie, proszę pani.

- Nie jestem proszę pani, tylko Livvy. - Matka Maksa z irytacją strzeliła wodzami. - Skoro mamy teraz na ranczu trzy panie McCord, najprościej będzie skończyć z oficjalnymi formami i mówić do siebie po imieniu. Zgoda?

- Zgoda. Tylko trudno mi się przyzwyczaić do tego, że jestem Louise. - Low Down, jak sięgała pamięcią, nie mogła sobie przypomnieć, by ktokolwiek nazwał ją w ten sposób. Zresztą nie zależało jej na tym imieniu. Brzmiało zbyt miękko i kobieco dla takiej twardej sztuki jak ona.

- Nie możemy cię nazywać Low Down. Max powiedział mi, skąd się wziął ten przydomek. - Livvy zrobiła niezadowoloną minę. - Nie mogę mieć synowej, która z imienia wydaje się kimś bezwartościowym. Jesteś teraz członkiem rodziny McCordów.

Prawdę mówiąc, stare imię dawało jej poczucie bezpieczeństwa, było w nim też coś krzepiącego. Nikt nie spodziewał się wiele po jakiejś Low Down. Ona sama też wiele od siebie nie oczekiwała. Za to Louise McCord... to było zupełnie co innego. Louise McCord była damą, od której można oczekiwać na przykład tego, że umie uszyć suknię.

- Nie wydajesz mi się osobą bez własnego zdania.

- Bo mam swoje zdanie. Ale nie idzie mieszać się do rodzinnych spraw. - Zwłaszcza że ani przez chwilę nie mogła zapomnieć, kto jest przyczyną kłopotów tej rodziny.

Łatwo jednak być mądrą po szkodzie. Początkowo nie miała pojęcia, ile zmieni w życiu różnych ludzi jej pragnienie posiadania dziecka. Zaciskając zęby, powiedziała sobie w duchu, że to wcale nie przez nią Wally musi się ożenić z kobietą, z którą Max chciał dzielić życie. Przecież nie mogła wiedzieć, że tak się stanie.

- To jest również twoja rodzina. A to znaczy, że masz takie samo prawo wyrażać swoje zdanie jak każdy. - Z głosu Livvy zaczęła przebijać irytacja. Starsza pani głośno

westchnęła. - Nic nie układa się tak, jak, moim zdaniem, powinno. Zupełnie znieca mam dwie nowe synowe. Jedna jest w ciąży, ale tego nie chce. Druga prawdopodobnie nie jest w ciąży, ale tego chce.

- Mamo - odezwała się Gilly, klepiąc Livvy po ramieniu. - Małe dzbanki mają wielkie uszy.

- Sunshine nie jest głupia. Dobrze wie, że porobiło się pomieszanie z poplątaniem.

McCordowie byli jedyną rodziną, do jakiej Louise miała szansę kiedykolwiek należeć. Ale to nie oznaczało, że ją zaakceptowali. Pogodzenie się z małżeństwem Maksa nie było równoznaczne z akceptacją kobiety, którą poślubił. Wiedziała, że nie wolno jej o tym zapomnieć.

Obróciła się do Gilly i patrząc na jej łagodny profil, powiedziała:

- Jak długo jesteś mężatką?

- Mój mąż i ja jesteśmy małżeństwem od sześciu lat.

- Gilly, na miłość boską. Myślę, że w obecności szwagierki mogłabyś go nazywać Dave.

- Sześć lat - powtórzyła Louise. A Gilly miała tylko jedno dziecko. To ją bardzo przygnębiło. Ale z drugiej strony, na ile zdążyła się zorientować, Max był z Philadelphia raz, i to wystarczyło. Kwestia współżycia i ciąży była dla niej tajemnicza i niepokojąca.

- No, jesteśmy. Oto twój nowy dom.

Nie dalej jak tego rana Louise jeszcze raz przeczytała kopię listu Maksa do Philadelphii, więc częściowo wiedziała, czego należy się spodziewać. Mimo to przeżyła zaskoczenie. Ucieszyło ją, że dom nie jest tak duży, jak wyobraziła sobie początkowo i jak nadal by myślała, gdyby nie zobaczyła najpierw domu pani McCord.

Ten stał na wzniesieniu. Wydawał się wysoki i wąski, a ponieważ nie miał w otoczeniu drzew ani krzewów, nic nie tuszowało ostrości jego kątów. Max nazwał go w liście „prostym”, a oznaczało to czystość linii i funkcjonalność.

- Jest dość surowy - bąknęła Gilly. - Wiosną możesz posadzić przed domem krzaki bzu i drzewa, żeby osłaniały go przed wiatrem.

- Podoba mi się - powiedziała cicho Louise. Dom nie robił wielkiego wrażenia. Ale w przyszłości mógł się stać wspanialszy, na przykład po dodaniu skrzydeł; w razie gdyby rodzina się powiększyła. Przyszłość jej nie dotyczyła. Na razie jednak o zamieszkaniu w tym domu myślała z zachwytem.

- Ponieważ nie masz wyprawy, przywozłam trochę pościeli i obrusów, garnki, talerze i ubrania, o których wcześniej wspomniałam. Poza tym mały zapas żywności na dobry początek - powiedziała Livvy, obchodząc wóz, żeby opuścić tylną klapę. Postawiła Sunshine na ziemi. - Tylko niech nikt nie wchodzi do nowego domu z pustymi rękami.

Louise wspięła się na schodki ganku, niosąc pudło z garnkami i przyborami do pieczenia. Przekraczała próg domu, w którym mieli z Maksem mieszkać przez cały okres ich małżeństwa.

Sień była dostatecznie przestronna, żeby na zapastowanej drewnianej podłodze zmieścił się jej namiot z Piney Creek. Gdy zerknęła w lewo, dostrzegła salon z wykuszowym oknem. W prawo wchodziło się do jadalni, również z oknem. Schody prowadziły na piętro, a korytarzem szło się do kuchni, spiżarni i pomieszczenia, które Livvy nazwała komórką na brudy.

- Kuchnia jest duża i słoneczna - stwierdziła Gilly, kładąc pudło z obrusami i ścierkami na podłużnym drewnianym stole.

- Wujek Max sprowadził z Denver nowoczesne urządzenia - powiedziała jej córka.

Rzeczywiście. Louise nigdy nie widziała niczego podobnego do wielkiej sześciopłytywowej kuchni z niklowym wierzchem i piekarnikiem.

- Ojej, a popatrzcie na to - szepnęła z zachwytem. Nad zlewem wystawało ramię pompy. - Woda w kuchni. Wyobrażacie sobie? Nawet nie trzeba wychodzić z domu.

- Położymy wszystko, jak leci, a potem możesz spokojnie porozkładać rzeczy według swoich upodobań. Tymczasem na pewno chcesz się rozejrzeć po całym domu.

- Jeśli nie ma pani... jeśli nie masz nic przeciwko temu, to tak.

Przechodząc z pokoju do pokoju, Louise uważała, żeby niczego nie dotknąć. Tylko oglądała meble, tapety i dywany. Widziała przedtem dom teściowej i wiedziała, jak wszystko powinno wyglądać, zwróciła więc uwagę na niezagospodarowane miejsca, na przykład w pobliżu kominka w salonie. Ponieważ cała reszta wydawała się wykończona i kompletna, Louise zaczęła się zastanawiać nad tymi brakami. W końcu przyszło jej do głowy, że prawdopodobnie dom urządziła Livvy podczas nieobecności Maksa, więc zostawiła miejsca na ulubione rzeczy Philadelphii.

To był przecież dom Philadelphii.

Różowa sypialnia na pewno została umeblowana z myślą o niej. Tapeta z wzorem z Paisley i kwietne dywany były dobrane do jej upodobań. Kuchnia czekała na talerze i garnki, obrusy i serwetki Philadelphii. To ona powinna obchodzić ten dom i podziwiać wszystko, co widzi.

Otrzeźwiawszy i straciwszy nieco entuzjazmu, Louise wróciła do kuchni. Teściowa i szwagierka włożyły tymczasem fartuchy i wzięły się do przygotowywania kolacji. Gilly obierała ziemniaki, Sunshine stała obok niej na stołeczku, a Livvy zagniała ciasto na chleb na końcu podłużnego stołu.

- W piekarniku jest placek rabarbarowy, a na płycie stoi świeża kawa - powiedziała Livvy, zagłębiając dłonie w cieście.

- Nie miałam pojęcia, że tak długo mnie nie było.

- I tak zamierzałyśmy zrobić kolację. Byłoby niedobrze, gdybyś musiała gotować pierwszego wieczoru w swoim nowym domu. Na pewno chcesz ułożyć rzeczy.

- To nie potrwa długo - powiedziała Louise, nalewając sobie filiżankę kawy. Przcisnęła dłoń do czoła, potem popatrzyła, jak Gilly i Livvy pracują, poświęcając na to czas, który mogłyby spędzić w swoich domach. - Dlaczego to robicie?

- Słucham? - Livvy podniosła głowę znad bryły ciasta.

- Nie chcecie mnie tutaj. To, co zrobiłam, sprowadziło na rodzinę McCordów mnóstwo kłopotów. Więc dlaczego zapakowałyście te wszystkie rzeczy? - Wskazała opróżnione już pudła. - Dlaczego robicie kolację i chcecie uszyć mi nowe suknie? Dlaczego próbujecie mi pomóc?

- Bo wyszłaś za mąż za wujka Maksa i jesteś teraz członkiem naszej rodziny - powiedziała Sunshine i przesłała cioci ciepły, niewinny uśmiech. - I chcemy cię.

Livvy przyglądała jej się przez chwilę.

- Dlaczego zostałam w Piney Creek i pielęgnowałam tych wszystkich mężczyzn?

- Naprawdę nie wiem. Wydawało mi się, że tak trzeba.

Livvy wzruszyła ramionami, energicznie klepnęła ciastem o blat stołu i dalej je ugniatała.

Uśmiechnięta Gilly znieruchomiała z ziemniakiem w jednej ręce i nożem do obierania w drugiej.

- Gdyby rodzina McCordów miała motto, brzmiałoby ono „Rób tak, jak trzeba”.

To mogłoby być również motto Louise. Zwróciła jednak uwagę, że tylko Sunshine zakwestionowała to, że jej tu nie chcą. Livvy i Gilly bardzo się starały nie składać na Louise winy za skandal i kłopoty rodziny, lecz nie mogły o tym zapomnieć. Pomagały jej, bo miały wpojone przekonanie, że wobec żony Maksa należy postępować tak, jak trzeba.

Po wyjściu Livvy, Gilly i Sunshine Louise schowała w nowe miejsca swoje nieliczne rzeczy, potem otuliła się szalem i przez komórkę wyszła na dwór. Usiadła na górnym stopniu kuchennego ganku w popołudniowym słońcu, ale zostawiła otwarte drzwi, żeby dolatywał ją zapach mięsa, duszącego się na kuchni, i drożdżowa woń świeżych bochenków chleba, stygnących na stole obok ciasta rabarbarowego.

Zwróciła uwagę, że między gankiem a sznurem na białynę jest wolne miejsce na założenie ogródka warzywnego. Naturalnie dotyczyło jej to tylko pod warunkiem, że zostanie tu do wiosny. Zauważyła też pochyłość, która mogła być wygodnym miejscem do wylewania mydlin.

W kierunku zachodnim teren był pofałdowany, a pagórki coraz wyższe, w oddali zaś rysowały się sylwetki prawdziwych gór. Na wschodzie było bardziej równinnie, rosło więcej krzaków, ale mniej drzew. Z tego miejsca Louise nie widziała domu Livvy, nie zauważyła też żadnego dachu ani innych śladów bliskiego sąsiedztwa. Gdyby nie głosy dolatujące ją z

obory i stodół, miałyby wrażenie, że cały świat się zapadł, został tylko ten dom i otaczający go spłachetek ziemi.

Tydzień temu poszłyby w kierunku głosów, przedstawiła się i przez resztę popołudnia poznawałaby kowbojów. Ale teraz wszystko było inaczej. Instynkt ostrzegał ją, że żona gospodarza nie powinna przestawać z kowbojami w oborze.

Westchnęła tak ciężko, że aż szal zsunął jej się z ramion. Co tam, była przyzwyczajona do samotności. Miała swoje historie ze śpiewników, o których mogła rozmyślać, a po dzisiejszym dniu także zbyt dużo pracy, by się martwić brakiem towarzystwa. Od następnego dnia miała się zabrać do swoich zajęć - gotowania, sprzątanania i zamiatania. Livvy wspomniała też, że do tej pory kowboje karmili kurczaki i doili krowy, prawdopodobnie oczekiwała więc, że nowa pani domu zastąpi ich w tych obowiązkach.

Gdy cienie zaczęły się wydłużać, a rześkie powietrze ziębić ją w policzki, wstała, by wejść do domu. Przystanąła jednak, zauważyła bowiem jeźdźca, kłusem przemierzającego pastwiska. Nawet z oddali poznała Maksa po sposobie, w jaki dosiadał Marvy Lee, i charakterystycznie przekrzywionym kapeluszu. Pochylił się nad szyją klaczy i spiał ją do skoku przez kamienny mur, potem skręcił w stronę obory.

Nigdy w życiu nie spodziewałaby się, jak wielką radość może odczuć z tego tylko powodu, że w jej stronę jedzie człowiek. Ale to nie był byle jaki człowiek. To był jej mąż, wracający do domu na kolację. I nagle wydało jej się to bardzo przyjemne.

Nie mogła zdecydować, czy przeklinać kaznodzieję Jellisona za to, że przewrócił jej życie do góry nogami, czy błogosławić go za to, że mogła skosztować życia, którego inaczej nigdy by nie poznała.

Decyzję odłożyła na później. Tymczasem musiała zamieszać mięso w garnku i nakryć stół. O kurrr...de. Trudno jej było przyzwyczać się do tej myśli. Naprawdę miała męża i ten wracał do domu na kolację.

W pierwotnym planie było południowe skrzydło. Miały się tam mieścić słoneczny pokój, biblioteka i salon na parterze, a na piętrze pokój dziecięcy i gościnne sypialnie.

Zanim Max wyjechał do Piney Creek, postanowił poczekać ze stawianiem kosztownego skrzydła, aż się przekona, jak Philadelphia znosi życie na ranczu. Miał nadzieję, że narzeczona w końcu pokocha ziemię tak samo jak on i zacznie ją cieszyć, że w czasie deszczu krople z okapu ich domu nie spadają na ganek sąsiada. Miał zamiar dopiero wtedy dokończyć budowy.

Teraz, gdy przyglądał się wysokiemu, wąskiemu korpusowi domu, przyznawał w duchu, że Philadelphia nigdy nie pogodziłaby się z mieszkaniem w odosobnieniu i tak daleko od ojca, przyjaciółek oraz klubów dla pań. Co gorsza, nie uwzględnił w projekcie pokojów dla kucharki i służącej, co teraz wydawało mu się istotnym przeoczeniem.

Pochłonięty myślami o niedoskonałościach domu, które z perspektywy widział bardzo wyraźnie, prawie dojechał do obory, zanim dostrzegł Louise, wstającą z kuchennego ganku i ciasniej otulającą się szalem. Stała wyprostowana, wysoka, ale nie machała do niego ręką, zdawała się niczego nie oczekiwać, po prostu czekała i patrzyła.

Powinien zajrzeć do obory, ale poczucie obowiązku i wyrzuty sumienia były silniejsze. Zakławszy pod nosem, powściągnął klacz, a potem skierował ją ku domowi. Podjechał do samego ganku, zastanawiając się, co właściwie mógłby powiedzieć. Na szczęście Louise pierwsza przerwała milczenie.

- Kolacja gotowa, możesz zjeść, kiedy chcesz - powiedziała, przysłoniwszy oczy dłonią, żeby na niego spojrzeć. Wbrew jego obawom nie czyniła mu wymówek za to, że zostawił ją samą.

- Chciałbym najpierw zajrzeć do obory i stodoł, żeby porozmawiać z chłopcami. - Kowboje nie byli obcy, większość z nich pracowała u McCordów, jeszcze zanim Livvy podzieliła ranczo na cztery części. Na pewno spodziewali się, że właściciel przywita się z nimi po długiej nieobecności.

- Nie ma pośpiechu. Kolacja poczeka. - Opuściła dłoń i wytarła ją o fartuch, w którym wiele razy widywał matkę. - W komórce stoi miska z wodą, żebyś mógł się umyć. - Światło zachodzącego słońca padło jej na twarz i wtedy w orzechowych oczach zabłysły złote iskry, a kasztanowe włosy nabrały ognistego odcienia. - Max? - Zarumieniła się i powiedziała wstydliwie: - To jest bardzo piękny dom.

Z jej punktu widzenia rzeczywiście musiało tak być. Max nie wątpił, że coś, co ma porządne ściany i cały dach, oznacza dla Louise wielki postęp w porównaniu z namiocikiem rozbitym na gołej ziemi. Na pewno nie będzie jej przeszkadzać brak salonu i pomieszczeń dla służby.



Przez następną godzinę nie myślał jednak o Louise, spędził bowiem ten czas na obchodzie obory, stodół, kowbojskich baraków, zagród i wodopoju dla bydła. Potem odbył rozmowę z Shortym, nadzorcą kowbojów.

- Wygląda na to, że wszystko idzie zgodnie z planem - rzekł zadowolony. Nie wątpił zresztą, że właśnie tak będzie, skoro budowę stodoły i domu powierzył Shorty'emu Smithowi. Był to niewątpliwie właściwy człowiek na właściwym miejscu, który umiał podejmować doraźne decyzje i dopilnować postępów w pracy.

- Doceniam twoje starania, Shorty - powiedział Max szorstko, ściskając dłoń nadzorcy. Nie mógłby spędzić całego lata w górach, gdyby nie miał takiego zaufanego człowieka. Jego brat i mąż Gilly mieli swoje zajęcia, więc nie ważyłby się prosić kóregokolwiek z nich o dogładanie tak wielkiego przedsięwzięcia budowlanego.

- Bardzo mi przyjemnie, szefie - odrzekł Shorty, wypinając pierś. - Nieczęsto człowiek może być na ranchu od jego narodzin. - Oparł się o ogrodzenie i przesłał Maksowi zaintrygowane spojrzenie. - Życzę panu i pana żonie wszystkiego najlepszego w nowym miejscu.

Max wiedział, że Shorty nie zapyta o nic, co wiązało się z życzeniami, nie było jednak trudno zgadnąć, co chciałby wiedzieć. Kowboje plotkowali jeszcze chętniej niż stare baby i bez wątpienia w barakach wymieniono niejedną uwagę o tym, że Max wrócił do domu z jakąś kobietą, chociaż za kilka dni miał się odbyć jego ślub z inną. Nie ulegało więc wątpliwości, że nazajutrz podczas kolacji kowboje będą dyskutować o Wallym, który - wystrojony w niedzielne ubranie - wziął bryczkę i pojechał z sakwojazem do miasta. A pojutrze rano zwróca uwagę, że Wally'ego nie ma na spędzie bydła. Może zresztą już wcześniej się dowiedza, że młodszy McCord z Philadelphia wzięli ślub w Denver.

Max przełknął ślinę i spojrzał na czerwonopomarańczowy krąg, chylący się ku horyzontowi. Dni stawały się coraz krótsze, a noce chłodniejsze.

- Jutro chcę pokazać oborę mojej żonie. Każ chłopcom się ogolić i włożyć czyste chusty.

Powiedziawszy wszystko, co sobie zamierzył, wrócił do domu od podwórza i wszedł do komórki. W zasadzie pierwszy raz powinien był wejść od frontu, żeby się przekonać, jakie wrażenie robi dom, ale ponieważ pogodził się już z jego niedoskonałościami, wiedział, że zepsułoby mu to przyjemność.

- Czy jest tu ręcznik?! - zawołał, obmywszy się nieco.

- Gdzieś jest. Ale nie wiem... Masz tymczasem to. - Louise stanęła w drzwiach komórki, spojrzała na wodę, ściekającą Maksowi za rozpięty kołnierzyk koszuli, i podała ścierkę do naczyń.

Pierwsze, co zwróciło jego uwagę, gdy przyszedł jeść i powiesił kapelusz na kołku, to kuchnia: żelazna skrzynia z niklowym wykończeniem i drewnianymi rączkami, które

pozostawały zimne bez względu na to, jak rozgrzała się płyta. Można było w niej palić drewnem albo węglem.

- Widziałeś? Chyba nie idzie mieć wspanialszej i bardziej błyszczącej kuchni? - spytała Louise, podążając wzrokiem za jego spojrzeniem. - A popatrz tutaj. Jest lodownia, żeby trzymać zapasy w chłodzie. - Otworzyła drzwi lodowni i wyjęła z niej talerz z masłem. - Na razie nie ma lodu, ale w zimie będzie. - Słowa wylewały się z niej potokiem. - Twoja matka i siostra przygotowały kolację. - Postawiła masło na stole i cofnęła się, unosząc brwi. - Czy mam podać łyżki, nawet jeśli nie będziemy ich używać? Och, poczekaj, zapomniałam posłodzić kawę. Do diabła! Zapomniałam zaparzyć świeżą,

- Nieważne. - Max przypomniał sobie, że ostatnio jadł poprzedniego dnia, więc szybko usiadł u szczytu kuchennego stołu. - Louise - powiedział, gdy odsunęła się nagle od kuchni i zaczęła manipulować przy klamce do lodowni, jakby przez cały czas musiała się poruszać. - Może wreszcie usiądziesz?

- Nałożyłam mięso na miski, ale pomyślałam, że najpierw będziesz chciał obejść cały dom. Nie bardzo wiedziałam, co robić.

- Dom obejrzę później. - Przełknął kęs mięsa i sięgnął po świeży chleb. - Przepraszam, że nie było mnie wczoraj w nocy i dzisiaj przez cały dzień. Ale wiedziałem, że mama i Gilly się tobą zaopiekują.

- Nie potrzebuję niczyjej opieki - zaperzyła się. - Wiele się zdarzyło w czasie, gdy cię nie było. Twoja mama mi prawie wszystko opowiedziała. - Oderwała kilka niewielkich kawałków chleba, ugniotła z nich w placach kulki i wrzuciła je do swojej miski z potrawką. - Musiałeś nieźle się wściec, gdy się dowiedziałeś, że Philadelphia jest przy nadziei.

Nagle jedzenie straciło dla niego smak.

- Nic nie zyskamy, jeśli zaczniemy o tym rozmawiać. - Za oknami gęstniał mrok, więc lampa na stole wydawała się świecić coraz jaśniej, rysowała złocisty krąg na obrusie i wygładzała skórę na twarzy Louise. Max zaczerpnął tchu. - Wyjeżdżam spędzać bydło. Nie będzie mnie około tygodnia.

Zrobiła zdziwioną minę.

- Livvy mówiła, zdaje się, że nie będzie cię dłużej.

- Nie będziemy pędzić jednego stada, tylko kilka mniejszych. Wrócę z pierwszym i będę potem na miejscu piętnował i liczył zwierzęta.

- Zatrzymasz się w domu matki?

Skinał głową.

- Czy nie przeszkadza ci, że przez tydzień będziesz tu sama? Mogę zostawić jednego z chłopców, żeby do ciebie zaglądał.

Nawet luźne kosmyki włosów, spadające Louise na policzki, wydały mu się nagle sztywne, tak ją zirytował.

- Do diabła, nie potrzebuję mamki! - Przekrzywiła głowę i przesłała mu miażdżące spojrzenie. - Wolałabym, żebyś wziął mnie na spęd. Mogłabym się nauczyć, jak pędzić bydło.

- Pewnie mogłabyś. - Mimo woli się uśmiechnął. - Ale wątpię, czy chłopcy ucieszyliby się, że wchodzi im w drogę żółtodziób i do tego kobieta.

- Nie jestem delikatna jak kwiatek - oświadczyła i jeszcze bardziej zmrużyła oczy. - Mogę robić dokładnie to samo co każdy mężczyzna.

Znowu pomyślał, że Louise podoba mu się najbardziej, gdy broni swojej dumy.

- Z tym nie będę się sprzeczał. - Wziął jeszcze kawałek chleba. - Mama z Gilly jeździły na spędy, zanim Gilly stała się młodą damą. Ale mama nigdy nie była żółtodziobem. Potrafi wypędzić byka z krzaków nie gorzej niż mężczyzna. A widziałem, że Gilly też umie sobie poradzić z niedużym stadem.

- No, właśnie. - Oczy Louise triumfalnie zabłysły. - To znaczy, że ja też umiałabym.

- Poganianie bydła trzeba mieć we krwi, a jeśli nie, to musi stać się twoją naturą. Tego nie można się nauczyć w połowie jesiennego spędu. Byłabyś zagrożeniem dla siebie i innych.

Może to była kwestia ciepłego światła lampy, w każdym razie tego wieczoru rysy Louise były wyjątkowo czytelne. Max dostrzegł jej rozczerowanie, pojął jednak również, że uderzył we właściwą strunę, kiedy wspomniał o zagrożeniu innych.

- Mogłabyś przenieść się na ten czas do mamy - zaproponował, skończywszy jeść mięso.

Louise podała mu kawałek rabarbarowego ciasta. Cóż, Philadelphii nie zostawiłby samej, więc powinien tak samo odnosić się do Louise.

- Mogę ją odwiedzać, ale spać będę tutaj. - Nadal ugniatała w palcach chlebowe kulki, teraz jednak rzucała je na ciasto, którego jeszcze nie tknęła. - Ktoś musi karmić kurczęta i doić krowy. Domyślam się, że to zajęcie dla mnie. Poza tym kto wie? Może zrobię małą wyprawę po okolicy, znajdę jakieś bydło w pobliżu i będę mogła poćwiczyć zaganianie go do obory?

To mu się bardzo nie spodobało. Niezależność Louise podsuwała jej nieprzemysłane pomysły. Cierpliwie wytłumaczył jej, że postąpiłaby bardzo głupio, gdyby próbowała bez wskazówek doświadczonego kowboja wypędzać bydło z zarośli, zwłaszcza że w razie czego nie miałyby nikogo do pomocy.

- Wyobraź sobie, że byk nagle rzuci się na twojego wierzchowca, a koń się spłoszy i cię zrzuci. Mogłabyś leżeć tam tydzień ze złamaną nogą, bez wody, a nikt nie wiedziałby, gdzie cię szukać.

Podniosła głowę i uważnie przyjrzała się Maksowi.

- Nie sędzę, żebyś zbytnio się tym przejął - powiedziała beznamiętnie. - Nikt by po mnie nie płakał, gdybym skreśliła sobie kark.

- Ale też nikt nie skakałby z tego powodu z radości - odburknął. - Cokolwiek zrobisz, nic to nie zmieni. Możesz żyć, możesz umrzeć. Zostać albo wyjechać. Wally i tak pozostanie mężem Philadelphii. - Uświadomił sobie, że podniósł głos, więc szybko usiadł wygodniej i przesunął dłonią po policzku, by wymacać znaki po ospie. - Czy nadal chcesz mieć dziecko? - spytał bez ogródek.

- Tak.

- To przestań się nad sobą litować. Zgadzam się, że nie powitano cię tu zbyt serdecznie, mama zaczęła z tobą rozmawiać o rozwodzie, zanim jeszcze weszłaś do domu, ale rodzina stara się, jak może. Próbuja nie winić cię za wszystko, co się stało. - Zignorował bardzo sztywną pozę, jaką przybrała Louise. - Prawda jest jednak taka, że wielu ludziom odmieniło się życie z tego powodu, że zachciało ci się dziecka.

- A może z tego powodu, że zachciało ci się spędzić lato w górach? Albo z tego, że wylosowałaś znaczną kulkę? Albo...

Uniósł dłoń.

- Masz rację. Ale faktem jest, że Wally nie ożeniłby się dzisiaj z Philadelphia, gdybyś zażyczyła sobie pianina, domu czy czegoś takiego. Jesteśmy małżeństwem dlatego, że chciałaś mieć dziecko. Wally i Philadelphia też pobrali się z tego powodu.

- Do czego zmierzasz? - spytała chłodno.

- Chyba do tego, że wprawdzie cię nie obwiniam, ale nie zmienia to faktu, że ponosisz pewną odpowiedzialność. Poza tym chcę ci powiedzieć, że jeśli sobie życzysz, to możesz stąd uciec. Możesz głupio narazić życie dla pokazania, że umiesz postawić na swoim. - Spojrzał jej w oczy. - Tylko że nikt na tym nie wygra. Nikt w tym całym zamieszaniu nie dostanie tego, co chce. Możesz w to nie wierzyć, ale, jak już mówiłem ci wcześniej, wcale nie chciałbym, żeby tak się stało. Wolałbym, żeby przynajmniej jedna osoba była w końcu zadowolona z tego, jak potoczyły się sprawy. W każdym razie nie będę cię błagał, żebyś tu została, Louise. Jeśli naprawdę chcesz stąd zniknąć, to twoja sprawa. Nic cię tu nie trzyma, nie jesteś więźniem.

- Nie idzie inaczej, zostaje - oświadczyła, wstając od stołu. - Nie zmieniłam zdania w sprawie dziecka. - Z szumem spódnic obróciła się twarzą do zlewu i zaczęła pompować wodę z takim impetem, że trysnęła jak z gejzera. - Nigdy nie oczekiwałam uroczystego powitania i nie wspomniałam ani słowem o tym, że twoja rodzina źle się do mnie odnosi! Są uprzejmi, troskliwi, krótko mówiąc, tacy, że do rany przyłoż. - Spojrzała na Maksa z urazą. - Są wobec mnie w porządku, tylko że nie dla mojego dobra, lecz dla twojego. Bo prawdą jest również, że mogłabym umrzeć tak, jak teraz stoję, przy zmywaniu naczyń po kolacji, i nikt nie uroniłby z tego powodu ani jednej łzy. Zawsze tak było i to jest fakt.

Max uświadomił sobie nagle, że nie ma pojęcia, o co się kłóca. Wstał, uznawszy, że nadeszła właściwa pora na obejrzenie całego domu. Przez chwilę przyglądał się Louise, wściekle skrobiącej miski i talerzyki po cieście nad wiadrem, i doszedł do wniosku, że nie musi się tłumaczyć z tego, co robi. Ale czuł, że powinien się odezwać.

- Powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia na ten temat, zapamiętaj to sobie. - Do diabła, nawet nie wiedział, jaki to był temat.

- Tego możesz być pewien! - krzyknęła za nim, gdy był już w korytarzu prowadzącym do sieni.

Zapalił lampy w jadalni i salonie i przekonał się, że jego polecenia wykonano z wielką drobiazgowością. Tapeta była w odcieniu fioleto, który Philadelphia lubiła najbardziej, a kanapa w salonie miała ciemnoniebieskie obicie. Te same kolory były obecne na dywanach i we frędzlach abażurów. Wszystko wyszło dokładnie tak, jak sobie wyobrażał, gdy projektował te pokoje. Z wyjątkiem...

Zmarszczył czoło i podszedł do kominka w salonie. Wyobraził sobie, że po obu stronach gzymsu znajdują się ozdobne świeczniki, przekazane Philadelphii przez matkę, a między nimi starannie ustawione figurki i kwiaty z aksamitu i jedwabiu.

Tymczasem pośrodku gzymsu stała na tle tapety samotna srebrna łyżka, oparta o podrapaną cynową kopertę od zegarka.

W pierwszym odruchu chciał to schować do szuflady, przecież takie śmiecie nie powinny zajmować honorowego miejsca. Wystawianie ich tylko naraża człowieka na śmieszność. Jest żenujące. Nagle przypomniał sobie jednak Louise, pokazującą mu tę łyżkę w obozie, obraz, który całkiem umknął mu z pamięci.

Przynajmniej tymczasem był to również jej dom. Miała takie samo prawo umieszczać na eksponowanych miejscach swoje skarby, jak on wstawić do oszklonej szafy swój zbiór pierwodruków.

Po chwili dostrzegł piramidkę na szafie z pierwodrukami. To były śpiewniki Louise. Zaintrygowany, otworzył stółek przy fortepianie i znalazł tam inne śpiewniki. Louise podzieliła zbiór na połowę, widocznie nie mogła bowiem zdecydować, czy są to bardziej książki, czy nuty.

Wcisnął ręce do kieszeni i natychmiast natrafił palcem na szklaną kulkę. Do pioruna! Bardzo mu się to nie podobało. Zawsze gdy wpadał w złość, gdy czuł się bardzo ważny i lepszy od niej, robiła coś takiego, co zbijało go z pantafelku.

Przez pełną minutę wpatrywał się w srebrną łyżkę, a potem niechętnie wrócił do kuchni i stanął przy drzwiach, oparty o futrynę. Louise układała naczynia na suszarce. Ścierkę miała przewieszoną przez ramię.

- Nie będę wycierać naczyń - oświadczył Max.
- Nie prosłam cię o to.
- Ale wyleję brudną wodę na podwórze.

- Nie, dziękuję. Zrobię to sama - powiedziała Louise oschle.
- Naprawdę mogę wylać wodę - powiedział, modląc się, by cierpliwość go nie zawiodła.
- Do diabła, nie chcę, żebyś coś dla mnie robił!

Max nie rozumiał, dlaczego rozzłoszczona kobieta nie pozwala mężczyźnie zrobić nic pożytecznego. Tak samo jak jego matka jeszcze za życia ojca, Louise szalała po całej kuchni, pucując, wycierając i czyniąc przy tym tyle hałasu, że czuł się niczym beużyteczny kłoc drewna, zawadzający we wszystkim.

- Czemu się tak ciskasz?
- Dlaczego miałabym się nad sobą litować? - Machnęła ścierką i rozejrzała się ze złością dookoła. - Nigdy w życiu nie wiedziałam, że takie kuchnie w ogóle istnieją, a teraz mogę na niej gotować! Ten dom jest najpiękniejszym miejscem, jakie kiedykolwiek widziałam. To wielka okazja móc go prowadzić i dbać o te wszystkie wspaniałości, które są w środku. Więc nie oskarżaj mnie o to, że się nad sobą lituję, bo to nieprawda! Gdyby nie ty, byłabym szczęśliwa jak król. A tak naprawdę to ty litujesz się nad sobą.

Wreszcie zrozumiał, o co chodzi. Uraził jej uczucia, kiedy powiedział, że lituje się nad sobą. To o to był ten cały raban.

- Myślisz, że się nad sobą lituję? - spytał. Jemu też nie było przyjemnie z taką myślą.

Oparła się o zlew i skrzyżowała ramiona.

- Czeka cię dużo przykrych dni, Max. Przecież Wally i Philadelphia zamieszkają u twojej matki. Będziesz nieszczęśliwy, jest zobaczysz ją jako żonę brata. Jak przyjdiesz na pierwszy obiad rodzinny. Jak będziesz widział, że rośnie jej brzuch. Jak będzie rodziła.

- Do czego zmierzasz?
- Przez to, że uprzykrzysz mi życie, sam nie poczujesz się lepiej.

Wybuchła w nim złość. Odepchnął się od framugi. Zony nie mówią do mężów tak bezceremonialnie i nie krytykują ich. Louise po prostu dała mu jeszcze jeden powód do tego, by znienawidził to małżeństwo.

- Przepraszam cię bardzo - oznajmił chłodno. - Idę do łóżka.
- Możesz iść! - Spojrzała w sufit, a potem zaczęła targać kubeł z brudną wodą w stronę komórki. - Przyjdę na górę, kiedy zrobię wszystko tutaj.

Zapomniał, że wykończył tylko jedną sypialnię. Philadelphia wspomniała kiedyś, że chciałaby sama urządzać pokoje, więc celowo zostawił dwie z trzech sypialni puste. Teraz, chcąc nie chcąc, musiał dzielić łóżko z Louise.

Zapaliwszy lampy, rozejrzał się z nieszczęśliwą miną po niewątpliwie kobiecym pokoju. Różowe tapety we wzór z Paisley. Marszczenia i koronki, mnóstwo koronek. Toaletka. Sznury z frędzlami przy zasłonach. Kiedy komponował ten wystrój, bawiło go to,



cieszył się, że sprawi niespodziankę Philadelphii czymś w jej guście. Teraz dosłownie dusił się w tym wnętrzu.

Zacisnął zęby i zajrzał do garderoby. Z jednej strony wisiał tam rząd jego ubrań, z drugiej były kupione i pożyczone rzeczy Louise.

Zanim jego niechciana żona przysłała na górę, leżał już w łóżku i czytał książkę. Wbrew swemu zwyczajowi miał na sobie nocną koszulę. Udając, że jest pochłonięty lekturą, obserwował, jak Louise wchodzi do garderoby i wyłania się stamtąd kilka minut później cała okutana w obszerną koszulę nocną, kojarzącą mu się z namiotem. Włosy rozpuściła, a potem związała w warkocz, który opadł jej na ramię, gdy odchyliła koc po swojej stronie łóżka i położyła się w pościeli, ciągnąc za sobą metry materiału.

Znalazłszy się w łóżku, przysunęła poduszkę do wezgłowia i usiadła wyprostowana, tak samo jak on, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Należało przypuszczać, że jest to sygnał.

- Razi cię światło? - spytał zirytowany. Gdyby odpowiedziała twierdząco, jak się spodziewał, miał do wyboru zrezygnować z przyjemności czytania przed snem albo okazać bezwzględność i zignorować jej życzenie.

- Może rzeczywiście trochę się nad sobą zaczęłam litować - przyznała cicho. - Twoja rodzina jest miła, ale wiem, że wini mnie za wszystkie kłopoty. - Obrzuciła go nerwowym spojrzeniem. - Już sama zaczynam się winić i paskudnie czuć, bo myślę, że byłoby o wiele lepiej, gdybym wybrała sobie pianino albo cokolwiek, tak jak powiedziałeś. Ale nie chciałam pianina, więc wszyscy, z tobą włącznie, kazali mi wybrać, co chcę. To nie jest w porządku, bo teraz nie widzę końca kłopotów. Jak długo będziemy się kłócić o to, kto jest winien? Kilka tygodni? Kilka miesięcy? A może rok?

Z trzaskiem zamknął książkę i położył ją na stoliku przy łóżku. Nie było mowy, żeby mógł się skupić. Szczerze wątpił, czy przez ostatnie trzy kwadransy przeczytał dwie strony. Zatrzymał wzrok na tapecie, szukając łączeń.

- Uznawanie twojej odpowiedzialności nie jest tym samym co obwinianie - powiedział w końcu. - Jeśli kogokolwiek należy obwiniać, to mnie. Nie powinienem być jechać do Piney Creek.

- Mnie też wpadło to do głowy. Dlaczego więc tam pojechałeś?

Odpowiedź nie była prosta. Philadelphii nie zdołał tego wytłumaczyć, toteż wątpił, czy Louise go zrozumie. Ale mimo wszystko opowiedział jej o Jasonie McCordzie, trochę po to, żeby przypomnieć samemu sobie, co gnało go w góry wbrew błaganiom Philadelphii.

- Urodziłem się w Meksyku - powiedział. - Wally urodził się w Kalifornii. Gilly przysłała na świat w obozowisku w Górach Skalistych. Wspólne dla tych miejsc są kruszce, złoto lub srebro.

- Czy twój ojciec poszukiwał złota? - Louise drgnęła ze zdziwienia. Poczwała na sobie badawcze spojrzenie Maksa. - Myślałam, że był ranczerem.

- Nie, to mama urodziła się na ranczu, na dalekim Południu. Poznała ojca, gdy pracował w pobliskim miasteczku, żeby zarobić na następną wyprawę. - Dlaczego pokochało się dwoje ludzi o tak różnych życiorysach, marzeniach i charakterach, pozostawało dla Maksa zagadką. Może była to zagadka również dla jego rodziców.

- Pamiętasz z Piney Creek mężczyzn, którzy sprowadzili rodziny do obozowiska? Mój ojciec robił to samo. W pierwszych latach małżeństwa matce chyba podobało się jeżdżenie w miejsca, których inaczej nigdy by nie zobaczyła. Może mieszkanie w obozowisku poszukiwaczy złota wydawało jej się romantyczną przygodą. Mój ojciec najchętniej ścigałby swoje marzenie bez końca, ale któregoś dnia mama zorientowała się, że ma troje dzieci, które dorastają w prymitywnych warunkach. Bez domu, bez poczucia bezpieczeństwa. Tylko życie z dnia na dzień i żadnej przyszłości.

- Mów dalej - zachęciła go Louise. Oparła łokieć na poduszce, a głowę na dłoni, natomiast drugą ręką machinalnie głaskała się końcem warkocza po policzku. Gdyby Max nie był pochłonięty ożywianiem historii swoich rodziców, pewnie roześmiałby się głośno, bo gruby koniec warkocza kojarzył mu się z jego pędzlem do golenia.

- Mama zaczęła sprzedawać w swoim namiocie chleb i ciasto. Zarobiła na tym dostatecznie dużo, żeby kupić pensjonat na głównej ulicy Central City. Trzy lata później kupiła to ranczo. A jeszcze rok później sprzedała pensjonat i cała nasza czwórka wyniosła się z Central City, by zamieszkać tutaj. Podczas budowy domu mieszkaliśmy w namiocie nad strumieniem.

- Cała wasza czwórka? - Usłyszał w jej głosie smutek.

- Ojciec został w Central City - powiedział, choć nawet teraz te słowa nie chciały przejść mu przez gardło. - Za bardzo żył pogonią za swym marzeniem, więc pozwolił rodzinie wyjechać. - Max był już wtedy na tyle duży, że zapamiętał ból, jaki widział w oczach matki. Sam zresztą też czuł się porzucony i opuszczony.

Zanim ojciec doszedł do wniosku, że bycie z rodziną jest jednak ważniejsze od szukania złota, dom był zbudowany, a pastwiska wyznaczone. Wrócił do domu jak żebrak. I nigdy nie wybaczył matce, że znalazła w górach bogactwo, chociaż jemu się nie udało. Nie pozwolił zapomnieć ani jej, ani sobie, że kupiła to ranczo za swoje pieniądze i że jemu przyszło żyć z owoców kobiecej pracy.

Kiedy mama opuściła obozowisko poszukiwaczy złota, kupiła ziemię i to dało jej poczucie bezpieczeństwa. Ale ojciec stracił wigor. Wprawdzie potem nigdy już nie wyruszył w góry, ale na ranczu też naprawdę się nie zadomowił. Lepszą część siebie zostawił tam, wysoko. Poza tym w czasie, gdy mama z ojcem żyli osobno, ich małżeństwo się zmieniło. Może mama nie mogła mu wybaczyć, że wybrał łopatę i sito, a nie ją. Może odkryła, że go nie potrzebuje. A może ojciec winił ją za swoje stracone złudzenia. Albo po prostu nigdy do siebie nie pasowali.

- A ty? - spytała cicho Louise, nie odrywając wzroku od jego twarzy. - Czy wybaczyłeś mu to, że wybrał marzenie zamiast ciebie?

- Wielki Boże! - szepnął Max, wpatrując się w nią ze zdumieniem. Zorientował się, że dłonie ma z całej siły zaciśnięte w pięści. - Myślałem, że potrzebuję tego lata, żeby zrozumieć, co nim kierowało - powiedział wolno, myślami bowiem sięgał już dużo dalej. - Ale masz rację. Chodziło mi nie tylko o to.

Louise ziewnęła, poprawiła sobie poduszkę i wślizgnęła się głębiej pod koc, jakby przed chwilą wcale nie wykazała niewiarygodnej umiejętności rozumienia.

- Myślę, że miałeś taką potrzebę, żeby jechać do Piney Creek. A tego lata nadarzyła się jedyna okazja - odezwała się sennie, odwracając się plecami do niego i lampy. - Dobranoc.

- Piney Creek było takie jak Central City przed gorączką złota, zanim pojawili się tam poszukiwacze.

Jeszcze długo po tym, jak zgasił lampę, a Louise zasnęła obok, siedział w mroku i wspominał swoje dzieciństwo. Rozbijanie namiotów nad różnymi strumykami. Pomaganie matce w zagniataniu ciasta na chleb albo w wałkowaniu spodów placków. A potem opróżnianie wiader w pensjonacie i mycie schodów z rana, przed zebraniem w kurniku jajek na śniadanie.

Później przypomniał sobie, jak cieszył się ranczem i ziemią, wiedział bowiem, że wędrówki się skończyły i że wreszcie dotarł do miejsca, które jest dla niego. Ale z tęsknoty za ojcem wyrósł wkrótce tak wielki gniew, że gdy ten w końcu wrócił do rodziny, Max czuł do Jasona McCorda głęboką niechęć.

Czy kiedyś wybaczył ojcu to, że pozwolił im odejść? Że wprawdzie w końcu wrócił, ale serce zostawił w górach? Na pewno nie wtedy, gdy stał nad jego grobem, podając ramię matce i słuchając modlitw wielebnego Dawsona.

Ale teraz? Po spędzeniu lata w Piney Creek?

Po pewnym czasie wyciągnął ramię ku Louise i okrył ją kocem. Dziwiło go, że w odróżnieniu od Philadelphii tak łatwo zrozumiała, dlaczego musiał wyjechać w góry.

Philadelphia. Wydawało mu się to niemożliwe, a jednak na chwilę zapomniał, że to dziś jest jej poślubna noc. Zasłonił dłonią oczy i poczuł szarpiący ból w klatce piersiowej.

Była żoną Wallace'a McCorda.

O czwartej po południu weszli na schodki urzędu hrabstwa Denver. Nie minęło pół godziny i Wally znalazł sędziego pokoju, a ten dał im ślub w obskurnej salce, w której unosił się zapach cygar, kleju i atramentu. Parę minut później znaleźli się znowu na schodkach przed budynkiem, zakłopotani, zdumieni, że tak nagle ich życie na zawsze się odmieniło.

Stamtąd poszli do stacji telegrafu i wysłali wiadomości do Livvy McCord oraz Howarda Housera. Prawdziwym odbiorcą tych nader ostrożnie sformułowanych telegramów był jednak pan Graham, telegrafista z Fort Houser, znany z tego, że nie potrafi dotrzymać tajemnicy korespondencji przechodzącej przez jego ręce. Było więc pewne, że do następnego dnia plotki o ich ślubie rozejdą się po całym mieście.

Potem Wally spytał Philadelphię, czy jest głodna, a ponieważ czuła się zagubiona i opuszczona, skinęła głową, chociaż miała wrażenie, że nie przełknie ani kęsa.

Wally zaprowadził ją do restauracji w hotelu, gdzie wcześniej zarezerwowali stolik, i jednak musiała coś zjeść, chociaż potem zupełnie nie pamiętała, co zamówili. Po wypiciu kawy wsiedli do powozu i pojechali do teatru. Wszyscy oprócz nich mieli tam piękne wieczorowe stroje. Ale również z przedstawienia Philadelphia nie pamiętała ani jednej sceny.

Teraz byli z powrotem w apartamencie miejskiego hotelu. Wally siedział naprzeciwko niej z kapeluszem na kolanach i wydawał się dużo młodszy, niż był w rzeczywistości, bardzo zakłopotany i potulny.

Philadelphia zdjęła już modną wełnianą pelerynkę, pasującą do jej eleganckiego niebiesko- karmazynowego kostiumu, który wybrała jako ślubny strój. Nie, absolutnie nie mogła myśleć o cukierkowej sukni, wiszącej w szafie w Fort Houser. Wiedziała, że nigdy jej nie włoży.

Wyjęła z kapelusza przytrzymujące go długie szpilki, a potem odłożyła nakrycie głowy na kozetkę, na której siedziała.

- Dziękuję panu z głębi serca- powiedziała cicho, przyglądając woalce, pióra oraz jedwabne kwiaty, które zdobiły rondo kapelusza. Przelotnie spojrzała na Wally'ego i spuściła oczy. - Tak bardzo mi wstyd. - Łzy zabłysły jej w oczach, zaperliły się na rzesach, a w końcu popłynęły po policzkach.

Umiejętność płakania na zawołanie była bardzo praktyczna. Niektóre kobiety, płacząc, natychmiast czerwienieją, a na twarzy pojawiają im się plamy. Ale nie ona. Philadelphia wiedziała, że płacze przesłicznie, bo długo doskonaliła tę sztukę przed lustrem.

Splótłszy dłonie na kolanach i skuliwszy ramiona, przedstawiała żywy obraz wstydu i rozpacz.

- Musi pan mnie nienawidzić - szepnęła, starając się, by kilka łez spadło jej na rękę. - Musi pan nienawidzić myśli, że jest skazany na osobę tak słabego charakteru.

W jednej chwili znalazł się przed nią na kolanach. Wcisnął jej w dłonie swoją chustkę do nosa.

- Niech pani nie płacze. Wcale pani nie nienawidzę. - Uniósł ramiona, jakby chciał ująć ją za ręce, ale nie czuł się jeszcze uprawniony do takiej poufałości. - Wcale nie ma pani słabego charakteru. - Nabrał tchu. - A ja nie jestem na panią skazany.

Zasłoniła twarz dłońmi i kilka razy konwulsyjnie wstrząsnęła ramionami.

- Jaki pan jest dobry. Och, jak się panu odwdzięczę za to, że uratował mnie pan przed odrzuceniem i skandalem.

- Philadelphio. - Pierwszy raz zwrócił się do niej inaczej niż „panno Houser”. - Proszę, niech pani na mnie popatrzy.

Kilka razy dotknąwszy oczu chusteczką, Philadelphia spojrzała na niego z wielkim smutkiem. Wally wyglądał jak wcielenie poczciwości. Był bardzo zatroskany i tak chciał ją pocieszyć.

- Źle zaczynamy, to prawda - powiedział, starając się nie zwracać uwagi na jej smutek. - Ale jest wiele udanych małżeństw, które miały złe początki. Chcę być dobrym mężem i troskliwym ojcem. Daję pani słowo. - Szyja mu poczerwieniała, a pas stopniowo rozlał się po twarzy. - Mam nadzieję, że któregoś dnia polubi mnie pani tak bardzo, jak ja lubię panią... - Z trudem przełknął ślinę, w policzku drgnął mu nerw. - To, co stało się wcześniej, nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, co będzie od dziś.

- Dziękuję - szepnęła przez łzy. A potem pochyliła się i położyła głowę na ramieniu Wally'ego, zachęcając go, by ją pocieszył. Po chwili niezręcznie ją objął i pogłaskał po plecach, zasypując cichymi obietnicami na przyszłość.

Nie ulegało wątpliwości, że łatwo jest nim rządzić. Wszyscy mężczyźni, których spotykała na swojej drodze, byli tacy. Z wyjątkiem Maksa. On był jedynym znanym jej mężczyzną, od którego usłyszała „nie”. Jedynym, który nie stawiał jej życzeń przed swoimi. Nienawidziła go za to, lecz zarazem kochała.

Och, Max, pomyślała i nagle ogarnął ją gniew, a łzy stały się całkiem szczere. To ty powinieneś być ze mną dziś w nocy.

Zdaniem Louise, która wciąż próbowała przyzwyczać się do swego nowego imienia, Shorty Smith przypominał Stony'ego Marksa, natomiast jego pomocnik jednego takiego, którego znała jeszcze w Dakocie. Wspólny język z kowbojami znalazła natychmiast i chętnie spędzałaby w oborze i zagrodzie dla bydła znacznie więcej czasu, gdyby Max nie dał jej jasno do zrozumienia, że żona właściciela może mieć przyjaciół, ale nie wśród kowbojów. W akcie łagodnego sprzeciwu spędziła popołudnie na pieczeniu placków z dzikiej wiśni posypanych cukrem. Gdy wypieki ostygły, zaniósła cztery placki do baraków.

Większość dnia poświęciła odkrywaniu natury obowiązków żony. Nikt nie musiał niczego jej wyjaśniać, robota sama pchała jej się w ręce. Było oczywiste, że trzeba posłać łóżko i przygotować śniadanie. Błędym świtem musiała poszukać w kurniku jajek do usmażenia. Potem przyniosła drewna na opał i postanowiła w przyszłości robić to przed podbieraniem jajek, żeby wracać potem do ciepłej kuchni. Zanim posprzątała po śniadaniu, musiała znowu ciepło się ubrać i iść do obory, by wydoić Missy, bo inaczej krowa obaliłaby ściany swoim rykiem. Potem trzeba było zebrać z mleka śmietanę i zdecydować, czy zrobić trochę masła. Jeszcze potem Louise wygoniła Missy na pastwisko i umyła wiadro, po czym pospieszyła z powrotem do domu, żeby posprzątać kuchnię i wymyślić, co dać Maksowi na obiad i kolację. Zagniotła ciasto na chleb i odłożyła je na bok, żeby wyrosło. Posprzątała rozsypaną mąkę. I nakarmiła kurczaki. Całkiem zapomniała o tych przeklętych kurczakach.

Po kolejnym powrocie z obory usmażyła szynkę i ziemniaki na obiad dla Maksa. Chleb nie był jeszcze gotowy do pieczenia, więc musieli się obyć bez niego. Po obiedzie znowu trzeba było posprzątać kuchnię i odkurzyć pokoje, ale szybko, żeby zdążyć jeszcze nazbierać dzikich wiśni na placki. Podczas pieczenia placków Louise nie odważyła się wyjść z kuchni, wiedziała bowiem, że najpierw musi dobrze poznać kaprysy piekarnika. Nie wiedziała, czy wszystko będzie się równo opiekąć, czy trzeba co pewien czas przekręcać blachy.

Zanim zdążyła się zorientować, zachodziło słońce i musiała znowu zastawić stół, a dzień się kończył.

- Jestem wykończona - powiedziała Maksowi, gdy usiedli do kolacji. Masło, które przyniosły Gilly i Livvy, prawie się już skończyło, więc spojrzała z nieszczęśliwą miną na talerz, zastanawiając się, kiedy znajdzie czas, żeby zrobić nowe. A Bóg jeden raczył wiedzieć, jak sobie ze wszystkim poradzić w dzień przeznaczony na pranie.

- Chłopcy byli ci bardzo wdzięczni za placki - powiedział Max, rozkładając sobie serwetkę na kolanach, co natychmiast przypomniało jej hotel Belle Mark. - Myślę, że to nie był zbędny gest. Ale niech ci nie wchodzi w zwyczaj.



- Nie byłam pewna, jak mi wyjdą te placki, bo od wieków nie piekłam nic w prawdziwym piekarniku.

Zastanawiała się, jak wykonać wszystkie prace, kiedy Max z kowbojami pojedą na spęd. Musiała wtedy dodatkowo zająć się swoją mulicą i końmi. A to oznaczało jeszcze więcej obowiązków.

- Dochodzę do wniosku, że przesiewanie żwiru w poszukiwaniu złota było niczym w porównaniu z obowiązkami żony.

Max uśmiechnął się.

- Czy to naprawdę takie trudne?

- Praca nie jest ciężka, tylko jest jej strasznie dużo. Mam takie wrażenie, jakbym przez cały dzień gotowała i sprzątała po gotowaniu, a w przerwach starała się zrobić resztę.

Ponieważ jeszcze nie zdążyła zaznajomić się z kuchnią, mięso było spieczone, a ziemniaki niedogotowane. Nie popełniłaby takich błędów, robiąc to samo nad wolnym ogniem w obozowisku. Tam widzi się płomienie pod patelnią i można ją odpowiednio podnieść albo opuścić. To, że placki upiekły się akurat tak, jak trzeba, stanowiło prawdziwy cud.

Tego wieczoru pozwoliłaby Maksowi wyłączyć brudną wodę, ale już jej tego nie zaproponował. Po kolacji wyszedł z kuchni i usiadł w salonie, co bardzo zdziwiło Louise, nie sądziła bowiem, że jest to pomieszczenie do codziennego użytku. Wspomniała o tym, gdy poszli na górę i Max był w garderobie. Wolała do niego mówić niż w milczeniu wyobrażać sobie, jak się rozbiera.

- Musiałem przejrzeć wydatki na dom, oborę i stodoły. Dlaczego się uśmiechasz? - spytał, gdy wszedł do sypialni.

- Bez powodu. - Nie spodziewała się, że będzie sypiał w nocnej koszuli. Długa szata kończyła się na wysokości kolan, a spod dolnej krawędzi wystawały muskularne łydki. - Mogłeś rozłożyć papiery na stole w kuchni.

- Tylko nie zaczynaj znowu z tym, że na krzesłach nie wolno siedzieć. Krzesła w tym domu są do siedzenia. Poza tym nie chciałem ci przeszkadzać.

- Nie przeszkadzałybyś! - odkrzyknęła z wnętrza garderoby. Teraz na nią przyszła kolej, żeby przebrać się do spania. - Musiałam tylko posprzątać po kolacji i przygotować wszystko do śniadania. - Zdjęła z siebie jeden ze strojów, które dostała od Livvy, włożyła przez głowę koszulę nocną i wróciła do pokoju.

Szczotkowanie włosów w ciemnej garderobie nie było wygodne i dawało marne skutki. Louise krępowało jednak chodzenie po sypialni w koszuli nocnej. Do diabła, przecież to był również jej pokój. Dlatego obiecała sobie, że nie będzie się wstydzić, i ostentacyjnie ignorując obecność Maksa, wyszczotkowała włosy przed toaletką, a potem zaplotła je w warkocz.

Tego wieczoru nie zaskoczyło jej, że Max chce poczytać w łóżku. Gdy zajęła miejsce obok niego, miała na stoliku wcześniej przyniesiony śpiewnik, który dostała od chłopców z Piney Creek.

- Co się stało? - spytał Max, gdy głośno się roześmiała. Opuścił książkę i popatrzył na nią.

- Takie kowbojskie historie. Posłuchaj tego: „Ciagną chmury z zachodu, znów się zbiera na burzę, ja na wozie ze starą, czas okropnie się dłuży...”

- The Old Chisolm Trail - powiedział z półuśmiechem.

- O, znasz tę historię. Ja też, ale do tej pory nie czytałam. A ty co czytasz?

- „Przygody Tomka Sawyera”. Ale nie mogę się skupić. - Potarł ręką nasadę nosa.

Miał za wiele na głowie. Nazajutrz zaczynał się spęd. Myślał o Philadelphii. I o papierach, które przeglądał w salonie. Louise nie wykluczała również, że martwi się o nią, bo miała zostać sama, choć naturalnie nie było się czym przejmować.

Zamknęła śpiewnik, odłożyła go na bok i splotła ręce na kocu. Siedzieli dostatecznie blisko siebie, by czuła ciepło jego ramienia.

I nagle uprzytomniła sobie, że przez cały dzień czekała na tę chwilę bliskości. Wprawdzie frędzelki i ozdóbki dookoła nic jej nie obchodziły, ale sypialnia była przytulna i Louise mogła sobie wyobrazić, że reszta świata znikła, zostali tylko oni we dwoje, więc mogą siedzieć w łóżku, wsparci na poduszkach, i czytać. Zabawna była ta myśl, ale przyjemna.

- O czym myślisz, jeśli wolno spytać?

Louise uznała już, że nie ma co liczyć na odpowiedź, gdy Max się odezwał:

- Z papierów wynika, że wydatki podczas mojej nieobecności były większe, niż się spodziewałem. Liczyłem na to, że pensją z banku wyrównam ewentualne braki.

- Zapomniałam o twojej posiadzie w banku. - Pokręciła głową. - Ale nie wydajesz mi się typem bankiera. - Nawet gdy bardzo się starała, nie mogła sobie wyobrazić Maksa w roli tego człowieka z Banku Handlowego w Denver. Jego miejsce było na ranczu.

- Może tak naprawdę brakuje mi z tego tylko stałej pensji - przyznał. - Myślałem, że będę mógł nadal prowadzić ranczo, pracując w mieście. Ale zdaje się, że to nie byłoby takie łatwe, jak mi się zdawało.

Louise przytaknęła.

- Nie można służyć dwóm panom. W końcu musiałbyś wybrać. - Zaczynała podejrzewać, że pomysł z pracą w banku wyszedł od Philadelphii, a nie od Maksa.

Tak, to zdecydowanie była najmiłsza pora. Siedzieli obok siebie w łóżku i rozmawiali. Mogła nacieszyć się ciepłem i dźwięcznym brzmieniem głosu Maksa. Gdyby przesunęła nogę o kilka centymetrów, dotknęłaby jego stopy. Nie zrobiła tego, ale wiedziała, że może. I nawet trochę się zastanawiała, kiedy znowu ją posunie. Właśnie...

- Max? - Spojrzała na swoje ręce. - Muszę ci coś powiedzieć. - Spuściła głowę i zaczęła obracać na palcu obrączkę, odbijając światło lampy. - Nie jestem przy nadziei. Będziemy musieli zrobić, wiesz co, jeszcze raz.

Max odchylił głowę i zapatrzył się w mrok za oknem. Louise nie sądziła, by cokolwiek to zmieniło, gdyby jeszcze przed ślubem Wally'ego z Philadelphia zorientowała się, że nie jest przy nadziei, ale nie była tego pewna.

- Przykro mi - rzekł w końcu.

- Mnie też. - Dowiedziała się o tym już poprzedniego dnia, ale dopiero teraz przezwyciężyła rozczarowanie na tyle, by móc powiedzieć o nim Maksowi. To było doprawdy nie w porządku, że jedni mają dziecko po pierwszym posuwaniu, a inni nie.

- Oboje wiedzieliśmy, że to może trochę potrwać. - Wyraz jego twarzy mówił jednak coś zupełnie innego. Max najwyraźniej zakładał, a może nawet żywił nadzieję, że jeden raz wystarczy. Naturalnie Louise też miała taką nadzieję.

Obrzuciła ukradkowym spojrzeniem ciemne kręcone włosy, wystające z nadkołnierzyka jego głupio wyglądającej nocnej koszuli.

Pomyślała, że wkrótce będzie musiała się przemóc i jeszcze raz pozwolić mu na posuwanie. Żar zalał jej policzki, a w brzuchu poczuła dziwne ssanie, prawie jakby na to czekała.

Max zbudził się przed świtem i stwierdził, że obejmuje Louise, a nogi ma zaplątane w jej idiotyczną koszulę nocną. Zaskoczony, znieruchomiał i zaczął się zastanawiać, jak do tego doszło. Powietrze w sypialni było rześkie, Max bowiem lubił sypiać przy uchylonym oknie. Widocznie przytulili się do siebie przez sen, szukając ciepła.

Louise rzeczywiście była rozgrzana. Czuł dotyk jej pośladków w okolicach krocza i nie pozostał nań obojętny.

Zakłopotany taką reakcją swojego ciała, ostrożnie wyplątał się z więzów, szybko wstał i ściągnawszy przez głowę koszulę nocną, schronił się w ciemnej garderobie. Ubrał się błyskawicznie i trzymając w dłoniach skarpetki oraz buty, zszedł do kuchni, gdzie przekonał się, że wieczorem Louise przyniosła drewno na opał. Chwilę zajęło mu rozpalenie ognia pod płytą, ale z goleniem nie musiał czekać, bo woda w zbiorniku była jeszcze ciepła od wieczoru.

Goląc się w komórce, wbrew sobie musiał przyznać, że Louise ma praktyczny zmysł, jakże potrzebny żonie ranczera. Przyniosła drewno na opał, napełniła zbiornik wodą, zastawiła stół do śniadania, przygotowała patelnię i dzbanek z kawą. A przecież to był dopiero jej drugi dzień w tym domu. Max przypuszczał, że za tydzień lub dwa Louise będzie wykonywać prace domowe nie mniej sprawnie niż jego matka lub Gilly.

Opuścił brzytwę i spojrzał na odbicie swej namydlonej twarzy w lustrze.

Louise nie zaszła w ciążę.

Będą więc dalej razem, krok po kroku będą się do siebie przyzwyczajając, uczyć zrozumienia, poznawać swoje słabe i mocne punkty. I wszystko tylko dlatego, że razem mieszkają, bez względu na to, co oboje myślą o małżeństwie.

To samo będzie z Wallym i Philadelphia.

Oparł ręce po dwóch stronach miski, opuścił głowę i się pochylił.

To Wally będzie siadał do kolacji z Philadelphia i chwalił jej ciasto. Wally będzie patrzył, jak Philadelphia wkłada pończochy i zapina podwiązki. Wally będzie ją oglądał z rozpuszczonymi włosami i będzie brał od niej szczotkę do włosów. Wally będzie się uczył jej zwyczajów i nawyków, dowie się, co ją cieszy, a co sprawia przykrość.

Nie on.

Zanim Louise weszła do komórki w drodze po jajka, Max skończył się golić i tymczasowo pogodził się z tym, czego nie mógł zmienić. Myśli o Philadelphii ukrył w najgłębszym zakamarku umysłu i postawił tam tabliczkę „Wstęp wzbroniony”. Byłe tylko tej tabliczki nie dało się obejść.

Louise stała na frontowym ganku, wycierała dłonie w fartuch i przyglądała się, jak Marva Lee oddała się kłusem wzdłuż kolein, które udawały drogę do domu Livvy. Była zdania, że żaden bankier nie jeździ konno tak jak Max. Odnosiła wrażenie, że on i klacz stanowią jedną istotę. Patrzenie na jego proste plecy i szerokie ramiona sprawiało jej wielką przyjemność.

Cieszyła się, że Max wyjeżdża.

Może parę dni jazdy konno i ciężkiej pracy wybije mu z tej upartej głowy myśli o Philadelphii. Naturalnie Louise dobrze wiedziała, kiedy Max myśli o tym świętym wzorcu wszelkich cnót niewieścich, pannie Philadelphii Wspaniałej Houser, obecnie McCord. W jego oczach pojawiał się wyraz rozmarzenia, stawał się nagle chłodny i nieobecny duchem, tak jak tego rana przy śniadaniu.

Gdy znikł, obróciła się na pięcie i wróciła do kuchni. Nalała sobie jeszcze jeden kubek kawy, wyjęła z kieszeni kopię listu Maksa do Philadelphii i wygładziła kartki na blacie stołu.

Nauczyła się już tego listu na pamięć, mimo to przeczytała go od nowa, a każde słowo było dla niej jak sztylet w serce.

To był obraz szczęścia, list mężczyzny do kobiety, która jest dla niego naprawdę ważna. Szczegółowo opisawszy dom, Max łagodnie ganił Philadelphię za to, że obiecała mu karę za opuszczenie jej na całe lato. Żartował z jej entuzjazmu dla weselnych podarunków, które już zaczęły napływać. Nazwał ją swoją najdroższą i napisał, że liczy godziny do dnia, gdy Philadelphia będzie jego.

Gdy Louise pierwszy raz przeczytała ten list, nie miała do niego osobistego stosunku. Po prostu podobał jej się sposób, w jaki układały się w nim słowa, i marzyła, że ktoś kiedyś napisze do niej podobny list i też nazwie ją najdroższą.

Odkąd byli z Maksem małżeństwem, ten sam list zaczął ją smucić, wydawać jej się dowodem na kapryśność losu. A teraz, czytając go, wpadła w złość, chociaż nie potrafiłaby wyjaśnić jej powodu.

To było naturalne, że Max wciąż myśli o Philadelphii. Przecież z tą kobietą chciał spędzić życie. Poza tym człowiek nie może na życzenie czegoś odczuwać albo nie odczuwać. Najprawdopodobniej żal Maksa po stracie Philadelphii będzie trwać długo, może nawet zawsze.

Popijała kawę, raz po raz spoglądając przez okno na dwór. Poranny przymrozek okrył trawy sadzią, a liście na topolach coraz bardziej żółkły z każdym dniem. W stajni Louise zauważyła, że końskie włosie staje się gęściejsze i dłuższe, co także zapowiadało zimę.

Zmarszczyła czoło i znów spojrzała na list Maksa. Przestało ją cieszyć, że go ma. Bez namysłu zgmiotła kartki i wrzuciła je pod płytę kuchni. Przez chwilę patrzyła, jak papier płonie i zamienia się w popiół. Bardzo chciała, żeby równie łatwo można było pozbyć się Philadelphii.

Był jeszcze inny powód, dla którego cieszyła się, że Max pojechał spędzać bydło. Od dnia ślubu nie miała praktycznie ani minuty dla siebie. Wcześniej prowadziła samotnicze życie i chociaż nie nazwałaby się miłośniczką samotności, to potrzebowała odosobnienia, żeby przetrwać swoje kłopoty, przypomnieć sobie ostatnie radości i snuć plany na przyszłość.

Wstawszy, rozejrzała się po kuchni i uznała, że brudne naczynia mogą poczekać, podobnie jak inne obowiązki. Najbardziej potrzebowała teraz przypomnienia, że jest kimś więcej niż tylko żoną Maksa McCorda, że jest sobą i zamierza sobą pozostać.

Zdecydowanym krokiem weszła do garderoby na górze, zdjęła za krótką spódnicę i bluzkę. A ponieważ jej stroju poszukiwacza złota już nie było, wzięła parę drelichowych spodni Maksa i włożyła je, podkasując mankiety. W talii spodnie były tak szerokie, że opadłyby do kostek, więc pożyczyla również szelki. I ciepłą flanelową koszulę. I kapelusz, i rękawice do konnej jazdy.

Tak dobrze nie czuła się już od wielu dni. Spreżystym krokiem poszła w stronę obory i zagrody, żeby obejrzyć konie, które Max i chłopcy zostawili na miejscu. Do ogrodzenia natychmiast przykłusowała Rebeka, a za nią kary wałach już nie pierwszej młodości. Popieściła trochę mulicę, a potem przesunęła dłonią po strzępiastej, gęstniejącej na zimę grzywie wałacha.

- Nie podoba ci się, że tu zostałeś, co? - szepnęła, po czym wlaźła na ogrodzenie i zeskoczyła na ziemię obok konia. - W tym wieku powinieneś wiedzieć o zaganianiu bydła dość, żeby mnie czegoś nauczyć.

Podczas siodłania czarny wałach aż drżał z niecierpliwości, tak mu się spieszyło. Gdy Louise znalazła się w siodle, natychmiast pozwoliła mu dać upust rozsadzającej go energii. Ze śmiechem pokonała kamienne ogrodzenie na północ od obory.

Przez następną godzinę jeździła bez celu, ciesząc się słońcem i czystym, rześkim powietrzem. Poznawała okolicę, odkrywała rowy i koryta strumieni, połacie lasu i prerie. Od czasu do czasu dostrzegała byka albo krowę, a wtedy wałach strzygł uszami i czuła, jak cały tężeje w oczekiwaniu na sygnał.

- Poczekaj, dojdziemy i do tego - powiedziała i poklepała go po karku.

Max byłby bardzo zły, gdyby się dowiedział o jej eskapadzie, w to nie wątpiła. Ale ponieważ nigdy nie grzeszyła uległością i nie bała się ryzyka, to nie zamierzała nagle się zmieniać. Gdyby miało jej się coś stać... co tam, będzie się o to martwić, jeśli rzeczywiście coś się stanie. Tak samo postępowała przez te wszystkie lata, kiedy nie miała męża, uważającego, że może jej dyktować, co należy robić.

- Dobrze - powiedziała do wałacha. - Następnym razem, jak zobaczymy sztukę bydła, rób, co masz robić, a ja będę na tobie siedzieć, przyglądać się i uczyć.

Prawie natychmiast wałach szarpnął do przodu i pogalopował za krową, którą zauważył szybciej niż Louise. Nie było jednak mowy o spokojnym przyglądaniu się wszystkiemu z siodła. Musiała z całej siły się trzymać, przez chwilę bowiem koń gnał jak strzała przed siebie, a potem zrobił nagły zwrot, gdy krowa z cielęciem próbowała uniknąć pojmania, jeśli właśnie pojmanie stanowiło cel tej gonitwy, czego Louise nie była pewna. Wałach dopędził krowę galopem, zabiegł jej drogę i gwałtownie się zatrzymał ze spuszczoną głową, wydarłszy przednimi kopytami kępy darni.

Louise przeleciała przez łeb zwierzęcia i ciężko wylądowała na swoich czterech literach.

Z pewnością kosztowało ją to kilka sińców, ale dzięki Bogu niczego sobie nie złamała, a krowa jej nie stratowała. Zaciskając zęby, złapała wałacha i znów wskoczyła na siodło. Zanim zdążyła się rozejrzeć, krowa i cielę zniknęły. Najprawdopodobniej schowały się w gęstej kępie dzikich wiśni i innych krzaków, których Louise nie potrafiła nazwać.

- Tym razem wygrałaś! - krzyknęła, nie chcąc wprowadzać wałacha w gąszcz. - Ale jutro was złapię.

Następnym razem, gdy karosz pognał za samotnym bykiem, Louise wiedziała już, czego należy się spodziewać, więc utrzymała się w siodle dłużej. Nie próbowała opanować konia, lecz pozwoliła mu pracować po swojemu. Niestety, znowu skończyła tak samo jak poprzednio, ładując na czworakach w trawie.

Pod koniec dnia wałach zrzucił ją jeszcze raz, popatrzył na nią tak, jakby budziła jego niechęć, a potem pokłusował w stronę zagrody dla koni, co skazało Louise na trzykilometrowy marsz do domu. Zanim doszła na miejsce, dotkliwie czuła już wieczorny chłód, doskwierały jej też sińce z całego dnia. Po rozsiodłaniu wałacha i wrzuceniu



widłami siana do zagrody powlokła się do domu, z przyjemnością rozmyślając o długiej kąpieli w wannie. Tego dnia dowiedziała się między innymi, że zaganianie bydła wcale nie jest takie łatwe, jak jej się zdawało.

Ale rano czwartego dnia zbudziła się z nieśmiałą nadzieją, że zaczyna poznawać tajniki zaganiania bydła. Krowy okazały się o wiele zwrotniejsze, niż początkowo sądziła, i do tego znacznie szybsze, co bardzo ją zdziwiło. Niesłusznie też przypuszczała, że są głupie jak kurczęta.

Właśnie szła do drzwi na podwórze, gdy usłyszała, że Gilly woła ją od frontu:

- Louise, jesteś tam?

Na wargach wykwitł jej szeroki uśmiech. W najśmielszych marzeniach nie sądziła, że pewnego dnia przyjdzie do niej z wizytą ktoś z rodziny, a jednak taki dzień właśnie się zdarzył. Niesłychanie zadowolona, pospieszyła do wejścia.

- Witaj!

Gilly otworzyła usta ze zdumienia, gdy zobaczyła drelichowe spodnie i szelki. Zmieszana, spojrzała na Sunshine, która również miała oczy jak spodki.

- Mama i ja martwiłyśmy się, że Max nie zostawił nikogo, kto by się tobą zaopiekował, więc przyszedłem cię odwiedzić i przynieść ci ciasta. - Zamrugła i dalej stała jak wmurowana. - Louise, dlaczego, na Boga, jesteś ubrana jak... jak...? No, tak.

- Uczę się zaganiać bydło. A w ogóle to do niedawna przeważnie ubierałam się właśnie w ten sposób - wyjaśniła Louise radośnie. - Chodźcie do środka. I wybaczone mi bałagan. Nie idzie pilnować obowiązków domowych, kiedy człowiek zajmuje się bydłem. Naturalnie wszystko nadrobię, zanim Max wróci. - Co takiego było w jej nowej rodzinie, że natychmiast zaczynała mówić „nie idzie”, chociaż w towarzystwie Maksa już prawie przestała to robić? - Zaraz podgrzeję kawę.

Gilly wzięła koszyk stojący u jej stóp, podała Sunshine rękę i w milczeniu poszła za szwagierką do kuchni.

- Nie sądzę, żeby Max był zadowolony z tego, że podczas jego nieobecności sama uganiaś się za bydłem.

Louise przyznała jej rację i postawiła na stole dwa kubki oraz szklanekę mleka.

- Ale gdybym czekała na niego, aż mnie nauczy zaganiania, to mogłabym czekać do końca świata.

Gilly uśmiechnęła się.

- Dave jest taki sam. Zawsze mówi, że zrobimy to czy tamto, ale nigdy potem nie ma czasu. - Zmierzyła wzrokiem flanelową koszulę Louise i jej szelki, potem odkaszlnęła. - Mama uważa, że powinniśmy jutro wybrać się do miasta i kupić materiały na twoje nowe stroje. Koniecznie jutro, bo za dwa dni Wally i Philadelphia wracają do domu, spodziewamy się też pierwszej części stada. Mama i ja, i ty też, jeśli chcesz pomóc,

będziemy gotować dla kowbojów, bo wszyscy chłopcy muszą pilnować stada, piętnować i kolczykować bydło.

Louise ujęła oburącz kubek z kawą i skinęła głową, myśląc o tym, że Sunshine jest miniaturą Gilly. Spod zgrabnego kapelusika wysypywały się jej kasztanowe loki, a oczy miała - jak to McCordowie - błękitne i przejrzyste.

- Jutro bardzo chętnie. A przy gotowaniu naturalnie pomogę. Upiekę placki. -  
Przynajmniej miała pewność, że to potrafi dobrze zrobić.

Wally i Philadelphia wracali do domu. Nie potrzebowała wróżki, by zrozumieć, że ich przybycie zburzy chwiejną równowagę, jaką zaczęli osiągać z Maksem we wzajemnych stosunkach.

- Przyjedziemy po ciebie jutro rano. Powiem mamie o plackach.

Gilly zdjęła kapelusz, a potem wyjęła z koszyka ciasto i stos rzeczy do cerowania. I nagle Louise uświadomiła sobie, że Gilly zamierza trochę u niej pobyc, co naturalnie wydawało się logiczne, gdy się nad tym zastanowiła. Nie warto byłoby jej jechać taki kawał, gdyby chciała tylko przekazać wiadomość i natychmiast zawrócić.

Podeszła do okna, zerknęła w stronę zagrody dla koni i zobaczyła czekającego na nią czarnego wałacha. Pechowiec. Żaden wierzchowiec nie miał u niej szans podczas odwiedzin rodziny.

Uśmiechając się szeroko, wróciła do stołu, niosąc nóż, talerzyki i widelce. Poprosiła Gilly o pokrojenie ciasta, a potem zaproponowała jej, żeby opowiedziała coś o swoim domu. W czasie gdy Gilly mówiła, a Sunshine bawiła się po cichu lalką, którą Max przywiózł jej z Denver, Louise przygotowywała chleb do pieczenia.

Bardzo się śmiała z anegdotek, które Gilly opowiadała o swoim dzieciństwie, i odwzajemniła się kilkoma własnymi. Pytała o spędy bydła i o to, co się dzieje, gdy stado się spłoszy, i o to, jak zwierzęta zimują. Natomiast Gilly interesowała się poszukiwaniem złota i ludźmi, których Louise poznała w Piney Creek. Porozmawiały też o różnych wspólnych kobiecych sprawach, o domach i kuchniach, przepisach i codziennych zajęciach, wreszcie Gilly spojrzała na zegar, wydała okrzyk zaskoczenia i sięgnęła po kapelusz.

Gdy Louise stała w drzwiach i machała ręką do Sunshine, a wóz się oddalał, podskakując w koleinach, uświadomiła sobie nagle, jak bardzo żałuje, że szwagierka z córeczką już odjeżdżają. Ona i Gilly różniły się jak niebo i ziemia, ale dobrze im się razem siedziało, no i miały kilka wspólnych zainteresowań. Nie rozmawiały o niczym szczególnie ważnym, unikały kłopotliwych tematów, ale zrobiły dobry początek. Trudno było powiedzieć, co dalej, Louise miała jednak nadzieję, że się z Gilly zaprzyjaźnią. To byłoby wspaniałe. Nigdy dotąd nie miała przyjaciółki.

Pierwszą osobą, którą Philadelphia zobaczyła po zejściu ze schodów, był jej ojciec, siedzący przy jednej z wielkich paproci. Miał zmarszczone czoło i stukał czubkiem wypastowanego buta o podłogę, jakby był właścicielem hotelu i chciał kogoś zbesztać. Widok ojca w holu bynajmniej jej nie zdziwił, nawet nie przyszło jej do głowy, by zakwestionować jego obecność w tym miejscu. Puściła się pędem po marmurowych płytach, padła mu w ramiona i zaczęła się doń tulić, z trudem powstrzymując łzy.

Howard Houser poklepał ją po plecach i szepnął kilka słów pocieszenia, potem jednak delikatnie ją odsunął i zerknął w stronę Wally'ego.

- Zabieram moją córkę na śniadanie. Możesz przyjść po nią za dwie godziny.

Spłonawszy rumieńcem po tej odprawie, Wally obrócił w dłoniach kapelusz, spoglądając to na Philadelphię, to na jej ojca, jakby nie wiedział, jak zareagować. Jego wahanie bardzo rozżłościło Philadelphię. Max nigdy się nie wahał. I nigdy nie pozwoliłby się tak łatwo spławić. Podeszedł bliżej, podał jej ramię i swym upartym uśmiechem dał wyraźnie do zrozumienia, że zaproszenie dotyczy ich obojga.

Ale Wally nie był tak pewny siebie. A ponieważ zdążył już prawie się w niej zakochać, był skłonny do najbardziej żalonych wyrzeczeń, byle ją zadowolić. Zgodnie z przewidywaniami Philadelphii skinął głową i ruszył do wyjścia. Wyglądał przy tym jak człowiek, który ma dużo czasu do zabicia, ale nie ma gdzie pójść.

Philadelphia szybko przestała o nim myśleć, położyła rękę na ramieniu ojca i pozwoliła mu się zaprowadzić do hotelowej restauracji. Kierownik sali nie wskazał im jednak miejsc pośrodku sali, gdzie jadała z Wallym, lecz zarezerwowany stolik przy oknie z widokiem na ogród, który urządzone tak, by bez względu na porę roku dostarczał gościom wrażeń. Śliwa, mieniąca się wszystkimi odcieniami ognia, odciągała uwagę od kwiatnych rabat okrytych na zimę mierzwą.

Kawa dla ojca i herbata dla niej pojawiły się na stoliku jak za dotknięciem różdżki, ale Howard Houser skinieniem dłoni odesłał kelnera, który chciał przyjąć zamówienie.

- Powinnaś już wiedzieć, czy coś będzie z tego układu. Więc jak? - spytał wprost.

Czuła woń pomady do włosów i angielskiego mydła do golenia. Te znajome zapachy oznaczały dla niej bezpieczeństwo, wygodę i pobłażanie. Wśród wstrząsających odkryć, dokonanych przez Philadelphię w ciągu minionego tygodnia, było i takie, dotychczas wręcz niewyobrażalne, że ojciec nie może naprawić absolutnie każdego zła, nie może ułożyć wszystkiego po jej myśli.

- Powinieneś być skłonić Maksa, żeby się ze mną ożenił - szepnęła. Z oczu popłynęły jej oskarżycielskie łzy.

- Sama wiesz, że to niemożliwe. Ten sukinsyn już ma żonę. Gdybyś czekała, aż rozwiedzie się z tą ladacnicą, stanęłabyś przed ołtarzem z bękartem na rękach. Czy tego chciałaś? Urodzić nieślubne dziecko?

Odkąd Max opowiedział historię swojej choroby i w efekcie małżeństwa, wydarzenia potoczyły się z prędkością błyskawicy. Wybrano jej męża, ustalono datę ich „potajemnego” wyjazdu do Denver, zdecydowano, gdzie będą mieszkać potem. I nikt ani razu nie zapytał jej o zdanie.

- Naturalnie nie - odparła z westchnieniem. Kilka pokoleń dumnych Houserów obróciłoby się w grobie, gdyby zhańbiła nazwisko rodziny bękartem. I bez tego skandal był wystarczająco głośny. Na szybko spadła pierwsza kropla deszczu, a po chwili gęstniejąca mżawka przesłoniła widok śliwy za oknem. - Czy ludzie już o tym mówią? - spytała, spoglądając na ogród spowity deszczem.

- Ridley twierdzi, że całe miasto szumiało o waszym ślubie z McCordem już kilka minut po nadejściu telegramu.

Philadelphia spuściła wzrok i przyłożyła dłoń do czoła.

- Czy już rozeszła się wiadomość, że Max ma żonę?

- Od tego zaczął się skandal. - Pan Houser odwrócił się do okna i zazgrzytał zębami. - W „Fort Houser Gazette” twojemu małżeństwu z Wallace'em McCordem poświęcono dzisiaj czwartą część strony. Napisali, że to Wallace'a zawsze chciałaś poślubić. Na dalszej stronie jest też ogłoszenie o ślubie Maksa McCorda. Nie muszę chyba dodawać, że nie podano dni przyjęć żadnej z dwóch nowych pań McCord.

Z tonu głosu wywnioskowała, że ojciec jeszcze się na nią gniewa. Wciąż winił ją za to, co się stało, przynajmniej częściowo. Ale nic by na tym nie zyskała, gdyby pokazała, jak złości ją takie niesprawiedliwe traktowanie.

- Co z prezentami? Czy zważywszy na okoliczności, będziesz je musiał odesłać? - Przesyłki były adresowane do niej i Maksa. Szczerze mówiąc, przypuszczała, że prezenty należy zwrócić, ale nie wiedziała, co w takich razach dyktuje etykieta. Wszak panna młoda pozostaje panną młodą. Ślub się odbył.

- Nie mam ani czasu, ani ochoty sprawdzać, który prezent komu oddać. Osobiście bym je zatrzymał. - Pan Houser wzruszył ramionami.

Taką odpowiedź Philadelphia chciała usłyszeć. Nalała sobie jeszcze filiżankę herbaty i sprowadziła rozmowę na następny interesujący ją temat.

- Miałam okazję wszystko dobrze przemyśleć i doszłam do wniosku, że nie chcę żyć na ranczu, z dala od miasta. Nigdy tego nie chciałam. - Mieszkanie u Livvy McCord byłoby po stokroć gorsze niż w domu, który zbudował dla niej Max. Gdy Livvy spoglądała na nią przenikliwie swymi niebieskimi oczami, Philadelphia natychmiast wpadała w zakłopotanie, czuła się wtedy tak, jakby nie była dość dobra dla McCordów. Ta niedorzeczność bardzo ją drażniła.

- Chcę mieszkać z tobą w mieście, tato.

- Skandal jest wystarczający, nawet jeśli ludzie nie patrzą na twój rosnący brzuch - odburknął. - A wiesz, że tak by było. Poza tym gdybyś przeprowadziła się do miasta, potrzebowałabyś w końcu własnego domu, w którym miałabyś dziecięcy pokój.

Zawczasu przewidziała, że ojciec będzie tego zdania, i była na to przygotowana. Na wszelki wypadek nawet dyskretnie wypytała Wally'ego.

- To znaczy, że moje wygnanie może trwać wieki - powiedziała przez łyżę. - Max sprzedał dużo bydła, żeby zbudować dom, wprawdzie na wsi, ale jednak dom, więc teraz Wally mówi, że nie chce dalej trzebić stada. Naturalnie mogę go przekonać, ale to potrwa dość długo. Znacznie dłużej, niż chciałabym siedzieć na tym odludziu. - W chwili gdy pojawił się kelner, uroniła łyżę. Ojciec natychmiast odprawił go zniecierpliwionym gestem. - Sam mnie ostrzegałeś, tato, że ranczerzy nie mają dużej gotówki na zawołanie. Jeżeli mi nie pomożesz, nigdy nie będę miała domu w mieście.

- Do diabła, Philadelphio, nie mogę robić bankiera z każdego człowieka, który nawinie się pod rękę. Maksowi musiałbym bez przerwy patrzeć na ręce, żeby nie dał pożyczki jakiemuś ranczerowi, dla którego przyszły ciężkie czasy. A ty teraz chcesz zrobić finansistę z Wally'ego? - Pokręcił głową i dopił kawy, która tymczasem wystygła. - Wątpię, czy twój mąż potrafiłby cokolwiek zrozumieć z planu amortyzacji, gdyby podsunąć mu coś takiego pod nos. Nie widzę w nim nic, co zdradzałoby kandydata na dobrego bankiera.

- Wcale cię nie prosiłam, żebyś wziął Wally'ego do banku - odparła cicho, dając mu do zrozumienia, że propozycja wyszła od niego. - Ale taka możliwość jest istotnie warta rozważenia. Przecież Maksowi chciałeś coś zaproponować. A porządna pensja dla Wally'ego oznaczałaby duży krok w stronę naszego domu w mieście. - Ta rozmowa była nużąco podobna do poprzedniej, która dotyczyła Maksa. - Nie mam pojęcia, co powiedziałby Wally na karierę w bankowości. - Była jednak zdecydowana go przekonać, tak samo jak przekonała Maksa. - Naturalnie nie chcę, żebyś postąpił wbrew rozsądkowi. Musisz lepiej poznać Wally'ego i dobrze się zastanowić, zanim wystąpisz z jakąkolwiek propozycją. Szczerze mówiąc, sądzę, że przeżyjesz miłe zaskoczenie. Wally może być bardzo dobry w banku.

- Jesteś mąciwodą - powiedział Howard Houser, kręcąc głową, i spojrzął na córkę nad stołem. - Czasem tak bardzo przypominasz mi swoją matkę, niech odpoczywa w pokoju, że aż trudno mi w to uwierzyć.

Niewątpliwie miał na myśli jej umiejętność owijania go sobie dookoła palca. Związek Philadelphii z Wallym miał być zresztą oparty na tej samej zasadzie. Wally był szczerze przekonany, że to on zdecydował, by nie egzekwować swoich mężowskich praw, póki dziecko nie przyjdzie na świat i trochę nie podrośnie. Philadelphia zamierzała również wyrobić w nim przekonanie, że to on postanowił zbudować dom nie gorszy od tego, w



którym spędziła dzieciństwo. Wally McCord zrobi wszystko i uwierzy we wszystko, co tylko będzie jej życzeniem.

Ponieważ zamilkła, ojciec dał znak kelnerowi, a potem zmusił ją do zamówienia znacznie większej porcji jedzenia, niż chciała. Nie wspomniał o tym, że powinna jeść za dwoje, lecz naturalnie Philadelphia zrozumiała, o co mu chodzi.

W końcu nie mogła już myśleć o tej znieawidzonej ciąży bez uczucia mdłości. Miała ochotę uciec przez okno. Wciąż była wściekła na siebie za tę głupią, fatalną pomyłkę, bo przecież wszyscy będą musieli zauważyć, że daty się nie zgadzają. Ale gdy tylko ogarniało ją przerażenie, wystarczało jej spojrzeć na obrączkę lśniącą na palcu, by częściowo odzyskać spokój. Max mógł ją zdradzić, ale jego brat tego nie zrobi. Stali się mężem i żoną. Wally nie miał wyboru, musiał ją wspierać.

Zwróciła się do okna i zaczęła obserwować ukośne strużki deszczu siekające ogród. Raz po raz wracały do niej myśli o tym, że chciałyby znowu zobaczyć Maksa. Jak zachowaliby się wobec siebie? Co by powiedzieli? Chciała obudzić w nim poczucie winy i zazdrość, bo na to sobie zasłużył. Ale nie zdecydowała jeszcze, w jaki sposób osiągnąć ten cel. Musiała pamiętać, że inni będą obserwować i komentować ich wzajemne stosunki.

- Chcę, żebyś go ukarał - powiedziała cicho. Deszcz przypominał jej o wszystkich łzach, które przelała. - Niech zapłaci za to, co zrobił. - Nie musiała wyjaśniać, o kogo chodzi.

Ojciec skinął głową, a jego spojrzenie przybrało niezłomny wyraz.

Nie miało znaczenia, że sama doprowadziła się do zguby i była znacznie bardziej odpowiedzialna za tę katastrofę niż Max. Z jej punktu widzenia było inaczej. To on ją zdradził i odmówił poślubienia jej. Odwrócił się do niej plecami w godzinie potrzeby. Ciąg wydarzeń, który doprowadził do jej ciąży i małżeństwa z Wallym, zaczął się od tego, że Max nie chciał spełnić jej życzenia. Powinien był zostać w domu, zamiast wyjechać na lato w góry. Gdyby jej posłuchał, nic by się nie stało. Nie nosiłaby teraz dziecka pod sercem. A ta nędzna kreatura, która została żoną Maksa, znalazłaby sobie kogoś innego.

Philadelphia bardzo chciała, żeby Max i jego żona odcierpieli za swoje.

Miasteczko Fort Houser, podobne do wielu innych na Zachodzie, było zbudowane wokół głównej ulicy. Skromne domy stały na jego obrzeżach, a im bliżej Main Street, tym były większe i wspanialsze. Sama Main Street miała dostateczną szerokość, by pomieścić ruch w dwie strony, a jej odcinek przed bankiem i sądem był nawet wybrukowany. Livvy wspomniała, że w planach na następną wiosnę jest dociągnięcie bruku do poczty i ratusza.

Louise, która zawsze sądziła, że nie zwraca uwagi na takie sprawy, zauważyła jednak ludzi przystających na drewnianym chodniku, by popatrzeć, jak wóz McCordów przejeżdża ulicą. Podejrzewała, że to przede wszystkim ona ściąga na siebie spojrzenia.



- Czy w tym mieście nie ma saloonu? - Szklaneczka whisky dobrze by jej zrobiła. Może Livvy i Gilly myślały o tym samym, zważywszy na to, jak ludzie się na nie gapili.

- Saloony i domy uciech są mniej więcej dwa kilometry za miastem. - Livvy patrzyła prosto przed siebie, ale jej napięty ton wskazywał na to, że zdaje sobie sprawę z zainteresowania, jakie budzą. - Stowarzyszenie Kobiet od lat walczy o ich zamknięcie, ale, jak dotąd, bez powodzenia.

Trudno, widocznie Livvy i Gilly jednak nie myślały o whisky. Mimo to Louise wciąż miała ochotę się napić.

Wielkie wiązy oceniające Main Street oznajmiały wszem i wobec, że Fort Houser nie jest byle dziurą, lecz porządnym miastem wartym swej nazwy. Ceglane fasady sklepów sprawiały wrażenie wiekowych i statecznych. Dzwonnice kościoła, wystające ponad linię drzew, sygnalizowały, że mieszka tutaj zasiedziała, dobrze zorganizowana społeczność. Gdyby jeszcze żył dziadek Philadelphii, z pewnością byłby dumny z tego widoku.

Livvy powściągnęła konie przed domem towarowym i zaciągnęła hamulec.

- Pierwszy raz jest najtrudniejszy - powiedziała cicho. - Pamiętajcie obie, macie trzymać się prosto i pamiętać, że należycie do rodziny McCordów. Gilly, nie pozwól nikomu wciągnąć się w dyskusję o tym, co zaszło. Louise, zachowuj się jak dama i staraj się nie robić wrażenia uwodzicielki.

- Ja? - Louise podniosła oczy ku niebu, ale się nie roześmiała.

- Nie rób też wrażenia zbitego psa. Nie za pewna siebie, ale nie taka, co przeprasza, że żyje. - Livvy pochyliła się nad kolanami Gilly, by spojrzeć Louise w oczy. - Zauważyłam, że albo wysuwasz podbródek przed siebie, jakbyś szykowała się do bitki, albo cała się kulisz, jakbyś chciała zapaść się pod ziemię.

- Naprawdę? - Szczerze mówiąc, Louise wiedziała jednak, że właśnie tak jest.

- Spróbuj czegoś pośredniego - zakomenderowała Livvy i zeskoczyła na ziemię, po czym wygładziła spódnicę i poprawiła kapelusz. - I trzymajmy się razem. Nie odchodźcie daleko.

Ciepłe, rodzinne uczucie Louise nieco ochłodziło. Livvy najprawdopodobniej nie przypominałaby Philadelphii o zachowaniu godnym damy i nie dyktowała, jakie wrażenie ma robić, jak się zachowywać i gdzie stawać. Zaciskając zęby, Louise zeskoczyła z wozu i szybko sprawdziła, jak wygląda.

Tego dnia włożyła jeden z kostiumów kupionych w sklepie z używaną odzieżą w Denver. W porównaniu z Gilly i Livvy była prawdopodobnie rozpaczliwie niemodna, ale spódnica miała mniej więcej właściwą długość, a krój nie był zbyt odległy od obowiązującego. Poza tym była czysta i schludna. Jej okropny kapelusz eleganckiej damy miał prawie ten sam kolor co brązowy żakiet. Rankiem Louise starannie doprowadziła do lśnienia trzewiki, obficie je opluwając, wzięła też świeżo upraną i wyprasowaną chustkę do nosa.

Podniosła głowę i spojrzała hardziej. Livvy i Gilly mogły się z tym nie zgadzać, ale była zdania, że nie musi przeproszać za swój wygląd. Zrobiła wszystko, co mogła, zważywszy na stan jej garderoby.

Gilly uścisnęła jej ramię i spojrzała na nią krzepiąco.

- Brazy pasują do takich włosów i oczu, jakie ma Louise, nie sądzisz, mamó?

Livvy naciągała rękawiczki, wpatrzona w złote litery, zataczające łuk w witrynie.

- Mhm. Zieleń i złoto też byłyby dobre. - Słońce przedzierało się przez korony wiązów i podświetlało kasztanowe kosmyki w koku starszej pani. Livvy McCord była przystojną kobietą, a przed trzydziestoma laty musiała być prawdziwą pięknoscią.

Poprawiła rzemyki torebki, przybrała godną pozę i ozdobiła wargi uśmiechem.

- Gilly, ufam, że będziesz umiała wybrać wstążki i falbanki, o których rozmawialiśmy. - Wystąpiwszy naprzód, otworzyła drzwi domu towarowego. - Louise, ty pójdziesz ze mną. Chcę potrzymać ci materiał przy twarzy, zanim cokolwiek kupimy. Złoty kolor może być dla ciebie tak dobry, jak mi się zdaje, ale może też nadawać chorobliwy odcień twojej skórze. Naturalnie dowiemy się tego na pewno dopiero wtedy, kiedy zejdziesz ci opalenizna. Podejrzewam, że musimy zdać się na los.

Gdy Livvy otworzyła drzwi, powitał je radosny gwar. Jednakże im dalej wchodziły, tym większa zapadała cisza, bele materiału były zaś zgromadzone w drugim końcu sali.

Louise bardzo wątpiła, czy gdyby nie ta nagła cisza, usłyszałyby stuk ich obcasów na drewnianej podłodze. W jej uszach brzmiało to tak, jakby sama i koń szły po twardym gruncie. W drodze ku przeciwległej ścianie Livvy starała się zachować godny wygląd, może nawet budzący pewien respekt. Gilly wydawała się bardzo delikatna i miała na policzkach ciemnoróżowe kręgi, które akcentowały wrażenie kruchości. Louise nie czuła się ani godna, ani delikatna. Wydawało jej się, że jest wielka i niezgrabna, że zasługuje na kpiny i pogardę. Gdy Gilly odeszła ku stoisku z galanterią, Louise przysunęła się do Livvy.

- Podnieś głowę i trzymaj ją prosto- szepnęła teściowa kącikiem ust. Uśmiechnęła się, gdy podeszły do stojącej za ladą kobiety z centymetrem krawieckim na szyi.

- Witam, pani McConigle. Mam nadzieję, że nie jest pani dziś szczególnie zajęta, bo potrzebujemy pomocy w dość dużych zakupach. - Wyjęła z torebki listę, nabrała tchu i zaczęła: - Jeśli ozdobimy falbanami rąbek twoich codziennych spódnic, to, moim zdaniem, będą do zniesienia. - To powiedziała do Louise. A potem zwróciła się znów do pani McConigle: - Będziemy potrzebować czarnej popeliny na pół tuzina falban.

Louise stała jak głupia, ściskając przed sobą torebkę i wytrzeszczając oczy na bele materiału. Poznała szarszą i luksusowe sukno podwójnej szerokości, aksamit, wybijane perkale i lny. Były też leciutkie wełny, jakich nigdy przedtem nie widziała, i wiele tkanin, których nazw nie znała.

- Dalej mamy prażkowaną złocistobrunatną szarszą, taką na kostium. - Livvy postawiła znaczek przy swojej liście. - Na świąteczne rzeczy francuską taftę. - Zerknęła

na Louise tak, jakby widziała ją pierwszy raz. - Nie w kratę, gładką. Zaraz, tylko ile metrów?

- Czy mam tu coś do powiedzenia? - spytała niespokojnie Louise, przestępując z nogi na nogę.

- Wszystko już jest ustalone - odparła lodowatym tonem Livvy, pokazując jej gęsto zapisaną kartkę.

Pani McConigle przewróciła na stół belę gładkiej zielonej tafty i zaczęła odmierzać wymaganą długość. Po chwili z chytrym uśmiechem wzięła z lady gazetę i podała ją Louise. - Czy mogłaby pani przez chwilę to potrzymać? Przeszkadza mi, a nie chciałybyśmy chyba, żeby materiał pobrudził się świeżą farbą drukarską.

Louise wstrzymała dech. Gazeta była złożona tak, żeby było widać nagłówek, który brzmiał: „Wnuczka założyciela miasta poślubiła ranczera”. Imię i nazwisko Philadelphii biło w oczy, podobnie jak Wally'ego.

- Kiedy skończy pani odmierzać taftę, chciałybyśmy również bawełnę na koszule, trochę gładkiej i trochę wzorzystej, jeśli pani pozwoli. - Livvy zerknęła na gazetę w rękach Louise, a potem odznaczyła ptaszkiem kolejną pozycję na liście. - Mam nadzieję, że Gilly znajdzie odpowiednie koraliki do tafty. I chyba ma na swojej liście tasiemki do sznurowania sukni. - Tylko karmazynowa plama na szyi Livvy, sięgająca stopniowo coraz wyżej, dowodziła, że starsza pani przeczytała gazetowy nagłówek.

A potem zaczęły się szepty. Może zresztą zaczęły się wcześniej, tylko dopiero wtedy dotarły dostatecznie blisko, by Louise i Livvy mogły podsłuchać wyrwane słowa i zdania. Zresztą chodziło właśnie o to, żeby podsłuchały.

- ...narzeczona jego brata. Co za nieobyczajność...

- Musiała spotykać się z drugim bratem w czasie, gdy była zaręczona z...

- Ja tam myślę, że starszy McCord ją puścił kantem, więc pobrała się z tym drugim, żeby zrobić mu na złość. Niech pani popatrzy na daty. Starszy był pierwszy.

- To ona... ta, która poślubiła Maksa McCorda na kilka dni przed tym, jak miał się ożenić z... tylko ładacznica postąpiłaby...

- ...nie wiem, jak mogą pokazać się tak zwyczajnie, jakby nigdy...

Szepty wydawały się nie mieć końca, aż w końcu Gilly wróciła do stoiska z materiałami, pasowa na twarzy.

- Chyba kupiłam już wszystko. Jest załadowane na wóz. Jesteście gotowe? - Błagalnie spojrzała na matkę i szwagierkę, żeby odpowiedziały twierdząco.

- Wszystkie będziemy miały pełne ręce pakunków - stwierdziła Livvy, pospiesznie układając piramidy obwiązanych sznurkiem paczek w objęciach Louise i Gilly.

Sama była również objuczona, gdy ruszyła długim przejściem w stronę drzwi. Tym razem nie szła w milczeniu.

- Dzień dobry, pani Howard. Dzień dobry, pani Greene. - Damy nie odwzajemniły jej pozdrowienia. - Mamy dziś miły dzień, pani Peabody. Witam, pani Johnson. - W pobliżu drzwi nagle się zatrzymała i Louise omal na nią nie wpadła. - Och, pani Halston. Nie widziałam pani od wieków. Czy mogę przedstawić moją synową, żonę Maksa? - W jej głosie nie było ani krzty ciepła. Przeciwnie, biła z niego chłodna determinacja.

- Miło mi - bąknęła Louise, przyklejając uśmiech do warg. Nie mogła wymienić z panią Halston uścisku dłoni, bo przeszkadzały jej w tym paczki, sięgające prawie pod brodę. Zresztą nie wiedziała, czy kobiety witają się uściskiem dłoni.

Pani Halston ostentacyjnie ją zignorowała. Dalej potępiająco wpatrywała się w Livvy.

- Czy mam rozumieć, że w niedzielę nie będzie ślubu, pani McCord?

- Myślę, że dzisiejsze wydanie „Gazette” przynosi odpowiedź na to pytanie. - Livvy odwzajemniła spojrzenie nie mniej chłodno i niezłomnie. - Przepraszamy, ale musimy iść... - Zdawkowo skinęła głową i wyszła na dwór, a za nią powlokły się Gilly i Louise.

W milczeniu ułożyły paczki na wozie, po czym wspięły się na kozioł.

- Plecy prosto, głowy patrzą przed siebie. - Zwolniła hamulec i smagnęła wodzami po końskich grzbietach.

Gdy dotarły do granic miasta, Gilly podniosła drżącą rękę do czoła.

- Nigdy nie słyszałam, żebyś kiedyś przedstawiła kogoś nie tak, jak należy.

Livvy nie odpowiedziała, tylko dalej wpatrywała się w drogę przed wozem.

- One szeptały między sobą tak głośno, że w końcu zrozumiałam, o co im chodzi. Miałam to wszystko usłyszeć. Och, jak się cieszę, że zostawiłam Sunshine u pani Radowitz. Dobrze, że jej przy tym nie było. A co mówią plotki?

Gilly opuściła dłoń i położyła ją na kolanie.

- Nieskazitelną pod każdym względem Philadelphia...

- Philadelphia nie jest nieskazitelną pod każdym względem - burknęła Livvy.

- ...stała się czarnym charakterem, bo niczym kokota czyniła nadzieje obu braciom jednocześnie. W innej wersji wina spada na Wally'ego. To on namówił Philadelphię do oszukania Maksa i romansował z nią za jego plecami. Są też tacy, co winią Louise. Uwiodła Maksa, oczarowała go do tego stopnia, że zapomniał o biednej narzeczonej i ożenił się z ladacznicą. Kiedy Philadelphia dowiedziała się o jego niewierności, zaczęła szukać pocieszenia u Wally'ego i wzięła z nim ślub na złość Maksowi.

- Od tej pory skandal będzie nieodłączną częścią naszego życia. Wspomnicie te słowa. Plotki będą krążyć miesiącami, aż do narodzin dziecka Philadelphii. A wtedy przyjdzie nowa fala domysłów, bo wszyscy będą dociekać, czyje to dziecko. Dlatego raczej nie musimy martwić się o nadmiar gości z miasta, chcących odwiedzić Louise albo Philadelphię.

W oddali wznosiły się majestatyczne góry, niezmiennie widoczne nad czubkami topól. Louise zerknęła na śnieżne czapy szczytów i pomyślała, że najchętniej cofnęłaby zegar i

wróciła do Piney Creek na uroczystość przed chatą Olafa. Gdyby mogła przeżyć tę samą chwilę drugi raz, pozwoliłaby chłopcom spłacić dług woreczkiem złota.

Szczerze polubiła Maksa, Livvy i Gilly. Przypuszczała, że polubi również Wally'ego i męża szwagierki, Dave'a, kiedy ich lepiej pozna. A tymczasem nie przynosiła im nic oprócz wstydu. Wcale nie miała takiego zamiaru.

Nikt się nie odzywał, dopóki Livvy nie skreśliła w koleiny, prowadzące do domu Maksa. Wtedy wreszcie Louise głośno nabrała powietrza, pochyliła się naprzód i powiedziała wyniosłym tonem:

- Czy mam rozumieć, że w niedzielę nie będzie ślubu, pani McCord?

Teściowa i szwagierka spojrzały na nią zdziwione i Louise natychmiast pożałowała tej parodii zachowania pani Halston. Ale właśnie wtedy Gilly odpowiedziała jej:

- Naturalnie, ty głupia krowo. Wszyscy są już żonaci i mężaci, więc to chyba jasne, że następnego ślubu nie będzie.

Louise wsunęła złożoną gazetę w ręce Gilly.

- Może chce pani przeczytać wszystko ze szczegółami, pani Halston - powiedziała, zmieniając rolę. - Proszę sprawdzić, czy mimo swej małoduszności i ciasnoty umysłu zdoła pani znaleźć tam odpowiedź na swoje pytanie.

- Znam, znam odpowiedź, pani McCord. - Gilly odchyliła głowę, żeby spojrzeć na Louise bardziej wyniosłe. - Pytam tylko po to, żeby panią zakłopotać i zwrócić jej uwagę na niewybaczalne postępowanie tych podleców, pani synalków.

- A to kto?! - wykrzyknęła Louise, spoglądając po sobie. - Czyżby to była ta trzpiotowata uwodzicielka, od której wszystko się zaczęło? Ta, której żaden mężczyzna się nie oprze?

- Wielkie nieba. - Gilly zachłysnęła się udanym przerażeniem. - To ona. Czy ty nie masz wstydu, kobieto? Jak śmiesz pokazywać się publicznie?

- Bo pani zdanie gu...zik mnie obchodzi, pani Halston.

Obie z Gilly szeroko się uśmiechnęły, a potem radośnie parsknęły. Zaśmiewały się, aż łzy popłynęły im z oczu. Nawet Livvy się uśmiechała, gdy zatrzymywała wóz przed gankiem domu Maksa.

- To było takie straszne! - jęknęła Gilly, przyciskając dłoń do boku. - Te szepty! I to, co te kobiety mówiły!

- I to, jak stały i przyglądały się nam, kiedy odchodziłyśmy. I ich obojętność, kiedy Livvy się z nimi witała. A na mnie nawet nie spojrzały!

- Oj, spojrzały, spojrzały, i to nieraz.

- Cieszę się, że umiecie śmiać się z tego, jak okazano wam pogardę - powiedziała Livvy, zaciągawszy hamulec. Stała na ziemi i obesła wóz. - Czy możecie na chwilę trochę się opanować i przenieść te paczki do domu? - Naładowała im pełne naręcza zakupów, spojrzała na Louise i jakby się nad czymś zamyśliła.



Potem pogardliwie skrzywiła usta i odrzuciła głowę do tyłu.

- Och, pani Halston, skoro ogłoszenie jest mimo wszystko niezrozumiałe, to może zajrzy pani do kościoła w niedzielę. Jeśli nie będzie kaznodziei, nie będzie gości, panny młodej ani pana młodego, to znaczy, że ślub rzeczywiście odwołano. - Zadarłszy nosa, ruszyła do drzwi.

Louise szeroko otworzyła usta ze zdumienia, a potem mrugnęła do Gilly. Obie ze śmiechem ruszyły za starszą panią. Potem przy kawie i cieście obejrzały materiały i galanterię, którą kupiły. Livvy obmierzyła Louise na wszystkie strony, a Gilly zapisała jej wymiary w pasie i w biuście, długość ramion, wysokość w talii, odległość talii od ramion.

Przed wyjazdem Louise nie wiedziała, czego się spodziewać po tym dniu, przeczuwała jednak, że wizyta w mieście będzie trudna dla Livvy i Gilly, a więc dla niej również. Tak też było.

Ale dzień mimo wszystko okazał się udany. Pozbierała talerzyki po cieście i włożyła je do zlewu, potem przyniosła na stół dzbanek z kawą i ponownie napełniła wszystkie kubki, a Livvy i Gilly robiły wykroje sukni i kostiumów na papierze pakowym.

Zanim wyszły, rozejrzały się po salonie i dostrzegły łyżkę Louise. Nie można jej było nie zauważyć, jako że stanowiła jedyną ozdobę gzymsu kominka.

- Jaka ładna - powiedziała Gilly po chwili milczenia.

- Czy to własność rodzinna? - spytała uprzejmie Livvy, zanim przypomniała sobie, że to niemożliwe. - Och, nie, naturalnie nie. - Ponieważ Louise milczała, Livvy podeszła do kominka, wzięła łyżkę do ręki i obróciła ją w palcach. - Mam coś, czym będzie można błyskawicznie usunąć śniedź. Następnym razem, jak będziesz u nas, przypomnij mi, to ci dam.

Louise skinęła głową. Ostatnia minuta była dla niej trudna. Najpierw ogarnęło ją zakłopotanie, aż zrobiło jej się gorąco, że jedynym przedmiotem, którym może się pochwalić, jest zaśniedziła łyżka. Potem poczuła przypływ złości. Skoro łyżka stanowiła cały jej wartościowy dobytek, to guzik ją obchodziło, co kto sobie pomyśli. Nie będzie się tłumaczyła. Wreszcie za gardło ścisnęło ją wzruszenie. Livvy i Gilly jej nie wyśmiały. Nie wzgardziły jej skarbem.

Gdy stała na progu, patrząc, jak odjeżdżają, miała przed oczami mgłę i bardzo poważnie się zastanawiała, czy rzeczywiście wybrałaby co innego, gdyby miała drugi raz przeżyć dzień uroczystości przed chatą Olafa.

Max powściągnął konia za przykładem Dave'a Weavera, zsunął kapelusz na plecy i otarł pot z czoła.

- Czy nie wydaje ci się, że stado jest o połowę mniejsze niż w zeszłym roku?

Wcześniej umówili się, że Max wróci z pierwszą częścią stada i zajmie się piętnowaniem tych zwierząt, które uniknęły tego wiosną. Do wczoraj jednak nie wydawało



się, by trzeba było podzielić stado. Dziś dołączyli jeszcze około osiemdziesięciu sztuk i podział stada na dwie części mógł ułatwić im pracę. Ale nie był naprawdę konieczny. Kowboje bez większych trudności radzili sobie ze wszystkimi zwierzętami. Dave skinał głową.

- Szczerze mówiąc, wątpię, czy to jest najlepszy rok, żeby ostatecznie podzielić stado. W końcu nikt nie będzie miał tyle, ile mógłby. - Zmienił pozycję w siodle i spojrzał na bydło skubiące wyschniętą pożółkłą trawę. - Za dużo sprzedaliśmy na wiosnę. Naturalnie nikt nie mógł wtedy przewidzieć, że będzie susza ani że tyle zwierząt stracimy.

Sędzia, który pilnował egzekucji testamentu Jasona McCorda, zażądał policzenia, podziału i oznakowania całego stada, żeby w przyszłości spadkobiercy nie mieli powodów do kłótni. Tak też zrobiono, ale Dave Weaver i McCordowie nadal traktowali cztery działki jak jedno ranczo.

Wczesną wiosną na rodzinnym spotkaniu ustalili jednak, że na dłuższą metę prowadzenie czterech rancz tak, jakby były jednym, nie przynosi korzyści. Czyi kowboje powinni karmić bydło zimą? Do kogo należą cielęta, które rodzą się wiosną? Kto ponosi jakie koszty i wydatki? Co więcej, zarówno Dave, jak Max wzięli kredyty na budowę domu właśnie pod zastaw stada. Bank naturalnie chciał wiedzieć, ile sztuk bydła posiada każdy z nich. W końcu więc zdecydowano, że stado zostanie ostatecznie podzielone, gdy tylko każdy ogrodzi swoją ziemię. Dave był już przygotowany do przyjęcia czwartej części bydła. Również Max zgodził się wziąć swoją, a Shorty i jego kowboje mieli karmić zwierzęta zimą.

Bank. Max zapalił cygaro i odrzucił zapałkę.

Wiosną sprzedał pięćdziesiąt wychudzonych po zimie byków za połowę ceny, którą mógłby dostać za te zwierzęta teraz. Ale potrzebował gotówki, żeby dołożyć pieniądze do pożyczki na budowę domu, obory, innych budynków gospodarczych oraz części ogrodzenia.

Przekroczenie planowanych kosztów nie spędzało mu snu z powiek. Kiedy sprowadził do domu najlepszą dostępną kuchnię, kiedy wybrał najbardziej luksusową tapetę i kupił nawet pianino do salonu, miał w perspektywie wysoką comiesięczną pensję w banku. Większość tych pieniędzy zamierzał przeznaczyć właśnie na spłatę pożyczki. Warunki były dlań korzystne, poza tym nie przypuszczał, by Howard Houser zamierzał egzekwować co do litery postanowienia umowy, jeśli chodzi o termin spłaty.

Teraz Max potoczył wzrokiem po stadzie i wyobraził sobie, jak będzie wyglądało po podziale na cztery części. Nie było to przyjemne wyobrażenie. Na szczęście pożyczkę miał spłacić dopiero pierwszego czerwca przyszłego roku. Do tego czasu na pewno mógł znaleźć jakieś rozwiązanie. 1 to była jedyna optymistyczna myśl, przychodząca mu do głowy w tej chwili.

A za dwa dni miał stanąć twarzą w twarz z bratem i kobietą, która nosiła pod sercem jego. Maksa, dziecko.

Louise cierpiała ze świadomością, że musi się zachowywać jak na żonę przystało, przyznawała jednak, że Max zasługuje na to, by wrócić do czystego domu. Dlatego spięła włosy, włożyła fartuch i w końcu, acz z niechęcią, znalazła pewną satysfakcję w szorowaniu podłóg i pucowaniu do połysku blatów. Następnie uprała rzeczy, które pożyczyła od Maksa, a przy okazji także różne inne. Podejrzewała, że wiele czasu minie, nim znowu dozna przyjemności chodzenia w spodniach.

Gdy pranie suszyło się już na sznurze przed domem, wzięła dwa jabłka i poszła, by dać je Rebecce i czarnemu wałachowi.

- Dobrze, że już niedługo chłopcy wrócą - powiedziała, karmiąc zwierzęta. Nie mogła zdobyć się na to, by głośno przyznać, że brakuje jej Maksa i chętnie zobaczy go znowu.

Gdy zawiął zimny wiatr, mocniej otuliła się szalem i oparła o ogrodzenie. Spod lekko opuszczonych powiek przyglądała się domowi. W swoim życiu przejeżdżała obok tysięcy domów, przy których na podwórzu suszyło się pranie. Czasem między świeżutkimi, mokrymi prześcieradłami dokazywały dzieci i miło było na to popatrzeć.

Nic nie mówi tak wiele o rodzinie i jej domu, jak sznur z praniem, śnieżnobiały dowód pracy kobiety dla dobra kochanych ludzi. Przy domu można powiesić pranie bez lęku, że ktoś ukradnie koszulę albo spodnie. Skrzypienie wiatraka, słyszane z domu, krzepi, a nie budzi poczucia osamotnienia. Przy domu sadzi się kwiaty z nadzieją, że za rok pięknie rozkwitną.

Louise nigdy nie miała takiego domu i szczerze wątpiła, czy jeszcze będzie tu na wiosnę, żeby posadzić kwiaty wokół ganku. Ale część marzenia, którego dotąd nawet sobie nie uświadamiała, już się urzeczywistniła. Patrzyła teraz na dom, przy którym na sznurze wisiało pranie, i o dziwo, powiewały tam rzeczy należące do niej. Halka wisiała obok nocnej koszuli Maksa, a jej codzienne pończochy sąsiadowały z grubymi skarpetami, które Max wkładał do wysokich butów. Gdyby ktoś przejeżdżał obok i zastanawiał się, jaka kobieta mieszka w tym domu, przed którym widać pranie, tą kobietą byłby nie kto inny jak ona.

Aż zwilgotniały jej oczy. O Boże. Jak mogła tak bardzo tego pragnąć i nawet o tym nie wiedzieć?

Prawie biegiem wróciła do zacisznej kuchni, gdzie zajęła się obieraniem jabłek, przysłanych jej przez Livvy. Jednak gdy placki już się piekły, stanęła w drzwiach na podwórzu i trzymając kubek z kawą, długo patrzyła, jak pranie trzepocze na wietrze, mimo że było już suche i mogła je zebrać.

Zbudziła się jeszcze przed paniem koguta. Tak samo jak przez cały tydzień najpierw przetoczyła się na bok i wtuliła twarz w poduszkę Maksa, żeby wyczuć jego zapach, ale po praniu od poszewki bił już tylko zapach mydła i świeżości. Wstała, choć było jeszcze ciemno, szybko wdziała stare ubranie, wzięła wysokie buty i otuliła się grubym szalem, żeby chronił ją przed przymrozkiem podczas wykonywania porannych obowiązków. Gdy wróciła do domu z koszykiem jaj i wiadrem mleka, musiała poczekać, aż woda na kuchni zagrzeje się dostatecznie, by można było nalać ją do wanny i wziąć kąpiel.

Wymywszy się do czysta, usiadła przy otwartych drzwiczkach piekarnika, żeby wysuszyć włosy. Przy okazji zastanawiała się, czy powinna włożyć czarną suknię, tę, w której była na kolacji w Denver? A może raczej którąś z przykrótkich spódnic, bluzkę i żakiet?

Gdy uzmysłowiła sobie, o czym myśli, przewróciła oczami i rozłożyła ręce. Nikt na świecie, z nią włącznie, nie uwierzyłby, że Louise Downe może tracić czas na dumanie, w jakim stroju wygląda najbardziej atrakcyjnie.

Ale dziś miał wrócić do domu Max.

I miała przyjechać Philadelphia.

Zanim włożyła jedną ze zbyt krótkich spódnic i poważną ciemną bluzkę, weszła na wóz i załadowała placki. Niektóre miały przypalone brzegi, ale na pewno nie musiała się wstydzić swoich wypieków przed mężczyznami.

Dopiero gdy oddaliła się od domu, zauważyła, że jesień jest coraz wyraźniejsza. Wprawdzie niektóre krzewy nadal kwitły, ale na wzgórzach było widać smugi czerwieni i brązu. Topole w ciągu jednej nocy okryły się złotem, a tu i tam klon albo jesion wyglądał jak słup ognia. Niedaleko drogi Louise zauważyła dzikiego indyka, bażanta i rodzinę przepiórek. Gdyby miała przy sobie rewolwer, mogłaby na długo zapełnić spiżarnię.

Jak dotąd nikt nie wpadł na pomysł, że zdobywanie mięsa na stół również należy do obowiązków żony, i dobrze się stało, bo gdzieś jednak trzeba było powiedzieć „dość”. Nie ulegało wątpliwości, że gdyby raz przyniosła do domu bażanta, to potem oczekiwano by od niej następnych myśliwskich trofeów. Ta myśl obudziła w niej złość, bardzo pożądaną, bo tu Louise czuła się na pewnym gruncie, podczas gdy pulsujące ciepło, które zalało jej wnętrze, gdy rozważała powrót Maksa, bardzo ją zaniepokoiło.

Zacisnęła zęby, mocniej ujęła wodze, zatrzymała wóz przed frontowym wejściem do domu Livvy i zaciągnęła hamulec. Gilly już przyjechała i właśnie wybiegła jej na powitanie, żeby pomóc. Razem wniosły placki do kuchni, w której pachniało pieczoną szynką, świeżym chlebem i fasolą z bekonem, która bulgotała w wielkim garnku na płycie.

- Co mogę zrobić? - spytała Louise, zdjawszy żakiet i kapelusz.

- Możesz obrać ziemniaki. - Gilly rzuciła jej fartuch i wróciła do czyszczenia kukurydzy. - Jeden z kowbojów był tu jakieś pół godziny temu i powiedział, że pierwsza część stada dotrze przed obiadem. Musimy przygotować wielki obiad i wielką kolację.

- Dzień dobry, ciociu Louise. - Sunshine wbiegła przez drzwi od podwórza i uśmiechnęła się do niej. - Jesteś dziś ubrana jak Kobieta.

- Och, cieszę się, że cię widzę. Coś ci przyniosłam.

- Cukierka?

- Coś o wiele lepszego. Skałę.

- Skałę? Ojej. - Sunshine starała się nie okazać rozczarowania, a Gilly ukryła uśmiech.

Louise sięgnęła do kieszeni i wręczyła dziewczynce kawałek skały wielkości kurzego jaja.

- Popatrz - powiedziała, przykłękawszy, i przesunęła palcem po żyłce przecinającej kamień. - To jest złoto.

- Prawdziwe złoto? - szepnęła Sunshine, szerzej otwierając oczy ze zdziwienia. Teraz przyglądała się kawałkowi skały ze szczerym zachwytem.

- Prawdziwe złoto. Takie, jakiego twój dziadek szukał dawno, dawno temu, a twój wuj Max próbował znaleźć tego lata.

- Ty też szukałaś złota, prawda? - spytała Sunshine ze wzrokiem wbitym w skalny odłamek.

- Tak, ja też.

- Jeszcze nigdy nie miałam złota. Mamo, czy mogę zanieść złoto do obory i pokazać panu Deke'owi? - Gdy Gilly przyzwoliła skinieniem głowy, mała zarzuciła Louise ręce na szyję i cmoknęła ją w policzek. - Dziękuję, ciociu Louise. To najwspanialszy prezent, jaki dostałam. Prawdziwe złoto!

Zaskoczona Louise wstała i dotknęła palcami policzka. Sunshine ją pocałowała. I nazwała ciocią.

- Masz dryg do dzieci - powiedziała Gilly. - Sunshine bardzo cię polubiła. Mówi, że przy tobie czuje się jak dorosła.

Ten komplement przyprawił Louise o rumieniec.

- Gdzie jest Livvy? - spytała, a potem nałożyła do fartucha ziemniaków, usiadła na stołeczku i przysunęła do siebie wiadro na obierki.

- Mama jest na górze, przygotowuje pokój dla Wally'ego i Philadelphii.

- Aha. - Od tej pory już nic nie będzie takie, jak było. Krucha równowaga wszystkich jej związków z nową rodziną z pewnością się zachwieje. Livvy i Gilly będą dla Philadelphii rodziną tak samo jak dla niej. A dla Sunshine żona Wally'ego również będzie ciocią.

Marszcząc czoło, Louise zaczęła obierać ziemniak. Przysięgłaby, że mimo tych ponurych myśli nie odezwie się ani słowem.

- Jaka jest ta Philadelphia? Jak wygląda? - Do diabła. Rozum swoje, język swoje.

- Oczy ma niebieskie albo zielone, zależy od tego, w co się ubierze i jakie jest oświetlenie - odparła Gilly po chwili milczenia. - Ma jasne włosy. Jest mniej więcej mojego wzrostu, może trochę niższa, ale niewiele.

Louise stłumiła westchnienie. Spełniły się jej najgorsze przewidywania. Philadelphia była jedną z drobnych, delikatnych, bardzo kobiecych istot, przy których zawsze czuła się wielka, niezgrabna i kobieca jak sztacheta z płotu. Gilly też początkowo tak na nią działała, ale ponieważ była dla niej wyjątkowo życzliwa, Louise powoli zapominała o tym, jak bardzo różnią się rozmiarami ciała i gracją.

- Philadelphia lubi być wytworna. Wszyscy w Fort Houser obserwują ją, żeby wiedzieć, co jest modne. Dostaje wiadomości o modzie w Paryżu, a wszystkie kapelusze i trzewiki kupuje w Denver. - Gilly ostrożnie oderwała wąsy z kolby kukurydzy. - A jaka jest...? Gdy miała chyba dwanaście lat, umarła jej matka. Philadelphia wcześniej zaczęła odgrywać rolę pani domu i doszła w tym do dużej wprawy.

Louise nakazała sobie zamknąć buzię na kłódkę.

- To znaczy, co dokładnie robi? Gilly wrzuciła ramionami.

- Pan Houser podejmuje dużo ważnych gości miejscowych i przyjezdnych. Finansistów i polityków, ludzi, których poznał podczas licznych podróży. Philadelphia opracowuje jadłospisy na przyjęcia, decyduje, jak usadzić gości, prowadzi konwersację. Po kolacji bawi gości. Czasem gra dla nich na fortepianie albo śpiewa, czasem zaprasza muzyków z zewnątrz. Organizuje także powszechnie chwalone herbatki i lancze w klubach i towarzystwach dla pań, do których należy.

Cóż. Po wyjaśnieniach Gilly jedno Louise wiedziała na pewno.

Miała nadzieję, że Max nigdy nie powierzy jej obowiązków pani domu, bo z pewnością nie potrafiłaby ich wypełniać.

- Poza tym jako pani domu Philadelphia oprowadza gości pana Housera po miasteczku, pokazuje, co gdzie mogą kupić, i dba o to, żeby się nie nudził w czasie, gdy jej ojciec jest zajęty. Na przykład jednego z gości pana Housera wzięła na piknik z okazji Święta Niepodległości.

Oznaczało to, że Philadelphia jest czarująca i towarzyska. I jeszcze delikatna, wytworna i biegła w podejmowaniu gości. Jak to miło, pomyślała Louise z kwaśną miną.

- Ale właściwie nie znam dobrze Philadelphii. Skończyłam dwadzieścia sześć lat, a ona tylko dwadzieścia. Nie mamy wspólnych przyjaciółek. Poza tym Philadelphia bardzo lubi udzielać się towarzysko, a ja nie.

Louise natychmiast poczuła się osiem lat starsza niż Panna Wspaniała. Była stara, wysoka, duża, niezgrabna i pozbawiona wdzięku. Była nikim i niczego w życiu nie dokonała. A gdy spojrzała w dół, przekonała się, że na domiar złego wrzuciła obrany ziemniak do wiadra na obierki.

Do kuchni wpadła Livvy, ciągnąc za sobą zapach pasty cytrynowej i nafty do lampy. Przez ramię miała przerwioną ścierkę.

- Czy Dick Deke już wrócił do stada, czy jeszcze tu jest? Jeśli jest, to niech wyniesie długi stół przed dom i postawi go daleko od zagród, żeby nie było kurzu i nie śmierdziało bydlęciem, za to blisko kuchni, żeby jedzenie nie ostygło, zanim stanie na stole. - Spojrzawszy na placki z jabłkami, upieczone przez Louise, uściśnęła ramię synowej. - Uczysz się - powiedziała z uśmiechem. - Gęsto posyp je cukrem, to nikt nie zauważy, że skórka jest trochę za bardzo zrumieniona.

- Wątpię, czy kiedyś będę mistrzynią gotowania.

- Bzdura. Zobaczysz, że wkrótce złapiesz, na czym to polega. Wszystkie kobiety umieją gotować. To jest w ich naturze tak samo jak wstawanie rano, rodzenie dzieci, jak życie.

Życie tutaj tak różniło się od tego, które dotąd wiodła Louise, że nic w nim nie wydawało się naturalne. Zresztą w głębi duszy nie chciała się przyzwyczajać do nowości. Gdyby takie życie weszło jej w krew, nie mogłaby już wrócić do tego, klon prowadziła wcześniej. Nie odważyłaby się tak bardzo zmienić.

Zanim Livvy wróciła z poszukiwań Deke'a, Louise i jej szwagierka prawie zdążyły uporać się z ziemniakami i kukurydzą.

- Ziemniaki postoją jeszcze na ogniu, żeby nie wystygły przed tłuczeniem - powiedziała Gilly, gdy Livvy wsunęła głowę do kuchni.

- Lepiej już zacznijcie je tłuc. Stado jest za oborą. Max z chłopcami wyszukują cielęta i byki do piętnowania. Jak zagonią je do osobnej zagrody, wszyscy razem przyjdą na obiad.

Max wrócił. Louise natychmiast spiekła raka, a w środku poczuła dziwne ciepło. Ukryła dłonie w fałdach fartucha, żeby Gilly nie zauważyła ich nagłego drżenia. Ale jej nic to nie pomogło. Potrzebowała zajęcia, więc zgłosiła się na ochotnika do tłuczenia ziemniaków i rozgniatała je z takim impetem, jakby to były jadowite gady. Aż rozbolało ją ramię.

- Pokroję chleb, a ty zanieś masło na stół - powiedziała Gilly dwadzieścia minut później. - Mam nadzieję, że Sunshine ustawiła już na stole sól i pieprz, ale na wszelki wypadek sprawdź. Nie wiem, gdzie mała znikła.

Gdy Louise wyszła na dwór i zerknęła w stronę obory, nad zagrodami unosiły się tumany kurzu. Zanim doszła do stołu i znów podniosła głowę, z chmury pyłu wyłonili się mężczyźni. Z każdą chwilą zbliżali się do domu.

Natychmiast odnalazła wzrokiem Maksa. Opalona twarz, niebieskie oczy, ciemne kręcone włosy. Szeroki w ramionach i wąski w pasie. Przystojny mężczyzna, który może pociągać kobietę. Louise szybko przyglądała niesforne kosmyki włosów, które otaczały jej



zarumienioną twarz, i cicho zaklęła, zauważyła bowiem u siebie tłustą plamę na bluzce, prawdopodobnie z masła. Niech to piorun. Ha, trudno, może Max nie zauważy.

Ze ściśniętym gardłem spojrzała tam, gdzie padał wzrok Maksa, i ujrzała to, co spodziewała się zobaczyć: Wally'ego i kobietę, która musiała być Philadelphią. Właśnie wyszli zza naroża domu. Philadelphia była dokładnie taka, jak opisała ją Gilly. Drobna, wypielegnowana i ślicznie ubrana w zielony kostium podróżny z dopasowanymi kolorystycznie kapeluszem i pelerynką. Była piękna.

Wbrew sobie Louise poczuła, że ogarniają zazdrość. Philadelphia miała to, co chciałaby mieć każda kobieta, Louise zaś wiedziała, że nigdy taka nie będzie. Rodzina Maksa akceptowała żonę Wally'ego. Max ją kochał. A ona miała urodzić jego dziecko.

Philadelphia zmyliła krok i gwałtownie przystanęła, jakby widok Maksa sprawił jej nagły ból. Twarz jej pobladła, a brwi ułożyły się skośnie. Był to przykładowy wyraz głębokiego smutku i tęsknoty, która szybko ustąpiła miejsca trwodze. Philadelphia po omacku wyciągnęła rękę w stronę męża i wtuliła się w niego. Wally objął żonę opiekuńczym gestem.

Nagle jak za dotknięciem różdżki pojawiła się Livvy. Zaaferowana i radosna, zaczęła witać nowożeńców, a wszyscy dookoła wstrzymali dech i próbowali nad sobą zapanować.

Louise stała przy stole i przyglądała się, jak bracia mierzą się wzrokiem. Wreszcie Max wyciągnął rękę, a Wally uścisnął mu dłoń. Philadelphia cofnęła się, najwidoczniej żeby zebrać siły, a potem odwróciła się i uścisnęła dłoń Livvy. Nie spojrzała na Maksa, on na nią też nie, lecz w jej oczach znów zagościł smutek.

Gdy do grupki dołączyły Gilly i Sunshine, Louise wzięła ze stołu talerz z masłem, bo musiała czymś zająć ręce, musiała udawać, że robi coś pożytecznego.

Tym nagłym ruchem zwróciła uwagę Livvy, a ta spojrzała na Philadelphię i wykonała wymowny gest. Philadelphia wzdrygnęła się, uniosła ręce tak, jakby zasłaniała się przed uderzeniem, i zdecydowanie pokręciła głową. Louise zorientowała się, w czym rzecz, i wtedy również się wzdrygnęła. O, Boże! Livvy koniecznie chciała oficjalnie je sobie przedstawić.

Mimo zupełnie niezrozumiałej zazdrości Louise szczerze żałowała, że skrzywdziła Philadelphię. Przecież ta dziewczyna wcale nie zasłużyła sobie na klęski, które na nią spadły, a miała wycierpieć najwięcej. Straciła mężczyznę, którego kochała, i to wtedy, gdy potrzebowała go najbardziej, kiedy miała dać mu dziecko. Musiała zgodzić się na męża, którego wcale sobie nie wybrała, i na to, że nie ojciec będzie wychowywał jej dziecko. Przez resztę życia pozostanie obiektem plotek i szeptów w towarzystwie. A wszystko wyłącznie dlatego, że nieznaney jej kobiecie zachciało się dziecka.

Ponieważ Philadelphia nie wykazała dobrej woli, Livvy gniewnie zmarszczyła czoło i gestem przyzywała Louise. Prawdę mówiąc, Louise wolałaby spaść ze stromego klifu.

Wiedziała jednak, że ta chwila jest nieunikniona. Prędzej czy później musiały się poznać z Philadelphia. Obie należały do rodziny McCordów. Nie mogły unikać się w nieskończoność.

Opornie i z dużym lękiem powlokła się ku ludziom stojącym przy ścianie domu. Już prawie do nich doszła, gdy zorientowała się, że nie odstawiła talerza na stół, a co gorsza cały kciuk ma umazany masłem. Zerknęła rozpaczliwie na Maksa, ale z tamtej strony nie mogła oczekiwać pomocy. Maks i Wally patrzyli tępo na Sunshine, która z dumą pokazywała im kawałek złotożółtej skały. Obaj bardzo uważali, by nie okazać uczuć.

Livvy poznała więc Louise z Philadelphia i zaczęła paplać coś o tym, że trzy panie McCord w jednym domu to źródło zamieszania, więc lepiej niech od razu zaczną sobie mówić po imieniu. Potem wzięła Gilly pod ramię i odciągnęła ją do Maksa i Wally'ego, a synowe zostały same.

Louise szpetnie zaklęła w myślach, bo dałaby wszystko za to, żeby nie być w tym miejscu, a poza tym bardzo chciała wreszcie odstawić ten przekłety talerz z masłem. Nabrała tchu, wolno wypuściła powietrze z płuc i zrobiła to, co trzeba. Przez całe życie starała się zawsze robić to, co trzeba, czyli zwykle to, co najtrudniejsze.

- Wiem, że niczego tym nie zmienię, ale mimo wszystko naprawdę jest mi przykro, że z mojego powodu spotkało cię tyle złego. Nie chciałam skrzywdzić ciebie ani nikogo innego.

Oczy Philadelphii zabłysły jak odłamki szkła.

- Wiem o tobie wszystko, Low Down- syknęła tak, że przydomek Louise zabrzmiał jak obelga. - Ty niegodziwa szmato! Nic cię nie obchodziło, który mężczyzna wylosuje znaczoną kulkę. Przespałabyś się z każdym! Jesteś obrazą dla uczciwych kobiet! W ogóle nie powinnaś się pokazywać w przyzwoitym towarzystwie.

Cóż, Louise przewidziała, że to spotkanie nie będzie miłe.

Philadelphia miała wszelkie powody, by nią pogardzać, i żadnego, by okazać życzliwość lub zrozumienie. Ale Louise zawsze sądziła, że prawdziwe damy zachowują się podobnie do pani Livvy McCord. Są chłodne i utrzymują dystans, ukrywają wszystkie uczucia, jakby były wyższe ponad przyziemne namiętności maluczkich. W świecie prawdziwych dam stawia się bariery z lodu, a nie robi awantur. Bez względu na okoliczności dama ostentacyjnie zachowuje etykietę. Tym niszczy przeciwniczki. Tak w każdym razie zdawało się Louise, a przykład Livvy McCord zdawał się potwierdzać jej przeświadczenie.

Wielkie damy chyba jednak nie odzywają się w taki sposób jak przed chwilą Philadelphia. No, i raczej nie zachodzą w ciążę przed ślubem, nawet jeśli są zakochane do szaleństwa. Ludzie z taką przeszłością jak ona, Louise, kichają na konwenanse, ale damy i dżentelmeni sami ustalają te reguły, więc przestrzegają ich co do joty. Może zresztą wcale tak nie jest, a Louise chciała po prostu znaleźć u Philadelphii coś, co można skrytykować.

Poruszyła kciukiem w masło.

- Nie wiem, co mam powiedzieć.

- Nic nie mów! Nie rozmawiaj ze mną! Niech cię moje oczy nie widzą! - Philadelphia odwróciła się na pięcie i zawołała do Livvy: - Czy mógłby mnie ktoś zaprowadzić do mojego pokoju? Mieliśmy męczącą podróż, a... - rozłożywszy ręce, zerknęła na Maksa - ten powrót do domu jest dość trudny. Chciałabym się położyć, jeśli można.

- Naturalnie. Twój pokój jest gotowy. - Livvy wzięła Wally'ego i Philadelphię za ręce i poprowadziła ich w stronę frontowego ganku.

Za nimi dreptała Sunshine. Gilly przez chwilę przenosiła wzrok z Maksa na Louise i z powrotem, wreszcie przeprosiła zebranych i uciekła do kuchni.

Max przyglądał się odejściu Philadelphii. Może skupił wzrok na samotnym piórze, chwiejącym się na jej kapeluszu. A może zainteresował go falisty ruch modnej turniury. Louise wiedziała jednak na pewno, że w tej chwili całkowicie nie zdaje sobie sprawy z tego, że przed nim stoi jego własna żona z potarganymi włosami, plamą na bluzce i umaślnym palcem.

- Nic ci nie jest? - spytała cicho. Musiał bardzo cierpieć, widząc, jak upragniona przez niego kobieta idzie obejrzeć pokój, który miała dzielić z innym mężczyzną.

Max popatrzył na Louise tak, jakby jej nie poznał. Gdy wreszcie oprzytomniał, zaklął pod nosem, zdjął kapelusz i przeczesał dłonią włosy.

- Jak tam dom? Nie miałaś kłopotów?

- Skądże. Wszystko szło jak po sznurku.

W brzdach na czole osiadł Maksowi pył. I nagle Louise doświadczyła absurdalnego pragnienia, by wyciągnąć rękę i otrzeć mu czoło. Chciała wcisnąć nos w jego szyję i poczuć zapach koni, bydła i męskiego potu. Chciała go dotknąć, potrząsnąć nim i powiedzieć: „Popatrz na mnie. No, proszę, popatrz”.

- Masz cały palec w maśle - powiedział niespodziewanie.

- Wiem. Wrócisz dziś na noc do domu czy zostaniesz tutaj z chłopcami?

Jeśli się zawahał, to tego nie zauważyła.

- Będę w domu po kolacji - odparł, przyglądając się talerzowi i masłu, w którym tkwił jej palec. Potem mruknął pod nosem coś o myciu i odszedł.

Louise patrzyła za nim tak samo jak on za Philadelphia, z wyrazem tęsknoty w oczach.

Mocny, słodkawy zapach whisky podrażnił jej zmysły, jeszcze zanim Max wszedł do mrocznej kuchni. Widząc jego ciemną sylwetkę przy stole, wzięła z komórki szal, a potem podeszła do półek. Przez matową szybę sączyło się dość światła, by bez trudu znalazła szklankę.

- Nie musisz tu ze mną siedzieć - powiedział, gdy sięgnęła po butelkę i nalała sobie drinka.

- Wiem. - Whisky zapiekła ją w język i rozgrzała przełyk. Louise uniosła kolana, oparła bosc stopy o poręcz krzesła i otuliła je nocną koszulą. - Mam nadzieję, że nie zacznie padać śnieg, zanim spędzicie resztę stada i skończycie z piętnowaniem. W każdym razie zanosi się na zimne dni.

Butelka zadzwoniła o krawędź szklanki Maksa, potem zapadła cisza. Louise nie miała nic przeciwko temu. Przyjemnie jej było saczyć dobrą whisky i razem z mężem siedzieć w mroku. W dobrym towarzystwie słowa są zbędne.

- Jest dziwna sprawa - odezwał się w końcu.
- Co mówisz? - Porozmawiać też było przyjemnie.
- Osiem sztuk bydła weszło do zagrody i zamknęło za sobą bramę.

Przełknęła następny rozgrzewający łyk whisky.

- Naprawdę?  
- Poza tym, w czasie gdy mnie nie było, musiał wiać straszny wiatr, bo w zagrodzie leży mnóstwo siana.

- No, no, nie idzie tego zrozumieć.  
- Którego konia wzięłaś? - spytał Maks po następnej chwili milczenia.  
- Czarnego wałacha.  
- To Hoss. Dobry koń, pod warunkiem że potrafisz utrzymać się na jego grzbiecie.  
- No, musiałam parę razy gramolić się z błota. - Mrok, whisky i ciepły blask żarzących się węgli tworzyły taki nastrój, że z pewnością nie musiała obawiać się ostrej reprimendy Maksa za nieposłuszeństwo. Taka to była chwila. Co więcej, sama zagoniła kilka sztuk bydła do zagrody, a Max na własne oczy zobaczył, że sobie przy tym nie połamała kości. Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

- Przypuszczalnie nie napiętnowałaś tych dwóch cieląt tylko dlatego, że wszystkie narzędzia są u Livvy. - Rozbawienie bardzo złagodziło ton jego głosu.

- Max? Czy to nam wejdzie w zwyczaj? Takie siedzenie po nocy przy whisky?

Tym razem milczenie trwało tak długo, jakby Max miał się już nie odezwać.

- Zdawało mi się, że muszę to zrobić - powiedział w końcu niepewnie. - Zdawało mi się, że muszę spędzić lato w Piney Creek, żeby móc zrozumieć ojca. On chyba wierzył, że jeśli będzie dalej robił to, co lubi robić, to uda mu się dokonać czegoś wielkiego. Nie chciał stamtąd wyjechać. W końcu wyjechał, bo widocznie coś w nim pękło, kiedy się okazało, że to mamie się udało, a nie jemu. A potem, ilekroć ktoś zachwycał się jego ranczem, ojciec stawał się bardzo nieswój.

A więc nad tym rozmyślał Max podczas spędu. Rozpamiętywał lato w Piney Creek, szukał uzasadnienia dla swojej decyzji, która zmieniła życie tylu ludzi. Louise nalała sobie do szklanki następną porcję whisky i wygodniej rozsiadła się na krześle.

- Kłopot w tym, że to wszystko mogłem zrozumieć, nie ruszając się na metr z Fort Houser. - Nie ulegało wątpliwości, że jest z siebie niezadowolony.

- Max? Jutro masz przed sobą długi dzień. Potrzebujesz trochę snu.

- Uparłem się, że tam pojedę. To oznaczało, że nie będzie żadnych przyjęć zaręczynowych, żadnych przedślubnych uroczystości, żadnych narzeczeńskich ceregieli, które uwielbiają kobiety. Po prostu zostawiłem tutaj Shorty'ego, żeby postawił dom i zabudowania gospodarskie. Jak to możliwe, że ucieczka przed odpowiedzialnością, która na mnie ciążyła, wydawała mi się kiedyś rozsądna?

- Gdybyś wiedział, że Philadelphia jest przy nadziei, wyjechałbyś z Piney Creek bez namysłu.

- Nie wiem, dlaczego mnie o tym nie zawiadomiła. Miałem jej listy w kieszeni kamizelki, spalono je razem z całym ubraniem, kiedy zachorowałem. Ale raz po raz wracałem do nich pamięcią i zastanawiałem się, czy nie przegapiłem jakiejś wzmianki. Nie przypominam sobie niczego takiego. Philadelphia chciała, żebym wrócił do domu, ale nie pisała, żebym się pospieszył, do pioruna! Nigdy nie wspomniała, że jest ważny powód, dla którego powinienem wrócić natychmiast.

- Co się stało, to się nie odstanie, Max. Trudno. - Zabrzmiało to szorstko, ale wypowiedziała te słowa bardzo cicho.

- Do pioruna! Diabli mnie biorą, kiedy o tym myślę. - Pochylił się, oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach.

- Wiem.

Dobrze rozumiała jego złość i bezradność. Tak samo czuła się niedawno, po rozmowie z Philadelphia. I jeszcze wiele, wiele razy wcześniej. Nie było sposobu, by uciszyć złość Maksa ani by naprawić niesprawiedliwość tego wszystkiego, co zaszło. Ale w naturze Louise nie mieściło się to, że można siedzieć z założonymi rękami w obliczu bólu i cierpienia.

Zsunęła nogi i stanęła bosymi stopami na podłodze. Przez chwilę się zastanawiała, potem poszła do komórki, przyniosła stamtąd zimową pelerynę Maksa i rozłożyła ją niedaleko kuchni. Zwinęła swój szal, robiąc z niego poduszkę.

Potem stanęła przed Maksem i zwróciła jego uwagę lekkim klepnięciem po głowie.

- Nie idzie zgadnąć, jak ci pomóc. Nie mam wiele do dania, żebyś mógł zapomnieć o tym, jak cierpisz, ale proponuję ci to, co mogę.

Uniosła rąbek nocnej koszuli, zamierzając ściągnąć ją przez głowę. Ale nie mogła sobie poradzić z taką ilością materiału. Wreszcie zakłęła, puściła dół koszuli i spróbowała rozwiązać tasiemkę przy szyi. Ta metoda okazała się lepsza. Przez powstały otwór wysunęła jedno ramię, potem drugie, a koszula opadła do talii.

Max głośno nabrał tchu i wtedy Louise zdała sobie sprawę, że stoi w księżycowej poświacie sączącej się do kuchni przez matową szybę. Powtórzyła sobie w myśli, że nie wolno jej się zawstydić. Sama wpadła na ten pomysł, a skoro powiedziała A, musiała powiedzieć również B.



Jeszcze kilka ruchów ciała i koszula opadła jej do kostek.

- Ostatnio, kiedy ktoś widział mnie naga, byłam niemowlęciem - powiedziała zakłopotana, mimo wszystko opierając się pokusie zasłonięcia piersi ramieniem i położenia dłoni u zbiegu ud.

Nikt nie podejrzewał jej o przestrzeganie zasad moralnych, a jednak miała własne zasady i skromność była jedną z nich. Pokazanie się nago przed mężczyzną, nawet jeśli był to jej mąż, oznaczało dla Louise zmaganie z gigantycznym lękiem. Ale to nie była noc, gdy mogła skazać Maksa na walkę z jej koszulą nocną. Musiała rozebrać się sama. Chciała przecież uciszyć jego złość.

Nie odezwał się ani słowem, nie poruszył się. I nagle Louise zaczęła się zastanawiać, czy nie popełniła potwornego błędu. Najgorsze, że nie było już odwrotu, musiała wypić piwo, którego nawarzyła. Ostrożnie wyciągnęła rękę i dotknęła jego włosów. Potem pociągnęła go ku sobie.

Max wydał gardłowy odgłos. Nagle objął ją wpół tak mocno, że omal jej nie zmiądzzył. Przywarł twarzą do jej nagiego brzucha.

- Do pioruna!
- Spokojnie - szepnęła, głaszcząc go po głowie.

Miała przeczucie, że Max toczy ze sobą walkę, ale przegrywa. Wreszcie puścił Louise, by zdjąć buty z cholewami, potem wstał i szarpnął za poły koszuli z taką siłą, że guziki prysnęły na podłogę. Wreszcie rozpiął pas i zdjął spodnie.

Jego ciało w srebrzystym świetle księżyca wydawało się blade i Louise pomyślała, że jej musi wyglądać podobnie. Ale mimo mroku było widać, jak płoną mu oczy. Głośno nabrała powietrza. W ogóle nie czuła zimna.

Gdy oboje już byli nadzy, stanęli nieruchomo zapatrzeni w siebie. Nie dotykali się. Tylko patrzyli i pozwalali pracować wyobraźni.

Louise bała się, że lada chwila serce wyrwie jej się z piersi, ale wreszcie Max wyciągnął do niej rękę, położył ją na szyi, delikatnie przewędrował palcami w dolinę między piersiami i szedł dalej, niżej. Louise natychmiast wzięła z niego przykład i położyła dłoń na jego torsie. Ręka jej trochę drżała, gdy muskularne płaszczyzny twardniały pod dotykiem dłoni.

Niezwykłość tej sytuacji sprawiła, że Louise poczuła się tak, jakby przeżywała sen. Wiedziała, że cokolwiek zrobią tej nocy, nazajutrz będzie jej się wydawać nierealne. Mogła więc spokojnie uklęknąć na płaszczy i zaprosić Maksa wyciągnięciem ramienia, by położył się obok. A gdy spojrzała mu w oczy, zrozumiała, że to ona musi dziś być władcą, bo Max boi się swojego gniewu, który sprawił, że znaleźli się tam, gdzie właśnie byli.

Delikatnie ujęła jego ręce i położyła je sobie na piersiach. Usłyszała jego syk.

- Nie bój się, nie skrzywdzisz mnie - szepnęła, przekonana, że mówi najprawdziwszą prawdę. Zdawała sobie sprawę, że tej nocy Max ją wykorzysta, będzie



gwałtowny i samolubny, ale właśnie to chciała mu dać. Wiedziała bowiem także, że jej nie skrzywdzi. To nie był taki człowiek.

Przez cały czas krzyżując z nim spojrzenia, wytrząsnęła szpilki z włosów. Pukle opadły jej na plecy i instynktownie wyczuła, że sprawi tym Maksowi przyjemność. Potem położyła się na płaszczu i podłożyła sobie szal pod głowę. Ale choć wszystko rzeczywiście działo się jak we śnie, to Louise nie mogła pozbyć się zakłopotania i musiała zamknąć oczy, gdy Max usiadł na piętach, by przyjrzeć się jej nagości.

Nagle wydał niski, gardłowy odgłos, pomruk bólu i gniewu, pożądania i nienasycenia. W jej ciele strzeliły płomienie. Spojrzenie Maksa było gorętsze od ognia. Jęknęła.

Gdy poczuła, że dłużej nie zniesie jego wzroku, rozłożyła ramiona i Max opadł na nią z tym samym pierwotnym pomrukiem co przed chwilą. Przykrył ją twardym męskim ciałem. Ustami pieścił piersi, dłońmi poznawał ją całą. I wziął ją tak, jak się tego spodziewała. Mocnymi, coraz głębszymi i szybszymi pchnięciami wyładowywał swój gniew.

Potem, gdy poszli do sypialni i zasnął obok niej, Louise dotknęła swego brzucha przez fałdy nocnej koszuli. Miała nadzieję, że tej nocy na kuchennej podłodze Max spłodził jej dziecko.

Wydawało jej się, że kobieta powinna pamiętać tę noc, gdy poczęło się w niej nowe życie. Taki cud nie powinien być skutkiem czegoś zwykłego, nużąco codziennego. Życie powinno się zaczynać w paroksyzmie żaru i wściekłości, zroszone potem namiętności i pragnienia.

Dziś miała to wszystko i wiedziała, że nigdy tego nie zapomni.

Nazajutrz pan Houser przywiózł kufry z ubraniami i osobistymi rzeczami Philadelphii i przez mniej więcej godzinę był na ranczu. Trzeciego i czwartego dnia Philadelphia prasowała i rozkładała swoje rzeczy, zirytowana, że nie ma służącej, która zrobiłaby to za nią. Ale piątego dnia nie miała już żadnego zajęcia oprócz haftowania, a to mało ją interesowało. Była tak znudzona tym wygnaniem, na które sama się skazała, że chciało jej się głośno krzyczeć. Odmówiła jednak zejścia na dół, póki „tamta osoba” będzie w domu.

Zła, jakby ukąsiła ją osa, stała przy oknie sypialni, tak żeby nie było jej widać z zewnątrz, i przez koronkowe firanki przyglądała się długiemu stołowi, przy którym kowboje mieli dostać obiad. Od czasu do czasu migąła jej przed oczami Gilly albo „tamta osoba”. Znosiły sztuce i przyprawy i zastawiały stół daniami, które nie wymagały podgrzewania.

Gdy Low Down wychodziła na podwórze, Philadelphia nie mogła oderwać od niej oczu. Ta kreatura była wysoka i ciężka, a poruszała się bez krzty wdzięku. Zważywszy na jej wielce gorsząca przeszłość, nie należało spodziewać się po niej poczucia stylu i rzeczywiście, o modzie nie miała pojęcia. Nosiła spódnice za krótkie o dobre piętnaście centymetrów, przez co raz po raz łyaskała bardzo nieprzyzwoitymi, grubymi pończochami, a jej bluzki były ciemne, zwyczajne i całkiem pozbawione zdobień. Na układaniu włosów Low Down prawdopodobnie spędzała nie więcej niż kwadrans, bo miała je po prostu związane w bardzo niewymyślny węzeł na karku.

Mimo to nie była aż tak bardzo odstręczająca, jak wymarzyła sobie Philadelphia. Rysy miała regularne, by nie powiedzieć delikatne. Miała też kształtne brwi i bardzo miłe, lśniące oczy jasnobrązowego koloru z plamkami zieleni i złota. Nawet bez gorsetu jej sylwetka przypominała klepsydrę. Low Down nie była ładna, chyba że się uśmiechnęła, ale miała w sobie coś, co zwracało na nią uwagę. Ojciec Philadelphii mówił o kimś takim „przystojna kobieta” albo „kobieta z wyglądem”.

Najbardziej jednak drażniło Philadelphię, że jedynym klejnotem, jaki nosi „tamta osoba”, jest złota obrączka na palcu.

Że też Max ożenił się z tą pospolitą, amoralną kobietą, a nie z nią, Philadelphia Houser. Jej nie interesowało, że Low Down pielegnowała Maksa podczas epidemii ospy. Nie interesowało jej, jak doszło do tego małżeństwa. Faktem było, że Low Down zabrała jej narzeczonego. Philadelphia ani przez chwilę nie uwierzyła w przypadek podczas losowania. „Ta osoba” na pewno uznała, że nie chce innych poszukiwaczy złota, i jakoś oszukała, żeby to Max wyciągnął znaczoną kulkę. Philadelphia była tego pewna. A Max potulnie się zgodził, natychmiast zapominając o narzeczonej i zbliżającym się ślubie. Wolał ją porzucić

niż stracić uznanie w oczach obcych ludzi, których nigdy więcej miał nie zobaczyć. Lepiej byłoby dla niego, gdyby umarł na ospę. Należało mu się.

Z pewnością żałuje teraz swojej decyzji, ilekroć patrzy na swoją zepsuta, drętwą żonę, pomyślała z wściekłością. I zawsze przypomina mu się, kogo mógł mieć zamiast „tamtej osoby”. Zawsze, gdy przychodzi mu na myśl ich ostatni wieczór i jej ciąża, i to, że uciekł przed odpowiedzialnością. Philadelphia miała nadzieję, że wyrzuty sumienia nie odstępują Maksa ani na chwilę.

Livvy pchnęła drzwi i wsunęła głowę do pokoju. Philadelphia natychmiast odeszła od firanek, zirytowana, że złapano ją na podpatrywaniu przygotowań do obiadu na dole.

- Jesteś chora? - spytała Livvy, bez zaproszenia wchodząc do środka.

- Nie, skądże. Dlaczego pytasz?

- Kilka razy pukałam do drzwi. - Znowu bez zaproszenia Livvy usiadła na jednym z krzeseł przy małym kominku i odgarnęła kosmyk włosów z policzka. - Przez ostatnie dni byłam tak zajęta gotowaniem i sprzątaniami, że nie miałam dotąd okazji porozmawiać z tobą o różnych osobistych i domowych sprawach.

Właśnie takie odzywki najbardziej ją denerwowały u Livvy McCord. Wzmianka o licznych zajęciach była podszyta niewypowiedzianą wprost krytyką, ale przecież chyba pani McCord nie spodziewała się, że ona, Philadelphia, będzie kucharzyć dla motłochu i - co gorsza - sprzątać po nim.

Philadelphia z wdziękiem usiadła na krześle naprzeciwko Livvy i splotła dłonie na podołku. Skromnie spuściła oczy i powiedziała cicho:

- Jeśli masz na myśli decyzję Wally'ego, żeby zostawić mi ten uroczy pokój gościnny, a samemu spać gdzie indziej, to przyznaję, że chętnie przystałam na tę propozycję. Nigdy z nikim nie dzieliłam pokoju, a co do Wally'ego, to postanowiliśmy, że będziemy spali osobno, póki lepiej się nie poznamy. - Nie miała zamiaru mieszkać w jednym pomieszczeniu z mężczyzną ani teraz, ani w przyszłości.

- To, jak śpią mąż i żona, jest ich prywatną sprawą - odrzekła szorstko Livvy. Przesunęła spojrzenie z twarzy Philadelphii na jej brzuch. - Musimy porozmawiać o garderobie.

To było miłe zaskoczenie. Nie ulegało wątpliwości, że teściowej wyszłoby na dobre, gdyby skorzystała z kilku porad kogoś, kto zna się na modzie. Nawet w domu nie należy chodzić tak, żeby pani nie odróżniała się od służącej. Zanim jednak Philadelphia wymyśliła taktowny sposób wyrażenia tego poglądu, Livvy odezwała się znowu:

- Nie wyglądasz na to, ale musisz być w czwartym miesiącu. Wkrótce będziesz potrzebowała sukni odpowiednich do twojego stanu. Czy zastanawiałaś się już nad niezbędnymi przeróbkami?

Philadelphia wytrzeszczyła na nią oczy, a potem nagle zamruwała. Czasem udawało jej się na długo zapomnieć o swoim stanie, ale zawsze coś niespodziewanie przypominało jej o dziecku.

- Myślę, że to jeszcze nie czwarty miesiąc.

- Musi być prawie czwarty. Max wyjechał w góry trzydziestego maja, a z tego, co rozumiem, ty i on... - Livvy zakasłała. - Liczę od dwudziestego dziewiątego maja. - Zmarszczyła czoło. - Moja droga, naprawdę powinnaś skończyć z tak ciasnym sznurowaniem gorsetu. Nie chciałaś, żeby ktoś się domyślił, to rozumiem, ale teraz jesteś już mężatką, a dla dziecka takie ściskanie jest niezdrowe. Radzę ci, żebyś w ogóle przestała nosić gorset.

- Może rzeczywiście. - Philadelphia znowu spuściła oczy i zaczęła nerwowo wylamywać sobie palce.

- Tymczasem możemy popuścić trochę talię niektórych twoich sukni i uszyć wszystko, czego jeszcze będziesz potrzebować. Gilly i ja szyjemy teraz dla Louise, możemy przy okazji zająć się również tobą.

- Nie chciałabym sprawiać wam kłopotu. Jeśli jakieś przeróbki będą konieczne, można je zlecić mojej krawcowej. - Philadelphia uświadomiła sobie, że istotnie będzie potrzebowała nowych sukni, i to trochę poprawiło jej nastrój. Zdecydowała, że każe Wally'emu zawieźć się jeszcze raz do Denver po zakupy.

Livvy zamilkła na pełną minutę.

- Może powinnam ci przypomnieć, że Wally nie jest bogatym człowiekiem - powiedziała w końcu. - Na pewno wspomniał ci, że nie sprzeda w tym roku dużo bydła.

- Och, jestem pewna, że damy sobie radę. - Philadelphia nie chciała urazić sławnej dumy McCordów, mówiąc, że rachunek u krawcowej zapłaci jej ojciec, tak jak zawsze. Bardzo liczyła na rodową dumę Houserów, zdecydowanie wolała bowiem jechać do Denver na koszt ojca niż zhańbić się występowaniem w przerobionych sukniach. Houserowie nie byli z tych, którzy zadowalaliby się byle czym.

- Jeszcze o czymś musimy porozmawiać. - Livvy splotła dłonie w fałdach fartucha. - Podejrzewam, że nie opuszczasz swojego pokoju dlatego, że Louise przychodzi codziennie pomagać mi w gotowaniu. Czy tak?

- Nie chcę oglądać tej osoby ani tym bardziej z nią rozmawiać - odparła chłodno Philadelphia. - Nie życzę sobie przebywać w tym samym pokoju z kimś tak niemoralnym. Tego nie można wymagać od przyzwoitej kobiety.

Livvy wyciągnęła ramię i wzięła Philadelphię za rękę.

- Zrozum, że nie ma nic gorszego niż dopuścić do rozpadu rodziny. - Zacerpnęła tchu. - Wiem, że to, co się dzieje, jest dla ciebie bardzo bolesne. Rozumiem, dlaczego winą za wszystko obciążasz Louise. Ale błagam cię, żebyś wzniosła się ponad te uczucia, jeśli tylko potrafisz. Dla dobra rodziny.

Philadelphia cofnęła rękę, raptownie wstała i wróciła do okna. Przez koronkowe firanki zaczęła obserwować mężczyzn, idących w stronę domu z obory i zagród. Gdyby otworzyła okno, do pokoju dostałby się przykry zapach pyłu i przypalonej krowiej skóry. Doprawdy nie miała pojęcia, jak znieśie życie na ranczu. Wszystkie zapachy, które się tu unosiły, były zdecydowanie przykre.

- Co niedziela cała rodzina je razem obiad. Dla dobra naszej jedności i harmonii proszę cię, żebyś zgodziła się tolerować Louise przez kilka godzin w niedzielę i święta.

Żeby po tylu ustępstwach ze strony Philadelphii zaproponować jej dzielenie stołu z kobietą, która była niewiele lepsza od zwykłej wszetecznicy! To przelało czarę goryczy. Zmarszczyła czoło i skupiła wzrok na braciach McCordach, którzy szli za kowbojami do domu. Mieli czerwone twarze i zacięte miny, jakby się pokłócili.

- Prosisz o zbyt wiele. Mając na względzie uczciwą kobietę w tej rodzinie, powinnaś nakazać Maksowi, żeby w niedzielę zostawiał Low Down w domu i przychodził na obiady sam.

- Ona ma na imię Louise - ostro zripostowała Livvy. - A poza tym gdybym zamknęła przed nią drzwi, Max też przestałby tu bywać. I nie mogłabym mieć o to do niego pretensji. Od obu moich synów oczekuję, że odwrócą się plecami do każdego, kto niewłaściwie odnosi się do ich żon. Zabiłoby mnie to, gdyby któreś z moich dzieci źle czuło się w moim domu.

Livvy urwała i czekała, aż Philadelphia ulegnie naciskowi. Ale ta była za bardzo wściekła, by się odezwać.

- Utrzymanie jedności rodziny zależy od ciebie. Chciałabym, żeby nie spoczywał na tobie tak wielki ciężar, ale niestety nie może być inaczej. Jeśli jesteś w stanie skupić się na przyszłości, pomyśleć o Wallym i swoim dziecku, zamiast rozpamiętywać przeszłość i doszukiwać się zdrady, to McCordowie mają szansę przetrwać ten trudny okres. A jeżeli znajdziesz na tyle siły, żeby odnosić się do Maksa i Louise przynajmniej uprzejmie, jeśli nie życzliwie, to zrobisz duży krok w kierunku ukręcenia łba plotkom i uciszenia skandalu.

Na dole Max i Wally zatrzymali się przy oborze i zwrócili się ku sobie. Philadelphia nie słyszała, co krzyczą, ale widziała ich zaciśnięte pięści i bojowe pozy. Zauważyła też, że kowboje siedzący przy stole odwracają w ich stronę głowy, a „tamta osoba” i Gilly przystają z miskami pełnymi jedzenia w rękach.

Gdy spojrzała tam znowu, Max i Wally okładali się nawzajem pięściami, jakby byli najgorszymi wrogami.

- Pęknie mi serce - szepnęła obok niej Livvy.

Była to głupia kłótnia, która w żadnym wypadku nie powinna była przekształcić się w boksinę pojedynkę. Co w końcu obchodziło Maksa, że Wally będzie miał kilka sztuk

bydła więcej od niego? Zresztą nawet nie było to pewne, ponieważ jeszcze nie skończyli liczyć zwierząt. Poza tym stado dzielił na cztery części Dave Weaver, a nie Wally.

W każdym razie Max zrobił obraźliwą uwagę na temat tego, że brat będzie miał więcej bydła, a ten zareagował tak, jakby oskarżono go o kradzież. Zanim Max wyjaśnił, że tylko tak mu się wydaje, Wally stracił wszelki rozsądek i zaczął go tłuc jak oszalały. Max uważał zresztą, że brat szykował się do tego, odkąd wrócił z Denver.

- To podłe kłamstwo! - wybuchnął Wally. - Ale gdybym naprawdę oszalał, to śmiem twierdzić, że miałbym powód. Wyjeżdżasz stąd na długie tygodnie, a po powrocie znowu zaczynasz rządzić, jakby nie było cię pięć minut. Nie masz pojęcia, jaka susza była w lecie, jak z dnia na dzień zniknęły strumienie. Nie wiesz, jak to było, kiedy wyjeżdżałeś na pastwiska i po krążących sępach trafiałeś do martwych sztuk. Gdybyś był tutaj, tak jak powinieneś...

- Dość tego! Cisza. Siadaj, Wally. I ty też, Max.

Byli w kuchni, gdzie Livvy czyściła i opatrywała im rozcięcia na wargach, sińce pod oczami oraz drobniejsze zadrapania, skaleczenia i zadrażnienia. Gilly obrzuciła ich spojrzeniem pełnym rozpacz, a potem poszła poszukać Dave'a, natomiast Louise przez dłuższą chwilę patrzyła na męża z nieprzeniknioną miną i dopiero potem wyszła śladem szwagierki. Co do Philadelphii, Max przypuszczał, że można ją znaleźć na górze. Przedtem zauważył ruch firanki w dawnej sypialni Gilly, aczkolwiek Philadelphii nie widział od dnia jej przyjazdu.

- Obaj powinniście się wstydzić - burknęła Livvy. To spojrzenie, którym teraz ich obdarzyła, nazywali w latach chłopięcych siarczysto-ognistym. Najpierw Livvy stawała wsparta pod boki i mrużyła oczy, a kończyło się czasem na laniu. - Nie dość, że szczepiliście się jak dwa wściekłe psy, to jeszcze przy kowbojach.

- Im się to podobało jak sto diabłów - stwierdził kwaśno Wally, wpatrzony w swoje wyciągnięte nogi.

Max potwierdził, przypomniawszy sobie radosne pohukiwania i okrzyki widzów.

- Domyślam się, że podobało im się również to, jak twoja żona weszła między was i skończyła tę młockę - oświadczyła zimno Livvy.

Max z chmurną miną przyjrzał się swoim otartym knykciom. Jakoś zdołał zatrzymać pięść na chwilę przed tym, nim trafiłaby Louise i posłała ją na ziemię. Ta kobieta doprawdy głupio zrobiła, że skoczyła w sam środek walki, i Max wciąż jeszcze nie bardzo mógł uwierzyć, że spróbowała czegoś takiego. A jednak bez wahania stanęła między nimi i obu wymierzyła solidne szturchnięcia, odpychając ich w przeciwne strony. Potem skrzywiła się i powiedziała z wyrzutem:

- Zachowujecie się, jakbyście jeszcze nie wyrosli z krótkich majteczek! Zabierajcie stąd swoje tyłki i szorujcie do domu przeprosić matkę za ten wstyd, którego jej narobiliście przed kowbojami.



- Nie dość macie plotek na swój temat bez takich awantur? - Livvy obróciła się do nich plecami i podeszła do okna. Zagniewana, wyjrzała na dwór. - Wszyscy, którzy o tym usłyszą, będą uważać, że pobiliście się o Philadelfię. Tak właśnie będą dziś wieczorem rozpowiadać kowboje po saloonach.

- Poszło o bydło - upierał się Max. Wally skinał głową.

- Ostatnio biliście się, kiedy mieliście po kilkanaście lat, a teraz nagle rzucacie się na siebie o kilka sztuk bydła? - Livvy odwróciła się od okna, oparła o kredens i skrzyżowała ramiona na piersi. - Mam nadzieję, że skoro podbiliście sobie oczy i poobijaliście żebra, to wam na długo wystarczy. Nie życzę sobie, żeby to się powtórzyło, rozumiecie?

Max zakrył oczy dłonią. Nikt nie uwierzyłby, że pobili się z Wallym o kilka cieląt. Naturalnie chodziło o coś więcej.

- Teraz na dwoje babka wróżyła - powiedziała Livvy. - Możemy uznać, że sprawy potoczyły się nie tak, jak planowaliśmy, pogodzić się z przeszłością i wykorzystać tę sytuację dla dobra wszystkich. Albo - spojrzała na synów z powagą - wy dwaj możecie rozbić całą rodzinę. Czy tego chcecie? Mieszkać jeden obok drugiego jak wrogowie? Chcecie, żeby wasza siostra rozdarła się na połowy? O mnie mniejsza, skoro nie potraficie dotrzymać własnych postanowień. Jeśli z powodu kobiety chcecie zerwać braterskie więzy, to was nie powstrzymam. Ale zastanówcie się nad tym, żebyście byli pewni, że właśnie tego chcecie.

Popatrzyła na nich tak, jakby chciała sprawić im tęgie lanie, ale ponieważ byli dorosłymi mężczyznami, po prostu wyszła na dwór, trzasnąwszy za sobą drzwiami.

- Do pioruna! - zaklął Max po chwili, ostrożnie dotykając swojej dolnej wargi. - Gdzieś ty się nauczył tak walić?

- Od ciebie. - Młodszy McCord usiadł wygodniej i przesunął dłonią po obolałych żebrach. - Niech to diabli! Przez tydzień nie będę mógł głęboko odetchnąć.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, oglądając swoje uszkodzenia ciała.

- To chyba było nieuniknione - powiedział cicho Max. Nie mógł znieść myśli o tym, że Wally poślubił Philadelfię, że się w niej zakochuje, że chce być dla niej dobrym i oddanym mężem. Ani o tym, że któregoś dnia Philadelphia pewnie odwzajemni miłość Wally'ego. I że jemu, Maksowi, nie wolno położyć dłoni na jej brzuchu i poczuć, jak porusza się jego dziecko. Nigdy nie pozna tego dziecka tak, jak powinien znać ojciec. Tak, ta bójka naprawdę była nieunikniona. Musiał wyładować potrzebę ukarania Wally'ego za własne błędy.

- Miałem chęć spruć cię na kwaśne jabłko - wyznał Wally, oglądając rozdarcie spodni na kolanie. - Tylko szukałem pretekstu.

Max skinał głową. Wally czuł się pokrzywdzony tym, że musiał ratować honor rodziny, zamiast samemu wybrać sobie żonę i zadbać o swoją przyszłość. Ze Philadelphia

kochała Maksa i że Max był jej pierwszym mężczyzną. I na pewno tym, że jego żona nosi dziecko Maksa.

- Jak dla mnie jesteście kwita - stwierdził Max stanowczo.
- Dla mnie też.
- Czy powiedzieliśmy sobie wszystko, czy jeszcze masz coś na wątrobie?
- Wszystko - odrzekł Wally. - Wiemy, na czym stoimy, i wiemy, co musimy zrobić.

Spojrzeli sobie w oczy i uścisnęli dłonie. Trwali w tym uścisku trochę dłużej, niż to było konieczne.

Maksowi przyszło do głowy, że gdyby powtórzył tę rozmowę Louise, zamrugałaby i uznała, że to wcale nie była rozmowa. Grubo by się jednak myliła. Wszystko powiedzieli już wcześniej pięściami, a Livvy dodała od siebie resztę. Oczyszczili atmosferę i mogli spokojnie żyć dalej. Dlatego jeszcze raz klepnęli się po plecach i wrócili do zagród, by dokończyć piętnowania i kolczykowania.

Pracując, Max doszedł do wniosku, że matka miała rację. Nie warto tracić brata z powodu kobiety. Wiedział, że nie uda mu się pogodzić z losem z dnia na dzień, ale pierwszy raz, odkąd spojrzął na znaczoną kulkę w swojej dłoni, zrozumiał, jak puste były jego słowa, gdy obiecał, że pozwoli Philadelphii odejść. W głębi serca wciąż bowiem uparcie wierzył, że kiedyś wszystko ułoży się tak, jak powinno. Próżne nadzieje. Musiał ostatecznie pogodzić się z tą stratą, żeby nie stracić brata.

Nie rozmawiali ani o bajkowym wieczorze w kuchni, gdy kochali się na podłodze, ani o bójce z Wallym. Nie było potrzeby, ponieważ Louise rozumiała, że za tym wszystkim stoi Philadelphia. A choć traciła mnóstwo czasu na rozmyślenia o tej kobiecie, nie był to, delikatnie mówiąc, jej ulubiony temat. Nieraz w ciągu dnia przypominało jej się spotkanie z Philadelphia, a do głowy przychodziły rozmaite riposty, którymi mogła była odpowiedzieć na zaczepki.

Kąśliwe uwagi przyjęła tak spokojnie tylko dlatego, że było jej żal Philadelphii, a poza tym wiedziała, że Livvy McCord dałaby wszystko za utrzymanie jedności rodziny. Właśnie przez wzgląd na teściową Louise postanowiła za wszelką cenę unikać nowych konfliktów. Jeśli nawet Philadelphia miała sobie na niej używać, to trudno. Nie było to dla niej nic nowego.

Zresztą gdyby rozpuściła język, to Philadelphia nie miałaby przy niej najmniejszych szans. Koniec końców przebywanie w świecie mężczyzn na pewno było dobrą lekcją przeklinania i ciskania obelg.

Był też inny, mniej godny powód, dla którego Louise ani razu nie odgryzła się Philadelphii. Drobną kwestią prawdy.

Znieruchomiawszy ze szmatką w dłoni tuż nad klawiaturą pianina, Louise przyznała w myśli, że Philadelphia ma rację. Rzeczywiście było jej wszystko jedno, kto wyciągnie tę znaczoną kulkę. Chciała mieć dziecko z którymkolwiek z poszukiwaczy złota.

Ale nie była ladacznicą, jak uważała tamta. Nie była nawet rozwiązła. W wieku dwudziestu ośmiu lat miała za sobą doświadczenia z dwoma mężczyznami, z których jeden został jej mężem. Jeśli to stanowiło obrazę dla przyzwoitych kobiet, jeśli chęć posiadania dziecka, które można otoczyć miłością i wychowywać, była niezrozumiała dla porządnych ludzi, to Louise nie chciała być ani przyzwoita, ani porządna.

Bądź sobą. Starła się trzymać tej maksymy. Nie pozowała, nie upiększała swojej przeszłości, nie przeproszała za to, kim jest ani jak żyje. Starła się postępować uczciwie i unikać kłopotów. Uważała, że wie gdzie przyzwoite życie, choć komuś takiemu jak Philadelphia mogło wydawać się inaczej.

Są miliony zasad dobrego wychowania i reguł obowiązujących w towarzystwie, lecz Louise starała się stosować do tych, które wydawały jej się rozsądne. Nigdy jednak nie spotkała się z regułą mówiącą, że kobieta jest nieprzyzwoita, jeśli zgodzi się na każdego mężczyznę, byle mieć dziecko. Niektórym kobietom nie udaje się znaleźć męża, inne nie chcą go znaleźć i naprawdę nie są przez to bardziej nieprzyzwoite od pozostałych.

Uniosła dłoń i z całej siły opuściła ją na klawiaturę. Rozległ się zgrzytliwy dysonans. Gdy zrobiła drugi raz to samo, w drzwiach salonu ukazał się Max. Zaskoczył ją, bo nie wiedziała, że jest w domu.

- Co ty robisz?

Spiorunowała go wzrokiem.

- Wszyscy McCordowie umieją grać na tym głupim instrumencie, tylko ja nie. Nawet Sunshine wystukuje palcem jakąś melodyjkę. - Gdy Max się uśmiechnął i zwrócił jej uwagę, że ani on, ani Wally nie umieją grać na pianinie, natychmiast go ofuknęła: - Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

- Jestem przekonany, że Gilly chętnie nauczy cię grać.

- Hm, może kiedyś ją o to poproszę. - Zamknawszy wieko klawiatury, wyminęła Maksa i skierowała się do kuchni. - A może nie. Chyba jednak można być przyzwoitym człowiekiem, nawet jeśli się nie umie zagrać ani jednej nuty. A tak w ogóle, to co tu robisz?

- Przyszedłem do domu na obiad - odrzekł cierpliwie, idąc za nią do kuchni.

- O Boże! Już czas na obiad? Zdawało mi się, że dopiero co pozmywałam po śniadaniu. - Spłonęła rumieńcem, gdy postawiła stopę na miejscu, w którym leżeli noca, ale nie odważyła się spojrzeć na Maksa. Zrobili to na podłodze w kuchni! Gdyby nie odzwyczaiała się od przeklinania, na pewno wyraziłaby teraz zdumienie barwną wiązką.

- Wystarczy, jak dasz mi trochę chleba ze skwarkami.

- Mężczyzna powinien dostać lepszy obiad niż chleb ze skwarkami. - Stał stanowczo za blisko i to ją bardzo onieśmiało. Nigdy, przenigdy nie sądziła, że spotka

mężczyznę, który tak pociągająco pachnie. Z tym zapachem kojarzyło jej się tyle dobrego. Skóra i dym, konie i bydło. Mydło i świeże powietrze, ziemia i słońce. Czasem była w tym zapachu domieszka whisky, czasem Max pachniał jak jabłka, które trzymała w koszyku niedaleko drzwi komórki. Czasem czuła od jego rąk woń lampy naftowej, innym razem węgla lub sosnowej żywicy. A jeśli znalazł się w pobliżu, zanim jeszcze zdążył się umyć, uderzał ją zapach potu po ciężkiej, uczciwej pracy.

- Louise...

Stanęli, patrząc sobie w oczy, dostatecznie blisko, by jej spódnica ocierała się o nogi Maksa. Jego skupione spojrzenie zdradzało, że i on pamięta, co niedawno zaszło w tym miejscu.

- Panie McCord? Max? Jest pan tutaj?

Louise uśmiechnęła się do niego wątle i cofnęła się, chowając drżące ręce w fałdach fartucha.

- Czy to ty, Shorty?! - zawołał Max w stronę komórki. Dotknął czubkiem palca kącika ust żony.

Było to zaledwie muśnięcie, ale Louise poczuła, jak przeszywa ją dreszcz. Nogi się pod nią ugięły.

- Mamy do porozmawiania - powiedział cicho Max. - Zaraz wrócę, tylko się dowiem, o co chodzi Shorty'emu.

Louise skinęła głową, oparła się o zlew i oblizwała wargi. Max mógł mieć do niej tysiące spraw. Ta rozmowa mogła dotyczyć lekcji gry na pianinie, wydatków, spędu bydła, pogody, jego podbitego oka. Ale Louise miała nadzieję, że Maksowi chodzi zupełnie o co innego, a wskazywały na to nagłe harce jej serca i gorąco, które ją zalało.

Gdy odzyskała władzę w nogach, wyprostowała się i popatrzyła na garnek ze skwarkami z topionego bekonu, a potem na kredens, w którym trzymała worek z mąką. Próbowwała myśleć o skwarkach, ale sercem była z Makssem. Mimo to zdołała postawić patelnię na kuchni, zanim zorientowała się, że głosy na dworze są podejrzanie głośne. Zawahała się, ale zdjęła patelnię z ognia i wytarła ręce w fartuch. Wystarczyło jej stanąć w drzwiach komórki, i już dobrze słyszała głos Shorty'ego.

- Przepraszam, panie McCord. Wie pan, że nie zostawilibyśmy pana, gdyby dano nam wybór.

Louise zasłoniła usta dłonią, żeby stłumić okrzyk zaskoczenia.

- Byłbym wdzięczny, gdybyście dali mi kilka dni na załatwienie tej sprawy. - Z głosu Maksa biła złość.

- Nic pan na to nie poradzi. Nie ma sposobu. Chłopcy właśnie sprzątajją barak. Odjeżdżamy dzisiaj wieczorem, po skończeniu pracy. - Zapadło milczenie, przerywane tylko odgłosem nerwowego pochrząkiwania, spluwania i szurania butami. - Przepraszam. Czułem się tak, jakbym był częścią tego miejsca. Chciałem, żeby rosło.

- Jeśli sytuacja się zmieni, zawsze będzie tu dla was miejsce.
- Mam nadzieję, że się zmieni, szefie. Słowo daję.

Zapewne uściskali sobie dłonie i Shorty odszedł, bo chwilę potem Max wrócił do domu, trzasnąwszy drzwiami, przemknął jak burza obok żony i ciężko opadł na krzesło przy stole. Louise napełniła kubek kawą i wcisnęła mu go do ręki.

- Co się stało? Słyszałam koniec, ale bez początku.
- Wczoraj wieczorem chłopcy pojechali do miasta wydać trochę pieniędzy i upuścić pary.
- No i co?

- Nikt w całym mieście nie chciał wziąć od nich pieniędzy. Albo ich ignorowano, albo im mówiono, żeby się wynieśli. Kazano im odjechać spod hotelu i przywiązać konie gdzie indziej. Jeden z zastępców szeryfa chodził za nimi po całym mieście. Przyglądał się, jak kto ich traktuje. I uśmiechał się, kiedy stało się jasne, że tego wieczoru Shorty i jego ludzie się nie zabawią.

- Ale dlaczego? - spytała zdumiona Louise i rozłożyła ręce. - Dlaczego ktoś, kto czymś handluje, miałby odmawiać sprzedaży?

Max spojrzał na nią.

- Bo tak kazano właścicielom.
- Kto im kazał...? - 1 nagle zrozumiała. - Ojej. - W milczeniu wróciła do kuchni i nalała do kubka kawy, tym razem dla siebie.
- Dopóki Shorty i jego chłopcy pracują u mnie, są w mieście pariasami.

Louise. usiadła przy stole i odsunęła z czoła włosy.

- To niemożliwe, żeby wszyscy przedsiębiorcy w Fort Houser mieli długi u Howarda Housera - powiedziała ze złością.

- W mieście jest jeden bank, a jego właścicielem jest Houser. Widziałem kantor z dokumentami. Setki teczek. Zastawy hipoteczne, pożyczki, kredyty inwestycyjne, oszczędności i co tam jeszcze chcesz. Na dobrą sprawę Houser macza palce w każdej transakcji tu zawieranej. Jeśli nawet nie sprawuje bezpośredniej kontroli nad czyjąś hipoteką, to zapewne ma kontrolę nad jego dostawcami i tak dalej.

- Do diabła z nim! Najmiemy nowych kowbojów.
- A kto się zgodzi u nas pracować? Jeśli nawet wieść jeszcze nie rozeszła się po okolicy, to i tak wkrótce będzie szumiało, że praca u Maksa McCorda jest właściwie za darmo, bo nikt w mieście nie przyjmuje pieniędzy od jego pracowników. Równie dobrze mógłbym im płacić suszonym grochem.

Fale wywołane przez losowanie na zboczach góry nad Piney Creek zataczały coraz większe kręgi. Louise popatrzyła na Maksa, który tarł dłonią znaki po ospie.

- Czy rozmowa z Houserem może dać jakiś skutek? - Ale nawet zadając pytanie, wiedziała, że nie ma sensu tego próbować.

- Houser wie, co robi. Dopóki nie uzna, że jestem dostatecznie ukarany, pies z kulawą nogą nie pokaże się na tym ranczu.

- To nie jest uczciwe - rozzłościła się Louise. - Jeśli mi nie wierzysz, to uwierz swojej mamie. Livvy powiedziała, że postąpiłeś słusznie. Wie, że nie ponosisz winy za to, co się stało.

- Powiedziała tak, jeszcze zanim się dowiedzieliśmy, że Philadelphia będzie mieć dziecko. Bo to jest moja wina. I dlatego Houser nie może się z tym pogodzić. - Przeczesał dłonią włosy. - Gdybym miał córkę i jakiś sukinsyn zrobiłby jej dziecko, czułbym to samo.

Może Max będzie miał córkę, pomyślała Louise, odwróciwszy wzrok. Może Philadelphia urodzi dziewczynkę.

- Co tam - powiedział po chwili. - Stado musiałbym karmić sam. Znam Howarda Housera. Gdybym podzielił moje bydło między Dave'a, mamę i Wally'ego, ich kowboje też nie mogliby kupić w mieście nawet prymki tytoniu. - Wbił wzrok w punkt przed sobą; minę miał zrezygowaną. - Nie ma innego wyjścia. Trzeba sprzedać stado. Wolę to, niż żeby bydło miało zimą głodować.

- Chcesz się poddać i zrezygnować z prowadzenia rancza?

Co jeszcze Max McCord miał stracić w następstwie tamtego dnia w Piney Creek? Stracił już narzeczoną, dziecko, karierę w banku. Groziło mu, że straci brata, a teraz również ranczo. Louise postanowiła do tego nie dopuścić. Koniec z tym. Max nie mógł stracić niczego więcej.

- Po moim trupie - oświadczyła, pochylając się w jego stronę. Oczy jej lśniły. - Masz mnie. A ja jestem warta trzech kowbojów. Razem na pewno damy sobie radę z karmieniem stada przez zimę.

Max wlepił w nią wzrok.

- Nie wiesz, co mówisz. Karmienie stada w zimie to ciężka harówka. Bydło musi dostać paszę nawet podczas zamieci. Trzeba też pilnować, żeby wodopój nie zamarznął. Nie mogę tego od ciebie żądać.

- Wcale nie żądasz. Zgłosiłam się na ochotnika. Nie idzie poddać się bez walki.



- Przykro mi, ale nigdy nie mieszam się do interesów papy. - Ile beznadziejnych godzin spędziła już na wyglądaniu przez okno? Nie znosiła tego miejsca, nienawidziła go. Codzienna monotonia i nuda doprowadzały ją do obłądu.

- Jutro pojedę do miasta i sam porozmawiam z twoim ojcem. - Wally pochylił się nad kominkiem i dołożył drewna do paleniska. - Niszczenie Maksa jest małoduszne i nie ma sensu. Trzeba z tym skończyć.

Małoduszne? Miała nadzieję, że Wally wykaże o wiele więcej taktu, rozmawiając z jej ojcem.

- Czy to Max prosił cię, żebyś się za nim wstawił? - Co za ironia losu! Gdyby stracił ranczo, musiałby się przeprowadzić do miasta, tak jak od początku chciała.

- Nie. Czy pojedziesz ze mną? - spytał Wally. Wyglądał tego dnia bardzo przystojnie. Był ubrany i wymuskany jak na niedzielny obiad. Gdyby udało jej się postawić na swoim, a wiedziała, że w końcu tak będzie, Wally w ogóle przestałby nosić flanelowe koszule i codzienne dreluchy. - Wspominałaś, że chciałabyś zajrzeć do pracowni pani Danie.

Domowe suknie i szlafroki, które szyla dla niej pani Dame, były bezkształtne jak worki, toteż Philadelphia nie wyobrażała sobie, by coś takiego mogła na siebie włożyć. Z drugiej strony dotychczasowe stroje zaczynały ją pić w talii. Codziennie oglądała swój brzuch w lustrze i z niechęcią notowała jego krągłość.

Wiedziała, że później zrobi się jeszcze gorzej, że będzie nadęta jak żaba i całkiem straci figurę, wolała jednak nie myśleć o tym przynębiającym fakcie.

- Stroje szyte przez panią Dame nie wymagają wielu przymiarek. - Na dworze zimny wiatr poderwał z ziemi brązowiejące liście i powiał je w stronę obory. Philadelphia żałowała, że nie znajduje się w tej chwili tysiące kilometrów od tego okna.

- Wiem, jak bardzo się nudzisz. Mogę cię zawieźć do pani Dame, a potem poszłabyś zrobić zakupy w domu towarowym albo spotkać się z przyjaciółką. Nie musimy się spieszyć z powrotem.

Nie zamierzała drugi raz narażać się na męki w domu towarowym. W zeszłym tygodniu namówiła Wally'ego na wyjazd do miasta i tam spotkały ją same przykrości. Kobiety, które znała całe życie, w ogóle jej nie zauważały. A gdy chciała odwiedzić swoje rzekome przyjaciółki, zamykano jej drzwi przed nosem. Nawet siostry Grayson poleciły gospodyni powiedzieć, że nie ma ich w domu, jakby Philadelphia nie wiedziała, że w środy po południu zawsze przyjmują gości.

Na myśl o tej niesprawiedliwości coś się w niej kurczyło. Najwyraźniej wszystkie plotkary z miasteczka uważały, że spotykała się równocześnie z obydwoma braćmi

McCordami i szczyła jednego na drugiego. Oto co wyszło z pomysłu ojca i pani McCord. Przecież ta historyjka miała być dla niej nieszkodliwa. Tymczasem, zamiast uchronić ją przed skandalem, ojciec i teściowa uczynili z niej osobę niepożądaną w eleganckim towarzystwie i kazali jej dźwigać niejeden krzyż. Owszem, takie samo upokorzenie przeżyłaby, gdyby wyszła na jaw prawda, ale wtedy przynajmniej kilka jej przyjaciółek i znajomych współczułoby jej i zrozumiało, że w tym wszystkim spełnia rolę ofiary, a nie czarnego charakteru.

- Nie - odparła wściekła, że została więźniem na tym odludziu. - Zostanę na ranczu. Nie zniosę tego, że wplątano mnie.., mnie! w taki skandal. - Łzy napłynęły jej do oczu, ze złości tupnęła nogą. - To jest niesprawiedliwe!

- Jest. - Wally podszedł do niej, ujął ją za ręce i pogłaskał po palcach. - Ale może na trochę przestałabyś myśleć o smutnych rzeczach. Czas zleciałby ci trochę szybciej, gdybyś pomogła mamie w kuchni...

Prędzej koty zaczną szczekać, niż ona pozwoli zrobić z siebie domowego murzyna.

- Czy to Livvy prosiła cię, żebyś złożył mi taką propozycję? Czy skarżyła się na mnie?

- Nie, skądże - pospiesznie zapewnił ją Wally. - Ale mama wszystko gotuje, sprząta, pierze i prasuje.

- Chcesz powiedzieć, że skoro twoja matka nie znosi służby w domu, to mam się zamienić w służącą? Jestem tutaj gościem! - Obrażona, chciała cofnąć ręce, ale Wally ich nie puścił.

- Ja tylko myślę, że gdybyś miała jakieś zajęcia, mniej byś się nudziła, a mama bez wątplenia ucieszyłaby się z pomocy. - Zawsze gdy chciał ją nakłonić do zrobienia czegoś, co mogło spotkać się z niechętną reakcją, w jego głosie pojawiała się niepewność. Dzięki temu sygnałowi Philadelphia miała chwilę na przygotowanie odpowiedzi.

- Och, Wally! Czy to ma być moje następne upokorzenie, następna kara? Mam zniżyć się do poziomu służącej? - Łzy ślicznie zaperliły jej się na rzęsach, więc z wdziękiem przyjęła od Wally'ego chustkę. Otarła policzki, żeby nie zmoczyć łzami pięknej odświeżonej sukni z tafty. - Jeśli nalegasz, zdobędę się na to, ale... ile jeszcze będę musiała wycierpieć?

- Rzecz jasna, wcale nie nalegam. Ja tylko proponowałem, to wszystko. - Delikatnie ją objął i pogłaskał po plecach. - Moja biedna, dzielna i kochana.

- To się nigdy nie skończy - szepnęła. Zauważyła, jak Wally tężeje, gdy poczuł jej oddech na szyi. Pomyślała, że jeszcze tydzień albo dwa i może pozwoli mu się pocałować w policzek. Dobrze wiedziała, że chciałby to zrobić. A po narodzinach dziecka może nawet zacząć odwzajemniać jego pocałunki, jeśli Wally zrobi coś, czym sprawi jej szczególną przyjemność. - Zobacz, mam czerwone oczy i wyglądam okropnie - powiedziała i odsunęła się od niego, żeby muśnięciem chustki strącić łzy z rzęs.

- Jesteś piękna.

- Czy ona ma przyjść na obiad w tym tygodniu? Naturalnie. W poprzednią niedzielę Philadelphia udawała, że źle się czuje, i mąż przyniósł jej obiad na górę. Ale nie smakował jej ani jeden kęs, przez cały czas myślała bowiem o tym, że „ta osoba” bez wątpienia siedzi przy stole z resztą rodziny, zachwycona i święcie przekonana, że ona, Philadelphia, boi się stanąć z nią twarzą w twarz. A to nie była prawda. Żadna godna szacunku kobieta nie miała powodu obawiać się ladacznicy, która nie wie, czym są zasady przyzwoitości.

- Będę przy tobie przez cały czas - obiecał szorstko Wally. - Z czasem te rodzinne spotkania staną się dla ciebie łatwiejsze. A tymczasem po prostu nie zwracaj uwagi na Louise.

Co do tego nie było dwóch zdań. Z punktu widzenia Philadelphii „tamta osoba” po prostu nie istniała.

Postanowiła, że gdy już będą mieli swój dom w mieście, zacznie stopniowo odrywać Wally'ego od McCordów i tych nieznośnych rodzinnych zgromadzeń. Wprawdzie o domu w mieście na razie, niestety, nie mogła poważnie myśleć, ale była to kwestia czasu. Ojciec obiecał, acz niechętnie, że podczas najbliższej prywatnej rozmowy z zięciem zaproponuje mu posadę w banku. Oderwanie Wally'ego od życia na ranchu stanowiło pierwszą z korzystnych zmian, które chciała przeprowadzić. Wiedziała jednak, że do dnia narodzin dziecka nic się nie zdarzy. Jej męka miała trwać jeszcze miesiące.

Jakoś zapanowała nad tymi ponurymi myślami, ujęła Wally'ego za ramię i podniosła głowę. Razem zeszli ze schodów.

Gdy znaleźli się na dole, z salonu wybiegła córeczka Gilly, Sunshine. To dziecko chyba nigdy nie chodziło normalnie. Teraz też rzuciło się na nią z rozłożonymi ramionami i ścisnęło ją z całej siły.

- Jak ślicznie wyglądasz, ciociu Philadelphio! Czy w tym tygodniu czujesz się lepiej? Ostrożnie rozplotła ramiona dziecka.

- Kochanie, nie możesz mnie tak obejmować. Pognieciesz mi spódnice.

Nieroztropne dziecko zrobiło zmieszana minę.

- A ciocia Louise lubi, kiedy ją ściskam.

- Wszyscy widzimy, że Low Down nie grzeszy ani urodą, ani stylem. Jej spódnice są tak samo paskudne jak ona. Nikt by nie zauważył zagnieceń na materiale, nawet ona sama. Kobiety w rodzaju Low Down nie dbają o wygląd.

Rozległo się głośne chrząknięcie, a gdy podniosła głowę, zobaczyła Maksa i Low Down, którzy stali w sieni i jej się przyglądali. Spojrzenie Maksa było nieprzeniknione. Na wargach „tamtej osoby” igrał denerwujący półuśmieszek, ale na policzkach wykwitły jej jaskrawe rumieńce. No i co z tego, że usłyszała moje słowa, pomyślała z satysfakcją Philadelphia. To wszystko była najświętsza prawda.

Jakby dla potwierdzenia słów Philadelphii, Low Down przyklęła, zupełnie nie dbając o to, że przybędzie zagniecen na jej pospolitej brzydkiej spódnicy, rozłożyła ramiona i uśmiechnęła się do małej.

- Masz rację, Sunshine, lubię uściski. I ciocia Philadelphia też ma rację. Guzik mnie obchodzi, jak wyglądam. Zawsze tak było.

Sunshine tanecznym krokiem podbiegła do Low Down i objęła ją za szyję.

- Ojej, ładnie pachniesz. Jak jabłecznik.

„Tamta osoba” się roześmiała, a właściwie gardłowo zarechotała, jakby była w saloonie. Wulgarność tego dźwięku podrażniła nerwy Philadelphii.

- Zrobiłam placki z reszty jabłek. Pewnie dlatego tak pachnę. - „Tamta osoba” spojrzała na Maksa i skinęła głową Wally'emu, który stał w milczeniu u boku Philadelphii, a potem ujęła Sunshine za rękę. - Chodźmy do kuchni, przekonamy się, czy twoja babcia nie potrzebuje pomocy.

Jabłecznik, też coś. Philadelphia wystąpiła naprzód i skromnie spuściła oczy, gdy Wally witał się z Maksem. Stanęła jednak dostatecznie blisko, by Max musiał wyczuć zapach wody różanej i torebeczki z suszonymi płatkami róży, którą miała pod gorsetem.

- Witaj, Philadelphio.

- Dzień dobry, Max.

Od dzisiaj zaczną ustalać zwyczaje, które będą rządzić ich zachowaniem wobec siebie teraz i w przyszłości.

- Czy dobrze się czujesz? - Beznamiętnym tonem musiał maskować burzę uczuć.

- Tak, dziękuję - bąknęła. Wally podszedł do niej i zaborczo położył jej rękę na plecach. - A ty?

- Całkiem dobrze, dziękuję.

Banalność tej wymiany zdań podziałała na nią paraliżująco. Czy tak miało to teraz wyglądać? Tylko nic nieznaczące, wyświechtane uprzejmości? Nigdy przedtem nie brakowało im słów, gdy krzyżowali spojrzenia. Postarała się więc, żeby Max zauważył, jak przygląda się jego ustom, a potem czubkiem języka dotknęła górnej wargi. Teraz musieli udawać, ale ona nie zapomniała niczego, absolutnie niczego.

Max nie zmienił wyrazu twarzy ani na jotę, ale wyraźnie usztywnił ramiona. Zauważyła też, że wsadził rękę do kieszeni i zacisnął na czymś dłoń.

- Zamierzam jutro porozmawiać z Howardem Houserem- odezwał się Wally - i zażądać od niego, żeby zniósł ten bezsensowny zakaz przyjmowania pieniędzy od twoich ludzi.

Przez twarz Maksa przemknął grymas gniewu.

- Doceniam twoją troskę, ale szkoda wysiłku. Nie wtrącaj się do tego, Wally.

- Philadelphia i ja uważamy, że to nie jest uczciwe załatwienie sprawy. Powinniśmy postawić krzyżyk na przeszłości.

Max badawczo przyjrzał się Philadelphii, ona zaś poczuła, jak cała skóra nagle zaczyna się piec, a żołądek podchodzi do gardła. Zanim odwrócił wzrok, zatrzymał go na jej talii.

Philadelphia wypuściła powietrze z płuc, na chwilę bowiem, całkiem nieświadomie, wstrzymała dech. Wally wydał jej się bladym cieniem Maksa. To Max stał niewzruszony jak skała, natomiast jej mąż sprawiał wrażenie naiwnego dziecka.

- Dave czeka na was na dworze, bo chce wam pokazać swoje nowe siodło! - zawołała Gilly, wychodząc z kuchni. - Witaj, Philadelphio, ładnie dzisiaj wyglądasz.

Ku rozczarowaniu Philadelphii mężczyźni skierowali się do drzwi.

- Kiedy będziemy jeść?- spytał Wally siostrę. Przedtem obiecał żonie, że będzie cały czas przy niej, teraz jednak w swej tępotcie wcale nie zwracał uwagi na jej gorączkowe sygnały. Philadelphia postanowiła, że potem natrze mu za to uszu.

- Za jakieś dwadzieścia minut. - Gdy zamknęły się drzwi za mężczyznami, Gilly wytarła ręce w fartuch, a Philadelphia próbowała sobie tymczasem przypomnieć, kiedy ostatnio widziała ją lub jej matkę bez tego wszechobecnego okrycia.

- Chcesz przyjść do nas do kuchni?

Kuchnia była ziemią nieznaną. Philadelphia nie miała zielonego pojęcia, jak przyrządza się posiłek. Nie było to z jej strony przeoczenie, po prostu nie chciała tego wiedzieć. A już najbardziej nie chciała, żeby teściowa miała okazję udowodnić jej, że jest bezużyteczna. Livvy McCord mogła uważać, że miejscem dla kobiety jest kuchnia, ale z pewnością nie dotyczyło to prawdziwych dam. Poza tym w kuchni była „tamta osoba”.

- Wolę poczekać w salonie - odrzekła uprzejmie. - Może chcesz ze mną posiedzieć?  
- Czyjeś towarzystwo bez wątplenia sprawiłoby jej przyjemność.

- Chciałabym, ale niestety muszę nasypać soli do solniczek. - Gilly uśmiechnęła się i wzruszywszy ramionami, z powrotem ukryła się w kuchni.

Wstrząśnięta odprawą, jakiej dostała od szwagierki, Philadelphia przez dłuższą chwilę stała jak wmurowana. Była sama, opuszczona w zimnej sieni, pozostało jej tylko zacisnąć zęby i pięści. Wreszcie obróciła się ze złością i z groźnym szelestem tafty weszła do salonu, gdzie spędziła czas do obiadu, licząc dni, które musiała jeszcze wytrzymać w tym miejscu, zanim będzie mogła uciec.

Obiad, naturalnie, był męką, jakiej się spodziewała. Po pierwsze, Sunshine pozwolono jeść z dorosłymi, co stanowiło rażące naruszenie dobrych obyczajów. Co gorsza, dziecko bez potrzeby paplało i nikt nie kazał mu zamilknąć. Od tego szczebiotu można było dostać migreny. Mężczyźni rozmawiali o polityce, bydło i pogodzie. Livvy i Gilly wymieniały uwagi o strojach, które szyły dla „tamtej osoby”. Natomiast „tamta osoba” odezwała się tylko raz. Powiedziała „tak”, gdy Gilly zapytała ją, czy po obiedzie pojedą do niej przymierzyć suknię.

W tej sytuacji Philadelphia zrezygnowała z wysiłków skierowania rozmowy na bardziej wyrafinowane tematy i skupiła się na tworzeniu milczącego wzorca wdzięku, delikatności i

dobrych manier. Od czasu do czasu podnosiła wzrok, poruszając wypielegnowanymi rzesami, i spoglądała na drugi koniec stołu z nadzieją, że Max zauważy uderzający kontrast między jej dobrym wychowaniem i prostackimi manierami Low Down. Dwa razy pochwyciła jego wzrok i wtedy uśmiechała się pod nosem.

Na Low Down nie patrzyła i w ogóle nie zauważała jej obecności, lecz mimo to przez cały czas zdawała sobie z niej sprawę. Kątem oka dostrzegła pełne szacunku spojrzenie, jakim „tamta osoba” obdarzała lepsze od niej towarzystwo przy stole, i pomyślała, że tak powinno być. Odczuła wielką satysfakcję, widząc, że Low Down zna swoje miejsce. Zupełnie tu nie pasowała, była kamieniem obrazy dla rodziny.

Po obiedzie mężczyźni wyszli na dwór zapalić te odrażające cygara, a Low Down natychmiast zerwała się na równe nogi i pozbierała talerzyki po deserze, żeby zanieść je do kuchni. Oczywisty zamiar „tamtej osoby”, by jak najszybciej uciec do kuchni, podniósł Philadelphię na duchu. Pozwoliła więc sobie na triumfalną minę.

- Popatrzcie - odezwała się Gilly, przyglądając się Sunshine, skaczącej w stronę kuchni. - To dziecko uwielbia Louise. - Zerknęła na Philadelphię z poczuciem winy i natychmiast dodała: - Ciebie naturalnie też lubi. Mówi nawet, że gdy dorośnie, chce być tak piękna jak ciocia Philadelphia.

- Zawsze miałam dobre podejście do dzieci - przyznała Philadelphia ze skromnym uśmiechem. W przeszłości ta odpowiedź niewiele by znaczyła, teraz jednak nagle przypomniawszy jej o ciąży, toteż raptownie zamilkła.

- Kiedy byłam w tym samym miesiącu co ty, musiałam już nosić luźniejsze stroje - stwierdziła Gilly. - Mama myślała, że będę miała bliźniaki - dodała z uśmiechem.

Livvy przytknęła do warg kubek z kawą i z błyskiem w oku spytała:

- Czy dobrze słyszałam, że Wally chce porozmawiać z twoim ojcem o szykanowaniu ludzi Maksa?

Philadelphia nie zamierzała dać się wciągnąć w rozmowę o słusznej karze, która spotkała Maksa. Pochyliła się w stronę pani McCord i powiedziała cicho, jakby zwierzała sekret:

- Wally o tym nie wie, ale zdaje się, że tata zaproponuje mu jutro pracę.
- Myślisz, że przyjmie tę propozycję? - zainteresowała się Livvy.
- Naturalnie.

Starsza pani wstała od stołu i podeszła z kawą do okna. W ciszy, która zapadła, Philadelphia usłyszała z kuchni śmiech Sunshine i Low Down.

- Pod pewnymi względami Wally nadaje się na bankiera lepiej niż Max - powiedziała w końcu Livvy. Zmarszczyła czoło, gdy jej wzrok padł na palących mężczyzn. - Nie ma takiego drygu do liczenia, ale za to nie przeszkadza mu, że pracuje dla kogo innego. Max musi być na swoim.



- Wally nie jest tak mocno przywiązany do ziemi jak Max - dodała po chwili Gilly. - Jeszcze nie postawił domu na swojej działce, więc nie będzie żył w pół drogi między ranczem i bankiem. Jego stado możemy podzielić na trzy...

- Czy to ty wpadłaś na ten pomysł, czy raczej twój ojciec sądzi, że z każdego McCorda może zrobić bankiera? - spytała Livvy, nie odwracając się od okna.

Matka Maksa jak zwykle nie okazała szacunku, jaki powinna mieć dla rodziny Houserów. Philadelphia dobrze pamiętała, że jej dziadek założył to miasto, ojciec jest teraz jego najwybitniejszym obywatelem, a ją uznawano za najpiękniejszą pannę w Fort Houser, póki syn Livvy McCord jej nie zdradził. Prawdę mówiąc, teściowa doprowadzała ją do pasji.

Uśmiechnęła się na siłę.

- Nie przeczę, że ucieszyłabym się, widząc męża w eleganckich kręgach, ale na pewno nie dyktuję ojcu, co ma robić.

Gilly zerknęła z niepokojem na sztywno wyprostowane plecy matki, a potem taktownie zmieniła temat:

- Czy wybierasz się z Wallym do miasta?

- Chyba nie słyszałaś o moich strasznych przeżyciach w zeszłym tygodniu. - Philadelphia zamrugała, żeby powstrzymać łzy, i opowiedziała szwagierce o wszystkich afrontach, które jej uczyniono.

Gilly przerywała jej współczującymi pomrukami, ale Livvy wciąż stała nieruchomo przy oknie. Philadelphia dotknęła oczu koronkową chusteczką.

- Nie mogę uwierzyć, że spotyka mnie coś takiego! Przecież miało nie być skandalu, a tymczasem moje dobre imię zostało bezpowrotnie zszargane!

Na to wreszcie Livvy się odwróciła.

- W tej sytuacji twoje dobre imię zostałoby zszargane bez względu na to, jak próbowalibyśmy załagodzić sytuację.

Wstrząśnięta Philadelphia szeroko otworzyła oczy.

- Chyba nie chcesz przez to powiedzieć, że to moja wina!

- Można ci wiele wybaczyć, bo, niestety, nie masz matki, która mogłaby tobą pokierować i służyć ci radą. Ale twój ojciec na pewno dobrze wie, że mój syn wcale cię nie wykorzystał. Stan, w jakim się znalazłaś, jest waszym wspólnym dziełem i dlatego naturalnie wspólnie ponosicie odpowiedzialność za zszarganie twojego dobrego imienia, jak to nazwałaś. Może łatwiej byłoby ci znieść ten skandal, gdybyś uznała, że i ty masz swój udział w jego powstaniu!

- To bezczelność! Wszystkiemu winna jest ta okropna Low Down, nie ja! - Philadelphia skoczyła jak oparzona. Ręce zaczęły jej drżeć, policzki spąsowiały. - Nie wiem, dlaczego masz do mnie pretensje. Moją jedyną zbrodnią jest to, że pokochałam Maksa. Niczym nie zasłużyłam sobie na te okropności, które mnie spotkały, i nie jestem

niczemu winna! - Łzy popłynęły jej po policzkach, zamiotła spódnicami i szybko uciekła do swojego pokoju.

Zatrzasnęła za sobą drzwi sypialni, po czym cicho je otworzyła i na palcach podeszła do szczytu schodów, żeby posłuchać, co będzie się działo dalej.

- Czy nie potraktowałaś jej trochę za ostro, mamó?

- Pewnie będę musiała ją przeprosić - przyznała z westchnieniem Livvy. Jej zirytowany ton świadczył o tym, że przeprosiny nie byłyby szczere. - Gdybyś to ty zaszła przed ślubem, Boże broń, to wiem, że nie unikałabyś odpowiedzialności. Przyznałabyś, że postąpiłaś równie źle jak Dave.

- Wiesz, że ona jest rozpuszczona. Ojciec zawsze ją rozpieszczał. Niczego jej nie brakowało. Wątpię, czy kiedykolwiek musiała przyznać się do błędów. Jeśli ona naprawdę nie widzi swojej winy, to musi strasznie cierpieć z tego powodu, że została nagle wyklęta. Poza tym, mamó, ona nigdy nie uwolni się od piętna tego skandalu. Na pewno możesz znaleźć dla niej trochę współczucia.

Rozpuszczona! Niczego jej nie brakowało! Ha!

A nawet jeśli tak, to co z tego? Przecież pochodzi z Houserów, a nie z byle jakiej rodziny bez tradycji i nazwiska. Wszyscy wiedzą, że mogła znaleźć dużo lepszego męża niż McCord! Kto to w ogóle są ci McCordowie?

- Jedno jest pewne. Cotygodniowe spotkania rodziny kosztują wszystkich zbyt wiele. Bardzo mi się to nie podoba, ale sądzę, że zmienimy zwyczaj i będziemy urządzać rodzinny obiad raz w miesiącu.

- Ona chce dobrze, mamó.

- To dlaczego nie porozmawia z ojcem o Maksie? Houser ustąpiłby, gdyby Philadelphia poprosiła go, żeby przestał się mścić.

W tej chwili wrócili mężczyźni, a wkrótce potem Gilly z Dave'em oraz Max z Low Down ubrali się i pożegnali. Philadelphia cicho podeszła do okna w korytarzu, z którego ciągnął się widok na drogę przed domem.

Po chwili ukazały się tam obie pary, idące do swoich wozów. Na Gilly i Dave'a Philadelphia nie zwracała uwagi, za to przyjrzała się bacznie, jak Max pomaga Low Down wspiąć się na kozioł.

Głośno nabrała powietrza, gdy „tamta osoba” coś powiedziała i dłonią w rękawiczce dotknęła policzka męża. Spojrzeli sobie w oczy, potem Max się roześmiał i poprawił spódnice Low Down, po czym sam również wskoczył na kozioł.

Wielkie nieba, ci dwoje byli kochankami.

Philadelphii zrobiło się niedobrze. Przycisnęła dłoń do ust. Nigdy, nawet jeden raz, nie przyszło jej do głowy, że Max będzie dzielił łożę z „tamtą osobą”. Bez namysłu uznała, że pozostanie jej wierny. Owszem, w chwili głupoty obiecał zrobić dziecko Low Down, ale przecież nie można oczekiwać dotrzymania obietnicy złożonej w przymusowej sytuacji. Co

zaś do postępowania jej ojca, to Max z pewnością zrozumiał, że zasługuje na karę, ale gdy ją odcierpi, będą mogli znowu być razem. Nigdy, przenigdy nie zamierzała go rozgniewać, a tym bardziej pchnąć w ramiona „tamtej osoby”. Nigdy.

Wstrząśnięta, wróciła na miękkich nogach do swojego pokoju, bezwładnie opadła na łożo i zaczęła szlochać. Niech go wszyscy diabli!

Wkrótce Wally przyszedł na górę i wtedy rzuciła mu się w ramiona i wyplakała w jego koszulę. Gdy po raz bodaj dwudziesty powtórzył z trwogą pytanie, co doprowadziło ją do takiego stanu, wyjaśniła:

- Twoja matka mnie nienawidzi! Mówiła takie okropności... Na pewno nie myślała tego wszystkiego, ale... Och, Wally. - Odsunęła się trochę od niego i załzawionymi oczami spojrzała mu prosto w twarz. - Czy zrobisz coś dla mnie?

- Naturalnie, najdroższa. Wszystko.

- Pocałuj mnie.

Zamrugał, jakby dźgnięto go halabardą. Oblizął wargi i delikatnie przyciągnął ją do siebie, jakby była zrobiona z cienkiego szkła i w jego rękach mogła w każdej chwili rozsypać się na tysiące kawałeczków.

Pocałunek był delikatny i czuły. Śmiertelnie nużący. Gdy dobiegł końca, Philadelphia wtuliła twarz w zagłębienie przy szyi Wally'ego, by stłumić westchnienie i ukryć rozpacz.

Niestety, nie było w pobliżu Maksa, który cierpiałby, widząc tę scenę, więc pocałunek poszedł na marne. Niczego nie zyskała, dając Wally'emu tak wiele.

Gorzko żałowała, że zobaczyła, jak Max układa na nogach „tamtej osoby” jej paskudne spódnice. Niech go diabli, niech go wszyscy diabli!

- Podobało mi się brzdąkanie Dave'a na gitarze. A Gilly nawet umie grać na pianinie, nie patrząc w nuty!

Max skinął głową i zerknął na ranczo, które mijali w drodze powrotnej do siebie. Front domu był ciemny. Ponieważ zaś pokoje Wally'ego i Philadelphii miały okna z drugiej strony, Max nie potrafił powiedzieć, czy są w nich jeszcze zapalone lampy i czy ich mieszkańcy jeszcze nie śpią.

- To był bardzo miły wieczór - dodała radośnie Louise i przycisnęła nogę do uda męża. Temperatura była bliska zeru, więc przytulenie się dyktował rozsądek. Ale tak czy owak bliskość żony zrobiła na Maksie duże wrażenie. Sunshine miała rację. Louise pachniała jak jabłecznik.

- Póki nie przyjechaliśmy do Dave'a i Gilly, prawie w ogóle się nie odzywałaś. - Domyślał się dlaczego.

- Nie miałam nic do powiedzenia. - Louise uporczywie wpatrywała się w atramentową drogę przed nimi.

Powinien był już się nauczyć, że ta kobieta na nic się nie skarży, myślał jednak, że wspomni o oczywistym grubiaństwie Philadelphii. Ale nie zrobiła tego ani podczas jazdy do domu Dave'a i Gilly, ani teraz, podczas powrotu. Wreszcie zrozumiał, że również przez pozostałe jeszcze pięć kilometrów nie należy się spodziewać wzmianki o Philadelphii.

Cały tydzień bał się spotkania z byłą narzeczoną. Ciągle wracała do niego myśl, że gdyby sprawy ułożyły się inaczej, byłby z nią teraz w Denver w podróży poślubnej. Ale zapomniał o tym natychmiast, gdy zobaczył, jak Philadelphia odepchnęła Sunshine, żeby nie pogmiotły jej się spódnice. Nigdy w życiu nie przypuszczałby, że piękny strój może być dla niej ważniejszy niż uścisk dziecka.

Przysięgliby też, że Philadelphia nie potrafiłaby mówić o kimś z zapiekłą złością i nagle przykleić do twarzy uśmiech, gdy odkryła, że obiekt jej pogardy wszystko słyszał. Tymczasem nie dość, że zobaczył taką scenę na własne oczy, to jeszcze Philadelphia przesłała mu triumfalne spojrzenie, jakby razem z nim spiskowała i oczekiwała wyrazów uznania.

Naturalnie nie miała powodu odnosić się ciepło i życzliwie do Louise. Ale jeszcze niedawno Max postawiłby każde pieniądze na to, że Philadelphia Houser nie umiałaby traktować jak powietrze osoby siedzącej przy tym samym stole. Nie wprawiłaby celowo w zakłopotanie współtowarzyszy obiadu. Spodziewał się z jej strony chłodnej uprzejmości, ale jednak uprzejmości, nie grubiaństwa i ciętych uwag godzących w Louise. A już na pewno nie zgadłby, że na kobietę, której omal nie poślubił, będzie patrzył z zakłopotaniem i złością.

Teraz było mu jednak trochę wstyd, że poza krótką chwilą w sieni nie pomyślał ani razu o tym, że Philadelphia spodziewa się dziecka. Jak, u diabła, mógł o tym zapomnieć? Poprzedniego dnia martwił się od rana do wieczora, że czułością wobec matki swego dziecka może zakłopotać wszystkich przy stole. A potem po prostu o tym zapomniał. Rzeczywiście był skończonym sukinsynem i lepiej, że Philadelphia musiała obejść się bez niego.

- Piękna noc. Nie idzie kręcić nosem, prawda? - odezwała się Louise.
- Nie można, a nie „nie idzie” - odpowiedział machinalnie.
- Nie można. Gwiazdy wydają się tak blisko, że chce się ich dotknąć.

Dreńczyło go też pytanie, czy Philadelphia zawsze była tak zapatrzona w siebie, jak zauważył to dzisiaj. Może miało to związek z jej stanem? A może był ślepy i dotąd nie widział nic oprócz pięknych oczu i policzków z czarującymi dołeczkami? Raptem przypomniał sobie, jak przekomarzał się z nią, twierdząc, że Philadelphia mówi i robi, co chce, i nie dba o konsekwencje. Dziś także zaobserwował u niej niefrasobliwe, samolubne zachowanie, ale ocenił je dużo ostrzej.

- I kto tu ciągle milczy? - Louise dźgnęła go ramieniem.

- Dziękuję, że pojechałaś ze mną do mamy na obiad - powiedział po chwili. Louise musiała obawiać się tego spotkania nie mniej niż on.

- Nie byłam pewna, czy polubię twoją rodzinę, ale tak, lubię ich. Była nawet taka chwila, kiedy rozejrzałam się i pomyślałam sobie, kurde, jestem, tutaj... - Urwała i zaczerpnęła powietrza. - I myślę sobie, kurde, jem obiad z moją prawdziwą rodziną i mam takie samo prawo tutaj siedzieć jak... no, wiesz. Jak każdy inny. - Pochyliła głowę i zaczęła skubać rękawiczkę. - W każdym razie to była bardzo miła chwila.

- Dobrze sobie zapamiętaj - powiedział z naciskiem, patrząc przed siebie w chłodny mrok. - Masz święte prawo tutaj być. - Rozumiał, że Philadelphia chce wymierzyć mu karę, ale Louise nie miała nic wspólnego z dzieckiem Philadelphii ani jej małżeństwem z Wallym. Nie było uczciwie karać kogoś, kto nie zawinił.

- Czy wiedziałaś, że Gilly chce mieć drugie dziecko?

- Nigdy o tym nie mówiła, ale dla mnie to nie jest niespodzianka.

- Starają się z Dave'em od trzech lat, tylko jeszcze im się nie udało. To dość niesprawiedliwe, że jedne kobiety zachodzą od razu, a inne muszą czekać latami.

Natychmiast przypomniał sobie ich niezwykle wieczór na podłodze i poczuł ściskanie w kroczu. Wiedział, że dopóki żyje, nie zapomni chwili, gdy Louise zsunęła koszulę z ramion, a on zrozumiał, co to znaczy. A potem oglądał ją w księżycowej poświacie i jej ciało srebrzyście lśniło. Louise nie była drobna ani delikatna, ale bardzo pięknie zbudowana. Miała wąską talię, pełne piersi, mocne nogi. Gdy jej dotykał, czuł elastyczność, ciepło i gładkość skóry.

Bardzo rozkojarzony objechał wozem dom i zatrzymał go przed wejściem od podwórza.

- Odstawię wóz do szopy. Czy potrzebujesz pomocy?

Roześmiała się i zeskoczyła z kozła.

- Mogę zejść na dół sama.

Jej miejsce opustoszało i natychmiast poczuł na udzie zimny podmuch wiatru. Nie zwolnił hamulca. Gdy zobaczył, że żona dochodzi do ganku, zawołał w ciemność:

- Louise?!

- Słucham.

- Pomyślałem... to chyba dobry wieczór na to, żebyś nie wkładała tej przeklętej koszuli nocnej.

- Dzisiaj? - zdziwiła się.

- Chyba że wolałabyś ją jednak włożyć.

- No, nie sądziłam... chcę powiedzieć, że po tym, jak zobaczyłeś... Ej, ty, litujesz się nade mną czy...

- Louise, jest zimno. Czy nie mogłabyś powiedzieć po prostu „tak” albo „nie”?

- Tak! - Jej gardłowy śmiech rozszedł się w chłodnym, wieczornym powietrzu. -

Tak, tak, tak!

Gdy wprowadził wóz do szopy, przyszło mu nagle do głowy, że do tej pory raz kochał się z Louise z niechęcią, a raz w złości. Tego wieczoru pierwszy raz miał zrobić to dlatego, że naprawdę chciał. I był tym tak samo zaskoczony jak ona przed chwilą.

Ręce mu drżały z niecierpliwości, gdy wypręgał konie i prowadził je do zagrody. Był tak pochłonięty wyobrażeniem nagiej Louise w łóżku, że zupełnie nie zwrócił uwagi na płatki śniegu, które, wirując, sypały się z czarnego nieba. Nie przyjął do wiadomości, że nadeszła zima, myślał tylko o Louise.

Gdy wszedł do sypialni, leżała w łóżku, przykryta pod brodę. Kasztanowe włosy rozsypały się na poduszce. Policzki miała zarumienione, a oczy szeroko otwarte.

- Mam nadzieję, że nie chowasz pod kocami tej paskudnej koszuli nocnej, hm? - Usiadł uśmiechnięty przed toaletką, ściągnął buty i z przyjemnością poruszył palcami u nogi.

- Jestem naga jak w dniu, gdy przyszedłam na świat - szepnęła. Rumieniec na jej policzkach jeszcze się pogłębił.

Dziwna kobieta, pomyślał, ściągnął spodnie i rozpiął koszulę. Ubierała się i rozbierała w garderobie i nie odkrywała ani kawałka swego ciała, jeśli mogła tego uniknąć. Nie była kokietką, nie flirtowała. W gruncie rzeczy powiedziałaby nawet, że skromność jest jedną z jej podstawowych cech. A mimo to obnażyła się przed nim, gdy ogarnęły go czarne myśli, i dała mu w prezencie najbardziej erotyczny wieczór jego życia. Był pewien, że nigdy nie zapomni tych chwil na podłodze w kuchni. I chciał jej się odwzajemnić noca, której z kolei ona nie będzie mogła zapomnieć.

Wsunął się pod koce i przytulił do Louise od tyłu, żeby trochę się rozgrzać. Natychmiast poczuł odpowiedź swego ciała na nagość żony.

- Louise? - szepnął przy jej karku, odsunawszy na bok włosy. - Dziś wieczorem będzie dużo mitrężenia czasu.

- Co to ma znaczyć? - Natychmiast zdrętwiała, a w jej głosie zabrzmiała podejrzliwość.

- Poczekaj, to zobaczysz - powiedział tak, by poczuła jego oddech na skórze za uchem, a potem objął ją i mocniej przycisnął do siebie.

- Nie zdmuchnąłeś lampy.

- Nie. - Przeciągnął dłonią po jej udzie, przewędrował na zwężenie w talii, a potem zaczął igrać palcami coraz wyżej, aż w końcu dotarł do ramienia. Usłyszał ciche westchnienie Louise i zrozumiał, że chce, by dotknął jej piersi. Owszem, miał taki zamiar. Ale jeszcze nie teraz.

Tracił nosem jej kark i zaczął przesuwając wargi po ciele, do ucha, a potem wzdłuż dolnej szczęki. Louise pachniała jabłeczniakiem, tak samo jak wcześniej, ale czuł również inną woń, bardziej ukrytą. To było ciepło i zapach kobiety, podniecające i rozbudzające w



nim pierwotne instynkty. Pocałował ją w kącik ust, ale uciekł, gdy chciała odwzajemnić pocałunek.

Odnalazł wargami kość obojczyka i dotarł aż do podstawy szyi. Językiem zaznaczył miejsce, w którym czuł przyspieszony puls Louise.

- O Boże! - Chciała unieść ręce, ale delikatnie przytrzymał je przy jej bokach. - Czy mam coś zrobić? - spytała ochrypłym szeptem.

- Po prostu się odpręż. - Zawisł nad nią i popatrzył na kształtne duże piersi. Potem pogłaskał kciukami pęczniejące grudki sutek, a one stwardniały jak kamyczki.

Louise znowu westchnęła.

- Jak mam się odprężyć, kiedy robisz... to, co robisz? - Wygięła plecy w łuk i podsunęła mu piersi do pieszczot, on jednak cofnął dłonie i pochylił nad nimi głowę. - Co ty...? Och, Max! Ojej! - Żar rozlał się po jej ciele; bezsilnie zatrzepotała rękami.

- Pst- odparł z uśmiechem, wysysając jej sutkę między wargi. Głośno nabrała powietrza i wsunęła palce w jego włosy. Gdy obwodził językiem czubek nabrzmiałej sutki, usłyszał, jak oddech Louise staje się urywany. Teraz nie mogła już wytrwać nieruchomo. Przesuwała dłonie po jego twarzy i ramionach, kołysała biodrami, próbując obrócić się ku niemu.

Gdy wydawało jej się, że za chwilę stanie się żywą pochodnią, Max pogłaskał ją po brzuchu i zaczął bawić się kędziorkami u zbiegu ud.

- Och! - Próbowała usiąść, ale jej nie pozwolił. Zaraz potem wrócił dłonią w to gorące, tajemnicze miejsce. - Och, Max, Max...

Pieścił ją, głaskał, pobudzał, doprowadzając prawie do omdlenia. Przestała okrywać ich kocami, przestała bronić się przed podbojami jego ust i dłoni.

Max odczuwał wielką radość z tego, że budzi jej ciało do życia, że odkrywa przed nią nowe, porażające doznania, a gdy przez chwilę daje jej odpocząć, całuje ją w usta, patrząc prosto w oczy pełne zdumienia.

- Pocałuję każdy skrawek twojego ciała - zapowiedział szeptem przy jej wargach.

- Każdy skrawek? - powtórzyła z niedowierzaniem i oblizała wargi. - Każdy... nie, nie rób tego.

Nie posłuchał jej jednak. Dotarł wszędzie, pokazał jej drogi, których dotąd nie znała, a gdy poczuł, jak drży i wykrzykuje jego imię, mocno ją przytulił i poczekał, aż bezwładnie znieruchomieje w jego ramionach.

- Mój Boże - szepnęła zachwycona. - Gdybym wiedziała, że tak można mitrzyćć czas, to nie miałabym nic przeciwko temu!

Ze śmiechem pocałował przełęcz między jej piersiami. Louise była tak wrażliwa i nieskrępowana, tak cudownie pragnęła go i dawała mu siebie.

- Max? - szepnęła, gdy odzyskała dech.

- Hm? - Prawie zasnął, rozkoszując się ciepłem jej ciała i miękkością włosów, którą wyczuwał policzkiem.

- Dzisiaj było... no, było... nigdy nie zgadłabym, że... - Zabrakło jej słów, a on uśmiechnął się, wtulając twarz w jej włosy. - Próbuję ci powiedzieć, że... no, że ja też chciałabym pocałować każdy skrawek twojego ciała.

Natychmiast odechciało mu się spania. Jej dłoń wsunęła się pod koce i zaczęła prowadzić badania. Znalazłszy jego najtwardszą część, Louise roześmiała się cicho.

- Zdaje się, że i ty nie masz nic przeciwko mitrężeniu czasu - powiedziała, zamykając dłoń. - Czy wiesz, jak miło cię dotykać?

Jęknął z rozkoszy.

- Jesteś zadziwiająca.

Dużo później, zanim jeszcze zasnęli spleceni ze sobą, Max zerknął w stronę okna i zauważył płatki śniegu topniejące na szybie.

Uśmiech znikł mu z twarzy.

scandalous

Max ofiarował się wydoić Missy przed karmieniem koni, więc Louise tylko zebrała jaja w kurniku i wróciła do domu. W komórce zdjęła starą grubą pelerynę męża, otrzepała ją ze śniegu i odwiesiła na kołek. Strząsnąwszy śnieg również z chusty, którą obwiązała włosy, chuchnęła parę razy w zmarznięte dłonie i poszła do kuchni zrobić śniadanie.

Tu było ciepło i pachniało parzoną kawą. Louise zdmuchnęła lampy, a potem stanęła przy oknie i zaczęła się przyglądać jaśniejącemu niebu, widocznemu wśród wirujących płatków śniegu, które leniwie opadały na ziemię. Większość śnieżynek była duża, przypominały Louise środki serwet, które Livvy i Gilly szydełkowały do nakrycia blatów i poręczy mebli.

Jeszcze poprzedniego dnia gruba czapa mokrego śniegu wydawała jej się malownicza, jak zawsze pierwszy śnieg. Dziś jednak z troską zmarszczyła czoło, widząc, że ślady jej stóp, biegnące od kurnika, szybko nikną pod nowym śniegiem, a śladów stóp Maksa, który poszedł do obory, w ogóle już nie ma. Poprzedniego dnia było jeszcze mogło znaleźć trawę, dziś pastwisko pokryła piętnastocentymetrowa warstwa śniegu. Oznaczało to, że muszą dać stadu paszę.

Louise zdawała sobie sprawę z tego, że wkrótce zajdzie taka konieczność, i już wczoraj nagotowała jedzenia na zapas. Upiekła też więcej chleba niż zwykle, toteż w spiżarni leżało kilka bochenków. Masła mieli pod dostatkiem. Można było szybko ugotować jajka i zjeść na przekąskę marynowane ogórki. Wprawdzie szynka mogła im się w końcu znudzić, Louise napiekła jej jednak tyle, żeby w razie potrzeby starczyło na kilka dni. W lodowni zaś schowała placki z rodzynkami i pudding waniliowy.

Gdy usłyszała Maksa, wchodzącego i czyszczącego buty w komórce, grube plastry szynki skwierczały na patelni, strzelał z nich tłuszcz, a podplomyki można było już wyjąć z piekarnika.

- Coś tu smakowicie pachnie.

Gdy wszedł do kuchni z wiadrem mleka, wciąż jeszcze miał płatki śniegu przyklejone do rzęs. Louise przyjrzała mu się, jak zbiera śmietanę i przekłada ją do kubka.

- Czy zdążę ogolić się przed śniadaniem?

- Podplomyki są gotowe. - Nie lubiła u mężczyzn brody, bo zakrywała zbyt dużą część twarzy. A wasy brudziły się podczas jedzenia i maskowały kształt górnej wargi. Wolała, gdy mężczyzna jest dobrze ogolony, bo wtedy widziała, z kim ma do czynienia. Ale Max ze świeżym zarostem na twarzy wydawał jej się dziwnie pociągający. Phi. Jeszcze niedawno nie uwierzyłaby, gdyby ktoś jej powiedział, że będzie się zastanawiała nad takim problemem. Nie lubiła się do tego przyznawać nawet przed sobą.

- Cholera!

- Co się stało? - spytał Max, ocierając śnieg z twarzy ścierką do naczyń. - Czyżbyś pożałowała, że zgłosiłaś się na ochotnika do karmienia bydła? Nie miałbym do ciebie pretensji, gdyby tak się stało.

Nawet nie wiedziała, że wymusnęło jej się to słowo.

- Coś ty, myślałam tylko o tym, jaka ze mnie głupia baba. Ale nie dlatego, że zgłosiłam się na kowboja. Siadaj, to ci nałożę jedzenie.

- Wiele można o tobie powiedzieć, kochanie, ale nie to, że jesteś głupią babą. Jeśli nie liczyć mamy, to w życiu nie spotkałem równie rozsądnej kobiety.

Ręka jej drgnęła, patelnia się przechyliła i podplomyki upadły na podłogę.

Niech to diabli. Powiedział do niej „kochanie”. To słowo przeszło mu przez usta tak lekko, jakby było tam od dawna i tylko czekało na tę chwilę.

- Sparzyłaś się? - Zerwał się od stołu, chwycił patelnię i włożył ją do zlewu.

- Zniszczyłam podplomyki. - Musiał się przejeździć. Wcale nie chciał zwrócić się do niej w ten sposób. Albo nie był to objaw czułości, tylko słowo jak każde inne. Prawdopodobnie do wielu osób Max zupełnie nieświadomie mówił „kochanie”, a ona nie zwróciła na to uwagi.

- Trochę kurzu nikomu nie zaszkodzi. - Gdy nadal stała jak skamieniała, schylił się, pozbierał podplomyki i włożył je do miski. Potem spojrział na Louise. - Pod fartuchem masz moje spodnie.

- Chyba nie sądziłeś, że zamierzam karmić bydło w spódnicy, co? - Nagle rozłościła się tak strasznie, że najchętniej grzmotnęłaby go patelnią po głowie. Z całej siły zacisnęła dłoń na rączce i wlepiła wzrok w Maksa, zastanawiając się, czy nie wprowadzić w czyn tego pomysłu.

Co ją w ogóle naszło, żeby roztkliwiać się nad jednym słowem? Wcale nie chciała myśleć o zaroście Maksa i nie chciała, żeby mówił do niej „kochanie”. Co to, to nie. Nie wolno jej utrudniać sobie nieuniknionego rozstania. Musi stąd odejść bez bólu, bez żalu, bez oglądania się za siebie. I bez rozdartego serca.

Wypuściła z ręki patelnię, zatrzasnęła piekarnik i zaczęła nakładać szynkę na talerze. Ziarna kukurydzy przyskały na podłogę, gdy nabierała je z patelni i sypała na szynkę, by obficie poleć czerwonym tłuszczem. Ani jedno ziółtko nie przetrwało w całości kontaktu z łyżką.

- Louise? - Max odsunął się nieco, gdy z trzaskiem postawiła przed nim talerz. - Co się stało? Co cię nagle ugryzło?

- Jedz i nie gadaj. I nie mów do mnie więcej „kochanie”. Nie żartuję.

Zamrugął ze zdziwienia.

- Powiedziałem do ciebie „kochanie”?

- Tak, i bardzo mi się to nie podoba!

Usiadł prosto i rozłożył serwetkę na kolanach.

- A kiedy doszło do tej karygodnej obrazy? W nocy?

Rumieniec zalał jej policzki. Ostatnie dwie noce były, hm, godne zapamiętania. Również co do nich Louise miała wątpliwości. Niepokoiło ją, że nagle wykonała w tył zwrot i zaczynała lubić posuwanie. I pocałunki. Nigdy nie podejrzewałyby, że pocałunki mogą robić na niej takie wrażenie.

- Nie w nocy. Powiedziałeś to przed chwilą. - Miała rację. Nawet o tym nie wiedział. Z drugiej strony to zmniejszało ciężar przewinienia. Ale skoro nie wiedział, że powiedział jej coś miłego, to jednak powinna czuć się urażona.

- Nie mówię, że nie masz prawa być zła i urażona. Ale wydaje mi się, że dość często używa się w stosunku do ludzi znacznie gorszych wyzwisk niż „kochanie”.

Gdy podniosła głowę, zauważyła błyski w jego oczach i uniesione kąciaki ust.

- Prawdę mówiąc, może nawet zniósłbym, gdybyś chciała tak się do mnie zwracać. Za pierwszym razem prawdopodobnie przeżyłbym wstrząs, może nawet się obraził. Ale potem na pewno by mi przeszło, doszedłbym do wniosku, że lepsze to niż na przykład „sukinsyn”.

Zmrużyła oczy i przyjrzała mu się nieufnie.

- Stoisz sobie ze mnie żarty, co?

Błyski w jego oczach stały się jeszcze bardziej figlarne.

- Jak śmiałym stroić sobie żarty z rozgniewanej kobiety?

Wielki Boże! Przecież właśnie to robił. Louise usiadła wygodniej na krześle. Nie przypominała sobie, by ktoś kiedyś się z nią przekomarzał.

- Kochanie - powiedział, z namaszczeniem przeciągając to słowo. - Dokończ śniadanie. Czas mija. Musimy wyjść na tę śnieżycę i przekonać się, czy popełniliśmy błąd w ocenie, czy naprawdę jesteśmy w stanie utrzymać to stado przy życiu przez zimę.

- Poradzimy sobie i basta - odburknęła Louise. W głowie miała zamęt. Już nie wiedziała, czy dalej jest zła, że powiedział do niej „kochanie”, czy też sprawia jej przyjemność, że się z nią przekomarza. Niech to diabli! Znowu zaczęła się mazać. - Jak będziemy to robić?

- Czy kiedyś przerzucałaś siano widłami?

- Widziałam, jak się to robi. Chcesz jeszcze kawy?

- Przyglądanie się i robienie czegoś to nie to samo. Owszem, proszę jeszcze kawy.

- To weź sobie i mnie przy okazji też nalej. - Dość rozczulania się nad nim i potulnego wchodzenia w rolę żony. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jakich złych przyzwyczajęń Max nabiera. Rozumiała jednak, że jeśli nie zdławi tego w zarodku, to wkrótce będzie mu czyścić buty i siodła. - Ile siana trzeba przerzucić?

Uniósł brwi i przesunął dłonią po policzku, poznaczonym śladami ospy, po czym nalał kawy do dwóch kubków.

- Najpierw trzeba w stodole załadować siano na sanie. Potem będziesz powozić saniami, a ja będę z nich spychał siano. Kiedy pozbędziemy się pierwszego ładunku, wrócimy po następny. Dziś wieczorem będziemy mądrzejsi niż teraz, ale sądzę, że trzeba zrobić pięć, sześć kursów, żeby zwierzęta miały paszę.

Louise uśmiechnęła się i wyraźnie odprężyła.

- To nie wydaje mi się zbyt trudne.

Była w błędzie.

Zanim zdążyła pozmywać po śniadaniu, ciepło się ubrać i dowlec pod stodołę, Max zaprzągnął już konie do sań i zaczął ładować na nie siano. Podobnie jak ona miał na głowie kapelusz, który przytrzymywała chustka zawiązana pod brodą. Zdjął jednak pelerynę. Po kilku minutach również Louise zrezygnowała z tego okrycia. Przerzucanie siana było ciężką pracą, szybko więc złała się potem. Dużo jeszcze brakowało do pełnego ładunku na saniach, a jej już się zdawało, że zaraz straci ręce. Tylko dumą i siłą woli zmuszała się do tego, by dalej machać widłami.

Gdy na saniach leżała wreszcie góra siana, zrobili chwilę przerwy na otarcie potu z czoła i złapanie tchu. Po niecałej minucie Louise poczuła, jak chłód przedostaje się przez jej koszulę i spodnie i przenika mokre od potu majtki.

W milczeniu włożyli peleryny, potem Louise ujęła wodze, a Max wskoczył na tył sań. Mrużąc oczy i starając się cokolwiek zobaczyć w gęstniejącej zamieci, Louise wyjechała na pastwisko za oborą i stodołami. Jechała powoli, żeby Max nie stracił równowagi podczas spychania siana.

Zaskoczyło ją, jak rozproszone jest stado. Sądziła, że przy takiej pogodzie zwierzęta zejda się razem. Tymczasem spotykali je to tu, to tam, po parę sztuk. Żadne zwierzę nie było na tyle sprytne, by podejść do sterty siana na saniach i po prostu się poczęstować. Nie, ktoś musiał podać temu bydłu paszę. Co gorsza, wcale nie było łatwo zauważyć zwierzęta, które miały śnieg na grzbietach. Dopóki się nie poruszyły, można było brać je za przysypane krzaki.

Drugim razem zatrzymali się przy wodopoju, żeby Max mógł roztluc lód przy brzegu i oczyścić dojście. Louise czekała, pilnując zaprzęgu. Dzielnie udawała, że nie jest jej zimno, ale bardzo chciała, żeby przestały jej omdlewać ramiona.

Po załadowaniu trzeciej porcji siana na sanie wszystkie ubrania miała dokładnie przemoczone. Ramiona i plecy bolały ją tak, jakby dostała tęgie lanie. Tym razem, gdy ujęła wodze i wyprowadziła zaprzęg na pastwisko, chłód wdarł jej się pod pelerynę, a warstewka lodu usztywniła koszulę.

Za piątym i szóstym razem głośno dzwoniła zębami, a ładowanie sań trwało coraz dłużej. Słyszała, jak Max klnie z tyłu, ale nawet się nie odwróciła. Sama też zmęła pod nosem kilka przekleństw.



Zupełnie nie rozumiała, dlaczego mąż tak się martwi, że w tym roku stado jest nieduże. Jej wydawało się, że liczy przynajmniej milion sztuk, a wszystkie są głodne i nie potrafią same zdobyć nic do jedzenia. W dodatku nie mają dość rozumu, by trzymać się blisko obory, gdzie można by je było łatwo znaleźć.

Gdy wreszcie skończyli pracę, było prawie południe. Pomogła Maksowi wyprząc konie i zostawiła go w stajni przy szczotkowaniu zwierząt zgrzebłem. Z pochyloną głową dobiegła do domu, wzięwszy po drodze naręcz drewna na opał.

Gdy Max wrócił do kuchni i opadł z jękiem na krzesło, w samej bieliźnie pochylała się nad gorącą kuchnią i oglądała bąble na dłoniach.

- Wiesz, jak to się mówi. Zabija nie praca, lecz zgryzota. - Wbiła wzrok w bąble na dłoniach. - Wyraźnie zaczęłam mięknać.

- Kto tak uważa?

- Ten, kto wymyśla przysłowia. Na wszystko jest jakieś krzepiące powiedzenie.

- Nie wiem, na kogo jestem bardziej zły, czy na Howarda Housera, czy na Shorty'ego Smitha. - Zamknął oczy i potarł szyję. - Nie trudź się przygotowaniem obiadu. Jestem za bardzo zmęczony, żeby jeść. Weźmy to, co zostało ze śniadania.

- Jeśli znajdziesz dość energii, żeby pokroić szynkę i chleb, to stopię trochę nowego tłuszczu. Boże wszechmogący, jak się cieszę, że już mamy to za sobą!

- Kochanie, czy wiesz, że zanim się ściemni, musimy nakarmić bydło drugi raz?

Jęknęła, a potem puściła barwną wiazankę, której nie powstydziliby się poganiacz mułów. Ale Max był zbyt zmęczony, by zaprotestować, a ona zbyt wykończona, by obrazić się za powiedzenie do niej „kochanie”.

Zjadłszy obiad w bieliźnie, siedzieli milcząco przy stole, grzejąc dłonie na kubkach z kawą, i z posepnymi minami wpatrywali się w śnieg, kłębiący się za oknem.

Czekała ich długa, ciężka zima.

W słoneczne dni Louise pytała z nadzieją w głosie, czy nadal trzeba wozić siano na pastwisko, jakby Max mógł jej ni stąd, ni zowąd powiedzieć, że bydło nie głodnieje, kiedy świeci słońce. Ale czy im się to podobało, czy nie, stado musiało pozostać na zaśnieżonym pastwisku do wiosny, a to znaczyło, że do tej pory nie będzie miało trawy i musi dostawać siano. Rano i po południu. Dzień w dzień.

Mordercze dni zlewały się w tygodnie, a jedynym celem życia stało się karmienie zwierząt. Karmienie koni, karmienie kurcząt, karmienie bydła. I siebie, bo też musieli jeść. Nie mieli czasu ani energii na nic innego. Wstawali i ubierali się przed świtem, a zaraz po pospiesznie zjedzonej kolacji kładli się tak zmęczeni, że często nawet nie mieli siły poczytać i w okamgnieniu zasypiali.

Oboje wykonywali tylko naprawdę niezbędne prace. Przestali codziennie wynosić gnój z obory, czego dawniej Shorty zawsze pilnował. Max jeździł sprawdzić ogrodzenie

pastwiska tylko w pobliżu domu i obory. Drewno rąbał na cały dzień, ale nigdy nie znajdował czasu, by zgromadzić również zapas polan na następny dzień.

Louise przygotowywała posiłki, a w przerwach prała to, co musiała. Domem całkiem przestała się zajmować, z jednym wyjątkiem. Codziennie po powrocie z karmienia była polerowała swoją srebrną łyżkę.

Z tej harówki mieli też drobny pożytek, Livvy zrozumiała bowiem, że nie ma czasu na rodzinne obiady. Max był za to matce wdzięczny, podejrzewał zresztą, że nie on jeden. Mimo to bardzo się starał raz w tygodniu odwiedzić matkę, sprawdzić, jak się czuje i czy nie ma kłopotów z kowbojami. Normalnie wszystkiego doglądałby Wally, ale ten jeździł codziennie do miasta, pracował bowiem w banku Howarda Housera.

Dwa razy Max widział Philadelphię, ale nie rozmawiali ze sobą. I za pierwszym, i za drugim razem, gdy wchodził do domu, siedziała z założonymi rękami w salonie i patrzyła, co dzieje się w sieni. Gdy krzyżowali spojrzenia, przypominał sobie, jak rzuciła mu się w ramiona po jego powrocie z Piney Creek.

Tego dnia, gdy wszedł do domu matki i zajrzał do salonu, Philadelphii tam nie było. Nie bardzo wiedział, czy mu ulżyło, czy raczej przeżył zawód. W każdym razie odwiesił pelerynę i kapelusz na kołek i poszedł do kuchni, gdzie matka czekała na niego z kawą i podpłomykami.

- Zjedz coś - powiedziała stanowczo, siadając naprzeciwko niego przy kuchennym stole. - Wiem, że kiedy tutaj przyjeżdżasz, nie masz czasu na obiad.

- Tylko napiję się kawy. Przekąsiłem coś z kowbojami w baraku. - Ilekroć wchodził do domu, zaczynał nasłuchiwać, czy z góry dobiegną odgłosy kroków. I próbował wyczuć zapach różanych płatków. - To się nigdy nie ułoży, jak trzeba, jeśli Philadelphia będzie się chować za każdym razem, gdy zauważy, że nadjeżdżam. Powiedz jej, że może spokojnie dalej gotować, prasować, szyc czy co tam zwykle robi w domu.

Livvy oparła ramiona na stole i spojrzała na niego z nieprzeniknioną miną.

- Philadelphia pojechała w odwiedziny do ojca - powiedziała w końcu. - Nawet dobrze się stało, bo mamy ze sobą do porozmawiania.

Znał ten ton.

- Czy powinienem raczej mieć w ręce szklaneczkę whisky, a nie kubek kawy?

- Rozmawiałam z Wallym. Potem nie byłam przekonana, czy powinnam ci o tym wspomnieć, i nadal nie wiem, czy dobrze robię...

- Dobrze robisz zawsze, kiedy opowiadasz mi o tym, co cię trapi. W tej rodzinie nigdy nie mieliśmy sekretów.

Livvy zaczęła bezmyślnie kręcić kubkiem na stole.

- Myślę, że coś jest nie w porządku z jej ciążą. Moim zdaniem, ona nie donosi tego dziecka.

Max głośno wypuścił powietrze z płuc.

- Dlaczego tak uważasz?

- Jest w połowie szóstego miesiąca, ale w ogóle tego po niej nie widać. Powiedziała, że kupi dzisiaj u pani Dame jakieś stroje dla przyszłych matek, ale w zasadzie jeszcze ich nie potrzebuje. To dziecko nie rozwija się tak, jak powinno.

Max wiedział o przebiegu ciąży mniej więcej tyle co wszyscy mężczyźni, czyli prawie nic.

- Uważasz, że powinna być grubsza?

Matka z rozdrażnieniem odgarnęła kosmyk włosów z czoła.

- Philadelphia twierdzi, że przybrała na wadze i dziwi się, że nie zauważam, jak rośnie jej brzuch. Uważa, że jest niezgrabna i całkiem straciła figurę, ale ja wcale tego nie widzę. Prawie błagałam ją, żeby poszła do doktora Pope'a, ale ona nie chce. Boi się, żeby ktoś nie zauważył, że spodziewa się dziecka, bo, jak dotąd, nikt w Fort Houser o tym nie wie. Przypuszczam, że doktor Pope zachowałby dyskrecję, jeśli jednak Philadelphia mu nie ufa, to, moim zdaniem, powinna jechać do Denver. Ale ona stanowczo odmawia również tego.

- Czy chcesz, żebym z nią porozmawiał?

- Niech Bóg broni! Nie wtrącaj się, Max. Mówię ci o tym tylko dlatego, że to jest twoje dziecko i masz prawo wiedzieć, że być może nie wszystko jest tak, jak powinno. Jeśli jednak ktoś ma jej przemówić do rozumu, to bez wątpienia mąż. Wally robi, co może, ale Philadelphia się uparła, więc tymczasem mu się nie udało.

Wally, a nie on. Max spuścił głowę i knykciami potarł czoło.

- Czy jej życie albo zdrowie jest w niebezpieczeństwie? - Nigdy nie wybaczyłby sobie, gdyby przez niego Philadelphię spotkało coś strasznego.

- To właśnie jest najgorsze. Nie wiem! Powinien ją obejrzeć doktor. Wydaje się zdrowa, ale coś na pewno jest nie tak.

Max podszedł do okna w kuchni i wyjrzał na dwór. Gniewnie zacisnął zęby. Najbardziej w tej chwili chciał jechać do miasta, znaleźć Philadelphię i zaprowadzić ją do doktora Pope'a. Jego by posłuchała.

- Nie, Max. Wiem, o czym myślisz, ale nie masz prawa się wtrącać - powiedziała cicho Livvy. - Wally albo ją przekona, albo nie. Tak czy owak sądzę, że Philadelphia jest zdrowa i wyjdzie z tego bez uszczerbku. - Po długim milczeniu wstała i sprawdziła coś w piekarniku. - Może nie powinnam była poruszać tego tematu.

- Nie, postąpiłaś słusznie.

- To jeszcze komplikuje sytuację. - Wróciła do stołu i znowu usiadła. - A skoro tak, to muszę z tobą porozmawiać jeszcze o czymś innym. Pewnie wiesz, że Wally próbował pertraktować z Howardem, ale on go zbył. Nie ma w okolicy kowboja, który mógłby u ciebie pracować i wydać choćby centa w mieście. Ale wielu ludzi przygląda się temu, co się dzieje na twoim ranczu.

To znaczy, że mu się nie zdawało, że w suche, pogodne dni przejeżdża obok jego domu więcej ludzi niż zwykle.

- A co to kogo obchodzi?

- Mniej więcej połowa miasteczka uważa, że to Louise namówiła cię do rzucenia Philadelphii, a ta uciekła z Wallym tobie na złość. Kiedy rozeszła się pogłoska, że możesz stracić stado, ludzie gadali, że macie z Louise to, na co zasłużyliście. Teraz zmieniają zdanie. Ci, którzy ją widzieli, jak kupuje w sklepie zapasy dla rancza, nie nazywają jej już uwodzicielką. Rozumieją, że jest uprzejmą, sensowną kobietą, która nie umiałaby flirtować nawet wtedy, gdyby brała lekcje flirtu. A kiedy ludzie przejeżdżają obok twojego rancza, żeby popatrzeć, jak ci się nie wiedzie, widzą, że urabiacie sobie ręce po łokcie, a bydlę jeszcze żyje. O tym też się mówi. I Howard w końcu będzie musiał się wycofać z szykanowania ciebie.

- Nie przed nadejściem wiosny.

- Pewnie nie - przyznała Livvy. - Ale w końcu się wycofa. Tymczasem Wally zapowiedział Howardowi, że razem z Dave'em będzie pomagał ci w niedziele, żeby Louise miała jeden wolny dzień od męskich prac. Howard się sprzeciwił, ale Wally przyparł go do muru, bo powiedział, że jesteś jego bratem i nie może być inaczej. Gilly i ja też będziemy przychodzić i pomagać Louise w gotowaniu, żeby w ciągu tygodnia miała lżej. To samo dotyczy prania, sprzątania i cerowania. I wszystkich prac gospodarskich. - O Philadelphii nie wspomniała ani słowem.

Max przeniósł ciężar ciała z palców nóg na pięty i z powrotem. Ręce wcisnął do kieszeni i natychmiast wyczuł tam znaczoną zieloną kulkę.

- Wally zamienił się ze mną na życie - powiedział cicho, wpatrując się w śnieżny krajobraz za oknem.

- I na dobre mu to wychodzi - dodała raźnie Livvy. - Znalazł swoje powołanie. Okazał się urodzonym bankierem. Kiedy wkłada rano ten biały wykrochmalony kołnierzyk, widzi w nim znak mocy, prestiżu i wpływów. Co ty byś widział, Max? Szybko zacząłbyś myśleć o tym kołnierzyku jak o pętli na szyję. Albo jak o smyczy.

- Kto wie?

- Myślę, że w głębi serca sam jesteś o tym przekonany. Bankier nie buduje domu parę kilometrów za miastem.

Zacisnął usta. Milczał.

- Zebrało nam się na szczerą rozmowę, więc powiem ci jeszcze jedno. - Livvy nabrała tchu. - Nie byłam uszczęśliwiona, gdy przywoziłeś do domu żonę, która nazywała się Low Down i chciała mieć nieślubne dziecko z byle kim.

Max nadal wyglądał przez okno i bawił się kulką. Osoba, o której wspomniała matka, wydawała mu się całkiem obca. Trudno było zobaczyć w tej ciężko pracującej, razem z nim przerzucającej siano kobiecie, tę samą, którą przed kilkoma miesiącami pojął za żonę.

- Dużo o tym myślałam - ciągnęła Livvy. - Nie znam nawet trzech kobiet, które zostałyby w miejscu, gdzie wybuchła epidemia ospy, nawet gdyby były tam potrzebne. I nie znam takich kobiet, które harowałyby jak Louise, wszystko jedno słońce czy zadymka. Bez niej, Max, straciłbyś to stado.

Skinał głową i zmarszczył czoło.

- Czytam ci w myślach. Ściskasz w kieszeni tę kulkę i myślisz sobie, że twojemu bydłu nic by nie groziło, gdyby nie Louise. Może masz rację. Ale dobrze się zastanów, synu. Kiedy patrzysz na tę kobietę, jak przerzuca siano niczym kowboj, widzisz to, co najważniejsze w jej charakterze. Zwróć też uwagę, gdybyśmy jeszcze kiedyś mieli obiad rodzinny podobny do tego ostatniego. Przypuszczam, że twoja Louise nie ma zwyczaju potulnie siedzieć, kiedy ktoś ją obraża. Wygląda na taką, co potrafi każdemu powiedzieć do słuchu. Ale w tamtą niedzielę bez słowa słuchała, jak Philadelphia się z niej naśmiewa i ją poniża. Zrobiła to z szacunku dla ciebie i twojej rodziny. W tym też przejawia się charakter. Może rzeczywiście sądzisz, że zamieniłeś się z Wallym na życia. Ale jeśli tak, to nie jesteś wobec siebie uczciwy. I nie przyjrzałeś się dobrze swojemu życiu. Wspomnisz moje słowa, Max. Któregoś dnia będziesz trzymał w palcach tę samą kulkę już niejako symbol wszystkiego, co straciłeś. Ona będzie złotem, po które pojechałeś do Piney Creek. Najcenniejszą rzeczą, jaką posiadasz. A mówię ci to dlatego, że nie wychowałam głupich synów.

- Może jednak wychowałeś - powiedział w końcu.

Rozumiał radę matki, wydawała mu się ona jednak zupełnie nierealna. Chwilami mógł zapomnieć, że Philadelphia nosi pod sercem jego dziecko i że nie on będzie je wychowywał. Ale w głębi duszy zawsze to wiedział. I zawsze, gdy dotykał Louise lub dobrze czuł się w jej towarzystwie, obawiał się ciężkich wyrzutów sumienia.

- Umieram z nudów i osamotnienia! Chcę wrócić do domu. Livvy składa moje chustki inaczej niż Pansy, a poza tym chce, żebym czuła się przy niej nikomu niepotrzebna i miała poczucie winy.

Ojciec odchylił się na krześle i przyjrzał, jak Philadelphia nerwowo chodzi tam i z powrotem przed jego biurkiem.

- Zamieszkaliście z Wallym na ranchu McCordów z bardzo ważnych powodów, które nadal są aktualne.

- Tam w ogóle nie ma co robić! Ile poszewek na poduszkę można ozdobić haftem? Ile głupich książek można przeczytać? Gdybyśmy przenieśli się do miasta, przynajmniej miałabym gości. Ale na to odludzie nikomu nie chce się przyjechać. - Spojrzała na ojca ze złością, nie przerywając spaceru po kantorku.

- Nie w odległości problem, moja droga. Może już zapomniałaś, ale jesteś ośrodkiem skandalu, który jeszcze się nasili, kiedy zaczniesz... - Dokończył to zdanie, zakreślając ręką wypukły łuk przy brzuchu.

- Mógłbyś nakłonić ludzi, żeby mnie odwiedzali, wiem, że mógłbyś. Przekonałeś ludzi, żeby ignorowali kowbojów Maksa, mógłbyś w ten sam sposób przekonać ich, żeby nie zamykali przede mną drzwi!

- Wiesz, Philadelphio, dawno już się czegoś nauczyłem. Wpływy towarzyskie są domeną kobiet. One zazdrośnie strzegą swojego terenu i nie tolerują wtrącania się w te sprawy. Najlepszym sposobem na zniszczenie banku byłoby wywarcie nacisku na klientów, żeby ich żony i córki zaczęły dokonywać towarzyskich wyborów według moich upodobań. Te same żony i córki zamieniłyby życie moich klientów w piekło na ziemi i w końcu przenieśliby swoje konta do banków w Denver, które nie dyktują ich kobietom list gości. A skoro mówimy na ten temat, to nie jesteś jedyną ofiarą skandalu. Bank też stracił z tego powodu kilku klientów. Niewielu, ale z pewnością będą następni, gdy rozejdzie się wiadomość o twojej ciąży.

Tupnęła nogą, żeby zwrócić ojcu uwagę, że odszedł od tematu. Przywołała też na pomoc łyzy.

- Nie masz pojęcia, co ja muszę tam znosić! Podśluchałam, jak pani McCord i jej beznadziejnie nudna córeczka rozmawiają na mój temat. Uważają, że jestem rozpuszczona i rozpieszczona. A to jeszcze nie wszystko. Nie uwierzysz, ale czasem odnoszę wrażenie, że one wolą towarzystwo tej wszetecznej osoby, która ukradła mi Maksa! - Spojrzała na ojca z napięciem. - I co? Czy naprawdę chcesz, żebym mieszkała u takich ludzi?

Pan Houser obszedł biurko, poklepał córkę po plecach i powiedział:

- Spokojnie, tylko spokojnie. - Ta próba pocieszenia doprowadziła ją do furii.

- Nie chcę słyszeć, że mam być spokojna. Chcę, żebyś to załatwił! Masz mnie zabrać z rancza!

- Nic się nie da zrobić, dopóki nie urodzisz dziecka. A o przyszłości porozmawiamy później. - Odsunął ją na wyciągnięcie ręki i ujął pod brodę. - A teraz wytrzymaj oczy. Twój mąż czeka, żeby wziąć cię na lancz.

W torebce z licznymi frędzelkami i ozdóbkami z koralików znalazła źle złożoną przez Livvy chusteczkę i parę razy dotknęła nią oczu. Ten posiłek w hotelu z Wallym sama wymyśliła. Był to wyraz jej dość mglistego przekonania, że musi wszystkim pokazać, jak dzielnie się trzyma. Miała nadzieję spotkać kilka dawnych przyjaciółek i obudzić w nich wstyd z powodu opuszczenia jej w potrzebie.

- Nawiasem mówiąc, Wally bardzo dobrze daje sobie radę - rzekł Howard Houser. - Wyjątkowo dobrze. Jest urodzonym bankierem. Zrozumiał w czym rzecz szybciej, niżbym się spodziewał. Prawdę mówiąc, pod wieloma względami przypomina mi mnie samego, kiedy byłem w jego wieku.



Philadelphia podniosła głowę i otworzyła usta ze zdumienia. Nawet jej się nie śniło, że Wally'emu tak dobrze pójdzie. Dlatego pochwała ojca dla męża i duma bijąca z jego głosu mocno ją zmieszały. Naturalnie cieszyła się, że Wally przerósł wszelkie oczekiwania. Ale nagle ujrzała oczami wyobraźni bardzo przykrą wizję przyszłości, w której ojciec rozmawia z Wallym o interesach, a ją ignoruje.

Pan Houser machinalnie poklepał ją po dłoni i odprowadził do drzwi.

- Z mojego punktu widzenia poślubiłaś właściwego człowieka. To jest prawdziwy bankier!

Spojrzała na niego wstrząśnięta. Z jej punktu widzenia Wally nie był właściwym człowiekiem. Ona chciała i już zawsze miała chcieć Maksa.

scandalous

Zima ciągnąca z północy traktowała wielkie równiny z dużą surowością. Zamiecie szalały nad pastwiskami tak często i gwałtownie, że dziwiło to nawet najstarszych mieszkańców. W grudniu temperatura spadła poniżej zera i utrzymywała się na tym poziomie przez trzy tygodnie.

Przed świtem w lodowato zimne dni Louise i Max siadywali przy kuchni, popijali kawę i z lękiem myśleli o chwili, gdy zrobi się jasno i będą musieli wyjść na dwór, by wśród zadymki wyszukiwać bydło. Wieczorami wiele razy na wpeł popychali, na wpeł nieśli przemarznięte zwierzęta do obory i usiłowali je ratować przed zamarzeniem na śmierć. Czasem im się to udawało, czasem nie. Zawsze i bez względu na wynik było to bardzo trudne.

Przez cały tydzień Louise z utęsknieniem wypatrywała niedzieli i przyjazdu rodziny. Tego dnia wkładała kobiecy strój i szykowała się na następny ciężki tydzień. Praca podzielona na więcej osób była łatwiejsza. W niedzielę miała czas na zrobienie masła, pranie, cerowanie i łatanie. Również w niedzielę sprzątała cały dom, zwykle z pomocą Sunshine, która biegła za nią ze ścierką do kurzu. Zanim wczesnym wieczorem mężczyźni wyruszali, by drugi raz nakarmić bydło, wszyscy siadali do wspólnego posiłku. Potem Gilly grała w salonie na pianinie, dostatecznie głośno, by umilić czas Livvy i Louise, które sprzątały kuchnię.

Nikt nie wspominał Philadelphii, chyba że akurat była mowa o tym, że ojciec przysłał po nią z miasta powóz. Louise przypuszczała, że normalnie Philadelphia zostaje sama w domu Livvy.

Prawdę mówiąc, Louise nie sądziła, żeby Philadelphia chciała złożyć wizytę w domu zbudowanym z myślą o niej człowiekowi, którego miała poślubić. Wszyscy byliby bardzo skrepowani jej obecnością. Nie ulegało jednak wątpliwości, że również odcinanie się Philadelphii od rodziny powoduje napięcie, wyczuwalne podczas niedzielnych spotkań.

- Ciociu Louise?

Sunshine zawołała ją już drugi raz.

- Przepraszam, myślałam o niebieskich migdałach.

- Mama ma dużo rzeczy na kominku, a ty tylko jedną łyżkę. Dlaczego nie postawisz tam nic więcej?

Skończyły odkurzać pianino i meble w salonie, więc teraz Louise czyściła swoją łyżkę. Lubiała czuć chłód i ciężar srebra w dłoni i lubiała je polerować, żeby móc ujrzeć swoje odbicie w lśniącej krzywiźnie.

- To jest najładniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek miałam, zupełnie wyjątkowa. A poza tym nie mam nic innego, co byłoby warte pokazania.

- Dlaczego ta łyżka jest wyjątkowa?
- Ja też chciałbym usłyszeć odpowiedź - odezwał się Max, stając w drzwiach.

Płatki śniegu pstrzyły mu ciemną czuprynę. Topniejący śnieg tkwił również na kołnierzyku koszuli, a policzki Maksa były wyszczypane przez mróz.

Louise znowu pomyślała, że w życiu nie widziała przystojniejszego mężczyzny. Wręcz zdumiewająca była dla niej myśl, że jest jej mężem. Nie mogła uwierzyć, że za kilka godzin razem położą się do łóżka i będą się cieszyć ciepłem swoich ciał. Spłonęła rumieńcem i uciekła przed nim wzrokiem, skupiając go na srebrnym sztuccu.

- Ta łyżka przypomina mi szkolny budynek, w którym mieliśmy szpital, i twojego wuja Maksa. Lubię na nią patrzeć i trzymać ją w ręce.

- Taką starą łyżkę? - Sunshine nie mogła tego zrozumieć.

Louise skinęła głową, unikając onieśmielającego spojrzenia Maksa.

- Dali mi ją w prezencie poszukiwacze złota z Piney Creek. Kiedy jestem bardzo zmęczona albo zła, kiedy czuję się samotna, wystarczy mi spojrzeć na tę łyżkę i już czuję się lepiej. - Louise podniosła głowę i odważyła się zerknąć na Maksa. - Ona przypomina mi czas, gdy raz w życiu zrobiłam coś dobrego.

Sunshine wybuchnęła śmiechem.

- Ty robisz dużo dobrego, ciociu Louise. Myślę, że zawsze tak robiłaś.
- Ja też tak myślę - cicho wtrącił Max, patrząc na żonę nad głową Sunshine.

Serce zabiło jej mocniej. Max miał nieprzenikloną minę, ale patrzył na nią tak, jakby wszystko mógł zobaczyć, jakby przenikliwe spojrzenie jego niebieskich oczu docierało tam, gdzie inni nie potrafią dotrzeć. Może zresztą po prostu naczytała się za dużo romantycznych historii w śpiewnikach.

- Oboje się mylicie - powiedziała stanowczo i czubkami palców dotknęła miejsca na szyi, gdzie mogła wyczuć swoje przyspieszone tętno. Gdyby nie było Sunshine, prawdopodobnie zaakcentowałaby to przekonanie jakimś grubym słowem. - Jestem złośliwa i samolubna. Poza tym również kłótniwa, uparta i samowolna. Dlatego nie przyczepiajcie mi aureoli. - Odstawiła łyżkę na gzyms kominka i jak zawsze cofnęła się, żeby popatrzeć na jej połysk. - Każdy swego patrzy, a o resztę nie dba. To jest zasada, według której żyję. Ale raz... - Głos jej zmiękł. - Raz zrobiłam coś dobrego. I jestem z tego dumna.

- Jesteś taka śmieszna, ciociu Louise. Nie idzie cioci we wszystko wierzyć, prawda, wujku Maksie?

- Nie można - machinalnie poprawiła ją Louise. - Nie „nie idzie”.

Max oparł się o framugę i dalej przyglądał się żonie onieśmielającym, przenikliwym wzrokiem.

- Mama mówi, że wie, jaka jesteś zapracowana, ale chciałaby spytać, czy nie znalazłabyś czasu, żeby zrobić paszteciki na Boże Narodzenie. Twierdzi, że twoje są najlepsze.

Tą prośbą Max wywołał na twarzy Louise uśmiech. W gotowaniu zrobiła wielkie postępy. Miała przecież do dyspozycji prawdziwą kuchnię i mogła jej codziennie używać.

- Znajdę trochę czasu.

- Och, jak ona jest samolubna, uparta i samowolna - powiedział Max do Sunshine. Znowu miał taką minę, jakby stroił sobie z niej żarty. - Zawsze dba tylko o swoje. Nie mogę jej namówić, żeby zrobiła cokolwiek dla rodziny albo dla kogoś potrzebującego.

- To nie ciocia Louise, tylko ciocia Philadelphia - powiedziała natychmiast Sunshine, promiennie się do nich uśmiechając. - A ja umiem zagrać nową melodię na pianinie. Chcecie posłuchać?

- Bardzo chętnie - odrzekła Louise i kasznęła. - Możesz grać mi swoje serenady, a ja tymczasem skończę wycierać kurze.

Max przyjrzał się, jak dziewczynka siada na stołku przy pianinie, potem zmarszczył czoło i stanął wyprostowany.

- Przyszedłem ci powiedzieć, że wróciliśmy z Dave'em i Wallym trochę się ogrzać, ale wychodzimy jeszcze raz. Jakiś kilometr na północ stąd widziałem krowę, zdaje się, że jest z nią nietęgo. Ściągnę ją tutaj, a Dave i Wally zajmą się tymczasem chorym bydlęciem w oborze.

Louise spojrzała w okno. Za szybą szalała zadymka. Podejrzewała, że jeśli burza szybko się nie skończy, goście będą musieli zostać do następnego dnia. Na wszelki wypadek przeliczyła w myślach pościel i spróbowała zdecydować, gdzie kto będzie spał. Mężczyźni mogli przenocować w baraku kowbojów. Kobiety będą się musiały zadowolić jedynym łóżkiem w całym domu. Gilly i Sunshine będą spały razem z nią, a dla Livvy zostanie prycza.

Gdyby było to prawdziwe małżeństwo i jej prawdziwy dom, powiedziała by Maksowi, że do przyszłej zimy musi umeblować dwie pozostałe sypialnie. Powinny być gotowe w takich niespodziewanych sytuacjach jak ta.

Maks zakasłał i skubnął kołnierzyk koszuli.

- Myślałem, że masz tę łyżkę od dawna. Nie wiedziałem, że dostałaś ją od chłopców w Piney Creek. - Odwrócił głowę i skupił wzrok na Sunshine, która była bez reszty skoncentrowana na wydobywaniu dźwięków z instrumentu. - Pamiętam szkołę i pierwszy raz, kiedy cię zobaczyłem. Myślałem, że żywcem spłonę, a ty przyłożyłaś mi wilgotną szmatę do czoła. Otworzyłem oczy i wydało mi się, że patrzę na anioła.

- Wykończonego anioła z pozlepianymi włosami, w brudnym ubraniu i prawdopodobnie z zaschniętymi rzygowinami na butach - dodała Louise z uśmiechem.

Wyciągnęła rękę w stronę kominka i dotknęła palcem łyżki. - A ja zobaczyłam cię pierwszy raz w saloonie Doveya Watsona, jak piłeś whisky ze Stonym Marksem.

- To dziwne. - Uniósł brwi. - Nie przypominam sobie, że bym cię widział, zanim zachorowałem.

- Nie było powodu, żebyś mnie zapamiętał. - Przechyliła głowę i zaczęła się zastanawiać, czy zadać pytanie, na które bardzo chciała poznać odpowiedź. - Max, powiedz mi, dlaczego zatrzymałeś tę zieloną kulkę?

Minęło wiele tygodni, nim zorientowała się, co mąż zawsze przekłada z jednych spodni do drugich i trzyma w kieszeni jak amulet. Bardzo jednak wątpiła, czy uważa zieloną kulkę za przedmiot przynoszący szczęście.

- Noszę ją, żeby pamiętać, jak szybko życie człowieka może się zmienić - powiedział w końcu. - Ma mi przypominać o tym, że trzeba się spodziewać najbardziej nieoczekiwanych kolei losu. To jest dla mnie symbol tego wszystkiego, co stało się ze mną, odkąd zachorowałem w Piney Creek.

Wolno skinęła głową i przeciągnęła po dłoni szmatą do odkurzenia.

- Właśnie tak myślałam.

Nie powiedział, że kulka przypomina mu o tymczasowości ich małżeństwa. Louise wyczuwała jednak, że to również jest jedna z funkcji tego przedmiotu. W końcu Max odzyska wolność.

- Czy podobała wam się moja nowa melodia? - spytała Sunshine, obracając się do nich na stołku.

- Bardzo. - Louise odłożyła ścierkę, żeby nagrodzić pianistkę brawami. - Mam nadzieję, że zagrasz mi to jeszcze raz.

Z kuchni dobiegł głos Wally'ego i Max wychylił się na korytarz, żeby odkrzyknąć, że zaraz przyjdzie.

- Uważaj na siebie na dworze - przestrzegła go cicho Louise.

Wolno przesunął wzrokiem po piersiach żony, potem jeszcze raz spojrzął jej w oczy. Louise poczuła, że jej serce znowu wyczynia dziwne harce.

- Wrócimy na kolację za mniej więcej godzinę.

Żadne z nich się nie poruszyło, póki nie rozległo się następne wołanie Wally'ego. Stali jak zaczarowani i wpatrywali się w swoje zmęczone twarze. Louise nie umiała zgadnąć, o czym myśli Max, ale ona myślała o zielonej kulce w jego kieszeni. Miał rację, że życie może się odmienić w jednej chwili. Ta kulka z wydrapanym krzyżykiem dała jej rodzinę i męża, którego zaczynała darzyć miłością.

Oczy jej zwilgotniały, więc odwróciła się, żeby Max tego nie zauważył. O Boże! Nie chciała pokochać ani jego, ani jego rodziny.

Z rozpaczą uświadomiła sobie, że przyszłość przyniesie jej jedynie ból rozstania. Czuła, że ta chwila się zbliża.

Najpierw jednak ból stał się udziałem Maksa. I nie był to ból zranionego serca, lecz złamanej ręki.

Wally i Dave przynieśli go do domu i posadzili na krawędzi kuchennego stołu, który Livvy w pośpiechu oczyściła z naczyń.

- Co się stało? - spytała, ostrożnie pomagając synowi zdjąć ciężkie okrycie.

- Ogrodzenie było za wysokie dla Marvy Lee - wyjaśnił Wally. - Będziemy teraz potrzebować dużo whisky.

- Jest pod zlewem - powiedziała Louise. Ktoś, Gilly, a może Sunshine, otworzył szatkę. Louise nie spuszczała wzroku z Maksa, który siedział z pobladłą twarzą i zaciśniętymi ustami, przytrzymując rękę przy ciele.

Wally wziął butelkę od Gilly, zębami wyciągnął korek i podał ją bratu.

- Gdyby śnieg nie był tak głęboki, Marva Lee złamałaby nogę i musielibyśmy ją zastrzelić. A Max miałby o wiele więcej połamanych kości niż teraz.

- Chciałeś przeskoczyć ogrodzenie? - Louise wytrzeszczyła na niego oczy. - W taką pogodę? Ty tępy sukin... - Przypomniała sobie o obecności Sunshine, więc ugryzła się w język. Ale cała poczerwieniała, tak bardzo chciała na niego ryknąć pełną pierśią. Dłonie zacisnęła w pięści.

- Miałem już mądrzejsze pomysły - przyznał Max. Pociągnął długi łyk z butelki i zamrugnął, patrząc na Livvy. - Nastawisz tę rękę, mamó?

Starsza pani rozłożyła ręce i cofnęła się o krok.

- Boże! Nigdy nie byłam dobra w udawaniu doktora, kiedy zachorowało któreś z moich dzieci. Wally, ty to zrób.

- Nie wiem, jak się nastawia złamaną rękę. Dave?

- Mogę spróbować - powiedział żałośnie mąż Gilly. Zdjął kapelusz, zawahał się, wreszcie podszedł do Maksa i podwinął mu rękaw do łokcia, żeby obejrzeć uszkodzenie. - Paskudne złamanie.

Louise zmarszczyła czoło.

- Nie jest najgorzej. Byłoby źle, gdyby kość przebiła skórę. Ale nie widzę, żeby coś mu wystawało. - Wszyscy w kuchni stali z oczekującymi minami. - Cholera, niech tam. Ja to nastawię. - Zakasała rękawy i zbliżyła się do męża. - Napij się jeszcze, kochany, bo będzie bolało jak wszyscy diabli.

- Czy dobrze słyszałem, że powiedziałaś „kochany”? Jestem obrażony. - Spojrzał jej w oczy i pociągnął długi łyk whisky.

- Pij tak szybko, jak tylko możesz. - Pochyliła się nad nim i obmacała złamanie palcami, głucha na syki i jęki wyrrywające się z ust Maksa. - Miałeś szczęście. Wally, będą potrzebne łubki. Sunshine, pomóż mamie przygotować temblak. Dave, ściągnij Maksa ze stołu i posadź go na tamtym, krześle.



- A ja co mam robić? - spytała Livvy.

- Możesz otworzyć drugą butelkę whisky i nalać wszystkim po szklaneczce, zaczynając ode mnie.

- Masz. - Max wcisnął jej butelkę do ręki. Wypiła duży łyk, i odczekała, aż ogarnie ją kojące ciepło. - Przepraszam, Louise. - Wiedziała, za co ją przeprasza. Pomyślała o bydle natychmiast po tym, jak Max wszedł do domu, przytrzymując uszkodzoną rękę. - Już po wszystkim. Parę tygodni ciężkiej pracy poszło na marne. Oddaj mi whisky.

Powinna przynajmniej kilka razy soczyście zakląć i zdrowo wygarnąć Maksowi, ale nie mogła sobie na to pozwolić, bo Sunshine wciąż była w kuchni. Dlatego obowiązywały pewne ograniczenia.

- Masz na... rąbane we łbie, kowboju. - Pochyliła się nad nim i spojrzała mu prosto w oczy. - Nie harowałam jak pies i nie odmrażałam sobie, przepraszam Sunshine, tyłka po to, żebyś teraz pozwolił tym, przepraszam Sunshine, cholernym bydlakom zamarznąć na śmierć albo paść z głodu. Teraz nie znajdziemy kupca na bydło, powinienesz to wiedzieć, ty zakuty łbie.

Max upił jeszcze jeden łyk whisky i znów wcisnął butelkę w dłoń Louise.

- Nie damy rady. Nie będę w stanie podnieść tych pieprzonych wideł do końca stycznia. Przepraszam, Sunshine.

- Nie idzie stracić tego bydła, Max. - Odrzuciła głowę do tyłu i przełknęła jeszcze trochę palącego płynu, po czym wsunęła butelkę w zdrową rękę męża. - Sama będę ładować sanie i spychać siano. Ty możesz powozić. Zresztą konie robią to właściwie same. Znają codzienną drogę. Ty musisz tylko siedzieć na saniach i trzymać wodze w zdrowej ręce.

Chór głosów wyraził sprzeciw, ale Louise spojrzała groźnie po obecnych, więc zamilkli.

- Słyszałam, co mówicie, i wiem, że to nie będzie łatwe. Nie mam pojęcia, jak to zrobię, ale zrobię. Dam sobie radę. Nie idzie stracić tego bydła - powtórzyła z uporem. - To jest za wysoka cena dla porządnego człowieka! A teraz połóż rękę na stole - zwróciła się do Maksa. - Musimy wreszcie zrobić z nią porządek.

Zerknęła na Livvy, która stanęła za starszym synem i powiedziała coś cicho do Dave'a i Wally'ego. Obaj zbliżyli się z ponurymi minami i zacisnęli mu ręce na ramionach.

Max spojrzał na Louise przymrużonymi oczami, przytknął butelkę do warg i wypił jeszcze jeden pokaźny łyk.

- Wygląda na to, że ty tu dowodzisz, więc na co czekasz? Nastawiaj.

- Zrobię to z prawdziwą przyjemnością, taka jestem na ciebie wściekła, że próbowałeś skoczyć przez ogrodzenie w środku burzy śnieżnej.

Ale wcale nie było jej przyjemnie. Livvy miała rację, że zadawanie bólu kochanej osobie jest bardzo, bardzo trudne. Dobrze, że przynajmniej Louise była silna i miała wprawę, bo wszystko potoczyło się szybko. Skinęła na Wally'ego, który z całej siły objął

ramię Maksa, i mocno pociągnęła za uszkodzoną kończynę. Za pierwszym razem jej się nie udało, ale przy drugiej próbie poczuła, że kości zaskoczyły tak, jak powinny. Max zwiotczał i bezwładnie zaczął się osuwać, ale Dave zdążył go złapać.

Za to za plecami Louise rozległ się łoskot padającego ciała.

- Mamo! - krzyknęła Sunshine.
- Daj mi łubki, Wally. Livvy, potrzebuję bandaży, żeby unieruchomić rękę.

Gdy Max miał już obandażowaną i unieruchomioną rękę, temblak i okład ze śniegu, Louise opadła na krzesło i przyłożyła do ust butelkę whisky.

- Lepiej przenocujcie u nas - powiedziała do gości. - Nie ma sensu jechać nocą w taką zamieć. - Zerknęła na Wally'ego i Dave'a. - Zanieście Maksa do baraku kowbojów, zanim się ocknie. Napalcie w kozie, żeby szybko zrobiło się ciepło. Jak trochę ochłone, to przyniesiemy wam coś do jedzenia.

Dave włożył płaszcz i rękawiczki, ale Wally ani drgnął. Wpatrywał się w nią tak, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

- Jestem ci winien przeprosiny - powiedział cicho.
- E, tam.
- On ma rację - wtrąciła Livvy, korkując butelki z whisky.

- Nie ma o czym mówić. - Louise domyśliła się, o co chodzi Wally'emu. Ktoś opowiedział Philadelphii o Low Down i jej bezwartościowym życiu. Wally prawdopodobnie usłyszał to wszystko od matki, ale ona nigdy nie zaczęłaby rozmawiać na ten temat z Philadelphia. Tego Louise była pewna. Mimo to Philadelphia dużo wiedziała.

- Nie jestem wobec ciebie w porządku, Louise. Ale może zrehabilituję się choć trochę, jeśli powiem, że nie zostaniesz sama w biedzie. - Tego wieczoru Wally bardzo przypominał Maksa. Był przystojny. I przyglądał jej się błękitnymi oczami. - Masz rodzinę. Jakoś to ułożymy. Pomożemy ci karmić bydło.

Ostatnie pół godziny było dla Louise bardzo wyczerpujące uczuciowo. Bez wątpienia dlatego łyzy cisnęły jej się do oczu i musiała ciągle mrugać, żeby nie popłynęły po policzkach.

- Nie jestem tak dumna ani tak głupia, żeby odrzucić propozycję pomocy. Dziękuję ci, Wally. I tobie też, Dave.

Miała rodzinę.

- Ciociu! Ty płaczesz.
- Nie idzie płakać, słoneczko. - Louise otarła oczy wierzchem dłoni i spojrzała na Wally'ego i Dave'a, którzy razem wzięli Maxa i wynosili go na dwór. - Lepiej zajmijmy się twoją mamą. - Gilly siedziała na podłodze, oparta o szafkę pod zlewem. Trzymała przy piersi szklaneczkę whisky i przyglądała się szwagierce ze zdumieniem i podziwem.

Louise parsknęła śmiechem. Pokręciła głową i szeroko rozrzuciła ręce.

- Co za głupi sukinsyn... przepraszam Sunshine. Żeby skakać przez ogrodzenie w zamieć! Co mu się, do diabła, zdawało? Czasem myślę, że mężczyznom Bóg dał tylko połowę rozumu. Czy któraś z nas zrobiłaby coś tak pioruńsko głupiego?

Livvy uśmiechnęła się, Gilly zachichotała, a potem wszystkie trzy zaczęły się zaśmiewać do łez. Nie potrafiłyby wyjaśnić, dlaczego się śmieją, za to potem poczuły się znacznie lepiej.

Dużo później, gdy Louise i Gilly jechały do baraku saniami załadowanymi żywnością, lodowaty wiatr smagał je po twarzach śniegiem i kryształkami lodu. Ale Louise nie było zimno. Rozgrzewało ją wspomnienie słów Wally'ego. Teraz miała rodzinę. Nie była już sama.

Nowy rozkład zajęć był daleki od ideału. Dave Weaver przyjeżdżał pomóc przy porannym karmieniu bydła grubo po świcie. A ponieważ dni były krótkie, Wally zjawiał się, gdy już było ciemno, bo po powrocie do domu musiał jeszcze zdjąć surdut i włożyć robocze ubranie. Max powoził saniami, a wieczorami trzymał pochodnię, żeby Louise i Wally widzieli, co robią. Gdy tak stał, raz po raz rozpamiętywał swój skok przez ogrodzenie. Szczerze mówiąc, nie był to z jego strony świadomy wybór. W ogóle nie zastanowił się nad tym, co robi. A teraz rodzina ponosiła koszty jego niefrasobliwości. Nikt zaś nie płacił większej ceny niż Louise.

Gdy akurat nie przerzucała siana i nie karmiła inwentarza na ranczu, to odgarniała śnieg z dróg do obory i kurnika, rąbała drewno na opał i doiła Missy. Rano pomagała Maksowi w ubieraniu, a wieczorem w rozbieraniu. Ostrzyła jego brzytwę i goliła go, jakby terminowała u cyrulika. Co więcej, ściągnęła do obory pół tuzina zmarzniętych krów, więc musiała je nacierać i dawać im ciepłą wodę do picia, żeby się rozgrzały, i w końcu jakoś tchnęła w nie więcej życia. Max dziwił się, że Louise nie pada ze zmęczenia, chociaż zapracowuje się dla niego na śmierć.

- A jakie mamy inne wyjście? Co się stało, to się nie odstanie - odpowiedziała mu, gdy o tym wspomniał. - Przestań narzekać. Lepiej naciesz się tym, że masz wolne.

Max zatrzasnął książkę i przekreślił głowę na poduszce, żeby spojrzeć na Louise. Światło lampy gładziło jej posiekane wiatrem policzki i odbijało się w warkoczu, który opadał na ramię tej przekłetej nocnej koszuli. Ale nawet w korzystnym, ciepłym świetle było u niej widać cienie pod zmęczonymi oczami.

- To śmieszne, ale nie mogę niczym się cieszyć, kiedy pracujesz ciężiej niż wielu mężczyzn.

- Nie jest tak źle - odparła i odłożyła śpiewnik. - Dajemy sobie radę. Nie przeszkadza mi, że mam więcej pracy niż zwykle.

- Ale mnie przeszkadza.

Gdy wracała do domu po nakarmieniu bydła i rozbiciu lodu na wodopoju, ręce tak jej drżały, że ledwie mogła utrzymać w dłoniach kubek z kawą. Najgorsze, że przed dwoma dniami temperatura spadła wieczorem do piętnastu stopni poniżej zera. Łzy złości zamarzały Louise na policzkach, zanim zdążyły spłynąć na podbródek. Max widział te małe kryształki lodu w świetle pochodni i zżymał się, że nic nie może zrobić.

- Wynagrodzę ci to wszystko - obiecał posepnie. - Przysięgam, Louise.

- Owszem, jest coś, co mógłbyś dla mnie zrobić. Chcę mieć dziecko, to pewne - powiedziała cicho i spojrzała na swe dłonie. - Ale skoro jesteś kaleką...

- Pani McCord! - oburzył się i usiadł prosto, a na zasepionej twarzy wykwitł mu uśmiech. - Niech mnie diabli, jeśli nie staje się pani uwodzicielką, za jaką uważa panią połowa Fort Houser.

Widząc charakterystyczny błysk w jego oczach, Louise całkiem zapomniała o zmęczeniu.

- Obawiam się, że do tego doszło. Stałam się rozwiązłą kobietą.

- Upadłam bez ratunku.

- I bez wstydu. Szkoda, że masz ramię na temblaku i nie możesz wykorzystać tego stanu.

- Ramię mam uszkodzone, kochanie, ale wszystko poza tym pracuje należycie.

Podobał mu się jej śmiech, gardłowy i swobodny.

- No, no - powiedziała, gdy trochę się uspokoiła.

- Możemy tak wszystko wymyślić, żeby mojemu ramieniu nic nie groziło.

Popatrzyła na niego z zaciekawieniem.

- Jeśli chcesz powiedzieć coś więcej na ten temat, to słucham.

- Mężczyzna nie zawsze musi być na górze.

- O! - Uniosła brwi i poważnie przemyślała jego słowa. - Phi, kto nie ryzykuje, ten nic nie ma. Możemy spróbować.

Teraz on się roześmiał. Louise była taka doświadczona w pewnych dziedzinach i taka niewinna w innych.

- Jeśli chcesz spróbować, mimo że jesteś tak zmęczona, to ja też chcę. - Prawdę mówiąc, jego ciało powiedziało to za niego już kilka minut temu. - Ale musisz sama zdjąć koszulę nocną. Łatwiej jest rozbić namiot w wietrzną noc niż ją z ciebie ściągnąć.

Pół godziny później Louise spała uśmiechnięta, z głową opartą o zdrowe ramię Maksa. Powinien był obrócić się i zdmuchnąć lampy, ale wiedział, jaka jest zmęczona, więc nie chciał jej zbudzić.

Wbrew temu, co powiedziała o sobie w dzień jego wypadku, miała mnóstwo zalet. Wiedział, że jeśli po tej strasznej zimie zostanie mu część stada, to tylko dzięki niej. Mało byłoby powiedzieć, że jest jej wdzięczny.

Nie pierwszy raz przyszło mu do głowy, że Louise jest podobna do jaja. Twarda skorupka z wierzchu, ale miękki środek. Złościła się, klęła i trzaskała garnkami w kuchni, kiedy była zła. Przybierała dumną pozę i wyzywała cały świat. Ale za to nie dąsała się, nie robiła min i nie próbowała nikim manipulować.

Max nie pamiętał też, by kiedykolwiek na coś narzekała. Miała zadziwiająca umiejętność godzenia się z wszystkim, co przynosił jej los, i znajdowania w tym dobrych stron.

Ale pod twardą skorupą kryła się wrażliwa kobieta, która nie umiała docenić swojej wartości. Inni robili to znacznie lepiej. Nawet Sunshine zauważyła, że Louise nie widzi siebie tak, jak powinna.

Teraz, w mroku zimowej nocy, naszły go nagle zdradzieckie myśli.

Philadelphia nigdy nie ofiarowałaby się, że pomoże mu ratować stado. Nijak nie umiał wyobrazić jej sobie przerzucającej widłami siano w temperaturze poniżej zera stopni, kiedy łzy same ciekną z oczu, ani takiej, która ze zmęczenia nie jest w stanie utrzymać kubka w pokrytych pęcherzami dłoniach.

Ona nie złożyłaby złamanej ręki. Gdyby została w jednym pokoju z rannym, bez wątplenia zemdłałaby tak samo jak Gilly. I nie pielęgnowałaby gromady mężczyzn leżących w zaimprovizowanym szpitalu, w którym cuchnie ropą i rzygowinami. Przeciwnie, byłaby wśród pierwszych, którzy uciekli, usłyszawszy tylko szept o epidemii.

Nie potrafił też wyobrazić sobie Philadelphii zrzucającej koszulę nocną i zapominającej o wstydzie. Ona zawsze pozostałaby skromną, delikatną damą, która znosi to, co się dzieje, i poddaje się temu, ale przez cały czas pamięta, że okazywanie radości i entuzjazmu w małżeńskiej sypialni jest wbrew jej godności i wyobrażeniu o sobie. Nie wiedział tego na pewno, podejrzewał jednak, że traktowałaby łożę jako narzędzie, mógłby liczyć na jej względy, gdyby chciała go nagrodzić albo coś u niego osiągnąć.

Marszcząc czoło, przyjrzał się mroźnemu wzorowi na szybie i przypomniał sobie, jak w dniu obiadu Philadelphia wyśmiewała Louise przed Sunshine, a potem przed całą rodziną. Przypomniał sobie niezliczone incydenty z nadąsaną miną, wystudiowanymi łzami, tupaniem nogą. O dziwo, nie pamiętał jednak, by kiedykolwiek razem się śmiali. Philadelphia miała swoje cele, on swoje, ale nie mieli takich, które byłyby wspólne.

Co, u diabła, skłoniło ich ku sobie?

Pochylił głowę i potarł dłonią czoło. Do pioruna. Jak mógł krytykować matkę swojego dziecka? Dlaczego dopuszczał się takiej niełojalności? Gdyby nie zielona kulka, to właśnie Philadelphia spałaby teraz obok niego. To on codziennie rano przypinałby do koszuli sztywno wykrochmalony kołnierzyk i jechał do miasta, do banku. Jeszcze niedawno był przekonany, że tego właśnie pragnie.

Ale zdradził Philadelfię przede wszystkim wtedy, gdy uśmiechnął się do Louise i mimo wyrzutów sumienia uświadomił sobie z zaskoczeniem, że mógłby ją pokochać. Gdy zrozumiał, że szanuje i podziwia tę niezwykłą kobietę i naprawdę lubi jej towarzystwo.

Szybko oddalił od siebie te myśli. Ten, kto kocha jedną kobietę, podczas gdy inna nosi jego dziecko pod sercem, jest skończonym sukinsynem. Na takiego człowieka szkoda nawet smoły i pierza.

Musiał też pamiętać, że Louise go zostawi, gdy tylko zajdzie w ciążę. Taka była między nimi umowa. Na razie metodą prób i błędów osiągnęli kompromisy i dzięki temu mogli żyć pod jednym dachem, a, jego zdaniem, nawet dobrze do siebie pasowali. Ale Louise nie dała mu żadnego znaku, który wskazywałby na to, że cokolwiek między nimi się zmieniło. To zaś oznaczało, że ich umowa nadal obowiązuje.

Zerknął na czubek głowy żony i jej policzek. Przyjrzał się spracowanej dłoni, leżącej na klatce piersiowej i poruszającej się w rytm oddechu. Kiedyś sądził, że gładkie, bielutkie dłonie z wypielegnowanymi paznokciami są piękne. Teraz nagle otworzyły mu się oczy na piękno posiniaczonych knykci, odcisków i nierówno obciętych paznokci.

Gdyby nie Philadelphia i dziecko, którego się spodziewa... Gdyby nie ustalili z Louise, że ich małżeństwo jest tylko tymczasowe...

Wiedział jednak, że nigdy się nie dowie, co wynikłoby z tego gdybania. Mógł szanować Louise i lubić jej towarzystwo, ale nie mógł sobie pozwolić na nic więcej. Przecież kilka miesięcy temu chciał się ożenić z zupełnie inną kobietą. I ta kobieta miała teraz urodzić jego dziecko.



- Jeszcze nie widziałem, żebyś była tak podekscytowana - powiedział Max, przeprosiwszy żonę, że nie może jej służyć ramieniem, gdy wchodzili na ganek domu Livvy. Jedną rękę miał na temblaku, a w drugiej trzymał płócienną torbę z podarkami.

- To moje pierwsze prawdziwe Boże Narodzenie - wyjaśniła Louise. - Dla ludzi nie mających rodziny święta znaczą niewiele. - Dawniej był to dla niej dzień jak każdy inny. Ale nie w tym roku. Na zaśnieżonych schodach ostrożnie podciągnęła rąbek spódnicy i spojrzała na męża roziskrzonymi oczami. - Och, Max. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę choinkę. Czy będą na niej świeczki?

Kiedyś zdawało jej się, że nie może mieć szczęśliwszego dnia niż ten, w którym poszukiwacze złota spalili budynek szkoły i urządzili przyjęcie na jej cześć. Ale noc w Belle Mark zaćmiła tamto wydarzenie. A teraz Louise była przekonana, że jej pierwszy wieczór wigilijny z prawdziwą rodziną będzie jeszcze wspanialszy.

Max uśmiechnął się do żony.

- Naturalnie, że będą świeczki. I inne ozdoby też. I łańcuchy z prażonej kukurydzy i suszonych żurawin. Napchamy się po uszy słynną pianką mamy i ciagutkami, które zawsze przynosi Gilly. Gilly zagra nam kolędy na pianinie, a my spróbujemy razem pośpiewać. Będziemy, rzecz jasna, za dużo jedli i pili i wrócimy do domu obładowani prezentami.

Louise słuchała tego z zapartym tchem, wreszcie wypuściła powietrze z płuc.

- Och, jak to wspaniale brzmi! Jeszcze lepiej, niż sobie wyobrażałam.

Przy drzwiach Max schylił głowę prawie tak, jakby się przed nią kłaniał.

- Przykro mi, że muszę cię prosić o zapukanie, ale...

Stanowczo przesadzał z okazywaniem troski, ale tego wieczoru wyjątkowo jej tym nie irytował, przeciwnie, Louise wydawało się, że jest to całkiem stosowne zachowanie. Chciała, żeby ten dzień był wyjątkowy pod każdym względem.

Zanim zapukała do drzwi, strzepnęła śnieg z ramion najlepszego płaszcza Maksa, po czym opuściła kaptur peleryny i energicznie się poruszyła, żeby oczyścić również swoje okrycie.

- No, no, czy nie wyglądamy wspaniale?!

Ależ Max był przystojny, kiedy zerkał na nią tymi błękitnymi oczami spod ronda łobuzersko przechylnego stetsona. Miał śnieżnobiałą koszulę, ciemny krawat i kamizelkę, włożył też swoje najlepsze wełniane spodnie i odświeżone buty.

Ona również wyglądała dużo bardziej elegancko niż zwykle. Gilly uszyła dla niej suknię z zielonej tafty. Metry materiału kłębiły się nad nowymi trzewikami, a turniurę zdobiła efektowna kokarda. Przy każdym poruszeniu zielona tafta pięknie szeleściła.

Pierwszy raz w życiu Louise miała suknię, która pasowała do jej sylwetki. Szła w niej na uroczystą kolację i miała przeżyć swoje pierwsze prawdziwe Boże Narodzenie. Była tym tak rozemocjonowana, że zadała sobie wyjątkowo dużo trudu, by ładnie wyglądać. Natarła twarz kremem i zanim upięła włosy w koronę, wyszczotkowała je do połysku. Nawet ucięła gałązkę ostrokrzewu i przypięła ją z tyłu głowy, żeby było bardziej świątecznie.

Drzwi się otworzyły i Livvy z promiennym uśmiechem złożyła im świąteczne życzenia.

- Właśnie mi się zdawało, że was słyszę. Chodźcie, chodźcie. - Czarny aksamit, który Max przywiózł z Denver, bardzo się przydał, powstała bowiem z niego elegancka suknia, przyozdobiona koronką. Na świąteczną kolację Livvy podkreśliła włosy i teraz węzeł z tyłu głowy unosił się na szpakowatych falach. Aż trudno było uwierzyć, że jeszcze poprzedniego dnia ta kobieta stała w kuchni Louise, owinięta poplamionym fartuchem, obierała ziemniaki i opowiadała przezabawną, choć dość śmiałą historię o byku, który dostał się do baraku kowbojów.

- Jak ślicznie wyglądasz! - zachwyciła się Louise.

- Ho, ho, ty też. - Livvy odwiesiła ich okrycia na kołki. - Obróć się, żebym mogła zobaczyć kokardę. O, dobrze. Gilly mogłaby zostać zawodową krawcową.

Z salonu wybiegła Sunshine i stanęła jak wryta.

- Ojej, ciocia Louise! - Szeroko otworzyła oczy. - Ciociu, jak pięknie wyglądasz!

Louise zbyła ten komplement śmiechem.

- Lepiej popatrz na siebie! To ty jesteś dzisiaj królową wieczoru. Obróć się, niech cię dobrze obejrzę.

Sunshine okręciła się na palcach, podskoczyły jej włosy i wstażki, zaszumiała czarna aksamitna spódnica.

- Mama naszyła mi na suknię ścinki twojej, widzisz? - Dotknęła kołnierzyka, żeby Louise zachwyciła się zielonym obszyciem jego końców.

- Pewnie wcale nie chcesz włożyć prezentów pod choinkę, co? - powiedział Max z uśmiechem.

- Właśnie, że chcę. Ale najpierw popatrzcie o, tam. Mamy jemiółę! Musisz pocałować ciocię Louise, a ja się przyjrę.

- Ja też - powiedziała Livvy i puściła oko do Sunshine.

- Tylko głupiec traci okazję do pocałowania ładnej kobiety. - Max objął Louise zdrowym ramieniem i szeroko się uśmiechnął. - Wygląda na to, że wpadliśmy w zasadzkę.

Louise ze śmiechem zarzuciła mu ręce na szyję, uważając, żeby nie przygnieść chorej ręki. Ale gdy zobaczyła minę Maksa, śmiech zamarł jej na ustach. Zaparło jej dech. Czegoś podobnego w jego oczach jeszcze nigdy nie widziała. Przyglądały jej się tak przenikliwie i z takim skupieniem, że ugięły się pod nią kolana.

- Masz piękne oczy - powiedział schrypniętym głosem. - Dziś wieczorem wydają się bardziej zielone niż orzechowe, tak zielone jak trawa na wiosnę.

- Wielkie nieba - szepnęła zaskoczona Louise. - Nie wiedziałam, że mam coś ładnego. - I jeszcze nie słyszała od Maksa takiego komplementu, chociaż wiedziała, że umie mówić miłe rzeczy. W każdym razie nie spodziewałaby się, że jej wygląd go do tego zachęci. Ho, ho. Do końca życia będzie pamiętała, że Max McCord porównał jej oczy do wiosennej trawy.

Przytuliła się do męża i spojrzała na jego usta. Nagle pożałowała, że nie są w tej chwili u siebie w domu, w sypialni.

Max musnął jej ciepłe wargi tak delikatnie i niezauważalnie, jakby z nią tylko igrał. Gdy otworzyła oczy, chłonał ją wzrokiem. Potem przesunął dłoń zdrowej ręki na jej plecy, przyciągnął żonę bliżej i pocałował jeszcze raz, tak namiętnie, jakby zapomniał, że mają widzów.

- O la la! - Pomruk Livvy niewątpliwie wyrażał żywe zainteresowanie, rozbawienie i aprobatę.

Sunshine klasnęła w dłonie i roześmiała się radośnie, po czym chwyciła Louise za rękę.

- Chodź, obejrzysz mój prezent dla ciebie. Zobaczymy, czy zgadniesz, co to jest. - Kipiała podnieceniem. - Na pewno nie zgadniesz!

Zanim Louise pozwoliła się odciągnąć do salonu, spytała Livvy:

- Czy pomóc ci w czymś przy kolacji?

- Wszystko gotowe. Jak zachce wam się czegoś chłodnego do picia i odpoczynku od szczebiotu pewnego diablaka, to zapraszam do kuchni. - Puściła oko do Maksa. - Musiałam wynieść te paszteciki, które wczoraj przywiozłeś, żeby zrobić miejsce dla Dave'a. Opanował całą spiżarnię i przygotowuje specjalny, świąteczny poncz. Czeka na ciebie i Wally'ego, żebyście dokonali oficjalnej degustacji.

Przed oddaniem się we władzę Sunshine Louise zdążyła jeszcze zerknąć na Maksa. Odpowiedział jej skupionym, prawie onieśmielającym spojrzeniem, takim samym jak przed chwilą. Nie wiedziała, o czym myśli, ale wyraz jego oczu przyprawił ją o dreszczyk.

A potem Max i Livvy odwrócili się ku schodom.

- Zastanawiam się, czy w ogóle zejść na dół! - Philadelphia pochyliła się do lustra nad toaletką i poruszyła loczką na czole, a potem zaczęła obracać głowę w lewo i prawo, by nasycić się grą światła w kolczykach z brylantami, które dostała w prezencie od ojca na poprzednie Boże Narodzenie. Nazajutrz, gdy pojedą z Wallym na świąteczny obiad do domu, spodziewała się dostać bransoletkę do kompletu. - Twoja matka uparła się na szynkę, chociaż wspomniałam, że wolałabym indyka.

- Zawsze w Wigilię jemy pieczoną szynkę.

Philadelphia spojrzała na jego odbicie w lustrze, zirytowana, że stoi przy oknie odwrócony do niej plecami. Co za cham.

- A moja rodzina zawsze je indyka. - Od rozmyślań o brylantach blisko było do pytania, czy Wally zwrócił jej ojcu pieniądze za obrączkę. Ale właściwie nie było to ważne. - Jestem przekonana, że twoja matka chce dobrze, ale co z tego? Szylnia?! - Przyjrzała się w lustrze pozie Wally'ego, próbując z niej odczytać, na ile zniesie krytykowanie swojej matki. Może wystarczy zasiał tu i tam ziarno zwątpienia.

Z drugiej strony Philadelphia była w dziwnym i dość buntowniczym nastroju. Nie wiedziała, czy jeszcze przed końcem tego arcynudnego wieczoru nie powie Wally'emu, co myśli o jego rodzinie.

Znowu pochyliła się do lustra i kilka razy przyszczypała sobie policzki, żeby nabrały koloru, a potem przesunęła palcem po jedwabnych różach, zdobiących dekolt sukni.

- Jeszcze nie podjęłam decyzji, czy zejść na dół. Chciała, żeby Max zobaczył ją w takiej pięknej kreacji jak dzisiejsza, ale przebywanie w tym samym pomieszczeniu co Low Down było, jej zdaniem, ciężką obrazą moralności. Obiecała sobie, że nigdy więcej do tego się nie zniży.

- Nalegam, żebyś zeszła na Wigilię.

Nalega? Uniosła brwi i obróciła się na stołeczku.

- Słucham? - odezwała się chłodno. - Czy dobrze słyszałam słowo „nalegam”?

- Po pierwsze wydaje mi się upokarzające, żebyś jadła wigilijną kolację sama na górze, a po drugie stanowczo musimy porozmawiać o twoim odcinaniu się od rodziny. Czasem zastanawiam się, czy w ogóle mam żonę.

- A ja czasem zastanawiam się, czy mam męża, bo ciągle jesteś poza domem! Wyjeżdżasz do miasta, zanim się zbudzę, a wracasz od Maksa, kiedy już kładę się spać, i zaraz wychodzisz do stodoły. W weekendy zostawiasz mnie samą i jak dzień długi siedzisz u Maksa!

Wreszcie Wally odwrócił się do żony, przez chwilę mierzył ją wzrokiem, a potem wziął z kominka polano i zapalił cygaro. Nie znosiła, kiedy Wally pali w jej pokoju. W końcu będzie musiała skończyć z subtelnymi napomknieniami i powiedzieć mu o tym wprost. Ale myśl o tym szalenie ją irytowała. Stanowczo wołała, kiedy ludzie odgadywali jej życzenia, zanim je wyraziła.

- Jeśli chcesz mnie widzieć w domu wieczorami i w weekendy, to wystarczy, że poprosisz ojca, żeby przestał się mścić i pozwolił Maksowi najać kowbojów. Ciebie posłucha.

- Powiedziałam ci już nie raz, lecz tuzin razy, że nie wtrącam się do interesów taty. - Nie podobał jej się sposób, w jaki Wally patrzył na nią przez kłęb dymu, unoszący się z tego ohydneho cygara. Zupełnie jakby wszystko było jej winą.

- Wobec tego nic się nie zmieni. Rozumiem, dlaczego nie chcesz jeździć ze mną w niedzielę do Maksa, kiedy wszyscy tam są. Ale musisz zrozumieć, że w ten sposób stawiasz się poza rodziną. Nie podoba mi się to i jestem pewien, że reszcie rodziny też nie.

Nie wierzyła własnym uszom.

- Już zapomniałaś, co mi zrobili twój brat i ta jego ladacznica? - Raptownie wstała, odwróciła się do niego profilem i wypchnęła brzuch do przodu. - Dobrze popatrz, Wally. - Pani Dame popuściła wszystkie możliwe szwy, ale i tak suknia robiła się coraz bardziej obcisła w talii.

- Niczego nie zapomniałem. Jak mógłbym zapomnieć, skoro bez przerwy przy mnie powtarzasz, jak niesprawiedliwie cię potraktowano.

Philadelphia wlepiła w męża zdumiony wzrok.

- Co cię, u licha, dzisiaj naszło? - Gdy zawodził rozsądek, zwykle mogła osiągnąć swoje płaczem. Zaczęła więc mrugać i w końcu na rzesach zaperliły jej się łzy. - Dlaczego mówisz mi takie straszne rzeczy? Dlaczego jest w tobie tyle nienawiści?

Normalnie w takiej sytuacji Wally próbował ją pocieszyć, ale tym razem, o dziwo, pozostał przy oknie. Sama musiała znaleźć chustkę do nosa, żeby obetrzeć oczy.

- Musi minąć dużo czasu, nim nasza sytuacja się unormuje i wszyscy poczują się swobodnie. Ale jeśli nie zrobimy dobrego początku, to w ogóle nic z tego nie będzie.

- Wcale nie masz na myśli nas, tylko mnie!

- Zgoda, mam na myśli ciebie. Twoje chowanie się w pokoju i uciekanie przed Maksem, kiedy tu przyjeżdża, nikomu nie ułatwia życia. Tylko przypomina nam o tym, jak niezręczna jest sytuacja.

Właśnie z tego powodu tak rzadko pozwalała Maksowi się widywać. Chciała, żeby przez cały czas pamiętał o „sytuacji”. Żeby zawsze myślał o niej z dręczącym poczuciem winy.

- Na jakie życie rodzinne możemy liczyć, jeśli odmawiasz przebywania w jednym pokoju z Louise? Trzeba z tym skończyć, Philadelphio. Wiem, że to nie jest dla ciebie łatwe, ale musisz pogodzić się z losem i postarać jak najlepiej wszystko ułożyć.

Na jej policzkach zapłonęły ogniste rumieńce.

- Low Down uczyła się manier w chlewie, ma wdzięk wieśniaczki i uwodzicielską siłę dziwki z domu rozpusty! To jest zwykła żdzira bez cienia zasad moralnych, bez krzty przyzwoitości. Nigdy, przenigdy nie spędzę ani minuty w jej obecności, jeśli nie będzie to absolutnie nieuniknione!

- Ona nazywa się Louise, nie Low Down. I nie jest dziwką! - Jeszcze nigdy nie odezwał się do żony tak ostro i nie spojrzał na nią tak lodowato.

Z zaskoczenia zapomniała o łzach.

- Mój Boże, bronisz tej... tej...

- Jest Wigilia. Wieczór ku czci miłości i rodziny. - Wally zmrużył oczy. - Oczekuję od ciebie, że zejdiesz razem ze mną na kolację i będziesz życzliwa dla wszystkich obecnych. Dotyczy to również mojego brata i jego żony.

- Wielkie nieba! - Wytrzeszczyła na niego oczy, bo przez głowę przemknęła jej straszna myśl. - Czyżbyś przypadkiem kupił prezenty dla niego i dla niej?

- Maksowi подарujemy skórzaną kamizelkę, a Louise parę ocieplanych rękawic.

- My? - Ze złości jej głos stał się nieprzyjemnie piskliwy. - Napisałeś na bilecikach, że to od nas obojga? Nie miałaś prawa! - Wściekle tupnęła nogą, ale to jej nie wystarczyło. Rozejrzała się gorączkowo, chwyciła porcelanową figurkę z biurka i cisnęła nią o podłogę. - Widzisz, co przez ciebie zrobiłam?! - Widok porcelanowych szczątków rozżalił ją całkiem szczerze. - Tak lubiłam tę tancerkę.

Wally wcale do niej nie podszedł i nawet nie zaofiarował się, że sklepi figurkę, więc zerknęła na niego przymrużonymi oczami. Niewiarygodne. Dalej stał odwrócony do niej plecami i wyglądał przez okno.

Zaciągnął się dymem z cygara i wydmuchnął go na swoje odbicie w szybie.

- Robi się późno. Posprzątaj po sobie, a potem zejdziemy na dół.

Philadephia poczuła, jak w gardle wzbiera jej wrzask wściekłości, jakoś się jednak opanowała. Musiała zrozumieć, co się dzieje.

Dlaczego Wally nagle zmienił front? Kiedy przestał łączyć się do niej jak szczeniak i zaczął dzielić uprzedzenia ze swoją rodziną?

Wszystkiemu musiał być winien bank. Wally nie ośmieliłby się odnosić do niej w ten sposób, gdyby obawiał się jej ojca albo sądził, że szczęście żony stanowi warunek jego lepszej przyszłości.

Bezwładnie usiadła na stołeczku przy toalecie. Ostatnio nie mogła spędzić z ojcem nawet dwóch kwadransów, żeby nie zaczynał pisać peanów na cześć zięcia. Wally miał głowę do finansów, a takt i żyłka dyplomatyczna czyniły go wymarzoną rozmówcą dla trudnych klientów. Nikt nie uczył się bankierskiego fachu tak szybko jak Wally McCord. Niedobrze jej się robiło od słuchania o osiągnięciach Wally'ego w banku. Zupełnie jakby to on był ulubionym synem ojca, a ona tylko tolerowaną córką.

Wielki Boże! Szerzej otworzyła oczy i zapatrzyła się w tył głowy męża. Na tym właśnie polegał problem. Biorąc ślub z Wallym, dała ojcu upragnionego syna.

Wprawdzie Wally dostał posadę w banku dzięki jej protekcji, ale szybko dowiedział swojej wartości i przez to wysoko awansował w oczach jej ojca.

Wstrząśnięta i chora z zazdrości, nogą wepchnęła szczątki figurynki pod łóżko.

Przede wszystkim musiała wytrzymać do końca tego wieczoru. A potem jeszcze dotrzeć do porodu i wydać na świat dziecko. Niestety, aż do tej pory była skazana na znoszenie niechcianego małżeństwa z niewłaściwym mężczyzną.

Ale gdy już urodzi dziecko i nie będzie dłużej potrzebowała tego judasza, który zajął jej miejsce w sercu ojca, stopniowo, krok po kroku, doprowadzi do końca niepożądanego małżeństwa i poślubi człowieka, którego zawsze pragnęła.



A co do Wally'ego McCorda, to dostał posadę w banku za jej sprawą, więc również za jej sprawą ją straci. W swoim czasie boleśnie się o tym przekona.

Bez słowa odepchnęła ramię męża i tak jakby był powietrzem, wyszła na korytarz. Właśnie podciągnęła spódnice i zaczęła schodzić do salonu, gdy w sieni pod jemiółą zobaczyła Maksa i „tamtą osobę”.

Maks trzymał dłoń na policzku Low Down i patrzył jej w oczy w taki sposób, jaki Philadelphia pamiętała z ich spotkań. Były w tym spojrzeniu czułość i żarzące się pragnienie. Głośno nabrała tchu i poczuła, jak burzy jej się krew w żyłach, a tymczasem Max przyciągnął „tamtą osobę” do siebie i pocałował tak, jakby Livvy i Sunshine nie patrzyły na nich z boku z bardzo zadowolonymi minami. Tak jakby Low Down była piękna, pociągającą kobietą, a nie ordynarną znajdą, która wdarła się tam, gdzie nie było dla niej miejsca i gdzie jej nie chciano.

Co takiego było w tej pospolitej słoniowatej babie, że Max tęsknie za nią patrzył, gdy szła za Sunshine do salonu? Dlaczego Wally bronił kogoś takiego? Zdezorientowana Philadelphia próbowała znaleźć odpowiedź na te pytania. Ale nie mogła wymyślić żadnego powodu, dla którego ktoś miałby zaszczyścić Low Down swoją uwagą.

„Tamtą osobą” miała posiekane od mrozu ręce i policzki, a włosy ułożone zwyczajnie i bardzo nieciekawie. Nie znała się na modzie ani na dobrych manierach. Przybyła tutaj nie wiadomo skąd, hołdowała wstrząsającym zasadom moralnym. Naprawdę nie było w niej nic pociągającego. Gdyby nie złapała Maksa w sidła, nigdy w życiu nie znalazłaby sobie mężczyzny.

Philadelphia zagotowała się ze złości, gdy Low Down odwróciła się na progu salonu i spojrzała na Maksa. Nawet głupiec zauważyłby, że tak patrzy zakochana kobieta. Te lśniące oczy, lekko zaróżowione policzki, te drżące kąciki ust.

Tylko z jednego nie zdawała sobie sprawy ta tępa istota. Że ona, Philadelphia, może odebrać jej Maksa szybciej, niż strzela się palcami. Przecież ktoś taki jak Low Down nie mógł Maksa ani trochę obchodzić. Owszem, przed rodziną musiał udawać, i to Philadelphia rozumiała. Ale to ją kochał, więc mogła go mieć na każde skinienie ręki. I wiedziała, że wkrótce będzie chciała go odzyskać.

Przylepiła promienny uśmiech do twarzy i zeszła ze schodów.

- Wesołych świąt! - zawołała wesoło.

Max zawsze lubił, gdy miała różne kaprysy. Drażnił się z nią, że jest awanturnica, wiedziała jednak, że jej brawura wydaje mu się urocza.

Nie zwracając uwagi na nieufne spojrzenie Livvy, z szelestem zeszła do sieni i zawijając różowymi, atłasowymi spódnicami, wystudiowanym ruchem błysnęła rąbkami koronkowej halki przed oczami Maksa. Potem wykonała obrót i stanęła z nim twarzą w twarz, ciągnąc za sobą smugę różanego zapachu.

Przesłała mu słodki uśmiech i zerknąwszy w górę, zauważyła to, co chciała.

- O, jemiola. Stoimy pod jemiola! - W jej głosie zabrzmiało niewypowiedziane wprost zaproszenie. Niech Max zauważy przekorny błysk w jej oczach, niech zrozumie, że padło wyzwanie.

Nie musiała się oglądać, by wyczuć oburzenie Livvy i wściekłość Wally'ego. Dobrze mu tak. Wally chciał, żeby zachowywała się naturalnie, żeby udawała, że nie ma sytuacji przez wielkie S. Chciał, żeby spotykała się z rodziną i nie uciekała przed Maksem. No, więc teraz ona wykorzysta to, co powiedział. Pocałunek z Maksem pod jemiola będzie karą dla Wally'ego, a dla Maksa przypomnieniem, jak wiele stracił. Gdyby dotknęła językiem jego warg, gdyby poważyla się na taką śmiałość, Max zrozumiałby, że jej pragnienie jest wciąż żywe, a ona wie, że on jej również pragnie.

Podeszła do niego, a gdy poczuła żar promieniujący od jego ciała, przystanęła, odchyliła głowę i zamknęła oczy. I wreszcie, wreszcie ciepłe ramię Maksa objęło ją. Pierwszy raz od tamtego straszego wieczoru, gdy ją zdradził.

- Kobieta nie może być sama pod jemiola - odezwał się Max i zrecznie obrócił ją do Wally'ego. - Braciszku, żona czeka na swój świąteczny pocałunek.

Puścił Philadelphię i odszedł. Niechybnie pękłaby ze złości, gdyby nie ulżyła jej trochę świadomość, że w głosie Maksa słyszała wyraźne napięcie. Chciał ją pocałować, ale bał się zaryzykować w obecności brata i matki.

Wally podszedł do niej i cmoknął ją chłodnymi wargami w policzek, po czym odwrócił się do matki. Philadelphii nic a nic nie obchodziło, że jest zły. Zasłużył sobie na karę. Potrząsnęła ufryzowanymi włosami i ruszyła za Maksem do salonu. Natychmiast zorientowała się jednak, że popełniła błąd.

„Tamta osoba” odwróciła się od choinki, którą podziwiała.

- Witaj, Philadelphio. Wesołych świąt.

Nie uśmiechnęła się, nie spuściła wzroku ani nie skłoniła głowy w powitalnym geście. W jej postawie i wyrazie twarzy nie było ani śladu poczucia niższości. Stała przed drzewkiem, mając obok siebie Sunshine, i wpatrywała się w Philadelphię z beznamiętnym zaciekawieniem, jak krowa czekająca na rzeź. Naturalnie Philadelphia była gotowa spełnić te oczekiwania.

Uniosła brew i zmierzyła krytycznym spojrzeniem suknię „tamtej osoby”.

- Ach, zieleń. Bardzo niewielu kobietom jest ładnie w zieleni - powiedziała do Sunshine. - Najczęściej cera wydaje się chorobliwie zielonkawa, tak jak to widać. - Z politowaniem uśmiechnęła się do Low Down. - Wielkie nieba! A co to za okropieństwo wisi pani z tyłu głowy? Czyżby wykopała to pani ze śniegu na podwórzu?

- Owszem.

Max otworzył usta, ale Philadelphia nie dopuściła go do słowa.

- To zabawne. Zastanawiam się co jeszcze pani wykopie. Gałęzie? Mokre zbutwiałe liście? - Gdyby nie była dobrze wychowana, wspomniałaby koński nawóz.

„Tamta osoba” zmrużyła oczy i przekrzywiła głowę, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią. Potem wyraźnie się odprężyła i ciepło uśmiechnęła do córeczki Gilly.

- Jak myślisz, Sunshine, co jeszcze wykopię? Końską podkowę mogłabym nosić jako bransoletkę. Albo jako tiarę. Gdybym znalazła kawałek sznurka, ozdobiłabym nim narzutkę albo gdyby był długi, użyłabym go jako paska.

Sunshine radośnie się roześmiała.

- A gdybyś znalazła martwego królika, miałabyś futrzany kołnierz.

- Myślę, że powinnyśmy pomóc twojej babci w kuchni. - Louise wyciągnęła rękę. - A gdybym znalazła krowi dzwonek, mogłabym go sobie zawiesić na szyi i wtedy zawsze wiedziałabyś, gdzie mnie szukać. - Na chwilę przystanęła przed Maksem i spojrzała mu w oczy, a potem obie z Sunshine wyszły z salonu, pochłonięte rozmową o skarbach, które można znaleźć na podwórzu.

- Louise nic ci nie zrobiła - zwrócił się cicho Max do Philadelphii. - Zostaw ją w spokoju.

- Rycerz broni Low Down. - Wypluła z siebie to imię tak, jakby było gorzkokwaśne.

- Odgrywaj się na tym, do kogo masz pretensje. Przecież to mną gardzisz, a nie Louise.

Philadelphii przyszło do głowy, że zostali sami pierwszy raz od dnia, gdy Max wyjechał do Piney Creek. Taka okazja mogła już się szybko nie nadarzyć, a tymczasem tracili ją na rozmowę o Low Down.

- Och, Max. Dobrze wiesz, że wcale tobą nie gardzę. - Opuściła dłonie na brzuch, celowo zwracając jego uwagę na swój stan. - Gdybym tylko... - Nie miała pojęcia, jak dokończyłaby to zdanie, w każdym razie przeszkodził jej Wally, który stanął w drzwiach.

Spojrzał na nią, a potem na brata.

- Dave czeka na nas z ponczem.

- Przepraszam cię. - Max skłonił przed szwagierką głowę i wyszedł z salonu.

Wally zmierzył żonę takim spojrzeniem, jakby podsłuchiwał wszystko, co mówiła, potem bez słowa odwrócił się na pięcie i wyszedł za Maksem.

I oto została w opustoszałym salonie, a wszyscy oprócz niej rozmawiali i śmiali się w kuchni. Jakież plebejskie było to ucztowanie w kuchni. Ordynarne i dobre dla prostaków. Poza tym niegrzecznie jest zostawić gościa samego. Tego wieczoru w goście dobrej woli zamierzała pozwolić się namówić do zagrania czegoś na pianinie, ale jak tu zabawiać ludzi, którzy ją obrażają? Nie ma mowy. W końcu Livvy zaprosiła rodzinę na kolację, naturalnie z szynką, i usiedli przy stole. Philadelphia odniosła wrażenie, że nikt tu nie dba o maniery. Biesiadnicy ze śmiechem przypominali sobie wieczór, w którym Max złamał rękę, dobrodusznie pokpiwali z niego i z Low Down. O zgrozo, była też mowa o jakimś byku, który wtargnął do baraku kowbojów Livvy. Dave i Max wymienili poglądy na wąsik zapuszczony przez Wally'ego za jej radą.

Tego wieczoru Low Down nie siedziała zawstydzona i milcząca jak ostatnim razem, gdy Philadelphia była zmuszona dzielić z nią stół. Dzisiaj „tamta osoba” plotła trzy po trzy niczym Sunshine. Oczy jej błyszczały, dużo się śmiała.

Powoli Philadelphia zaczęła rozumieć to, co Wally mówił do niej wcześniej. Low Down stała się członkiem rodziny, natomiast ona nie. Ta podstępna żmija zawłaszczyła sobie miejsce we wspólnej historii McCordów.

Przez całą kolację Low Down i Gilly gawędziły o szyciu i niezliczonych przymiarkach sukni z zielonej tafty. Potem „tamta osoba” przekomarzała się z Dave'em, wypominając mu jakiś epizod z zerwaną struną gitary. Jeszcze potem opowiedziała jakąś głupawą historyjkę o Wallym, spadającym z sań z sianem, i wszyscy zaczęli się pokładać ze śmiechu. Livvy wysławiała pod niebiosy paszteciki upieczone przez Low Down i przypominała „tamtej osobie”, że po pierwszym styczniu mają razem wybrać się do miasta.

Philadelphia była coraz bardziej wstrząśnięta. Jeśli ktoś królował na tym przyjęciu, to niewątpliwie Low Down.

Odebrało jej głos z wrażenia, więc przesiedziała w gniewnym milczeniu zapalanie świeczek na choince i rozdawanie prezentów. Ku jej obrzydzeniu Low Down omal nie popłakała się ze wzruszenia nad jakimś podobno ślicznym kamieniem, który dała jej Sunshine. Nad kamulcem, co za pomysł! I obiecała położyć ten kamulec na gzymsie kominka. Jak Max wytrzymał z tą kobietą? Philadelphia była doprawdy zażenowana. Gdy poczuła, że dłużej tej farsy nie zniesie, zepchnęła z kolan prezenty i wstała. Przyłożywszy jedną dłoń do brzucha, a drugą do skroni, przeprosiła McCordów.

- Jestem zmęczona i nie czuję się dobrze.

Wally w milczeniu odprowadził ją na górę, do drzwi pokoju.

- Czy chcesz, żebym ci coś przyniósł?

- Nie, nic. Jutro z samego rana chcę wyjechać.

U ojca będzie indyk na obiad i kilkoro gości spośród jego najbardziej zamożnych klientów. Będzie elegancka konwersacja na poziomie. Philadelphia spodziewała się też, że potem w rodzinnym salonie otworzy paczuszki z prezentami i znajdzie tam dużo lepsze rzeczy niż wełniana chusta i jakieś hafty.

- Czy podobała ci się kołyska, którą dla ciebie zrobiłem? - spytał Wally.

- Wiesz, ta kołyska właściwie nie jest dla mnie. Jest dla dziecka. Ale owszem, podoba mi się. - Dlaczego zdawało mu się, że powinien zachwycić ją jakiś mebel, w dodatku nie dla niej? W każdym razie przynajmniej wyjaśniło się, co Wally robił nocami w stodole po powrocie od Maksa.

- Dziękuję za kamizelki i spinki do mankietów. - Pochylił się i pocałował ją w czoło. Wargi miał teraz cieplejsze i czulsze niż wcześniej, pod jemiola.

Philadelphia popatrzyła, jak Wally wraca po schodach na dół, a potem weszła do swojej sypialni i zamknęła się na klucz. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła, była rozbita figurka. Tak okropnej Wigilii nie miała jeszcze nigdy.

Max delikatnie obudził Louise. Przysnęła mu na ramieniu, trzymając w objęciach stos prezentów.

- Jesteśmy w domu.

- Już? - Ziewnęła i sennie pokręciła głową.

- Jest po północy - odrzekł z uśmiechem. - Jeszcze chwila i będzie świt.

- I zamienię się z księżniczki w wieśniaczkę, zrzucając siano z sań - powiedziała ze śmiechem Louise. - Och, Max, dzisiaj wieczorem czułam się naprawdę jak księżniczka. To był najwspanialszy, najpiękniejszy i najdoskonalszy wieczór w moim życiu! Zadziwiające. Nie wiem, czy przez całe życie dostałam trzy prezenty, a w ostatnich miesiącach nagle rozsypał się worek. Najpierw tyle dostałam od chłopców w Piney Creek, a teraz od twojej rodziny. - Gwiazdy odbijały się w jej wilgotnych oczach. - Czy myślisz, że podarunki od nas wszystkim się podobały?

- Na pewno. Wiesz, zastanawiałem się... czy dostałaś prezent ode mnie?

Odwróciła twarz w stronę domu.

- Niczego nie oczekiwałam. Już sam ten wieczór wystarczył mi aż nadto. Nigdy go nie zapomnę.

- O, do diabła! Widocznie zapomniałem go wziąć do mamy. - Szeroko się uśmiechnął, widząc jej zdziwiony uśmiech. - Wejdz do domu, tam jest ciepło. Odprowadzę konie do stajni i za parę minut przyjdę.

- Mogę ci pomóc.

- Nie ma potrzeby. Udało mi się je zaprząć, to i wyprzać się uda. Tyle że to chwilę potrwa.

- Poczekam. Tymczasem mogę powoli obejrzeć każdy prezent z osobna i pomyśleć o osobie, która mi go dała.

- Louise? Dziękuję za książkę i za brzytwę. Zawsze chciałem mieć taką z rączką z kości słoniowej.

Twarz jej się rozpromieniła.

- Livvy podsunęła mi pomysł, więc kiedy zobaczyłam tę brzytwę, od razu wiedziałam, że ci się spodoba. A nauczycielka ze szkoły pomogła mi wybrać książkę. Też powiedziała, że ci się spodoba.

- Jestem tego pewien, bo czytałem już powieści Twaina. Rozpal ogień i zagrzej kawę. Wróć tak szybko, jak będę mógł.

Wiedział, że i on nigdy nie zapomni tego wieczoru. Patrząc na radość Louise, odczuwał dziwne klucie w sercu, niepodobne do niczego, co znał z własnych doświadczeń.

Jego rodzina chyba reagowała podobnie. Pamiętał wzruszone twarze matki i siostry. Nawet Dave i Wally ciepło się uśmiechali, widząc entuzjazm, z jakim Louise rozpakowywała prezenty. McCordowie dali jej piękną Wigilię. Jego bliscy nie byli z tych, którzy powiedzieliby Louise, że wszystko się zmieniło, więc teraz już ją szanują i podziwiają. Ale okazywali to im obojgu na setki drobnych sposobów. To Boże Narodzenie było dla niej.

Gdy wszedł do kuchni, zauważył, że Louise wyjęła z włosów gałązkę ostrokrzewu, wciąż jednak ma na sobie suknię z zielonej tafty, która pięknie akcentowała jej kobiecą figurę.

- Czy chciałbyś coś zjeść? Zachowałam dla nas trochę pasztecików.
- Boże, nie. Jestem taki pełny, że przez kilka dni nic nie włożę do ust.
- No, dobrze. - Oczy jej się zaśmiały. Naprawdę nie spotkał jeszcze nikogo z tak pięknymi i wyrazistymi oczami. - Daj mi więc mój prezent.

Max ze śmiechem wrócił do komórki, sięgnął na najwyższą półkę i spod sterty koców wyciągnął płaskie pudełko.

- Cóż to może być? - Usiadłszy, Louise zaczęła obracać pudełko w dłoniach, potrząsać nim przy uchu, wreszcie przesunęła dłońmi po wierzchu, jakby chciała wyczuć, co jest w środku.

Max przyniósł jej kubek kawy.

- Otwórz, bo oszaleję.
- Nie, muszę zgadnąć, co to jest. Myślę, że... że fartuch. Dobrze?
- Louise, otwórz to pudełko.

Wreszcie uniosła jeden róg i zerknęła do środka. Natychmiast wybuchnęła śmiechem.

- Ojej, koszula nocna!
- Cienka koszula nocna - powiedział, radośnie szczerząc zęby.
- Jaka piękna - szepnęła Louise. Wstała i przyłożyła sobie koszulę do ciała. - Ma prawdziwą koronkę przy kołnierzyku i przy mankietach! Widziałeś?

- Widziałem - odrzekł ze śmiechem Max. - A teraz usiądź z powrotem, bo będziemy mieli małą uroczystość.

Jeszcze raz poszedł do komórki, wyciągnął ze schowka tę przekłętą starą koszulę i podszedł z nią do kuchennej płyty.

- Zrobię z niej szmaty - powiedziała Louise.
- Nie będę ryzykował, że to coś znowu trafi do mojego łóżka. - Podniósł płytę i zaczął wciskać tę przekłętą koszulę do środka. I wciskał, i wciskał, i wciąż jeszcze mnóstwo wisiało na zewnątrz. A Louise śmiała się i dopingowała go do bardziej zażartej walki.

- A teraz - rzekł, gdy cała koszula zajęła się ogniem i mógł położyć płytę na miejscu - wzniesiemy toast.



Uniósł kubek z kawą, a Louise poszła za jego przykładem. - Precz ze starą koszulą, niech żyje nowa! - Zauważył, że żona patrzy na niego dziwnie wilgotnymi oczami. - Ale nie dzisiaj - dodał schrypniętym głosem.

- Nie - szepnęła. - Nie dzisiaj.

Przyszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. Tej nocy nie było Philadelphii, nie było dziecka, wyrzutów sumienia ani myśli o zdradzie. Tej nocy ich dom spowił czar, znaleźli się nagle w innym świecie niż ten, do którego mieli wrócić za kilka godzin. Noc należała tylko do nich. Mogli ofiarować sobie radość i czułość i dzielić się tym, co było najwspanialszym ze wspaniałych prezentów: sobą.

scandalous

- Najbardziej szkodzi pan mojej żonie i rodzinie.
- Więc teraz pan wie, co czuje człowiek, który musi przyglądać się cierpieniu kochanych ludzi.

Max stał z kapeluszem w dłoni przed masywnym biurkiem z wiśniowego drewna, za którym siedział Howard Houser. Gdyby szykany były skierowane tylko przeciwko niemu, żadna siła nie zmusiłaby go, by pojechać do banku i tak się upokorzyć.

Ale to Louise musiała codziennie rano i wieczorem pracować na dworze po ciemku i w mróz. To ona nie spała, zajmując się przemarzniętym bydłem. To Louise była tak zmęczona, że któregoś wieczoru wkrótce po nowym roku zasnęła przy kolacji.

Dave zaniedbywał swoje ranczo i rodzinę, żeby jej pomóc. Również Wally poświęcał wieczory na pracę w przenikliwym chłodzie.

- Jak można to skończyć? Czego pan ode mnie chce? Cokolwiek pan sobie życzy... - Max zapomniał na chwilę o swej dumie - ...jestem gotów to zrobić.

Howard odchylił się do tyłu i uśmiechnął, gdy jego wzrok padł na temblak Maksa.

- Nie można tego skończyć, póki pan nie zbankrutuje. Jeśli nawet utrzyma pan bydło przez zimę, to i tak nie ma to znaczenia, ponieważ na wiosnę nikt go nie kupi. A bez kupca nie będzie pan miał pieniędzy na spłatę hipoteki. W czerwcu przejmę ranczo. A pierwsze, co zrobię na tym terenie, to spalę do szczętu dom i oborę.

Max wolno skinął głową. Spodziewał się czegoś takiego po Houserze, ale dla dobra Louise i rodziny musiał spróbować z nim porozmawiać.

- Dla jasności, McCord. Kiedy teraz o tym myślę, nie winię pana całkowicie za poślubienie tej kobiety. Nie zgadzam się z pańskim wyborem co do udziału w losowaniu, ale rozumiem, co panem kierowało. Natomiast doprowadzę pana do bankructwa za to, że uwiódł pan niewinną młodą kobietę i zniszczył jej życie. Splamił pan jej dobre imię i wywołał skandal wokół jej osoby. W tej chwili moja córka jest więźniem w domu pańskiej matki. Ostatnio była w mieście na Boże Narodzenie. I na razie już tu nie przyjedzie, bo słusznie uważa, że ludzie zauważą jej stan. Ridley, mój człowiek, donosi mi, że już zaczęły się szeptki. Może powiedzieli coś kowboje pana matki, może niedyskretna była pani Dame, krawcowa. Nieważne. Prędzej czy później stan mojej córki zostanie zauważony i zacznie być tematem rozmów. Gdyby prawo na to pozwalało, zabiłbym pana za odebranie jej niewinności i zniweczenie nadziei. Zastrzeliłbym jak psa za zhańbienie nazwiska Houserów. Ale ponieważ prawo mi na to nie pozwala, muszę się zadowolić doprowadzeniem pana do bankructwa. I tak będzie. A teraz niech się pan stąd wynosi.

Gdy Max szedł przez salę, w której były kasy, Wally podniósł głowę znad równo ułożonej sterty papierów. Zaczął wstawać z krzesła, ale jego brat pokręcił głową i dalej

szedł do drzwi. Nie było o czym rozmawiać. Obaj z góry wiedzieli, że proszenie Housera nic nie da.

Zanim Max pchnął ciężkie oszklone drzwi prowadzące na zewnątrz, rozejrzał się jeszcze po sali. Przed kasami czekała krótka kolejka klientów, ale ich ciche głosy nie zakłócały atmosfery powagi i dostojeństwa. A choć na ulicę wychodziły wysokie okna, do środka sączyło się bardzo niewiele światła, więc pomieszczenie było mroczne i ponure.

A jemu kiedyś się zdawało, że chce tutaj spędzać całe dnie.

Gdy Wally wstał, Max wlepił w niego wzrok, tak jakby przyglądał się obcemu człowiekowi ubranemu w bardzo oficjalny strój. Zwrócił uwagę na złoty łańcuszek, biegnący w poprzek kamizelki, dokładnie taki sam jak łańcuszek noszony przez Howarda Housera i stanowiący prezent właśnie od niego. Max przypomniał sobie otarcie na szyi Wally'ego spowodowane noszeniem sztywnego, krochmalonego kołnierzyka. Przyjrzał się fircykowatemu, ciemnemu wąsikowi, do zapuszczenia którego namówiła Wally'ego Philadelphia.

I nagle zobaczył, jak mógłby sam wyglądać po zmianach, na które przystałby dla dogodzenia kobiecie. Smutny fircyk w niewygodnym ubraniu i okropnych butach, noszący żaloszny wąsik.

Musiał zrobić bardzo kwaśną minę, bo Wally spłonął rumieńcem i natychmiast się odwrócił. Max postanowił przeprosić brata, gdy ten przyjdzie wieczorem pomóc Louise. Powie mu, że posadę w banku dostał właściwy człowiek. Że jest szczerze dumny z jego sukcesu i życzy mu wszystkiego najlepszego. I w milczeniu podziękuje Bogu za to, że nie spędza dni w tej dusznej, zatechłej licznarni pieniędzy.

Znalazłszy się na dworze, głęboko odetchnął świeżym powietrzem i mocno nacisnął kapelusz na głowę, a potem włożył rękę do kieszeni i ujął zieloną kulkę. Wkrótce siedział na grzbiecie Marvy Lee i mijał ostatnie zabudowania miasteczka.

Codziennie ćwiczył złamaną rękę i miał w niej coraz więcej siły. Wiedział, że gdy wróci do pracy, nie ulży Louise, ale przynajmniej będzie mógł odciążyć Wally'ego i Dave'a.

W ostatnim czasie codziennie o trzeciej po południu Livvy zwykła podawać w salonie herbatę z grzankami. Philadelphia nie miała pojęcia, skąd ten pomysł teściowej, ale wbrew sobie była jej głęboko wdzięczna za coś, co urozmaica długi, nużący dzień. Czasem przyjeżdżały również Gilly z Sunshine, częściej jednak siadały przy herbacie tylko one we dwie, tak jak tego dnia.

- Czy dobrze się czujesz? - spytała Livvy, przyglądając się synowej.

Philadelphia uważała, że matka Maksa jest apodyktyczna i niesympatyczna, ale chwilami mimo wszystko do zniesienia. Na przykład troszczyła się o jej zdrowie, co niby było męczące, ale miłe.

- Doprawdy, nie ma się czym tak przejmować. Bola mnie plecy i trudno mi znaleźć wygodną pozycję do spania, ale poza tym czuję się dobrze.

- Wiem, że jesteś znużona słuchaniem tego, co ci powiem, ale chciałabym, żebyś poszła do doktora.

Znowu to samo. Philadelphia uzbroiła się w cierpliwość i jeszcze raz wyjaśniła teściowej, co o tym sądzi.

- Po pierwsze, nie zniosłabym badania przez mężczyznę. Po drugie, nie ufam dyskrecji doktora Pope'a. A po trzecie, nie chcę się pokazywać w mieście, żeby nie zauważono mojego stanu.

- Bardzo się martwię o ciebie i dziecko.

Philadelphia pochyliła głowę nad filiżanką, żeby ukryć irytację. Teściowa rzadko miała czas poczytać, więc nie mogły rozmawiać o literaturze. Szyć umiała, ale nie zajmowała się haftem. Nie lubiła malowania na porcelanie, a w dodatku miały niewiele wspólnych znajomych. Trudno było im rozmawiać o czymkolwiek oprócz dziecka.

- Zapewniam cię, że jestem całkiem silna i dobrze się czuję. - Philadelphia gorączkowo szukała wspólnego tematu, który mogłaby poruszyć, ale nie znalazła.

- Kłopot w tym, że brakuje ci doświadczenia. - Livvy zmarszczyła brwi i przechyliła głowę na bok. - Masz rodzić za mniej więcej sześć tygodni, ale wyglądasz tak, jakbyś była jeszcze dwa, trzy miesiące przed porodem. Dlatego tak się martwię.

Sześć tygodni? Philadelphia wylała herbatę na spodeczek, gdy zaczęła liczyć w myślach. Nie znosiła swojego stanu, więc starała się go nie przyjmować do wiadomości, dlatego rzadko zastanawiała się nad porodem bądź jego datą. Wiedziała, że to śmieszne, ale w głębi duszy żywiła nadzieję, że jeśli nie będzie zauważać swojego rosnącego brzucha, to ciąża zniknie.

- Nie chcę cię straszyć - ciągnęła z wahaniem Livvy - ale muszę ci powiedzieć, że czasem pierwsza ciąża nie kończy się tak szczęśliwie, jak chciałaby matka.

Philadelphia uniosła brwi.

- Zanim urodził się Max, straciłam dwoje dzieci - mówiła dalej teściowa. - I za każdym razem podejrzewałam, że coś jest nie w porządku, bo za późno musiałam poszerzać ubrania i miałam za mały brzuch, tak samo jak teraz ty. Okazało się, że dzieci były słabiutkie i bardzo małe. Jedno i drugie umarło wkrótce po porodzie.

Philadelphia nie miała pojęcia, co powiedzieć.

- Przykro mi.

- Mówię o tym tylko dlatego, że z pewnością martwisz się nie mniej niż ja. Może przeżyjesz to łatwiej, jeśli będziesz przygotowana na wszelkie możliwości. Przyszło mi do głowy, że dręczą cię różne pytania, z którymi nie masz się do kogo zwrócić. Przepraszam, że wcześniej o tym nie pomyślałam. Pytaj, jeśli chcesz, postaram się odpowiedzieć tak szczerze, jak umiem.

- Owszem, mam pytanie... Czy dzieci zawsze przychodzą na świat w spodziewanym terminie?

Livvy rozplotła dłonie i naląła im jeszcze po filiżance herbaty.

- Nie zawsze. Zwłaszcza pierwsze dzieci często rodzą się za wcześnie.

- Ale później nie?

- Gilly urodziła się dziesięć dni później, niż mi się zdawało, że powinna. - Livvy uśmiechnęła się. - Akuszerka powiedziała, że to prawie rekord. Ale pamiętała też poród, kiedy dziecko było przenoszone dwa tygodnie. W każdym razie to się zdarza rzadko.

- Rozumiem. Ile czasu trzeba, żeby odzyskać normalne kształty?

- Z każdym kolejnym dzieckiem potrzebowałam na to mniej czasu. Pewnie dlatego, że byłam coraz bardziej zajęta. - Livvy wbiła wzrok w punkt w przestrzeni i uśmiechnęła się do swoich wspomnień. - Wtedy nie było nas stać na pomoc. Rodziłam dzieci, a trzy dni później byłam już na nogach i normalnie pracowałam.

Philadelphia zadrżała.

- Słyszałam, że matka powinna leżeć w łóżku przynajmniej dwa tygodnie.

- Tak jest najlepiej. I tak powinnaś planować. Na szczęście masz do pomocy mnie i Gilly, póki razem z Wallym nie zamieszkacie w nowym domu.

- Nie mogę się tego doczekać! - Philadelphia uświadomiła sobie jednak, jak obraźliwie zabrzmiał ten okrzyk, więc uśmiechnęła się i bagatelizująco skinęła dłonią. - Nie chcemy ci się narzucać dłużej niż to konieczne. - Była to jedna z takich chwil, gdy podejrzewała, że Livvy świetnie zna jej myśli, ale było jej wszystko jedno. Naprawdę chciała jak najszybciej się wynieść z tego rancza.

Po herbacie wróciła do swojego pokoju, usiadła przy kominku i zaczęła przyglądać się kołysce, stojącej pod ścianą. Sześć tygodni.

Wkrótce będzie musiała porozmawiać z Wallym i ojcem o domu w mieście. Jeśli ojciec nie chce skazać się na niewygodę mieszkania pod jednym dachem z małym dzieckiem, to powinien coś dla nich wynająć, zanim postawią swój własny dom.

Wally, naturalnie, zgłosi sprzeciw. Wspominał już kilka razy o tym, jak to im się udało, że mogą liczyć na pomoc matki przy niemowlęciu. Philadelphia postanowiła jednak obstawać przy wynajęciu piastunki. Wally powie wtedy, że muszą mieszkać tutaj, na tym odludziu, żeby doglądać swojej ziemi i ziemi jego matki. Ale ona zwróci mu uwagę, że on i Livvy mają wspólnego rządcę. Poza tym, gdyby taki nadzór nie wystarczał, Wally zawsze mógł liczyć również na Maksa. Przecież brat był mu coś winien za te wieczorne jazdy na jego ranczo.

Problem polegał na tym, że nie sposób było przewidzieć, czy Wally postąpi zgodnie z jej życzeniem. Początkowo sądziła, że łatwo będzie nim sterować, okazało się jednak, że nie zawsze. Niekiedy upierał się przy swoim i stawał się głuchy na jej słowa. Pierwszy raz

zdarzyło się to wtedy, gdy postanowił pomóc Maksowi i Low Down w karmieniu bydła. A potem w Wigilię, kiedy zmusił ją do zejścia na dół.

Jego krnąbrność doprowadzała Philadelphię do furii. Czasem nawet zdawało jej się, że nienawidzi Wally'ego. Ale z drugiej strony dzięki temu napotykała wyzwania, które musiała podjąć, podobnie jak było za czasów Maksa.

Odchyliła głowę na oparcie krzesła i zamknęła oczy. Nie mogła pojąć, dlaczego wbrew wszelkiej logice nadal pociąga ją Max, jedyny człowiek, którego nie potrafiła sobie owinąć wokół palca. I dlaczego los skazał ją na innego, który jednak był ulepiony z podobnej gliny co Max. W całym kraju było tylko dwóch mężczyzn, którzy ośmielili się powiedzieć jej „nie”. W jednym była zakochana, a drugi był jej mężem. To było bardzo niesprawiedliwe.

Zerknęła na kołyskę i z żalu nad sobą gorzko zapłakała.

Sześć tygodni.

W końcu stycznia przyszedł ciepły okres i temperatura w ciągu dnia sięgała nawet plus pięciu stopni. Spod śniegu wyjrzały połacie gołej ziemi, a lód na wodopojach się szybko topił.

- Już prawie od tygodnia nie musieliśmy spędzić na noc do obory ani jednego zwierzęcia - powiedziała Louise, wchodząc do łóżka. Z zadowoleniem oparła głowę na poduszkach. Bolały ją plecy. - Możemy spokojnie się wyspać.

Max wyprostował przed sobą ramiona, zacisnął pięść i spróbował przyciągnąć ją do ramienia.

- Ręka jak nowa.
- Co nagle, to po diable.
- Ej, co masz na myśli?
- Że możesz jeszcze trochę poczekać, zanim zaczniesz przerzucać siano tą ręką.

Wally i Dave nie mieliby nic przeciwko temu.

- Ale ja mam.
- Źle będzie, jeśli znowu uszkodzisz sobie rękę, tylko dlatego że za wcześnie zacząłeś nią pracować.

Max odwrócił się do żony i położył dłoń na jej policzku, a potem pochylił się, by pocałować ją w usta.

- Kochanie, podejrzewam, że wszystkie kobiety świata mają silny instynkt opiekuńczy, ale gdyby to zależało od ciebie, nosiłbym temblak do lata.

Spojrzała na niego, ale zaraz wbiła wzrok w pościel i zaczęła skubać koc.

- Może.
- Dobrze, porozmawiajmy. Widzę, że od prawie trzech tygodni czymś się zamartwiasz. Co to jest? - spytał Max.



Były dwa powody. O pierwszym postanowiła mu nie mówić, dopóki nie skończy karmienia bydła. Drugi w ogóle nie nadawał się do wspomniania w rozmowie.

Ponieważ jednak Max. zauważył jej zatroskanie, zmieniła zdanie.

- Gilly powiedziała mi, że Dave jej powiedział, że Wally powiedział mu, że pojechałeś do miasta prosić Howarda Housera, żeby zrezygnował z zemsty i pozwolił ci zatrudnić kowbojów.

Max spojrział na żonę uważnie.

- Czy w tej rodzinie nic można nic zrobić tak, żeby zaraz wszyscy o tym nie wiedzieli?

- Wszyscy jak wszyscy, ale ja na pewno chcę wiedzieć, dlaczego mi o tym nie powiedziałaś.

- Nie było o czym. Poprosiłem Howarda, żeby pozwolił mi nająć nowych ludzi, a on odmówił. Koniec. Nic nowego.

- Ja to słyszałam inaczej.

- Nie wiem... Ach, chodzi ci o zajęcie rancza i doszczętne spalenie zabudowań?

Louise przewróciła oczami i rozłożyła ręce.

- Czyżbyś sądził, że to również nie zasługuje na powtórzenie? Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- A po co? Houser dopilnuje, żebyśmy nie znalazł kupca na bydło, więc nie będę mógł spłacić pożyczki. On wie, że Wally nie może ruszyć swoich pieniędzy, bo potrzebuje ich na dom w mieście, a u mamy i Dave'a z gotówką jest krucho. Nawet gdybym chciał dalej obciążać rodzinę swoimi problemami, to nie mieliby z czego mi pożyczyć. Poza tym nie chcę ich tym obarczać.

- Ile jesteś winien Houserowi?

- To jest najgorsze. Niewiele.

- Jak niewiele?

- Mniej więcej trzy tysiące dolarów. Śmieszne, nie sądzisz? Oboje znaleźmy ludzi, którzy w ciągu jednego dnia znajdowali więcej złota w Piney Creek.

- Dam ci pieniądze na spłatę.

- Nie!

Odpowiedział tak szybko i gwałtownie, że Louise aż drgnęła.

- Max, proszę cię, posłuchaj. Mam pieniądze. Są w banku w Denver. Mam więcej niż trzy tysiące. Nigdy ci o tym nie powiedziałam, bo... - To śmieszne, jak mogła kiedyś myśleć, że Max mógłby chcieć jej zabrać te pieniądze.

- Przestań. Ani słowa więcej. - Dumnie podniósł głowę i zmrużył oczy. - Nie będziemy rozmawiać o pieniądzach. Ani teraz, ani nigdy potem.

- Ale jak zamierzasz...?

- Howard jest siłą w Fort Houser, ale w Denver może mieć znacznie mniejsze wpływy, niż mu się zdaje. Ale jeśli nikt w Denver nie kupi ode mnie bydła i będę musiał, to popędzę stado aż do Chicago. Sam.

Nie można pędzić bydła bez pomocy. Max dobrze o tym wiedział i ona też.

- Max...

- Nie wezmę od ciebie ani centa, Louise. Pod żadnym pozorem. Jeśli nie przestaniesz o tym mówić, pójdę spać do baraku. Tak bardzo mi na tym zależy. Mówię poważnie. Nie chcę więcej o tym słyszeć.

Do tej pory zdążyła się już nauczyć, kiedy może na coś męża namówić, a kiedy nie. Poznawała, kiedy zapiera się jak osioł i za nic nie można go ruszyć.

W napiętym milczeniu siedzieli obok siebie w łóżku jeszcze przez dwadzieścia minut i udawali, że czytają. Wreszcie zdmuchnęli lampy.

Tego wieczoru pierwszy raz od tygodni Max nie pocałował jej na dobranoc. Pierwszy raz od tygodni odwrócił się od niej, zamiast przytulić się do jej pleców.

Louise leżała bezsennie, wpatrywała się w ciemny sufit i przypominała sobie każde słowo, które padło między nimi w tej rozmowie. Szukała chwili, w której stało się coś, co Maksa zirytowało. W końcu doszła do wniosku, że poszło mu o pieniądze, które chciała mu dać. To wtedy wybuchnął gniewem.

Zastanowiła się nad tym i zaczęła rozumieć.

Max wcale nie zamierzał jej powiedzieć ani o długu hipotecznym, ani o groźbie zajęcia rancza przez Housera. Utrata rancza była jego problemem, który z nią nie miał nic wspólnego. Poza tym w czerwcu mogło jej już tutaj nie być. A on, gdyby wziął od niej pieniądze, z pewnością uparłby się, że są pożyczką, nie podarunkiem. To zaś oznaczałoby przedłużenie zależności między nimi. Nie mogliby się rozstać bez zobowiązań.

Może zresztą Max domyślił się tego drugiego, czego mu nie powiedziała, i dlatego tak gwałtownie odrzucił jej propozycję. Ale nie, gdyby rzeczywiście się domyślił, położyłby krzyżyk na bydle i nie pozwolił jej dzień w dzień, rano i wieczorem, harować do upadłego.

Właśnie dlatego nie powiedziała mu, że od dwóch miesięcy spodziewa się dziecka.

Nie mogła go zostawić wtedy, gdy była mu potrzebna. Nie mogła go opuścić, nim zazielenia się pastwiska i bydło bez trudu znajdzie trawę. O Boże! Gdy o tym myślała, ścisnęło jej się serce.

Nie miała pojęcia, jak znajdzie w sobie siłę, żeby dotrzymać umowy i odjechać z rancza. Tu był teraz jej dom. Szorowała jego podłogi, myła okna, odgarniała śnieg z ganku, kąpała się. Znała tu każdy kąt. Wiedziała, jak wkładać chleb do pieca, żeby był równo wypieczony. A kto zajmie się kurczętami po jej odjeździe? Kto będzie wieszał pranie na sznurze?

Ale myśli o domu i tak były łatwiejsze do zniesienia niż myśli o rozstaniu z Livvy, Sunshine i Gilly. McCordowie stali się częścią jej życia, częścią tej osoby, w którą Low Down się przeistoczyła podczas pobytu na ranczu.

Świadomość tego, że znalazła rodzinę po to, by ją opuścić, rozdzierała jej serce.

Jednak i to stanowiło tylko część tego cierpienia, które miał jej sprawić ostatni pocałunek z Maksem. Którego dozna, ostatni raz siedząc ramię w ramię z Maksem w łóżku. Które będzie towarzyszyć ich ostatniej pieśczoce.

Przysięgała sobie, że nigdy go nie pokocha, ale na próżno. O Boże, pokochała go szczerze i głęboko. Uwielbiała w nim dosłownie wszystko. Uwielbiała to, że zawsze stara się postąpić tak, jak trzeba. I to, jak myśli o swojej rodzinie. I to, jak troszczy się o zwierzęta. Uwielbiała także te chwile, gdy patrzył na nią czule i ze zrozumieniem. Kochała go nawet wtedy, gdy upierał się przy czymś, dumnie podnosząc głowę.

Jak mogła żyć bez jego dotyku i pocałunków? Bez jego śmiechu?

Niestety, każdy dzień przybliżał chwilę rozstania. Tygodniami nie myślała o tym, że ich małżeństwo jest na niby. A potem nagle stawało się coś takiego jak tego wieczoru i wtedy przychodziło bolesne otrzeźwienie. Ona mogła zapomnieć o tym, że ich umowa jest tymczasowa. Ale Max nie zapomniał.

Wsunęła ręce pod koce i ostrożnie położyła sobie dłonie na brzuchu. Tak długo o tym śniła i marzyła. Nosila pod sercem dziecko Maksa i nic nie mogłoby jej bardziej uszczęśliwić. A mimo to wtuliła twarz w poduszkę, żeby stłumić odgłos płaczu, i szlochała, szlochała, szlochała, póki nie zabrakło jej łez.

Ciepły okres nie trwał długo. Z północy napłynęło arktyczne powietrze i znów skuło wielkie równiny okowami lodu. W czasie zamieci bydło zamarzało na stojąco. W pogodne dni zamarzało, gdy wątłe słońce nie było w stanie pokonać mrozu. Temperatura gwałtownie spadła i utrzymywała się grubo poniżej zera do drugiej dekady lutego, kiedy wreszcie po nieznacznym ociepleniu osiągnęła minus dwanaście stopni.

Pod koniec lutego paralizujące mrozy ustąpiły i znów zaczęły się ukazywać połacie gołej ziemi. Po słonecznej stronie obory i ganku wyłaziły z ziemi pierwsze krokusy. W ciągu ostatniego tygodnia wróciły rude lisy, a w pobliżu baraku kowbojów spostrzeżono pierwszego kosa.

Philadelphia przyglądała się temu wszystkiemu z okna.

Na jej życie składało się teraz chodzenie po pokoju i czekanie. Wally codziennie jeździł do miasta. Livvy prowadziła dom i rachunki, a niedziele spędzała u Maksa i Low Down. Tych dwoje pracowało na ranczu i walczyło o utrzymanie bydła przy życiu. Bóg jeden raczył wiedzieć, co porabiała Gilly, w każdym razie w niedziele też odwiedzała z całą rodziną Maksa.

Wszyscy mieli swoje zajęcia, tylko Philadelphia nie. Od Bożego Narodzenia, czyli od dwóch miesięcy, ani razu nie pojechała do miasta. A na ranczu nikt jej nie odwiedzał.

Ja, która jeszcze niedawno była pierwszą damą Fort Houser, zostawiono na łasce losu. Jak to się mogło stać? Kiedyś ludzie na wyścigi starali się o zaproszenia na jej wieczorki muzykujące i przyjęcia. Jej obecność gwarantowała powodzenie każdemu spotkaniu towarzyskiemu. W dni przyjęć kołatka u jej drzwi stukała niemal bez przerwy. To ona decydowała, kto stanowi elitę elity, a kogo należy wykreślić z listy gości.

Teraz, niewiarygodne, to ją wykreślono. Ale gdy dopuściła do siebie tę myśl, zagotowała się ze złości.

To wszystko powinno było ułożyć się inaczej. Ona i Max mieli być pierwszą parą w mieście. Nowożeńcy z najlepszych rodzin jeżdżą z przyjęcia na przyjęcie, dyktują modę i zwyczaje, są przedmiotem powszechnej zazdrości.

Tak zresztą będzie, gdy tylko uda jej się rozwiązać swoje problemy.

Odwróciła się plecami do okna i z kwaśną miną spojrzała na kołyskę pod przeciwległą ścianą.

Wszyscy mówili tylko o dziecku, dziecku i jeszcze raz o dziecku. A Livvy bez przerwy miała ją na oku. Interesowała się jej cerą, sprawdzała wielkość brzucha, obserwowała ją podczas siedzenia, chodzenia i jedzenia.

Z każdym dniem Philadelphii trudniej było to znieść. Każdego ranka Livvy uśmiechała się do niej szeroko i mówiła dokładnie to samo:

- Dziecko może się nam urodzić w każdej chwili. - A Wally robił zaskoczoną minę i pytał, czy powinien jechać do miasta, czy raczej zostać z żoną.

Tego ranka Livvy zwróciła uwagę, że termin porodu minął przed dwoma dniami, co dla Wally'ego stanowiło sygnał do pozostania w domu. Ale Philadelphia jakoś namówiła go, żeby pojechał do banku. A potem musiała wysłuchać dziękczynnych modłów Livvy, która cieszyła się, że synowa donosiła dziecko i nie poroniła.

Dwa dni po terminie.

Wally będzie siedział w banku jak na szpilkach i czekał na wiadomość. Tak samo jej ojciec. I Max. Livvy miała trzech kowbojów w pogotowiu, żeby mogli natychmiast wyruszyć do banku, do Gilly i do Maxa, w razie gdyby zaczął się poród.

Dwa dni po terminie.

Pierwsze dzieci często rodzą się za wcześnie, ale rzadko spóźniają się ponad dwa tygodnie.

Mogła poczekać jeszcze tydzień, ale czy to miało sens? Zwłoka w niczym nie ułatwiała jej tego, co musiała zrobić.

Chmurna i zła wsadziła koszulę nocną do worka na pranie i przygotowała świeżą. Potem zdjęła całą biżuterię z wyjątkiem ślubnej obrączki. Zaczesawszy włosy w prosty

węzeł na karku, wyprostowała plecy i wyszła z sypialni na korytarz. Stała u szczytu schodów.

    Nie miała wyboru.

    Zaczerpnęła tchu i położyła dłoń na mocno bijącym sercu. A potem rzuciła się w dół.

scandalous

Wally i Howard Houser wyskoczyli z powozu i puścili się biegiem ku domowi akurat w chwili, gdy Max i Louise wjechali na podwórze śladem Gilly.

Livvy powitała wszystkich przy frontowych drzwiach i wprowadziła ich do salonu, gdzie szybko zrelacjonowała im, jak usłyszała krzyk Philadelphii i zaraz potem okropny łoskot. Gdy wpadła do sieni, znalazła nieprzytomną Philadelfię u podnóża schodów.

Howard chciał zerwać się z krzesła, ale Livvy uniosła dłoń.

- Teraz Philadelphia leży w łóżku i odpoczywa. Mogła sobie skrócić kark, ale jej się udało. Ma rozcięte czoło, skrzyżowaną nogę w kostce i rękę w nadgarstku. Poza tym jest potłuczona, no, i prawdopodobnie będzie miała podbite oko.

- A dziecko? - spytał Howard.

- Przypuszczalnie dlatego znalazła się na schodach. Chciała mnie zawołać, żeby dać znać, że zaczął się poród. - Livvy splótła dłonie na brzuchu. - Szczerze mówiąc, nie daję dziecku wielkich szans. Skurcze są słabe, a od czasu upadku Philadelphia krwawi. - Spojrzała twardo na Howarda i Wally'ego. Gdyby któryś z was mógł jej przemówić do rozumu, to błagam, wydebcie od niej zgodę na wezwanie doktora Pope'a albo przynajmniej akuszerki. Mnie Philadelphia nie chce słuchać. Ilekroć wspominam o wezwaniu pomocy, wpada w histerię.

- Gdzie jest moja córka? - Howard wstał; twarz mu pobladła.

- Na górze. Zaprowadzę pana. - Wally i Houser razem opuścili salon.

Max odruchowo chciał pójść za nimi, ale matka jednym spojrzeniem zatrzymała go na miejscu i ostrzegła, że nie byłby tam osobą mile widzianą. Ponieważ jednak nie mógł usiedzieć na miejscu, dołożył drewno do kominka i przykląkł przed ogniem. Miał wrażenie, że za chwilę pochłonie go ziemia.

To on był winien wszystkiemu, co się dziś stało. Bólowi Philadelphii i narodzinom albo utracie jej dziecka. Jego dziecka. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby Philadelphia umarła. I bez tego sytuacja była dostatecznie trudna. Ale gdyby przez jego brak opanowania Philadelphia umarła...

- Zostawiłam Sunshine z Dave'em - odezwała się Gilly, gdy milczenie stało się nie do zniesienia. - Sądziłam, że nie powinna...

- Słusznie zrobiłaś - potwierdziła Livvy, nie odrywając wzroku od schodów.

Louise przyjrzała się Maksowi, a potem zwróciła się do teściowej:

- Co możemy zrobić, żeby pomóc?

- Gilly nie nadaje się na akuszerkę. Pójdzie do kuchni. Gilly, wiesz, gdzie leżą pieluchy i koce. Wyjmij to wszystko. Będziemy też potrzebować dużo ręczników. Przygotuj się do prania.



- Rozumiem, że „my” to znaczy ty i ja - powiedziała Louise, unosząc brew.  
- Przypuszczam, że byłaś przy porodzie.  
- Kilka razy - potwierdziła Louise. - Zwykle w nagłych wypadkach, kiedy nie było do pomocy nikogo oprócz mnie. - Zerknęła w stronę kominka, zatroskana cierpieniem Maksa. - Wątpię jednak, czy Philadelphia chce, żebym to ja pomagała jej przy porodzie.

- Jeśli pan Houser i Wally namówią ją na wezwanie doktora, będę pomagała mu sama, jeśli nie, będziesz potrzebna bez względu na to, czego sobie życzy Philadelphia.

Dwadzieścia minut później Wally i Howard Houser wrócili do salonu. Houser podszedł prosto do okna i wyjrzał na dwór.

- To jest najbardziej uparta kobieta... Wyrobiła sobie bzdurne przekonanie, że nikt się nie dowie o dziecku, jeśli urodzi je sama. Za to jeśli pošlemy po doktora Pope'a, dowiedzą się o nim wszyscy mieszkańcy Fort Houser.

- Jest tak, jak powiedziałaś, mamó. Ona dostaje hysterii na każdą wzmiankę o doktorze. - Wally nerwowo przeczesał włosy palcami. - Ale zgodziła się na doktora, w razie gdybyśmy uznali, że jej życie jest w niebezpieczeństwie. Musieliśmy jej jednak obiecać, że nie wezwiemy Pope'a, póki sama o to nie poprosi. - Potoczył wzrokiem po pokoju i przez chwilę zatrzymał gniewne spojrzenie na Maksie. - Co on tutaj robi?

- Posłałam po niego - powiedziała ostro Livvy.

- Mam prawo być obecny - stwierdził Max. Toczył z Wallym pojedynek na spojrzenia. - Po narodzinach dziecka usunę się na bok i nie będę zgłaszał żadnych pretensji, tak jak przyrzekłem. Ale dzisiaj muszę być tutaj tak samo jak każde z was.

- A ja potrzebuję pomocy Louise - wtrąciła Livvy. - Ona ma doświadczenie, asystowała przy porodach. Och, pan nie zna żony Maksa. - Livvy pośpiesznie przedstawiła synową Howardowi Houserowi.

- Witam - powiedziała Louise uroczyście. Dawniej wyciągnęłaby do niego rękę, żeby ją uściskać. Ale w tej sytuacji nie musiała się nawet szczególnie trudzić, żeby zrozumieć, jak się mają sprawy. Wyniosła mina niczym tarcza chroniła ojca Philadelphii przed osobami jej pokroju.

Howard Houser zmierzył Louise wzrokiem od stóp do głów i uniósł brwi, jakby zdziwiło go, że jest czysta, schludna i skromnie ubrana.

Ona również przeżyła zaskoczenie. Spodziewała się, że mężczyzna, który sprowadził na nią i Maksa taką biedę, ma wygląd potwora. Tymczasem Houser był jej wzrostu, łysiał i wydawał się zupełnie przeciętny. W tej chwili był po prostu człowiekiem chorym ze zmartwienia o córkę.

- Czy ktoś nie powinien tam z nią być? - zapytał. - Została całkiem sama.

Ponieważ te szorstkie słowa były skierowane do Louise, uznała, że Howard Houser wyraził w ten sposób zgodę na jej obecność. Najwyraźniej zgodziłby się nawet na samego diabła, gdyby ten mógł pomóc Philadelphii.

Potem Houser skinał na Wally'ego.

- Jest jeszcze wczesnie, ale napiłbym się czegoś. Czeka nas długi dzień.
- Wszyscy powinniśmy się napić - odrzekł Wally, mając na myśli mężczyzn.

Zanim wyminął Livvy i znalazł butelkę whisky, Louise podeszła do Maksa. Stał przy kominku, jakby wrósł w podłogę, i gapił się w ogień.

- Cały czas milczysz.

Nie spojrział na nią.

- Jeśli ona umrze...

- Nie idzie, Max, obiecuję ci. Nie pozwolę jej umrzeć. - Philadelphia była matką jego dziecka i powinna była zostać jego żoną. Max ją kochał. Louise nigdy nie uświadomiła sobie tego bardziej dobitnie niż teraz, gdy patrzyła na jego mocno zaciśnięte usta i dłoń, która ścisnęła w kieszeni zieloną kulkę.

- Jak długo to potrwa? - spytał cicho.
- Prawdopodobnie jeszcze kilka godzin.

Skinał głową.

- Powiedz mamie, że pożyczam jednego z jej koni. Muszę coś zrobić, bo inaczej oszaleję.

Nie wolno jej było myśleć o tym, co czuje Max, ponieważ sprawiłoby jej to ból nie do zniesienia. Swoich uczuć też wolała nie analizować. Jeśli chciała przetrwać ten dzień, musiała zapomnieć o tym, że jej mąż kocha Philadelphię i że ta wkrótce urodzi mu dziecko.

Było zresztą coś więcej, o czym nie ważyła się teraz myśleć, lecz wiedziała, że w przyszłości tego nie uniknie. Dziecko Philadelphii zostanie przecież przyrodnim bratem albo przyrodnią siostrą tego dziecka, które nosiła pod sercem. To był chyba najważniejszy powód, dla którego uznała, że musi pomóc Philadelphii bezpiecznie wydać maleństwo na świat.

Livvy czekała pod drzwiami sypialni synowej.

- Przepraszam, że zwracam się do ciebie z taką prośbą, chociaż Philadelphia obrzydliwie cię potraktowała. Ale nie ma tutaj nikogo innego.

- Mniejsza o to. - Louise spojrzała teściowej prosto w oczy. - Powiedz mi teraz całą prawdę.

- Nie miałam pojęcia, że to zauważyłaś. - Livvy pokręciła głową i zaczęła sobie wyłamywać palce. - Nie wiem, co o tym sądzić. Pobiegłam do obory po kowbojów, żeby pomogli mi ją zanieść na górę. Wtedy zauważyłam, że ona obficie krwawi. Kiedy przebrałam ją w koszulę nocną i położyłam w łóżku, krwawienie trochę osłabło. Zrobiłam jej opatrunek z waty.

- Masz gumowy podkład na łóżku?

Livvy skinęła głową.

- Jesteśmy gotowi od kilku tygodni. I mam mnóstwo prześcieradeł. Przydadzą się, bo trzeba będzie od czasu do czasu zmieniać pościel, zwłaszcza jeśli krwawienie nie ustanie. - Livvy zerknęła na drzwi sypialni. - Ona ma dreszcze i silny ból w dole brzucha. Trochę ją mdli.

Louise próbowała myśleć jak najszybciej.

- Po takim upadku poród powinien zacząć się natychmiast, zwłaszcza że jest po terminie. Ale z tego, co mówisz...

- Popatrz na nią i powiedz mi, co ty o tym sądzisz.

Gdy Louise weszła do pokoju, natychmiast uderzyła ją metaliczna woń krwi. Philadelphia leżała skulona po jednej stronie łóżka i trzymała się za brzuch. Jej ciałem wstrząsały dreszcze. Louise wymieniła spojrzenia z Livvy i podeszła do łóżka.

- Witaj, Philadelphio. Źle wyglądasz.

Jedno jej oko było ledwie widoczne spod opuchlizny, która zaczynała ciemnieć. Rozcięcie na czole musiało w przyszłości pozostawić bliznę. Ściekająca stamtąd krew pozlepiała włosy. Nadgarstek Philadelphia miała usztywniony i zabandażowany, zdawała się jednak nie zwracać uwagi na rękę, kurczowo trzymała się bowiem za brzuch. Wynikało z tego, że tamten ból jest znacznie silniejszy.

Zamrugła i otworzyła oczy.

- Wynoś się z mojego pokoju!

Louise odchyliła koc i popatrzyła na zakrwawioną koszulę nocną Philadelphii i zaplamione prześcieradło pod jej biodrami. Podniosła głowę i spojrzała na Livvy.

- Ktoś powinien natychmiast jechać po doktora.

- To samo mówię!

- Nie! - Philadelphia spojrzała na nie rozgorączkowanymi oczami. - Nie wy o tym decydujecie! Nie, nie, nie!

- Czy ból jest ciągły, czy są przerwy? - spytała burkliwie Louise.

- Ciągły. O Boże, nie ustaje ani na chwilę. Okryj mnie z powrotem kocem. Tak mi zimno.

- Poczekaj chwilę, wyczyścimy to i przebierzemy cię w świeżą koszulę, a potem dostaniesz z powrotem koc - powiedziała kojącym tonem Livvy. A potem dodała ciszej do Louise: - Możemy złożyć prześcieradło i jej podsunąć, żeby następnym razem nie zmieniać całej pościeli.

Kwadrans później pościel była zmieniona, krwawienie nieco osłabło, a Philadelphia leżała w czystej koszuli nocnej pod dodatkowym kocem. Louise wyniosła zakrwawione prześcieradła na korytarz, a Livvy wyszła za nią.

- No, i co? - spytała.

- Gdybym nie wiedziała, że to niemożliwe, podejrzewałabym poronienie - powiedziała zdziwiona Louise. - Ona ma dreszcze, ciągły ból... Gdyby to był siódmy

miesiąc, podawałabym jej co parę godzin kilka ziaren kwasu galusowego, żeby zatrzymać krwawienie, kazała leżeć przez następne dwa miesiące w łóżku i mieć nadzieję, że donosi to dziecko.

- Ale to nie może być poronienie. - Livvy zajrzała z ponurą miną do sypialni, gdzie Philadelphia zwijała się z bólu pod kocami. - Co do jednego nie może być wątpliwości. Dziecko zostało poczęte dwudziestego dziewiątego maja. I Philadelphia nie rodzi przedwcześnie, tylko po terminie.

- A to znaczy, że jest niedobrze. Musiała uszkodzić sobie coś w środku, kiedy spadała ze schodów.

- Może to dziecko jest ranne i krwawi?

- Tak czy owak, to nie jest zwykły poród, Livvy. Potrzebny jest doktor.

Stały w milczeniu, wpatrując się w głąb sypialni.

- Na krwawienie będziemy jej dawać na zmianę napar z szaławii i z wrotyczu - powiedziała w końcu Livvy. - Mam trochę laudanum, w razie gdyby ból stał się nie do wytrzymania. Jeśli nie uda nam się zatrzymać krwawienia, to uważam, że albo Wally, albo Howard powinien jednak jechać po doktora Pope'a. Jeżeli będę musiała, to wykopię ich obu siłą.

- Zaparz zioła, a ja z nią pobędę. - Louise pokręciła głową, weszła do sypialni i usiadła na krześle przy łóżku.

- Nie masz prawa być tutaj. Żądam, żebyś sobie poszła. Nienawidzę cię! Wynoś się, wynoś!

- Mhm - mruknęła Louise, wzięła z podłogi miskę i podsunęła ją Philadelphii, która dostała torsji. Gdy chora znów się położyła, Louise otarła jej twarz wilgotną szmatką i dała szklanekę wody, żeby przeplukała usta.

- Prawdę mówiąc, nie wiem, dlaczego ci pomagam. W życiu nie spotkałam tak bezwartościowego człowieka. Ale jestem tu i już. Podejrzewam, że po prostu mam w naturze pielęgnowanie chorych. Przestań się mazać i powiedz, czy chcesz wiedzieć, co się dzieje, czy nie.

Popatrzyły sobie w oczy, potem Philadelphia opadła na poduszki.

- Chciałabym, żebyś to ty leżała tutaj i cierpiała. Po coś ty się w ogóle urodziła?

- Sama się nad tym kilka razy zastanawiałam. Ale nieważne, posłuchaj. Straciłaś dużo krwi. To znaczy, że coś jest nie tak, jak powinno. Poza tym masz mdłości i dreszcze, a ból jest ciągły. Nie tak wygląda zwyczajny poród. Jeśli Livvy i ja nie zdołamy powstrzymać krwawienia albo przynajmniej go osłabić, pošlemy po doktora.

- Wolałabym umrzeć niż zgodzić się na doktora!

- Jak tak dalej pójdzie, to właśnie taki wybór będziesz miała. Śmierć albo doktor. Ty może jesteś taka głupia i wolisz umrzeć, bo wbiłaś sobie do głowy, że doktor opowie wszystkim dookoła o twoim dziecku. Wszyscy i tak się dowiedzą, aleja nie pozwolę, żebyś

umarła. Nie mogę ci obiecać niczego co do dziecka, to nie wygląda dobrze, ale masz moje słowo, że ty nie umrzesz! Zanimby do tego miało dojść, będzie tutaj doktor.

- Nigdy! Ojciec mi obiecał... Au! Au!

Louise pochyliła się i położyła dłonie na brzuchu Philadelphii. Tym razem był to skurcz, ale słaby. Zerknęła na zegar, żeby sprawdzić, jaka jest częstotliwość skurczów, a potem wyjaśniła Philadelphii, co przed chwilą się stało.

- Gdzie jest Livvy? - spytała Philadelphia, gdy mogła znów normalnie oddychać. - Chcę, żeby to ona tutaj siedziała, nie ty.

- Poszła na dół zaparzyć ci ziółka.

Philadelphia skrzywiła się i zacisnęła zęby, potem wolno wypuściła powietrze z płuc.

- Max nigdy cię nie pokocha. Nigdy. On kocha mnie i zawsze będzie kochał!

Louise spojrzała na koce, przykrywające brzuch leżącej kobiety, i nieświadomie dotknęła ręką swojego brzucha.

Mimo bólu i mdłości Philadelphia zdołała się uśmiechnąć.

- Każdy, kto ma oczy, widzi, że go kochasz. To dobrze. Bo chcę, żebyś cierpiała, kiedy ci go odbiorę, tak samo jak ja cierpiałam wcześniej!

- Wiesz co, Philadelphio? Zamknij gębę.

- Co takiego?

Louise groźnie zmrużyła oczy.

- Czy masz kłopoty z rozumieniem, czy może ogłuchłaś? Powiedziałam, żebyś zamknęła gębę. Nie będziemy rozmawiać ani o mnie, ani o Maksie. Dzisiaj mówimy tylko o tobie. Powinnaś się cieszyć, bo przecież to jest twój ulubiony temat.

- Nikt ze mną nie rozmawia w taki sposób! - W kącikach ust Philadelphii pojawiły się bąbelki śliny.

- Na razie musisz się z tym pogodzić. - W porę Louise sięgnęła po miskę i podsunęła ją Philadelphii, którą naszła następna fala torsji. - Pozbędziesz się mnie, a ja pozbędę się ciebie wtedy, gdy urodzisz dziecko. Dlatego posłuchaj, co masz robić. Następnym razem, gdy złapie cię skurcz, skup się na tym, żeby był jak najsilniejszy. Jak przyjdzie na to czas, każe ci przeć, i dobrze ci radzę, staraj się, jak umiesz!

- Nie będziesz mi rozkazywać! Robię, co mi się podoba!

- Nie dzisiaj. Dzisiaj ja, Livvy i matka natura dyktujemy ci, co masz robić. A teraz do diabła z tymi kocami. Muszę sprawdzić, czy przestałaś krwawić.

- Nic z tego - sprzeciwiła się Philadelphia, ze złości szczerząc zęby. - Jeśli sądzisz, że pozwolę ci oglądać moje ciało...

- Zanim przyjdzie wieczór, będzie mi się robić niedobrze od oglądania twojego tyłka.

- Louise zdecydowanie wołała mieć do czynienia z chorymi mężczyznami. Kobiety potrafią być tak uciążliwe. Westchnęła. - Puść te koce albo połamię ci palce.

- Co? - Wstrząśnięta Philadelphia spojrzała na nią zdumionym wzrokiem i aż otworzyła usta. - Co powiedziałaś?

- Powiedziałam, że chcę sprawdzić, czy ustało krwawienie. Jeśli będziesz się opierać, połamię ci palce. I sprawi mi to dużą przyjemność. - Louise podważyła jeden z palców, odchylając go dostatecznie daleko, by Philadelphia krzyknęła z bólu i cofnęła rękę.

- No, teraz lepiej.

- Nie... nie mogę... ty...

- Już mi nieraz mówiono, że mam wredne metody pielęgnowania - powiedziała Louise i ściągnęła koce z Philadelphii. Nie dostrzegła krwi na złożonym prześcieradle ani na tamponie z waty, który Livvy włożyła Philadelphii między nogi. - Ale rozpieszczanie przeszkadza w skupieniu się na tym co ważne.

Philadelphia nabrała pełne płuca powietrza.

- Livvy!

Louise przykryła ją z powrotem i usiadła.

- Wydaje mi się, że Livvy też nie jest z tych, którzy rozpieszczają, choć może się mylę.

- Nie mylisz się - potwierdziła jej teściowa, która akurat weszła do pokoju z tacą. Pociągnęła nosem i zerknęła w stronę miski. - Zaczniemy od herbatki szalwiowej, a potem zobaczymy co dalej.

W ten sposób zaczęło się sześć godzin czuwania, troski i rosnącego poczucia bezradności. Louise i Livvy na zmianę masowały Philadelphii plecy, ocierały pot z czoła i przykrywały ją dodatkowymi kocami podczas ataków dreszczy. Przynosiły jej napar z szalwii i z wrotyczu, poily zimną wodą, gdy sobie tego życzyła, i podawały basen, gdy zaszła potrzeba. Mniej więcej co półtorej godziny zmieniały Philadelphii zakrwawioną pościel i koszulę. Potem jedna z nich schodziła na dół z prześcieradłami, koszulą i miską, a tam czekała Gilly z balia, w której natychmiast wszystko prała. W kuchni była też świeża gorąca kawa.

Louise, gdy przychodziła jej kolej, przysiadła na chwilę obok Gilly, zadowolona, że może odpocząć od przykrych zapachów sypialni i rozprostować plecy. Tym razem jednak zeszła na dół tak wściekła, że nawet nie pomyślała o kawie ani o krótkim odpoczynku.

- Co tam się dzieje? - spytał Max. - To już trwa tyle godzin.

- Zamknij się - burknął Howard Houser i zadał Louise to samo pytanie. Godzinę wcześniej Livvy błagała go, żeby pojechał po doktora, ale odmówił. Oświadczył, że nie złamie obietnicy danej dziecku i musi poczekać, aż Philadelphia sama go o to poprosi.

Louise podeszła do niego z groźną miną, stanęła wsparta pod biodra i pochyliła się tak, że ich twarze dzieliły zaledwie centymetry.

- Posłuchaj mnie, ty sukinsynu. Twoja córka od sześciu godzin krwawi jak diabli. Jest słaba, chora i cierpiąca. I umrze, jeśli szybko nie sprowadzisz jej doktora! Cokolwiek



dzieje się tam na górze, to przekracza możliwości Livvy i moje. Nie lubię Philadelphii, nie wiem, czy umiałabym powiedzieć o niej choć jedno dobre słowo. Ale obiecałam Maksowi, że ona nie umrze, i tego dopilnuję! Dlatego albo zaraz pošlesz kowboja do miasta, albo sama wezmę konia i przywiozę tutaj doktora. Tak czy owak zaraz ktoś po niego pojedzie. Pytanie tylko, kto to będzie.

- Ja — oświadczył Max z posępną miną. Już dawno mężczyźni pozdejmowali surduty i krawaty i zakasali rękawy koszul. Teraz Max z powrotem opuścił i zapiął rękawy, po czym ruszył ku drzwiom na podwórze, przy których wisiał jego surdut.

- Nigdzie nie pojedziesz, McCord. Decyzja nie należy do ciebie. Nikt nie pojedzie po doktora, póki nie porozmawiam z córką.

Louise nie zwróciła uwagi na Howarda Housera.

- Nie trać czasu, Max. Z nią jest naprawdę niedobrze.

- Ja też pojedę. - Wally zerwał się z krzesła. - Nie mogę tu siedzieć i nic nie robić, bo oszaleję.

- Wszyscy niech zostaną na miejscach. Idę na górę porozmawiać z córką, a potem zdecydujemy.

- Nigdzie pan nie pójdzie, panie Houser. Niech pan siada. - Louise dość mocno go pchnęła i tak go tym zaskoczyła, że rzeczywiście z hukiem usiadł. - Niech mi pan wierzy, że to widok nie dla pana oczu. Dajcie mi whisky. Gilly? Muszę się napić.

Szwagierka przyniosła szklaneczki, opadła na krzesło i naląła whisky sobie, Louise i Howardowi Houserowi.

- Na sznurze mamy mnóstwo zmrożonych prześcieradeł. Teraz mogę już tylko pracować, wyżywać i składać następne do skrzyni tam, w kącie. Nie wiem, co zrobimy z koszulami nocnymi. Zużyliśmy wszystkie koszule Philadelphii, bierzemy teraz koszule mamy. - Z niepokojem zerknęła na Louise. - Tak się boję. Czy Philadelphia umrze?

Louise przełknęła whisky i zapatrzyła się w dno szklanki.

- Straciła mnóstwo krwi. Jest bardzo chora i bardzo słaba. Mam nadzieję, że doktor ją uratuje, ale na dwoje babka wróżyła.

Houser oparł łokcie na stole i ukrył twarz w dłoniach.

- Pani nie jest lekarzem i nie zna się na tym. Jest pani tylko wulgarna, wścibska kobieta.

- Nazywano mnie już gorzej.

Podniósł głowę i przetarł oczy.

- Ona jest moim jedynym dzieckiem. Nigdy jej nie zawiodłem. A teraz przez panią złamałem dane jej słowo. - Jego wściekła mina zapowiadała, że Louise jeszcze pożałuje swego uporu.

- A co pan chce zrobić, panie Houser? Ukarać mnie za to, że próbuję ratować życie pańskiej córce? Ukarać Maksa za to, że na złamanie karku popędził po doktora? Co pan

może zrobić, żeby żyło nam się jeszcze ciężiej niż w tej chwili? - Sięgnęła po butelkę, dolała sobie whisky, a potem napełniła także szklaneczki Gilly i Housera. - Może nie będzie pan czekał na przejęcie hipoteki, tylko spali pan dom Maksa od razu. To nauczyłoby nas nie wtrącać się do nie swoich spraw, co? A może przyśle pan jednego ze swoich ludzi, żeby wystrzelał resztki bydła Maksa. O, to też byłaby lekcja.

Na policzkach Howarda Housera pojawiły się pałowe plamy. Pochylił się ku Louise.

- Cokolwiek się stało, zasłużyliście sobie na to. Czyją winą będzie, jeśli moja córka umrze?

- Nie wiem - odparła w zadumie Louise, kręcąc szklaneczką na stole. - Może Philadelphii, bo nie powiedziała „nie” wtedy, kiedy powinna. Może pańska, bo wychował ją pan w przeświadczeniu, że jest ponad wszystkimi zasadami. Może Maksa, bo za bardzo ją kochał. Może pańskiej żony, bo za szybko umarła. A może moja, bo poślubiłam Maksa, chociaż wcale tego nie chciałam. Może Livvy, bo kupiła ziemię niedaleko Fort Houser i umożliwiła Maksowi poznanie Philadelphii. Może pogody, bo przyszła ciepła wiosna z wieczorami w sam raz na posuwanie. Nie wiem, czyją to wina. Ale jaka to różnica? Czy szukanie winnego cokolwiek zmieni?

- Dość tego - wyszczał przez zęby Howard Houser.

- Słusznie - przyznała Louise i wstała od stołu. - Gilly, potrzebujemy świeżych ręczników dla doktora. Matka powiedziała, żebyś wstawiła wołowinę na kolację. Ludzie będą mogli coś zjeść, jeśli będą w nastroju.

Nie patrząc już na Housera, wyszła z kuchni i wróciła po schodach na górę do przykrych zapachów, widoku krwi i cierpienia. Livvy popatrzyła na nią bezradnie i pokręciła głową.

- Mam nadzieję, że doktor niedługo przyjedzie.

- Ja też. - Louise złożyła obietnicę Maksowi i chciała, żeby Philadelphia żyła.

Następna godzina ciągnęła się bez końca, wreszcie jednak na dole trzasnęły drzwi i Max, Wally oraz doktor Pope wbiegli po schodach. Max i Wally stanęli na progu i zanim się odwrócili, zrobili przerażone miny.

- O, Jezu!

- Boże!

- Do diabła, wynoście się stąd! - burknęła Louise i wypchnęła ich na korytarz. - Idźcie do kuchni - nakazała, zamykając za nimi drzwi. - Damy wam znać, jak coś będziemy wiedzieć.

Doktor Pope odstawił torbę na podłogę, zdjął okrycie i zakasał rękawy koszuli.

- Powiedziano mi, że poród jest o czasie. Pacjentka spadła ze schodów i wtedy zaczęło się krwawienie. Czy jeszcze coś powinienem wiedzieć? - Livvy zrelacjonowała wydarzenia ostatnich siedmiu godzin, a lekarz skinął głową.

- Chcę umrzeć - szepnęła Philadelphia. Zamglonymi oczami spojrzała w sufit.

- Postaramy się do tego nie dopuścić - powiedział doktor Pope i otworzył torbę. - Może panie wyjdą na chwilę z pokoju. Myślę, że nasza młoda mama wolałaby mieć spokój podczas badania.

- Och, naturalnie. - Livvy ujęła Louise za ramię i opuściła wraz z nią sypialnię. Na korytarzu ciężko oparła się o ścianę. - Jak mi ulżyło, że przyjechał Pope. Nie wiem, co powiedziałaś, żeby go tu ściągnąć, ale chwała ci za to.

Po kilku minutach Louise zmarszczyła czoło.

- Dlaczego to trwa tak długo. Czy on zapomniał, że tutaj czekamy?

- Nie zapomniałem - powiedział doktor Pope, który właśnie w tej chwili stanął obok nich i zamknął drzwi do sypialni.

- Co z nią? Przeżyje? - spytała niespokojnie Livvy.

- Tak przypuszczam. Musi leżeć w absolutnym spokoju i potrzebuje dobrej opieki, ale jest młoda i silna. Moim zdaniem dojdzie do siebie.

- A dziecko? - spytała Louise.

- Za kilka minut się przekonamy, ale nie daję mu wielkich szans. Panie niesłusznie powiedziały, że ten poród odbywa się o czasie. To jest siódmy miesiąc. Dziecko rodzi się osiem, może nawet dziewięć tygodni za wcześnie. Jeśli dodać do tego upadek ze schodów...

- Pokręcił głową.

- To niemożliwe - powiedziała beznamiętnie Livvy. - To nie jest wcześniak. Nie może być.

- Pani McCord, przyjmuję porody od trzydziestu pięciu lat. Wiem, w którym miesiącu ciąży jest kobieta, i znam różnicę między porodem a poronieniem. Tu mamy do czynienia z poronieniem. - Powiedział to z dostojeństwem należnym jego tytułowi i doświadczeniu. - Tę panią, która będzie mi pomagać, proszę do środka, musimy zająć się pacjentką. - Z powrotem otworzył drzwi i znikł w sypialni.

- Siódmy miesiąc - szepnęła Livvy. - Nic dziwnego, że nie chciała doktora. - Szeroko otworzyła oczy, lecz po chwili groźnie je zmrużyła. - Nie rozumialiśmy, co się dzieje. Nie wzięliśmy pod uwagę poronienia, bo myślałyśmy, że to niemożliwe. - Livvy dostała wypieków i wyraźnie się usztywniła. - Do diabła, omal nie uszło jej to na sucho. Ani trochę bym się nie zdziwiła, gdyby ten upadek ze schodów wcale nie był przypadkowy.

- Livvy, co ty mówisz?

- Tylko pomyśl, co to znaczy, że ona jest w siódmym miesiącu - powiedziała starsza pani i poszła pomóc doktorowi. Drzwi zamknęły się za nią z głośnym trzaskiem.

Louise wiedziała, że zanim zbierze myśli, musi oznajmić, że Philadelphia będzie żyła. Zastała wszystkich przy kuchennym stole. Siedzieli w napiętym milczeniu. Gdy weszła, podnieśli wzrok i spojrzeli na nią z niepokojem.

- Na razie niewiele wiadomo. Są u niej doktor i Livvy.

- Co robią? - spytał Howard.

- Nie wiem. Myślę, że doktor będzie przyjmował poród. - Nie powiedziała im, że dziecko jest wcześniakiem. - Zdaniem doktora, Philadelphia odzyska siły.

- Dzięki Bogu - szepnęła Gilly.

Ale tak naprawdę Louise mówiła to wszystko Maksowi, bo tylko jego jednego widziała w całej kuchni. Ukrył twarz w dłoniach i zastygł w bezruchu. Odgadła, że się modli, że dziękuje Bogu. A potem przypomniała sobie Philadelphię, która zapowiadała, że odbierze jej Maksa. Gdyby teraz Philadelphia uciekła z Maksem, złamałaby serce mężowi. Jedno spojrzenie na bladą strwożoną twarz Wally'ego wystarczyło Louise, by przekonać się, jak pokochał żonę. Ale Philadelphia chciała odzyskać Maksa.

Cicho westchnąwszy, Louise położyła dłonie na krzyżu i przeciągnęła się.

- Wróce, jak będę miała następne nowiny.

Na korytarzu przed sypialnią Philadelphii stała drewniana ławeczka. Louise usiadła na niej, oparła głowę o ścianę i czekała.

Siedem miesięcy temu Max był w Piney Creek. Wiedziała, że nie wyjeżdżał z obozowiska przez całe lato, bo wcześniej zwróciła na niego uwagę i miała go na oku. A to znaczyło, że nie może być ojcem tego dziecka.

Spuściwszy głowę, potarła dwoma palcami nasadę nosa. Livvy miała rację. Już wiedziała, dlaczego Philadelphia tak gwałtownie sprzeciwiała się wezwaniu doktora. Rodzinę mogła oszukać, ale lekarz zorientowałby się natychmiast, że to nie jest dziewiąty miesiąc ciąży.

Co za oszustwo! Louise nie posiadała się ze zdumienia. Philadelphia chciała poślubić Maksa, żeby wychowywał cudze dziecko w przekonaniu, że wychowuje własne. I Wally'ego też oszukała. Przecież ożenił się z nią po to, by dać dziecku nazwisko McCord. Gdyby Philadelphia od razu powiedziała prawdę, życie Wally'ego potoczyłoby się zupełnie inaczej.

W końcu dla ukrycia prawdy Philadelphia musiała skoczyć ze schodów. Widocznie liczyła na to, że w ten sposób wywoła poród w takim terminie, który wskazywałby na ojcostwo Maksa. Na pewno wiedziała, że ryzykuje zdrowie i życie swoje i dziecka, lecz mimo to nie zawahała się tego zrobić.

Louise zadrżała i przyłożyła dłoń do brzucha. W tej chwili otworzyły się drzwi i ukazała się w nich Livvy z zawiniątkiem w ramionach. Louise skoczyła jak oparzona.

- Dziecko żyje!

- Żyło kilka minut. To był chłopiec - powiedziała Livvy bezbarwnie.

- Dokąd idziesz?

- To nie jest McCord. Chcę, żeby mężczyźni, których Philadelphia oszukała, zobaczyli tego chłopca i przekonali się, co ona zrobiła.

- Livvy, poczekaj. - Louise chwyciła teściową za ramię. - Po co masz im mówić o tym dziecku? Tylko zadasz ból tym, którzy ją kochają. Oni nie muszą wiedzieć. - Nie chciała, żeby Max się dowiedział, że Philadelphia zdradziła go z innym mężczyzną. To

byłoby dla niego zbyt bolesne. - Proszę, nie rób tego. Zachowamy jej sekret dla dobra tych, których kochamy.

W oczach Livvy zabłyśnięcie gniewu.

- Zdradziła Maksa. I chciała wcisnąć mojemu synowi na wychowanie bękart innego mężczyzny. Gdyby nie to, Wally nie musiałby jej poślubić, miałby swoje życie, mógłby sobie sam wybrać żonę. A ona w dodatku pozwoliła ojcu ukarać Maksa, chociaż on nie miał nic wspólnego z jej dzieckiem. I jeszcze śmiała cię oskarżyć o brak zasad! Tyle zaszkodziła mojej rodzinie, że, Bóg mi świadkiem, nie mam zamiaru jej osłaniać. Odsuń się.

Livvy zniosła dziecko na dół i weszła z nim do kuchni. Z wypiekami na twarzy opowiedziała Maksowi, Wally'emu, Howardowi Houserowi i Gilly to, z czym do nich przyszła.

- To obrzydliwe kłamstwo! - Houser poderwał się od stołu, dysząc gniewem. - Jak pani śmie sugerować, że moja córka była z innym mężczyzną na dwa miesiące przed planowanym ślubem?

Livvy spojrzała mu w oczy.

- Doktor Pope potwierdzi, że to był wcześniak. - Odchyliła kocyk, który zakrywał twarz dziecka. - A jeśli nadal ma pan wątpliwości, proszę popatrzeć na niemowlę. Niech pan przekona się na własne oczy, że to nie jest syn Maksa.

Louise głośno nabrała tchu. Z miejsca, w którym stała, dostrzegła kosmyk ciemnych włosów, twarz i klatkę piersiową malca. Miał skórę koloru kawy z mlekiem.

Howard Houser spojrzał na to i musiał się oprzeć o ścianę, żeby nie upaść.

- Luis Delacroix - szepnął, wpatrując się w zawiniątko trzymane przez Livvy. - A to sukinsyn!

Max pochwycił spojrzenie matki, potem raptownie wstał i wyszedł na podwórze. Huknął drzwiami tak, że omal nie wypadły z futryny.

Przez czternaście godzin żeglowała wśród wizji wywołanych przez laudanum, aż wreszcie ocknęła się z uczuciem suchości w ustach i rozdzierającym lękiem. Przez dalsze pół godziny udawała, że śpi, i rozważała sytuację. Nie miała innego wyjścia, jak uznać, że zapędzono ją do rogu. Nie było to sprawiedliwe, ale należało się spodziewać, że cała wina spadnie na nią.

- Philadelphio? - rozległ się przy łóżku cichy głos Gilly. - Zbudziłaś się? Poczekaj, pomogę ci usiąść.

- Au! - Ból przeszył ciało Philadelphii. Wszystkie zeszywniałe, zastygłe mięśnie zaprotestowały przeciwko ruchowi. Widocznie była cała posiniaczona, a najbardziej bolały ją noga w kostce i nadgarstek. Tępy, bardzo przykry ból jeszcze przez kilka dni miał jej przypominać o przejściach poprzedniego dnia. - Czy możesz podać mi lusterko? Jest na toaletce.

Gilly spełniła tę prośbę, ale Philadelphia wcale nie była pewna, czy ma odwagę przejrzeć się w lusterku. Najpierw wypila więc szklanekę wody. Potem przygladziła włosy i ostrożnie obmacała palcami opuchliznę przy lewym oku.

Wreszcie uniosła lusterko i spojrzała. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Najgorzej wyglądała powieka, prawie czarna i o wiele bardziej spuchnięta, niż jej się wydało po badaniu palcami. Na czole od brwi aż do linii włosów miała głębokie rozcięcie, a większą część policzka zajmował imponujący siniak. Dzięki Bogu, nie wybiła sobie żadnego zęba i nawet nie złamała nosa, czego bardzo się obawiała. Krótko mówiąc, dopisało jej szczęście, tak jak zwykle.

Jej tętno powoli odzyskiwało normalny rytm. Nie była ciężko ranna i wiedziała, że wkrótce wyzdrowieje. A tymczasem siniakami, skaleczeniami, a przede wszystkim podbitym okiem mogła budzić współczucie.

Gilly usiadła przy niej.

- Kiedy poczujesz się na siłach... - Odchrząknęła i popatrzyła na swoje dłonie. - Wszyscy czekają, żeby z tobą porozmawiać.

- Chciałabym umyć zęby i wyszczotkować włosy.

- Zajmij się toaletą, a ja tymczasem przyniosę ci kawy. A może wolisz czekolady? Wolno ci zjeść grzanekę, ale poza tym treściwe jedzenie dopiero pojutrze. Wczoraj ugotowałam bulion. Może przynieść ci...

- Tylko gorącej czekolady. - Philadelphii nagle zaświtała nadzieja; Gilly plotła trzy po trzy w taki sposób, że zaczęła się zastanawiać, czy doktor Pope nie zachował jej sekretu dla siebie. - Dziecko umarło? - spytała ostrożnie, gdy szwagierka wstała.



- Tak. Masz tu szczoteczkę i proszek do zębów.

Niewiele się wyjaśniło.

- A doktor? Co powiedział o dziecku?

Gilly była już przy drzwiach, ale odwróciła się do niej. W jej oczach nie było współczucia.

- Wczoraj poroniłaś w siódmym miesiącu. Max nie był ojcem dziecka, które straciłaś - powiedziała chłodno i zamknęła za sobą drzwi.

Z Philadelphii uszło powietrze. Zacisnęła dłonie w pięści. Stało się najgorsze. Tak jak się obawiała, lekarz ją zdradził.

Najbardziej ją złościło, że równie dobrze mogła była sobie oszczędzić upadku ze schodów, skoro i tak wszystko wyszło na jaw. Znowu uniosła lusterko i dokładnie przyjrzała się rozcięciu na czole. Prawdopodobnie zostanie jej w tym miejscu blizna.

Ale były i dobre strony tego, co się stało. Mogła wreszcie przestać chodzić w tych bezkształtnych workach. A poza tym wszystkie plotkary, które rozpuściły języki i opowiadały o jej nagłym małżeństwie z Wallym, wkrótce zobaczą ją w mieście tak samo szczupłą jak kiedyś. Naturalnie będą szeptły, że straciła dziecko, ale plotkom kowbojów nikt nie daje wiary. Zresztą szeptły ucichną wraz z jej pierwszą wizytą w domu towarowym.

Wyszczotkowała włosy, ale ich nie spięła; ufryzowała je tak, żeby złocisty lok opadał na ramię. W ten sposób wyglądała młodziej i bardziej bezbronne.

Znowu obudził się w niej niepokój. Zaczęła rozmyślać, kto pojawi się u niej pierwszy. Gdy rozległo się pukanie, nerwowym ruchem schowała lusterko pod poduszkę.

- Proszę.

Max otworzył drzwi, ale nie wszedł do środka. Poranne światło nadawało jego twarzy wymizerowany wygląd. Wyraźnie było widać ciemne kręgi pod oczami, a wargi wydawały się blade. Mimo to Max wciąż ją pociągał jak żaden inny mężczyzna.

- Jedno słowo - zabrzmiał cichy, ochrypły głos. - Dlaczego?

Tego pytania się nie spodziewała, odpowiedź była wszak oczywista.

- Wszystko, co się stało, to twoja wina, Max. Błagałam cię, żebyś nie zostawiał mnie samej w lecie. Błagałam, żebyś został, ale nie chciałeś mnie słuchać. Nawet po tym, jak ci się oddałam, nie spełniłeś mojej prośby. - Na pewno rozumiał, że poświęciła swoją niewinność po to, by zatrzymać go w Fort Houser. Głęboko nią wstrząsnęło, że mimo to wyjechał. - Śmiertelnie mnie uraziłeś, czułam się osamotniona. Nie mogłam znieść tego, że chociaż mnie wykorzystałeś, w ogóle nie liczysz się z moimi pragnieniami. W lipcu był u nas przez dwa tygodnie syn znajomego ojca. - Jej oczy zabłyśły oskarżycielsko. - On zwracał na mnie uwagę.

Czekała, aż Max coś powie. Ale nie odezwał się, nie wspomniał ani słowem o ranach na jej twarzy. Wpatrywał się w nią tak, jakby była intrygującą, lecz obcą osobą, która nie budzi w nim żadnych uczuć.

Gdyby stała, z pewnością tupnęłaby nogą.

- Byłam wściekła, Max. Porzuciłeś mnie dla bandy oberwańców szukających złota. Straciłam przez ciebie mnóstwo przyjęć, na które by nas zaproszono, gdybyś nie wyjechał. Luis to rozumiał. Powiedział, że nigdy w życiu nie zachowałby się tak bezwzględnie i samolubnie w stosunku do przyszłej żony!

Ponieważ patrzyła mu w oczy i widziała, jak z każdą chwilą ich wyraz staje się coraz bardziej wrogi, pojęła, że postąpiła nierozsądnie, wspominając o Luisie. Wyczuwała też, że jej tłumaczenia nie wypadają dobrze, nie mogła jednak zrozumieć dlaczego.

Lekceważąco machnęła dłonią, przechyliła głowę i przesłała Maksowi smutny, wąty uśmiech dzielnej kobiety.

- Trudno, to już przeszłość. Wybaczam ci. W końcu ułożyło się jak najlepiej. Dziecko tylko komplikowało sprawy. Teraz sytuacja jest prostsza. Nie ma pośpiechu, nie ma ograniczeń w czasie. Oboje możemy się rozwieść, skończyć z niechcianymi małżeństwami i zacząć życie od początku. Ułożymy wszystko po swojemu.

Max patrzył na nią tak, jakby w ogóle nie rozumiał, o czym mowa. Zaczynał ją irytować takim zachowaniem.

- Max?

Bez słowa odwrócił się na pięcie. Chwilę później Philadelphia usłyszała skrzypienie jego butów na schodach.

Co tam, potrzebował czasu do namysłu, to wszystko. Najprawdopodobniej jeszcze nie czuł się odpowiedzialny za pchnięcie jej w ramiona Luisa. Ale to się musiało zmienić. Max był uczciwy i zawsze zależało mu na tym, żeby postępować tak, jak trzeba. W czasie jej rekonwalescencji na pewno dokładnie przemyśli to, co mu powiedziała, i dojrzejże do przeprosin. A potem będą mogli rozpocząć wspólne życie.

Przed następną wizytą miała chwilę na odpoczynek i mogła zrobić sobie przyjemność, kładąc dłonie na brzuchu. Wiedziała, że ani się obejrzy, jak odzyska dawną figurę.

- Pani Weaver przysłała ci przekąskę - powiedział ojciec, który wszedł bez pukania. Postawił tacę na stoliku przy łóżku.

Philadelphia poczuła miły zapach grzanki i gorącej czekolady.

- Czy możesz nalać mi filiżankę, tato? - spytała głosem małej dziewczynki.

Podobnie jak Max, jej ojciec sprawiał wrażenie człowieka, który ma za sobą bezsenność i nader przykrą noc. Był w tym samym ubraniu co poprzedniego dnia i nie zdążył się ogolić, co podsunęło jej przypuszczenie, że w ogóle nie pojechał do domu, lecz spędził noc na ranczu McCordów.

Podał jej filiżankę czekolady i ciężko usiadł na krześle zwolnionym przez Gilly.

- Nie wiem, od czego zacząć.

- Chciałam ci wszystko wyznać, ale nie mogłam. - To na pewno bolało go najbardziej. Że nie przyszła do niego ze swoimi kłopotami.

- To był Luis Delacroix - stwierdził tępo Howard. - Ten sukinsyn przyjechał do mnie w gościnę. Dwadzieścia lat znałem jego ojca.

- Wziął mnie siłą, tato. - Oczy jej się zaszkliły. W wyobraźni zobaczyła Luisa, a scena była tak plastyczna, jakby zdarzyła się naprawdę. - Opierałam się, ale...

- Naprawdę? - Zmęczone oczy ojca spoglądały na nią coraz chłodniej. - I nie krzyczałaś? Potem nikomu nie powiedziałaś o tym, co się stało? Owszem, jestem gotów przyjąć taką wersję, że Delacroix cię uwiódł, ale na pewno nie wbrew twojej woli. Już wcześniej byłaś z jednym mężczyzną, więc dobrze wiedziałaś, co się dzieje. Przecież sam widziałem, jak z nim flirtujesz, Philadelphio. Nawet pomyślałem, że jesteś jeszcze tak niewinna i nie zdajesz sobie sprawy z tego, co robisz. - Wydał pomruk obrzydzenia.

- Proszę, nie wiń mnie. - Łzy popłynęły z zapuchniętego oka Philadelphii. - To było tylko raz. Wypadek. Potem tak bardzo się wstydziłam i tak bardzo bałam. Nie wiedziałam, co robić.

- Skrzywdziłaś tyle osób. - Potarł świeży siwiejący zarost na szczęce i wyprostował plecy. - Naturalnie przeprosiłem Maksa i jego żonę. Bezwzględnie umożliwię im zatrudnienie ludzi do pomocy. A gdy wrócę do banku, odnotuję, że Maks spłacił pożyczkę, i zwrócę mu weksel. Powiedziałem mu też, że gdyby potrzebował pożyczki na dokupienie bydła, to niech proponuje swoje warunki. Może to choć trochę wynagrodzi mu tę... - Uniósł dłoń i z powrotem opuścił ją na kolano.

- Przeprosiłeś? Maksa i tamtą osobę? - Philadelphia nie wierzyła własnym uszom. - Może to nie on był... Ale to on mnie rzucił!

- Nie miałbym pretensji do Wally'ego, gdyby postanowił się z tobą rozwieść.

Żachnęła się i wlepiła wzrok w ojca. To ona zdecyduje o rozwodzie, a nie Wally.

- Jeśli Wally istotnie się z tobą rozwiedzie, kupię ci domek w Denver.

- Nie chcę jechać do Denver! Chcę zostać w Fort Houser. Tutaj mam dom!

Pokręcił głową.

- Jesteś moim jedynym dzieckiem, Philadelphio, dlatego myślę, że nasze rozstanie nie jest ostateczne. Ale przez dłuższy czas nie chcę cię widzieć na oczy ani z tobą rozmawiać. Może będziemy do siebie pisać listy. - Wstał z krzesła. - Pewnie będzie ci łatwiej dorosnąć i dojrzeć, jeśli nie będzie mnie w pobliżu, żebym rozwiązywał twoje problemy.

Zdumiona do granic możliwości, patrzyła, jak ojciec opuszcza pokój. Rozstają się? Czyżby chciał ją wypędzić z domu? Ale dlaczego? Zupełnie nie mogła tego zrozumieć.

Zanim doszła do jakichś wniosków, do pokoju wszedł Wally i stanął przy łóżku.

- Jak się czujesz?

Wreszcie ktoś pomyślał o tym, żeby spytać ją o zdrowie.

- Cała jestem obolała. - Ostrożnie dotknęła zapuchniętego oka.

- Przejdę od razu do rzeczy. - Wally przysunął krzesło bliżej łóżka i wziął ją za rękę.
- Twój ojciec złożył mi bardzo szczodłą propozycję. Mogę otworzyć nowy bank w Santa Fe.
- Och, proszę cię, Wally, nie mów dzisiaj o interesach.
- Tylko posłuchaj. Twój ojciec zapewni bankowi kapitał obrotowy, a nam zbuduje elegancki dom w pobliżu rynku. Będę miał dużą pensję i udział w zyskach. W przyszłości zostanę właścicielem tego banku.

Czy ojciec naprawdę ma zbudować ten dom dla nich? Czyżby sądził, że córka przeprowadzi się tysiące kilometrów od domu? Z Wallym?

- Ale jeśli nie chcesz - ciągnął, patrząc jej w oczy - to mogę się z tobą rozwieść, bo zawarłem małżeństwo, nie znając wszystkich okoliczności. Twój ojciec dał mi wyraźnie do zrozumienia, że jego propozycja dotycząca Santa Fe jest niezależna od tego, czy pozostaniemy małżeństwem.

No, za to będzie musiała ojcu wygarnąć od serca.

- Wszyscy dookoła zdają się sądzić, że powinienem się z tobą rozwieść. Ale przemyślałem to i nie chcę. Uważam, że możemy zacząć wszystko od początku. Oboje mamy szansę nauczyć się miłości. Naturalnie możesz tego nie chcieć, możesz domagać się, żebym zwrócił ci wolność. Wybór zostawiam w twoich rękach. Jeśli wolisz się rozwieść, to możesz jechać do Wyoming i wszcząć postępowanie. Ale możesz też jechać ze mną do Santa Fe i zacząć wszystko od początku.

To jasne, że wybór należał do niej. Zresztą już zdecydowała, co zrobią z Maksem.

- Gdybyś postanowiła wybrać Santa Fe, to musimy ustalić kilka nienaruszalnych zasad. Nigdy więcej nie będziemy rozmawiać o tym okresie w naszym życiu. Nie chcę wiedzieć, kim był ojciec twojego dziecka ani dlaczego go chciałaś. O przeszłości zapominamy.

Spojrzał na kciuk, którym głaskał ją po wierzchu dłoni.

- Przystaniemy spać w oddzielnych sypialniach. Będziemy zawsze razem jedli obiad. Dwa razy do roku będziemy odwiedzać twojego ojca i moją rodzinę, a rodzina zawsze będzie mile widziana w moim domu. Dotyczy to również mojego brata i jego żony, którą będziesz traktować z należnym szacunkiem.

- Czy masz jeszcze inne wymagania? - spytała zimno.

- Najprawdopodobniej będę miał. Jeśli nie umiesz się podporządkować kilku prostym zasadom albo ci to nie odpowiada, jedź do Wyoming. - Wzruszył ramionami i wlepił w nią wzrok. - Jesteś egoistką i myślisz tylko o sobie, Philadelphio. Intrygujesz i oszukujesz, kiedy sprzyja to twoim celom. Nie wiem, dlaczego wydaje mi się, że mogę cię pokochać, ani dlaczego traktuję cię jak ciekawe wyzwanie. Ale tak jest i nic na to nie poradzę.

- Nikt nie ma prawa tak do mnie mówić!

Wstał i spojrzał na nią z góry.

- Nie oczekuję od ciebie natychmiastowej odpowiedzi. Do Santa Fe wyjeżdżam dopiero w końcu miesiąca. Do tej pory masz czas do namysłu, jak chcesz postąpić.

- Mogę ci powiedzieć od razu!

- Nie chcę teraz niczego słyszeć. Chcę, żebyś wszystko dobrze przemyślała i była pewna swojej decyzji. Z mojego punktu widzenia musisz wybrać między uczynieniem naszego małżeństwa prawdziwym związkiem a narażeniem się na skandal, jakim jest rozwód.

Słowo „skandal” skłoniło ją do zastanowienia. Naturalnie Wally miał rację. Rozwód ostatecznie zniszczyłby jej reputację, jeśli jeszcze cokolwiek z niej zostało. Wprawdzie nie mogła pozostać w Fort Houser, ale to nie miało znaczenia. Ona i Maks mogli zamieszkać gdzie indziej.

Po wyjściu Wally'ego nikt już nie przyszedł z nią posiedzieć. Gdy natężyła słuch, dolatywały do niej strzępki rozmowy prowadzonej w kuchni, ale słów nie mogła rozróżnić. Prawdopodobnie rozmawiali o niej. Krytykowali ją. Obciążali winą za wszystko, co się stało.

Po jej policzku potoczyła się najprawdziwsza łza, potem następna. Przecież nie miała wyboru. Każdy na jej miejscu postąpiłby tak jak ona.

Max to zrozumie. Potrzebuje tylko trochę czasu.

scandalous

Louise wydawało się, że Maksowi kamień spadł z serca. Już dawno nie szedł tak lekkim i sprężystym krokiem. Stał się zupełnie innym człowiekiem. Przez ostatnie dwa tygodnie rano pogwizdywał w drodze do obory. Wydawał się mniej zamyślony i nie tracił cierpliwości do nowych kowbojów nawet wtedy, gdy Louise wydawało się, że powinien.

Gdy spytała go, dlaczego rano nie zrugał Merdocka, gdy ten zasnął, Max tylko wzruszył ramionami i wyjaśnił, że jeszcze nie nacieszył się powrotem kowbojów i nie przeszkadza mu nawet to, że Merdock późno zaczyna pracę. Oboje wybuchnęli śmiechem i uznali, że to się wkrótce zmieni, tymczasem jednak Max dziękował Bogu, że barak dla pomocników znowu ma mieszkańców. I dziękował Bogu również za to, że Louise nie musi już harować jak najemny kowboj.

Łzy napłynęły jej do oczu i musiała szybko wyjść z pokoju, zrozumiała bowiem, co mówi Max. Już jej nie potrzebował. A ponieważ sprawa dziecka Philadelphii znalazła rozwiązanie, otworzyły się przed nim stare drzwi. Można było na nowo wszystko planować.

Nastał dla niej czas wyjazdu.

Chociaż teraz wydawało jej się to głupie, musiała przyznać, że przez pewien czas nawet miała nadzieję na wygaśnięcie, umowy łączącej ją z Maksem. Mogliby po prostu zachować się tak, jakby jej nie było. Potrafili znaleźć wspólny język. Podzielili między siebie pracę w sposób, który odpowiadał im obojgu. Co więcej, Louise stwierdziła ku swemu rozbawieniu, że wbrew swoim zamiarom stała się najprawdziwszą żoną i w sekrecie cieszy się tym, że może dbać o męża i gospodarstwo.

No, i były też wieczory. Uwielbiała te chwile, kiedy siedząc ramię w ramię, czytali w łóżku i dzielili się fragmentami powieści Maksa albo jej śpiewnika. To wtedy rozmawiali o ważnych sprawach, o zdarzeniach i uczuciach, których nie odkryliby przed nikim innym. Wtedy Max wyciągał do niej ramiona, poddzierał koszulę nocną i całował Louise w zapamiętaniu, póki, oszołomiona pieszczotami, nie stawała się jednym wielkim pragnieniem.

Ale rzeczywistość otrzeźwiła ją w dniu porodu Philadelphii. Louise popatrzyła Maksowi w oczy i zobaczyła w nich kobietę, którą kochał. To nie była ona. Pamiętała groźby Philadelphii, która chciała jej odebrać Maksa. Niestety, Philadelphia miała do tego podstawy.

O Boże, znowu się popłakała. A tymczasem lada chwila miała przyjść Gilly. Zdawało jej się nawet, że widziała ją, wjeżdżającą przez bramę, naturalnie jednak szwagierka nie skierowałaby się od razu do obory. To najprawdopodobniej Livvy przyjechała porozmawiać z Maksem.



Tego dnia miały wybrać się z Gilly do miasta po urodzinowe prezenty dla Sunshine. Ustalono, że mała powinna dostać przynajmniej dwa podarki ze sklepu. Może na przykład tamborek, może nowe niedzielne trzewiczki...

- Louise?

- Chodź, chodź! - Chwyciwszy ścierkę do naczyń, Louise otarła oczy i zawołała w stronę frontowych drzwi: - Jestem w kuchni!

Gilly wpadła do kuchni, ciągnąc za sobą smugę chłodnego, rześkiego powietrza i delikatny aromat werbeny. Stała przy kuchni, na której posykiwał i bulgotał dzbanek z kawą.

- Mama zajęła się Sunshine, więc mamy dzisiaj wolne, możemy zaszaleć. - Uśmiechnęła się. - Twój wóz stoi gotowy przed domem, ale nie sądzę, by konie miały coś przeciwko chwili zwłoki, żebyśmy mogły napić się kawy.

- Max obiecał zaprząć konie, ale nie wiedziałam, że tak się pospieszył.

- Louise! Ty płaczesz?

- Nie.

Gilly przyjrzała się jej uważnie.

- Płaczesz! - Nagle wykwitł jej uśmiech na twarzy. - I wiem dlaczego, jeśli moje podejrzenia się sprawdzą. Pozwól, że ci się dobrze przyjrzę.

Gilly pociągnęła ją za rękę, a gdy Louise wstała, wbiła wzrok w jej talię, a potem przez chwilę przyglądała się załzawionej twarzy szwagierki. Wreszcie znowu promiennie się uśmiechnęła.

- Wielkie nieba! Mama będzie taka szczęśliwa! Ja też się cieszę! - Mocno uściskała Louise. - Kiedy masz urodzić? Czy Max już o tym wie?

- O Boże, to widać? - Usiadła przy stole i przytknęła ścierkę do oczu. Jeśli Gilly się zorientowała, to nie mogła dłużej ukrywać tego przed Makssem. A to znaczyło...

- Pewnie, że tak - odrzekła Gilly ze śmiechem. - Łzy zawsze zdradza, zwłaszcza tak silną kobietę jak ty.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje. Wcale nie czuję się silna. Bez przerwy chce mi się płakać! - Nowa struga łez pociekła po policzkach Louise, gdy pomyślała o tym, że już nigdy więcej nie zobaczy Gilly. Ani Sunshine. Ani Livvy. O Maksie nie mogła nawet pomyśleć. Ilekroć wyobrażała sobie, jak mówi mu, że zgodnie z umową odchodzi, cierpiała tak niewyobrażalne katusze, że w końcu obiecywała sobie poczekać z tym jeszcze do następnego dnia.

- Nie chciałam nic mówić Maksowi...

- Póki karmiłaś bydło - domyśliła się Gilly. Westchnęła. - Tak to jest w dobrym małżeństwie. Kobieta chce pomóc swojemu mężczyźnie, a on chce chronić swoją kobietę. Gdyby Max wiedział, że jesteś przy nadziei, za nic nie pozwoliłby ci tak harować przy bydle, nawet gdyby miało paść całe stado.

Dobre małżeństwo. O Boże, znowu nie mogła zapanować nad łzami.

- Nie mogę rozmawiać o Maksie. Od tego też chce mi się płakać. - Louise wydmuchała nos w chustkę i otarła oczy ścierką do naczyń. - Wezmę kapelusz i jakieś okrycie, pójdziemy do obory i powiemy mu, że jedziemy do miasta. Gilly, proszę cię, obiecaj mi, że nie będziemy dzisiaj mówić o Philadelphii.

Gilly uniosła brwi.

- Niepokoisz się z jej powodu, co? Och, Louise. Gdyby Max ożenił się z Philadelphią, to byłaby całkowita klęska. Założę się zresztą, że on już od dawna o tym wie.

Louise bardzo chciała uwierzyć w te beztrąsko rzucone słowa, ale nie mogła. Nie ma dymu bez ognia. A między Maksem i Philadelphią wiele się działo. Ponadto słyszała, jak pan Houser mówił do Wally'ego, że nie miałby do niego pretensji, gdyby rozwiódł się z jego córką. Przemyślała sprawę i doszła do wniosku, że to Philadelphia będzie chciała się rozwieść. Na pewno pojedzie do Wyoming tak szybko, jak tylko odzyska siły. A Max razem z nią.

Bo teraz na drodze między Philadelphią i Maksem stała już tylko ona, Louise. Gdyby nie ona, mogliby być razem, tak jak zawsze chcieli.

- Jeśli jesteś choć odrobinę zazdrosna o Philadelphię, to po prostu głupio myślisz - dodała Gilly, gdy wyszły z domu i zbliżały się do obory.

Louise tak bardzo chciała jej uwierzyć. Nawet łudziła się wątłą nadzieją i starała nie dostrzegać tego, co rzucało jej się w oczy na każdym kroku.

Ale gdy były już blisko wrót obory i mogły zajrzeć do środka, gwałtownie przystanąły. Tuż przy drzwiach zobaczyły Maksa, który trzymał w objęciach Philadelphię. Pochylił głowę i pocałował ją.

Tego było dla Louise za wiele. Wpiła palce w ramię szwagierki i wydała zduszony jęk.

Potem odwróciła się na pięcie i na oślep pobiegła z powrotem do domu.

Mężczyźni w oborze spojrzeli ku wrotom i natychmiast przestali być widoczni niczym płatki śniegu owione ciepłym podmuchem. Zaintrygowany Max wyprostował się i przerwał wygarnianie gnoju z boksu, żeby sprawdzić, co skłoniło kowbojów do nagłej rejterady.

W smudze słońca tuż za drzwiami stała Philadelphia. Spod krótkiej pelerynki wyglądał jej ciemny kostium jeździecki, podkreślający kształt piersi i zwężający się w talii. Burzę złocistych loków wieńczył figlarny kapelusik z piórem.

- Max? - Zajrzała do obory, ale nie wyszła poza jasny prostokąt.

Wolno odłożył łopatę, rzucił rękawice w siano i podszedł do niej. Słońce igrające w jej włosach i otaczające ją aureolą czyniło z niej eteryczny twór wyobraźni, zbyt doskonały, by mógł być prawdziwy.

Przystanął dwa metry od niej, wcisnął rękę do kieszeni i ujął zieloną kulkę. Nie był już tym samym człowiekiem co wtedy w Piney Creek. I kulka też nabrała innego znaczenia.

- Czekałam, aż przyjedziesz do matki - odezwała się Philadelphia i zrobiła nadaśaną minę. - A potem zrozumiałam, że tamta osoba na pewno cię tu zatrzymuje. Dlatego sama przyjechałam do ciebie.

Gdyby nie zielona kulka, ożeniłby się z tą kobietą.

- W przyszłym tygodniu wyjeżdżam do Fort Laramie. Chcę wiedzieć, kiedy do mnie przyjedziesz.

Wyraźnie sądziła, że nic się między nimi nie zmieniło. W jej minie ani w oczach nie było cienia niepewności.

- Nigdzie nie jadę - odparł cicho. Kiedyś Philadelphia była dla niego ważna. Kiedyś ją przytulał i zdawało mu się, że ją kocha.

- Nie żartuj, dosyć się nacierpiałam. Mój ojciec rozmawia ze mną wyłącznie za pośrednictwem adwokata. Pojutrze Wally wyjeżdża do Santa Fe. Twoja matka prawie się do mnie nie odzywa, a dwa razy była dla mnie po prostu niegrzeczna. Gilly mnie unika. Nie odwiedzają mnie przyjaciółki ani znajome. Potrzebuję cię.

- Nie potrzebujesz mnie, Philadelphio. Cokolwiek było między nami, dawno się skończyło. - Tak naprawdę nigdy się nie potrzebowali, nigdy się nie rozumieli. - Gdybyśmy wzięli ślub, oboje popełnilibyśmy gruby błąd.

- Nie wiem, jak możesz coś takiego mówić. Mylisz się. Kocham cię, Max. A ty kochasz mnie.

- To jest podwójne złudzenie.

Zatrzymała wzrok gdzieś za jego plecami, a potem zbliżyła się do Maksa i ujęła jego twarz w dłoń.

- Pocałuj mnie i wtedy powiedz, że mnie nie kochasz. Jeśli będziesz umiał.

Zanim zamknęła oczy, zobaczył w nich jeszcze wyraz niezbitej pewności. Potem zarzuciła mu ramiona na szyję. Przyciągnęła jego głowę i wspięła się na palce.

- I nic. - Tak jak przewidywał, nie poczuł absolutnie nic. Położył dłonie na talii Philadelphii i zdecydowanie odsunął ją od siebie.

- Wracaj do domu - powiedział cicho. - Masz dobrego męża, który chce cię kochać. Wierzę, że możecie być z Wallym szczęśliwi, ale musisz dać szansę i jemu, i waszemu małżeństwu.

- Nie chcę Wally'ego. Jak myślisz, dlaczego jestem gotowa znieść następny skandal, tym razem z powodu rozwodu? Tylko dlatego, że chcę ciebie! - Tupnęła nogą, oczy jej zabłysły.

Omal nie uśmiechnął się pod nosem, poznał już bowiem Philadelphię na tyle, by wiedzieć, że jeśli zrozumie, iż nie ma co liczyć na jego towarzystwo w Fort Laramie, będzie

wolała zostać z Wallym niż narazić się na następny skandal. Przy odrobinie szczęścia małżeństwo mogło im się ułożyć całkiem dobrze, może nawet będą szczęśliwi.

- Posłuchaj mnie - rzekł, kładąc ręce na ramionach Philadelphii i patrząc jej prosto w oczy. Nie było sposobu, żeby ogłędnie wyrazić prawdę, ale mógł przynajmniej zachować łagodny ton. - Nie kocham cię, Philadelphio, i nie chcę cię poślubić. Kocham Louise. - Dotknął jej policzka czubkami palców. - Louise jest dla mnie prawdziwym darem losu i nie ma dnia, żebym nie dziękował Bogu za to błogosławieństwo. Mam nadzieję, że któregoś dnia będziesz mogła powiedzieć to samo o Wallym.

Szarpnęła się do tyłu, jakby ją uderzył.

- Chcesz mi powiedzieć, że kochasz tamtą osobę?

- Z całego serca - odparł prosto. Wiedział to już od dość dawna, ale pierwszy raz sprawdził, że może o tym mówić. Na wargach zaigrał mu uśmiech. Teraz, gdy wreszcie przeszło mu to przez gardło, miał ochotę wykrzyknąć to samo z dachu stodoły.

- Nie mogę uwierzyć! Radzisz mi, żebym pozostała żoną twojego brata?!

- Nie mam prawa ci radzić, zresztą to nie moja sprawa, co postanowisz. Ale... czy naprawdę chcesz zrezygnować z człowieka, który cię kocha, i znosić zamiast tego wstyd rozwodu?

- Nie chcę zostać z Wallym. On się zmienił. Już nie jest tak łatwo go do czegoś namówić jak przedtem.

Widząc jej minę, Max się uśmiechnął.

- To znaczy, że jest właśnie takim mężczyzną, jakiego potrzebujesz. - Opuściły go ostatnie wątpliwości. Philadelphia na pewno pojedzie z Wallym do Santa Fe. A Wally będzie dla niej wyzwaniem, którego potrzebowała, choć nie umiała się do tego przyznać. Będzie to trudny związek, nieustanna walka o władzę. Ale podejrzewał, że i dla brata, i dla Philadelphii będzie to ciekawe i podniecające.

Ujął ją za rękę, żeby jak najszybciej sobie poszła. Zamierzał odprowadzić ją do miejsca, gdzie zostawiła konia. Odwrócił się do wrót i...

- Gilly! - Natychmiast zorientował się, że siostra widziała i słyszała większość z tego, co zaszło w ciągu ostatnich minut. A na pewno nie przyszła do obory sama. Z marsową miną spojrzał w stronę domu.

- Już myślałam, Max, że całkiem zgłupiałeś. - Gilly zmierzyła Philadelphię pogardliwym spojrzeniem. - A ty śmiesz oceniać Louise! Ty w ogóle nie masz poczucia przyzwoitości!

- Gdzie ona jest? - Żołądek podszedł Maksowi do gardła, dłonie same zacisnęły się w pięści. Wiedział, co żona pomyślała, jeśli zobaczyła Philadelphię w jego ramionach. Do diabła!

- W tej chwili prawdopodobnie już w drodze do Denver.

Puścił się biegiem w stronę domu. Louise musiała zrozumieć, że pocałunek Philadelphii nic dla niego nie znaczył.

Ogarnęło go przerażenie. Niech to szlag trafi, nie powiedział jej, że ją kocha. Czekał, aż ona powie mu to pierwsza; był zbyt dumny, by bez tego zdradzić swoje uczucia.

Łudził się jednak, że Louise to wie. Owszem, wpadła w złość, gdy zobaczyła, jak Philadelphia go całuje, poczuła się urażona, ale chyba nie zostawi go ot tak. Chyba da mu szansę wytłumaczenia, co się stało.

Szybko przeszedł przez komórkę i zajrzał do salonu. Serce mu zamarło.

Na kominku nie było srebrnej łyżki. Louise odjechała na zawsze.

Na głupotę nie ma lekarstwa. Zdażyła zapomnieć, ile prawdy kryje się w tym przysłowiu. Klnąc pod nosem, otarła wierzchem dłoni łzy z policzków.

Popędziła konie, zbyt wzburzona, by zastanawiać się nad tym, jak powozi nimi po zaśnieżonej, pokrytej lodem drodze. Postanowiła jechać do Denver. W torebce miała dość pieniędzy, by wynająć pokój na jedną noc. Do jutra się wypłacze i wtedy postanowi co dalej. Nie miała pojęcia, jak żyją ludzie, którzy stracili serce i już go nie mają.

Konie przemknęły galopem obok zabudowań na obrzeżach Fort Houser. Louise zrobiła daszek z dłoni.

Jak mogła być taka głupia? Przecież wiedziała, że Max pragnie Philadelphii. Zawsze pragnął. Czy sama nie mówiła sobie tego nie dalej jak godzinę temu?

A jednak nie chciała uwierzyć w to, co sama zobaczyła w dniu, gdy Philadelphia rodziła dziecko. W uczucie wyzierające z oczu Maksa. Chciała, żeby Gilly przekonała ją, że Max już nie myśli o byłej narzeczonej, nie tęskni za nią, nie żałuje niedoszłego małżeństwa. Nie, nie Gilly. Chciała, żeby to Max ją o tym przekonał. Ale w głębi serca znała jego uczucia. Zawsze była tylko zawadą, stojącą na drodze między nim a Philadelfią.

Koniec z tym. Zaszyje się gdzieś w Denver. Albo wybierze pieniądze z banku i pojedzie pociągiem na zachód, nad ocean. Kupi sobie domek i spędzi życie, wychowując dziecko i próbując zapomnieć o smukłym, wysokim ranczerze ze śladami ospy na twarzy i błękitnym spojrzeniem, które zawsze budziło w niej dreszcz. Max pozostanie najlepszą częścią jej życia. Będzie go widziała w każdym niebieskookim mężczyźnie. A przede wszystkim w twarzy ich dziecka.

- Głupia jesteś - szepnęła, smagając wodzami po grzbietach koni. Sama była sobie winna, że teraz wszystko w niej umierało. Zapomniała, kim jest, i oto skutek.

Pozwoliła, by luksus spania na materacu i jedzenia trzech ciepłych posiłków dziennie uspił jej czujność. Pozwoliła się uwieść radości prowadzenia domu. Nawet nadała imiona kurczętom. Jak mogła być tak głupia? Potwornie głupia. Tak beznadziejnie głupia, że pokochała rodzinę Maksa i próbowała myśleć o niej jak o własnej. Gdy teraz uświadamiała

sobie, że już nigdy nie zobaczy ani Livvy, ani Gilly, ani Sunshine, serce pękało jej z rozpaczy.

Ale najgorsze, najbardziej nierozsądne i najbardziej beznadziejne było to, że zakochała się bez pamięci w Maksie McCordzie.

Była bez szans. Ta miłość nie miała przyszłości od samego początku. Louise wiedziała, że nigdy nie zostanie damą podobną do Philadelphii. Nigdy nie mogła zostać nawet prawdziwą panią McCord, bo to też nie była ona.

Ona, to znaczy Low Down. Przegrana, nienadająca się do niczego, niewarta funta kłaków kobieta, która tylko niepotrzebnie zajmuje miejsce na tej ziemi. Low Down i nic więcej.

Oczy piekły ją od łez, w klatce piersiowej czuła rozdzierający ból. Zapomniała, kim jest, zapomniała, że imię i natura często idą w parze. W jej przypadku z pewnością tak było. Tak bardzo jednak chciała zostać kimś innym. Tak bardzo tęskniła do bycia panią McCord. Gdy zwracano się do niej w ten sposób, cała pęczniała z dumy.

- Louise!

Zamrugała, bo prawie nic nie widziała przez mgłę łez, a wydało jej się nagle, że usłyszała głos Maksa. A potem wołanie rozległo się drugi raz i gdy odwróciła głowę, ujrzała go pędzącego na złamanie karku obok wozu.

- Idź do diabła! - Nie wiedziała, co Max tu robi, ale bardzo jej się nie podobał ten pościg. Wolalaby rozstać się z nim bez pożegnań.

- Zatrzymaj konie, Louise! Pędzisz jak szalona!

- Mogę tylko powiedzieć ci „żegnaj”! - odskrzyknęła. - Wracaj do domu!

- Nie całowałem Philadelphii, to ona mnie całowała. - Marva Lee z powiewającą grzywą wysforowała się nieco przed kozioł wozu. Louise zobaczyła wyciągnięty ogon klaczy. Max przytrzymał jedną ręką kapelusz, a drugą ścisnął wodze. Za nim łopotała peleryna. - Napadła mnie znienacka. Rzuciła się na mnie. Nie chciałem, żeby mnie całowała, i wcale o to nie prosiłem. A najważniejsze, że nie sprawiło mi to przyjemności.

Czyżby sądził, że jest aż taka głupia?

- Nie obchodzi mnie, kto kogo całował. Faktem jest, że się całowaliście! - odskrzyknęła Louise walcząc ze łzami i usiłując utrzymać konie w ryzach. - Po mojemu było ci całkiem przyjemnie. Ale co tam, możesz mieć swoją Philadelphię. Mnie to nie obchodzi. I tak już na mnie czas.

Zerknął na zaprzęg tak, jakby zaświtał mu jakiś głupi pomysł. Może zastanawiał się, czy nie zeskoczyć na ziemię i nie spróbować zatrzymać koni. Ale nie. Tylko odrobinę zwolnił i Marva Lee znowu znalazła się na wysokości kozła.

- Nie możesz wyjechać. A teraz musisz powściągnąć konie i stanąć. Nakładam na ciebie areszt.

- Co takiego?



- Aresztuję cię. Ukradłaś mój wóz i konie.

Początkowo myślała, że się przesłyszała. Naturalnie było to możliwe, bo turkot kół wozu i skrzypienie upręży bardzo przeszkadzały w rozmowie. Po chwili zrozumiała jednak, że Max ma rację. Wzięła bez jego pozwolenia wóz i konie.

- Przyślę ci zapłatę z Denver.

Gnał pochylony nad karkiem Marvy Lee, z głową odwróconą w stronę Louise, i mierzył ją gniewnym spojrzeniem.

- Jeśli nie wziąłem od ciebie pieniędzy na ratowanie rancza, to dlaczego uważasz, że zrobię to teraz? Przekonałem się na własnej skórze, jak skończyło się dla ojca branie pieniędzy od matki. Nigdy w życiu nie wezmę od ciebie ani centa!

Wytrzeszczyła na niego oczy. Oto prawdziwy powód, dla którego nie chciał przyjąć jej propozycji, wcale nie chodziło mu o to, żeby się z nią nie wiązać. Po prostu nie chciał skończyć tak samo jak jego ojciec, zawistnie spoglądający na żonę, która miała pieniądze, podczas gdy on ich nie miał. Nagle wydało jej się to całkiem oczywiste. Jakie inne omyłki jeszcze popełniła?

- Louise, zwolnij, zanim skręcimy kark. Musimy porozmawiać!

W chwili gdy to krzyknął, Louise poczuła, że tylne koła wozu wpadają w poślizg na pochyłości. Była dostatecznie doświadczona, by uchronić wóz przed wywrotką i doprowadzić go z powrotem do pionu, ale straciła przy tym równowagę. Wóz raptownie podskoczył i wyrzucił ją z kozła. Z łoskotem upadła na lód i potoczyła się w śnieżną zaspę.

Max zeskoczył z Marvy Lee, zanim jeszcze zrozumiał, co się stało. W okamgnieniu znalazł się przy Louise i zaczął ją wyciągać z zasy. Oparł ją o pagórek i przesunął dłońmi po jej karku, ramionach i klatce piersiowej, żeby się przekonać, czy wszystkie kości są całe. Kiedy poddarł jej spódnicę i zaczął sprawdzać, czy nie złamała nogi, ze złością odepchnęła jego rękę, z powrotem obsunęła spódnicę i próbowała się usunąć poza zasięg jego ramion.

- Masz, usiądź na mojej pelerynie - zaproponował. - Czy coś ci się stało?

- Nie. - Pewnie miała niejedyn siniak, ale ranna nie była. Tylko podarła sobie spódnicę i zgubiła kapelusz.

- To cud, że w ogóle żyjesz. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak niefrasobliwie powoził!

Louise rozejrzała się oszołomiona.

- Gdzie są konie?

- Pewnie już blisko Denver. Potem pošlemy kogoś, żeby ich poszukał. Tymczasem mamy parę spraw do omówienia. - Usiadł na śniegu naprzeciwko niej i próbował wziąć ją za rękę, ale mu się nie udało. Natychmiast cofnęła dłoń.

Musiała zapomnieć o dumie i poprosić Maksa, żeby zawiózł ją do hotelu w Fort Houser. Niech to diabli!

- Wiem, co chcesz powiedzieć - odezwała się, unosząc rękę, żeby nie dopuścić go do głosu. - Jesteś dobrym człowiekiem, zaprzyjaźniliśmy się przez te miesiące, więc chcesz mi ułatwić rozstanie. Doceniam to, ale sama wiem, co widziałam, i wiem, co czujesz. - Wbiła wzrok w ziemię.

- Nie wiesz.

- A jeśli jesteś na mnie zły, że odjechałam jak szalona... Trudno, przepraszam. To było tchórzostwo. Wcale nie myślałam o tym, że kradnę twój wóz i twoje konie. - Popatrzyła mu w oczy. - Ale czas już, żebyśmy się rozstali, Max. I tak mieszkalam u ciebie za długo, żebym była mile widzianym gościem.

- Louise, posłuchaj mnie dobrze. Nie dbam o Philadelfię. Ona nic mnie nie obchodzi. Cokolwiek do niej czułem, umarło dawno, dawno temu.

- Nie okłamywaliśmy się dotąd, nie zaczynajmy tego robić dzisiaj. Widziałam twoją twarz, kiedy ona rodziła dziecko. To mi wystarczy za wszystkie słowa. - Nie znosiła tamtego wspomnienia. - Byłeś ledwie żywy, tak się o nią martwiłeś, i zrozpaczony, gdy się dowiedziałeś, że była z innym mężczyzną.

- Pewnie, że się martwiłem. A ty nie? Wszyscy się martwili. Wcale nie chciałem, żeby Philadelphia umarła. Co do rozpacy, owszem, naprawdę mną wstrząsnęło, że była z innym mężczyzną. Czegoś takiego się nie spodziewałem i to mnie doprowadziło do furii. Mnie przez cały czas dręczyły wyrzuty sumienia, że zdradzam Philadelfię, że dzielę łożę z żoną, z tobą. A ona zdradziła mnie znacznie wcześniej. - Siedział na piętach w śniegu i patrzył Louise w oczy. - Możesz nazwać to dumą albo głupotą, ale rzecz jasna byłem wściekły, że Philadelphia zaszła w ciążę z innym mężczyzną. W każdym razie to nie miało nic wspólnego z tobą, Louise.

Siedziała w śniegu na poboczu drogi i zupełnie nie zwracała uwagi na zimno. To było do niej podobne. Zawsze myślała tylko o szczęściu innych, więc bez wahania uciekła z rancza, żeby mógł być z Philadelphia. Chociaż często robiła mnóstwo szumu, chociaż czasem była gotowa tłuc wszystkich i wszystko jak popadnie, nie miała w sobie ani krzty egoizmu.

- Kocham cię, Louise. Bywa, że doprowadzasz mnie do furii, tak jak na przykład teraz, to przyznaję, ale mimo wszystko cię kocham.

Spojrzała na niego zdumiona i mocno zacisnęła dłonie na kolanach.

- Gdybyś nie uciekła, gdybyś została na ranczu jeszcze kilka minut, usłyszałybyś, jak wysyłam Philadelfię do domu. Usłyszałybyś, jak mówię jej, że kocham cię z całego serca i że jesteś dla mnie darem niebios.

- Powiedziałeś coś takiego Philadelphii? - Louise była coraz bardziej zdumiona. - Do diabła, Max! Powinam ci spuścić tęgie lanie. Dlaczego powiedziałeś to wszystko jej, a nie mnie?

- Miałem powiedzieć tobie. Zbierałem się do tego. - Odchrząknął i zrobiło mu się trochę żal, że nie jest ładnie uczesany i że siedzą w śniegu przy drodze. Nie były to idealne warunki do wyznań. - Pani McCord, kocham panią. - No, początek zrobiony. - Sam się zastanawiam, kiedy zrozumiałem, że podbiłaś moje serce.

Patrzyła na niego z tak dziwną miną, że aż się zląkł. A jeśli ona go nie kocha? Jeżeli uciekła nie z powodu tego nieporozumienia w oborze, lecz dlatego, że się nim zmęczyła i już nie chciała być jego żoną? W takim przypadku musiałby teraz zabiegać o jej względy i ją zdobyć.

- Myślę, że zakochałem się w tobie tego wieczoru, który spędziliśmy na podłodze w kuchni. A może wtedy, kiedy nastawiałaś mi rękę. - Ostrożnie sięgnął po jej dłoń. Wprawdzie Louise spojrzała na niego bykiem, lecz na szczęście pozwoliła się dotknąć. - A może wtedy, kiedy całowałem cię pod jemiolą. Nie wiem, teraz nie mogę uwierzyć, że był taki czas, kiedy cię nie kochałem.

Ujął jej dłonie.

- Nie zostawiaj mnie, Louise, potrzebuję cię. Nie przeżyłbym tego, gdybym cię stracił. Popatrz, otwieram przed tobą serce. Mówię, że cię kocham, że ta miłość jest dla mnie wszystkim. Wierzę, że będziemy razem bardzo szczęśliwi. Już jesteśmy. Zapomnijmy o tej umowie, którą zawarliśmy, zanim się poznaliśmy. Chcę, żebyś była ze mną zawsze. - Westchnął i spojrział na nią nieco rozdrażniony. - Czy przerwiesz mi wreszcie tę przemowę i powiesz, że też mnie kochasz? Czy wolisz dalej mnie torturować trzymaniem w niepewności?

- Mam zły charakter, Max, i jestem wściekle uparta. Nigdy nie będę damą. Wątpię, czy kiedykolwiek zdarzy mi się zaprosić gości na popołudniową herbatkę albo iść do ludzi na przyjęcie. Nie mam pojęcia o modzie i nigdy nie będę piękna.

- Co ty mówisz? - Zmarszczył czoło. - Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką znam. Jak to możliwe, że tego nie wiesz? - Kiedy stanęła przed nim naga niczym młoda Wenus, odebrało mu głos z zachwyty. A gdy uśmiechała się do niego w łóżku, blask jej pięknych oczu zapierał mu dech w piersiach. Powiedział jej o tym wszystkim. - I usta też masz piękne, jakby stworzone do tego, żeby się śmiały i całowały.

Louise popatrzyła na niego dość nieufnie, a potem na jej twarzy odmalował się wyraz zdumienia.

- Wielki Boże, ty naprawdę w to wierzysz! Naprawdę zdaje ci się... Och, Max. Jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który uważa, że jestem piękna! - Do oczu napłynęła jej nowa fala łez. - Kocham cię za to. Kocham cię bardzo, bardziej niż bardzo!

Zarzuciła mu ramiona na szyję i przewróciła w śnieg. Leżąc na nim, pięknie się do niego uśmiechnęła.

- Chyba jednak cię nie zostawię.

- To dobrze. - Gdyby ktokolwiek nadjechał i zobaczył ich w tej sytuacji, wybuchłby skandal nad skandale. Ale Maksa to nie obchodziło. Objął Louise i całowali się i całowali, póki nie zabrakło im tchu.

- Przez całe życie marzyłam o tym, żeby ktoś pomyślał, że jestem ładna - szepnęła.

Czyżby kiedykolwiek zdawało mu się inaczej? Jeśli nawet tak, to tego nie pamiętał. Czule całował żonę i nie myślał o niczym innym.

- Moje życie nie miałoby żadnego znaczenia, gdybyś nie chciała go ze mną dzielić. Nie byłoby sensu rano wstawać, gdybym nie wiedział, że słońce będzie świecić światłem twojego uśmiechu.

- Och, Max. Jakie piękne słowa są w tobie. - Objęła go i przytuliła nos do jego szyi, żeby poczuć znajomy zapach. - Czy któregoś dnia mógłbyś napisać do mnie taki cudowny list?

- Napiszę do ciebie sto listów.

Dość długo jeszcze całowali się i szeptali sobie czułości. Ody wreszcie Max poczuł, że może myśleć już tylko o tym, jak bardzo pragnie Louise, pomógł jej wstać i mocno ja objął.

- Wiesz, co mi przyszło do głowy? - odezwał się schrypniętym głosem. - Daj mi swoją srebrną łyżkę. Umieszczę ją w gablotce razem z moją zieloną kulką. - Namiętnie pocałował Louise, wiedząc, że pozostało jeszcze wiele do powiedzenia, że rozmów nigdy nie będą mieli dość. Co zaś najważniejsze, wiedział, że ta niezwykła kobieta jest jego. - Któregoś dnia nasze wnuki spytają, dlaczego oprawiliśmy w szkło starą łyżkę i podrapaną zieloną kulkę i dlaczego pokazujemy je na honorowym miejscu. - Ujął jej twarz w dłonie. - A ja im powiem, że ta łyżka i kulka to najbardziej wartościowe przedmioty, jakie kiedykolwiek mieliśmy.

Louise spojrzała na niego z zachwytem; oczy lśniły jej blaskiem, który zdawał się promieniować prosto z serca.

- Muszę ci coś powiedzieć.

- Czy nie możesz poczekać, aż dojedziemy do domu? W tej chwili myślę tylko o tym, że chciałbym znaleźć się z tobą w łóżku i pokazać ci, jak cię kocham.

- Moja nowina może poczekać - szepnęła, nie odrywając od niego spojrzenia pełnego miłości.

Max wskoczył na siodło, a potem pomógł jej zająć miejsce za jego plecami. Louise mocno objęła go w pół i odwróciła wzrok ku dalekim góróm.

Od szczytów w śnieżnych czapach wiał lekki wiatr. Śmigał nad wielkimi równinami, niosąc zapach wiosny i obietnicę odrodzenia życia. Louise uśmiechnęła się, choć w oczach znowu miała łzy. Omyliła się tak wiele razy. A największą omyłkę popełniła co do siebie samej.

Low Down przestała istnieć raz na zawsze. Skupiwszy wzrok na szczytach gór, Louise szepnęła „żegnaj” smutnej, obszarpanej, samotnej kobiecie znikąd, którą zostawiła w Piney Creek.

Potem przytuliła się do pleców męża, pomyślała o ich bezcennym dziecku, które miała pod sercem, i zwróciła twarz ku domowi i czekającej na nich rodzinie.

---

scandalous